rzej Kuśniewicz · Ry-
d Kozielewski · Małgo-
a Hillar · Mieczysław
ębski · Konrad Frejdlich ·
nika Warneńska · And-
rzej Biernacki

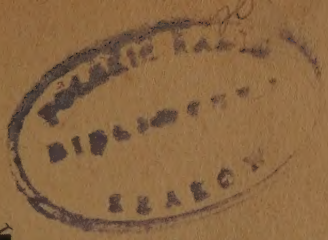

U. J.
APR 24 1978
LIBRARY

twórczość

LIPIEC 1961

twórczość

LIPIEC 1961 ROK

7

twórczość

ROK XVII LIPIEC 1961 NR 7 (192)

SPIS TREŚCI

Andrzej Kuśniewicz
SEZON W RAJU ANATOMIA DAGEROTYP CENTAURYCZNY
str. 5

Ryszard Kozielewski
TRZEBA GŁĘBOKO ODDYCHAĆ...
str. 10

Małgorzata Hillar
ZA GRANATOWYM MUREM PŁATKI JAŚMINU * * * (WITAŁA GO...)
MALWY
str. 49

Mieczysław Porębski
ZNIKNIĘCIE MONY LIZY
str. 53

Konrad Frejdlich
DROGA PRZEZ LAS CARYL CHESSMAN PARTIA SZACHÓW KARPIE
str. 79

Monika Warneńska
TROPEM LEGENDY BALZAKOWSKIEJ
str. 82

Archiwum

Andrzej Biernacki
NIEZNANE LISTY PROSPERA MÉRIMÉE
str. 97

Książka miesiąca

Henryk Bereza
GENEZIS
str. 110

Wśród książek

DEBIUTY WROCŁAWSKIE — *Jacek Trznadel*
str. 115

MIĘDZY LIRYKĄ A FILOZOFIĄ — *Stefan Lichański*
str. 117

„WNĘTRZE KWIATU" — *Bogdan Ostromęcki*
str. 120

„AKWARIUM" — *Bogdan Ostromęcki*
str. 121

PRZYPOMNIENIA I AKTUALIZACJE — *Tomasz Burek*
str. 122

TRUDNA SZTUKA KONSTRUKCJI — *Włodzimierz Maciąg*
str. 125

DOBRA KSIĄŻKA O BOYU — *Samuel Sandler*
str. 127

W KRĘGU NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 132

Na widnokręgu

LATO — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 136

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 137

DYSKUSJA O SZTUCE W NASZYCH CZASACH — *Zdzisław Najder*
str. 139

ZJAZD POETÓW ZIEM ZACHODNICH W KŁODZKU — *Zbigniew Bieńkowski*
str. 141

O POEZJI VITEZSLAVA NEZVALA — *Andrzej Piotrowski*
str. 143

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 147

Noty
str. 159

Książki nadesłane
str. 165

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Andrzej Kuśniewicz

SEZON W RAJU

Maintenant je suis maudit, j'ai horreur de la patrie. Le meilleur c'est un sommeil bien ivre...
(A. Rimbaud — *Une saison en enfer)*

I

(Munkacz)

1. Trącamy się wciąż
czarnymi łokciami
na drodze
do czego?

Do tego drzewa
gdzie na gałęzi uwiązany śledź
zielono malowany

ten co to wisi
i śpiewa

2. Spleceni ramionami
skręceni w supeł
wewnątrz
w siebie
gorącymi językami

trwamy

A trzciny nam ponad głowy
jak upalne drzewa
a szuwary jak cedry

W księżycu wielkim na pół nieba

brodaty nachylony
Rebe

On wielkim głosem zawodzi i śpiewa

3. Ręce wznoszę
niebem czarnym płynę
ponad miasteczkiem wiszę
i krzyczę

Czekam
Liczę do dwudziestu
do stu
No? No?

Śpisz
twardo mi śpisz

Nie usłyszysz

4 Siedząc z nogami
zwieszonymi nad bruk
myślę gniewnie:

— Samsonem urosnę —

Czekam chciwie
aż uchwycę
potrząsnę razem z tobą
kamienicę

To chyba jutro
cały Munkacz się zdziwi?

5. Od ziemi oderwany
do gwiazdy uwiązany

schnę
kurczę się
wszystkimi szparami
wyciekam

II

Jastrzębiogębi — wystąp!
Rudoptasi — wystąp!
Garbaci — na rękach

— Stój!

Najpierw — Patry
Jarchy
— raz — na ząb

(a jeszcze po drzewach śledziem zielono)

A teraz — Herku
Lasy
— na gaz

(śledź tam księżycem śpiewa
— ale już
wywie
trzało
strzałem)

Z wiadra ukropem — chlust!
na mrówki Herculanum

III

(argentina)

1. Schodzi w zatoki wieczór
więc panu
fiołki zakwitają w oczach

motyl
topolowy listek
odpływa w muzyczny fiolet

— a gdy noc
gdy północ

marzy się jego bezsile
Bezsenne Czerwone Morze Konkwisty

2. — więc otwiera szeroko oczy
rozwiera powoli ręce

stoi

Zaraz zabeczy jak baran

3. Gdy kocica dławiła się ćmą która jeszcze żyła oczami
bo resztą pękała siejąc pył z miażdżonych skrzydeł

gdy czarna kocica wykrztuszała w ślinie
przeźroczyste szybki błon
pałeczki łapek jeszcze żywe połówki żarówki oczu

chwaliła się:

— Jestem jak Anna Csillag czyli Gwiazda
wlokę za sobą długowłosą kometę

— Jestem Gwiezdna z Munkacza
gdzie cudotwórcy wznosząc ręce białe od śmierci
piejąc w niebo gór
ulatywali resztkami skrzydeł

4. Teraz pan krzyczy przez sen jak baran
Teraz baran beczy we śnie

ANATOMIA

Nasz stosunek do słów
nawykowy

Każde z osobna
narosło starym brudem
blichtrem

Każde prawie
jak babka ciotka

I nagle — odwykowo od nich
jakby pierwszy raz napotkanych

Pierwsze widzenie kształtów
widzianych od Inąd
gdy się rozdziewają
z resztek znaczeń
do pestek

Jakżeś odmienne słowo!
Zaskoczona w niespodziewaniu pestko!

DAGEROTYP CENTAURYCZNY

to Ona z ryciny
dagero
— ścieżką na velo
mija szprych skrzypienia

Dagero-bona (?)
Carissima mia (?)

niesie na welocypedzie
szamerowania od prętów

boczy się w słońcu
szpilką wbitą w plecy

owocuje bicyklem w balony

gorset — ma fiszbiny
parasolka — ma palce

na palcach
w tył
przegięta przegina

zetknięcia

takie
szprych skrzypienia odgina

takie
welo-centaurie sytuacji

Andrzej Kuśniewicz

Ryszard Kozielewski

TRZEBA GŁĘBOKO ODDYCHAĆ...

Ryszard Kozielewski nie jest już, formalnie rzecz biorąc, debiutantem. W latach 1958—1960 opublikował w magazynie ilustrowanym „Żołnierz Polski" i w „Trybunie Literackiej" kilka opowiadań, które nie zwróciły uwagi czytelników na nie znanego dotąd, choć widać było od razu, wybitnie utalentowanego ich autora. Dopiero niedawno odniósł on pierwszy poważniejszy sukces uzyskując nagrodę na ogłoszonym przez Polskie Radio konkursie na opowiadania oświęcimskie za utwór „Trzeba głęboko oddychać" — utwór, którego wartości trudno nie docenić.

Ogłaszając fragment nagrodzonego opowiadania, redakcja „Twórczości" potwierdza słuszność orzeczenia sądu konkursowego oraz entuzjastycznej opinii o „Trzeba głęboko oddychać" wyrażonej przez Tadeusza Hołuja, który w nr 16 „Życia Literackiego" z dn. 16 kwietnia br. szeroko omówił pokłosie konkursu Polskiego Radia w felietonie zatytułowanym „Odblask obozu".

Być może Tadeusz Hołuj nieco zagalopował się w swoim entuzjazmie dla utworu Kozielewskiego pisząc dosłownie: „Jest w tym konkursie jedna praca, która, moim zdaniem, bije na głowę i Borowskiego i, żeby już być zuchwałym, Hemingwaya. Nazywa się »Trzeba głęboko oddychać...«". Ze względu na osobę autora nagrodzonego utworu i pewne okoliczności opinii tej nie wypadałoby tu przemilczeć.

Ryszard Kozielewski jest człowiekiem jeszcze bardzo młodym — ma lat trzydzieści kilka i... niebywale bogatą w doświadczenia, bez obawy o przesadę można powiedzieć, fantastyczną przeszłość.

Autor opowiadania „Trzeba głęboko oddychać" jako chłopiec trzykrotnie był zatrzymywany przez hitlerowskich zbirów w czasie okupacji i wywożony na przymusowe roboty z Warszawy do Niemiec i na Krym, skąd trzykrotnie uciekał — po raz trzeci uciekając do Italii, zaciągnął się do szeregów italskiej partyzantki antyfaszystowskiej. Bohaterski partyzant zdobył za zasługi położone w czasie wojny tytuł honorowego obywatela Italii.

Wstąpiwszy we Włoszech — jako Polak uczestniczący w wojnie — do polskiego Korpusu gen. Andersa, zmuszony był zdezerterować z szeregów Korpusu wobec grożących mu represji za „komunistyczne" poglądy. Będąc w 1945 roku członkiem socjalistycznej partii Nenniego brał czynny udział w burzliwym naówczas życiu politycznym Półwyspu Apenińskiego. Niebawem wrócił do

kraju, gdzie pracując jako robotnik — w jednym z łódzkich zakładów pracy — był czynny jako członek władz zakładowych organizacji ZWM i PPR.

Tragiczny splot różnych okoliczności dwukrotnie w latach 1949—1955 uwikłał go w konflikt z prawem.

W więzieniu przed kilku laty Ryszard Kozielewski podjął trud, w jakiego wyniku powstała powieść, nad której ostateczną redakcją pracuje, oraz wiele opowiadań równie doskonałych jak nagrodzone „Trzeba oddychać".

Jestem dumny i rad, że przypadkiem przypadło mi w udziale odkryć ten bezsporny, wspaniały talent i — chcę tu oświadczyć — tego niepospolitego, szlachetnego człowieka, który w pokorze odbywa wyznaczoną mu przez sąd PRL karę za — być może — nie tylko swoje przewiny.

Oby spełniły się jego i nasze nadzieje, że wyrośnie zeń pisarz, z którego wszyscy kiedyś będziemy dumni.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

OD AUTORA

Kończył się wrzesień 1943 roku i kominy krematoriów dymiły gęstą, tłustą sadzą. Szybujące w odlotne podróże ptaki skrzętnie omijały Birkenau. Raz tylko bardziej od innych zmęczona piskliwa gromada ptasia spadła chmurą na milczący obóz „B". Blokowi z „A" dopatrzyli się w tym dobrej wróżby dla tajemniczego „transportu specjalnego". Ale ptaki zaraz odleciały, zaś obóz „B" nadal świecił pustką. Usunięto zeń nawet funkcyjnych więźniów i pomiędzy zaryglowanymi na głucho blokami wyśpiewywał cienkie melodie jedynie jesienny wiatr.

Kryło się w tej pustce coś nienaturalnego, jeżeli wziąć pod uwagę ogólne przeładowanie kompleksu obozów w Birkenau. Określenie „transport specjalny" mówiło wiele i nic. Dociekania funkcyjnych więźniów brnęły po bezdrożach fantastycznych hipotez i domysłów — zaufani Niemcy nie chcieli czy może nie umieli rozświetlić zagadki. Podobnie ściśle przestrzeganej tajemnicy żaden z wysłużonych blokowych nie pamiętał i brak precedensu rzucał na całą historię jeszcze ciemniejsze światło.

Aż przyszedł słotny, październikowy wieczór. Trzykrotny gong na „A" (Kwarantäne-Lager) obwieścił zbiórkę blokowych. Raportführer obozu, Scharführer SS Karol Kurpanek, zapowiedział:

— Pójdziecie na „B" przyjmować transport specjalny — podkreślił mocno słowo „specjalny" — ale bez pałek. Przyjęcie ma się odbyć spokojnie i kulturalnie!

Poszło ich piętnastu, trochę zaniepokojonych sensacyjnym zarządzeniem. Bez kijów czuli się nieswojo, jakby odarci z władzy. Na „B" oczekiwał ich Arnold

nr 6, dotychczasowy kapo SS-Fryzjernia, mianowany przed godziną Lager-Ältesterem tego obozu. W krótki czas potem zjawił się Lagerführer Schwarzhubert w towarzystwie Blockführerów z „A" i „D". Ci ostatni wyjątkowo trzeźwi i cisi. Jako ostatni stawił się na miejscu nieznany esesman z Politische Abteilung z sześcioosobową grupą więźniów zatrudnionych w Wydziale Politycznym — sekcja personalna i tatuażu. Wśród nich słynny „kapo bez opaski", Bogdan Komornicki.

O dwudziestej przeciągły gwizd lokomotywy oznajmił przybycie transportu na rampę. Na szosie pojawiły się dwuźreniczne żuki: nadciągały pierwsze maszyny. Z wieżyczek spłynęły na obóz strugi reflektorowych świateł tnąc w pasma mgiełkę drobnego dżdżu. Z wnętrzy wozów gramolili się znużeni, zalęknieni ludzie. Światło od razu wydobyło na jaw żółte gwiazdy. Mrużąc oczy Żydzi niepewnie rozglądali się wokoło. Przeważały kilkuosobowe rodziny.

Niemcy powściągliwie ponaglali rozładunek unikając normalnych pohukiwań. Blokowych peszył niecodzienny, zubożały o razy „Ordnung". Zapędzeni do pomocy przy przenoszeniu żydowskich bagaży, klęli soczyście na niebywałe zwyczaje. Po cichu, gdyż zarządzenia w tej mierze były dostatecznie jasne, a intencje zwierzchników nieprzeniknione.

Przed północą niebo uroniło ostatnie, rzadkie krople dżdżu. Samochody kursowały bez przerwy, liczba przybyszów rosła w tysiące. O pierwszej odjechał wreszcie Schwarzhubert i służbisty ład pękł w szwach. Rozmieszczenie rodzin poczęło przebiegać szybciej, blokowym wróciła werwa. Jeszcze nie bijąc — w krzyku wyładowywali zajadłą wrogość wobec ludzi, którym niespodziewanie przyznano człowiecze prawa: przywilej posiadania bagaży, cywilnych ciuchów i bliskich osób. Rodzin nie rozdzielano przydzielając im wspólne bloki, mężczyźni, kobiety i czternastoletnia młodzież po społu. W mrokach październikowej nocy trwał zadziwiający cud niemieckiego dobrodziejstwa.

Nowy Lager-Ältester Arnold pośpiesznie kompletował funkcyjny personel więźniów wyłuskując z tłumu osoby władające językiem niemieckim. Schemat organizacyjny konzentrationslagrów przewidywał sprawiedliwość zwaną zgoła niewinnie „samorządem". Łupem zwięzłych propozycji Arnolda padały przeważnie młode, nieświadome podstępu dziewczęta. Ładne, gdyż nr 6 miał wobec nich także i bardziej osobiste zamiary.

O czwartej nad ranem przywlokły się z rampy ostatnie Opel-Blitze. Bogdan Komornicki sumiennie wypełniał w ewidencyjnej kontrolce pozycję ponad jedenastotysięczną. Pisał ładnie, toczonymi jak perełki literkami. Pracował podobnie, dokładnie i obojętnie.

W tym samym czasie blokowy z obozu „A" nr 1825 (zwany potocznie „Frankiem") pomógł dziewczynie mocującej się z przyciężkim kufrem. Rysy dziewczęcej twarzy cechowała regularność nie skażona semickim znamieniem. Miała siedemnaście lat, w postaci coś ze świeżości wiosny i zwykłe imię — Wiera. Kufer wylądował w baraku u stóp matki dziewczyny. Zdenka, siostra Wiery, starsza od niej o dwa lata, równie dorodna jak i ona, odważnie zagadnęła Franka:

— Maminka gorączkuje. Potrzebujemy dla niej coś do picia.

— Łaskawa pani poczeka, natychmiast przywołam kelnera — zakpił obrażony w swej godności.

Ale niemiecka łaskawość przewidziała dla wyczerpanych podróżą ludzi z „transportu specjalnego" — nawet kawę. Nr 1825 trochę przez ciekawość, trochę przez przekorę zaopatrzył „znajomą" rodzinę w dodatkowe ilości brunatnej cieczy. Dostrzegł w oczach Wiery nikły błysk wdzięczności. Uśmiechnął się, ona odpowiedziała... Tak się to zaczęło: romans ofiary i kata.

Świtaniem Scharführer SS Karol Kurpanek odprowadził blokowych do obozu „A". Ująwszy nawykłymi dłońmi sękate pałki, przystąpili do codziennej pracy. W sąsiedztwie za linią drutów cichł tymczasem rozgwar; „transport specjalny" układał się spokojnie do snu. Dwanaście bez mała tysięcy czeskich Żydów z Theresienstadtu.*

Nawet starzy cwaniacy obozowi — roztrząsając stworzone Czechom warunki — przepowiadali im życie. Młodsza generacja naiwniaków uwierzyła czym prędzej w zmartwychwstanie humanitarnych uczuć i idei. Sami Niemcy uśmiechali się drwiąco, wieloznacznie.

Czas płynął. Wygi obozowe triumfowały, a naiwni marli w komorach gazowych przeklinając nie istniejącego Boga, cudze szczęście i ludzkość. „Theresienstadt" żył zaś nadal, niczym cicha przystań, za odrutowanie której wzbroniono dostępu śmierci.

Machina niemiecka pracowała jednak z nieomylną sprawnością. W marcu 1944 roku...**

R. K.

1

Idą. Czoło obładowanej bagażami kolumny mija już Blockführerstube. Zgrudzona przymrozkiem ziemia ściele się bezśnieżną twardzizną pod stopami ośmiu tysięcy nieważnych ludzi.

Z dwunastego bloku wyjrzała czerwona gęba. Nażarta, połśniewająca pryszczatą tłustością. Leon dostrzegł mordziatego, Raportführer również. Kurpanek sięgnął leniwie do kabury i pryszczaty znikł.

— Lager-Ältester! Ogłoszono blocksperę! — syczy esesman.

— Ogłoszono! — Leon Siwy ściera zakatarzoną kropelkę zawisłą na czubku nosa i komenderuje po niemiecku: — Blokowi od dziewiątego wzwyż, obstawić swoje baraki!

Wezwani rozpierzchają się, ażeby wypełnić rozkaz.

Pochód dosięga naszej grupy. Raportführer Kurpanek podejmuje pertraktacje z wysokim dowódcą konwoju. Pochyleni nad „sterką" *** sumują cyferki, a główny Schreiber półgłosem zlicza przechodzące piątki. Grafion ołówka obojętnie znaczy setki.

Fala ciepłej mgiełki unosi się nad szeregami maszerujących. Wlewają się przez bramę szerokim, rozdętym tobołami strumieniem. Chybotliwy ogon ko-

* Terezin, miasteczko w Czechosłowacji. Niemcy urządzili w Terezinie olbrzymie „wzorowe" getto, tzw. pokazowe.

** Z uwagi na rozległy czasokres data przybycia i likwidacji „Terezina" nie jest w pełni ścisła. W każdym bądź razie przybyli we wrześniu lub październiku 1943, a likwidacja nastąpiła po pięciu miesiącach, czyli w lutym względnie marcu 1944 r.

*** Dzienny raport ewidencyjny.

lumny, rozpełzły po szosie, sięga obozu „B". Idą spokojnie, pełni dobroczynnej niewiedzy.

W dwie godziny później struga mężczyzn rwie się, kurczy i rozłamując szyki znika w żarłocznych gardzielach naszych bloków. Za oszronionymi drutami obozu „B" formuje się następna, kobieca kolumna. Martwe druty drżą, rozpylając wkoło diamentowy pyłek. Nadliczbowe posty rozgrzewają nogi waląc buciorami w słupy.

Wiera z maminką i Zdenką tkwią w tamtym, zgiełkliwym tłumie. Kobiety ruszają. Za kilkanaście minut trzeba będzie spojrzeć Wierze w oczy. Trącam nieznacznie Lager-Ältestera.

— Siwy! Dziewczęta przydzielimy do Milera.

— To potrwa zaledwie dwa dni — odpowiada sucho.

— Posmarujemy i Kurpanek załatwi z Schwarzhubertem. Znają niemiecki, są młode i zdrowe... Byle utkać je w FKL-u*.

— Raportführer wspomniał o specjalnym rozkazie. Ma nie być wyjątków.

— Sukinsyn! Wymyślił rozkaz, żeby nas oskubać.

— Wolf też wspominał o specjalnym rozkazie — odburkuje Siwy złowrogo.

— Że... wszyscy???

Kiwa głową.

— Woła mnie stary... Przypilnuj, żeby dostały się do Milera — rzuca na odchodnym cieplej.

— Siwy! Siwy! — mam dziwnie chrypiący głos i suchość w gardle. — Musisz to załatwić, słyszysz? Musisz! Dam wszystkie kamyki i blit!**

Zrobił dopiero dwa kroki. Zawraca.

— Nie drzyj mordy!... I nie bądź babą!

— Babą? Śmieszne, ja i baba! — powtarzam w przestrzeń, zdumiony podobnym oskarżeniem.

Różnie zwą nas więźniowie pomiędzy sobą. Wiemy coś niecoś o tym, gdyż nie stać nas na subtelności. Kwarantäne-Lager ma odrębny od innych obozów, surowszy reżim. Okres odbywania kwarantanny musi więźnia przysposobić do obozowego życia i od razu wyselekcjonować słabszych. Jestem od roku blokowym właśnie na kwarantannie. A Siwy powiada: baba! Głupiec!

Z upartym stukotem trzewików mijają mnie pierwsze piątki. Opatulone kobiety poruszają się ociężale, niezdarnie. Są jednak ożywione, wierzą w ten transport, w przyrzeczoną pracę oczekującą na nie gdzieś w głębi Niemiec.

Wiera w czerwonej włóczkowej czapeczce, wtłoczona w babski jazgot, macha dłonią, uśmiecha się. Druty przestały nas dzielić. Krzywi żałośnie wyblakłe w mrozie usta, gdyż po raz pierwszy, odkąd się znamy, nie odpowiadam podobnym uśmiechem. Opuściła rękę i czeka.

Włączam się w ruchliwy rozgardiasz. Rachuję piątki, upycham posłusznie figurynki puszczając mimo uszu tysiące natarczywych pytań. Pracuję milkliwie, nieudolnie. Obezwładnia mnie obecność Wiery i bezuderzeniowy ład. „Theresienstadt" od początku posiadł specjalne przywileje. Teraz, w ostatnich godzinach, ma je również, mimo że cel osiągnięto — listy zostały wysłane!

---

* Obóz kobiecy.

** Brylanty i złoto.

Były to niezmiernie ważne listy. Niemcy czekali na nie cierpliwie przez szereg długich tygodni. Początkowa nieufność Czechów topniała w promieniach tej rozsądnej cierpliwości i zmamieni nią ludzie coraz częściej sięgali po papier i ołówek. „Terezina" nie obowiązywały druczki obozowej poczty, na których niewiele można zmieścić, niewiele wieści przekazać. A było o czym pisać. „Żyjemy wszyscy spokojnie, dzieci są ze mną... Traktowani jesteśmy po ludzku, mamy własną służbę porządkową... Dokucza tylko tęsknota za wami..." Zwykłe, niewinne listy z „Wolnego Miasta Brzezinki".

Listy ekspediowane szybko wędrowały po rozległym świecie. Dzięki uprzejmości Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża dotarły nawet poza granice Reichu, do miast Zachodu — aby oszukać, zakamuflować nie spełnioną jeszcze prawdę. Inne, adresowane do getta w Terezinie, podniosły w górę zielone skrzydła semaforów dla następnych transportów, które wkrótce mają nadejść.

Esesmani radują się z udanego fortelu. Kilkadziesiąt listów złożono przezornie w biurku pana Hachy i pan Hacha skwapliwie podpisał umowę, mocą której czescy Żydzi przeszli we władanie i opiekę machiny obozowej Oświęcimia.

Są więc listy i Berlin konferujący z Lagerkommandantem Hoessem nad usprawnieniem pracy krematoriów. Niemcy niczego przed nami nie tają: Birkenau odwiedziła niedawno komisja z Berlina i zacinający się mechanizm funkcjonuje sprawniej. Podobno kobiety palą się lepiej, mężczyźni nadmiernie dymią. Zbyt są żylaści, ciekawe, ile w tym prawdy.

Jesteśmy mocnym szczeblem w administracyjnej drabinie Oświęcimia i nie wymagamy rozwlekłych tłumaczeń. Pojmujemy intencje zwierzchników bardzo po prostu.

— Za dużo widzę w obozie Żydów — narzekał ostatnio Lagerführer. — Proszę mieć to na uwadze, *meine Herren.*

Mamy to na uwadze.

Ale dla „Theresienstadtu" otrzymaliśmy odmienne instrukcje: wzmacniać złudzenia, oszukiwać Czechów transportem-nadzieją...

Rozkazy spełniamy bez szemrania. Wiele już ich spełniliśmy i odwrót w połowie drogi byłby bzdurnym nonsensem. Jesteśmy jak drogowskazy na umarłych drodze. W prywatnych rozmowach żałujemy jednakowoż, że pan Hacha nie jest blokowym ani kapem w Oświęcimiu. Zgładzi dziesiątki tysięcy bez zbrudzenia rąk, bez zmęczenia towarzyszącego każdemu mordowi. Wielcy zbrodniarze zawsze pozostają uczciwi, wymagając nadto uczciwości od innych ludzi. Nie to, co my.

Kobiety przelewają się już przez drzwi „dziewiątki", bloku Milera. Z powodzi twarzy wyłuskuję trzy, ufnie wpatrzone we mnie, choć nie wolne od niepokoju. Powinienem zdobyć się na uśmiech. Nie udaje się, mówię znów tym chrypliwym, obcym głosem:

— Wchodzić! *Los! Bewegt euch! Vier, fünf, sechs...*

Weszły w dwunastej piątce. Wiera zdążyła rzucić w przelocie: „ty sem ne cieszysz, że my do ciebie przyszli?"

Nic nie wie. Zastosowano wyjątkowe środki ostrożności przenosząc do nas w dniu dzisiejszym osiem tysięcy Czechów — zapalny, niebezpieczny w masie tłum ludzi w sile wieku, od 14 do 55 lat. Na „B" pozostała reszta: starzy, chorzy, zniedołężniali. Niegroźni!

Przez ostatni rok mnóstwo ludzi przewinęło się przez moje bloki. Znikali nie pozostawiając po sobie śladów i wspomnień, co najwyżej dobre konserwy, świetne perfumy, alkohol, aromatyczną kawę i przede wszystkim — złoto. Nie było wśród nich Wiery, nigdy i nikogo podobnego do niej.

— Pierunie, czekosz na amnestio? — Nie wiedzieć kiedy nadszedł Siwy. W zdenerwowaniu mówi zwykle gwarą. Nie uśmiecha się. — Pódź, trza obgadać sprawę.

Plac opustoszał. Zza drewnianych ścian baraku przecieka szum przypominający pracowite brzęczenie pszczół. Idziemy wzdłuż linii kolczastych drutów, którymi oparkaniono dodatkowo bloki od drugiego do dziewiątego, izolując Czechów od reszty obozu. W wąziutkiej luce pozostawionej w ogrodzeniu mijamy zamyślonego Unterscharführera SS Ryszarda Perschela. Duma zapewne nad zmiennością fortuny. Berliński spiker, omawiając sytuację na froncie, wymienia coraz to bardziej znajome nazwy miast, a Perschel w swoim czasie zamienił brudną pracę w ojcowskim składziku węgla w Warszawie przy Czerniakowskiej na zgrabny mundur SS, elegancki pejcz i nieograniczoną władzę. Wkrótce diabli wezmą i jedno, i drugie. Bardzo wielu ludzi oszukała ta wojna.

Perschel zatrzymuje mnie:

— *Na, Block-Ältester! Wie gehts?* — zapytuje. — Martwicie się rozstaniem z tą... tą Tschechin?

Przystajemy. Esesman uśmiecha się złośliwie. Nienawidzi mnie okrutnie za to, że znam go stamtąd, z Czerniakowskiej. Najchętniej zastrzeliłby mnie lub zadenuncjował w Politische Abteilung z powodu Wiery. Powstrzymuje go wzgląd na własną kieszeń: nie otrzymałby od żadnego z blokowych nawet marnego feniga. Tym ich trzymamy, w przeciwnym razie nikt z nas również nie byłby pewien dnia ani godziny.

— *Ich bin kein Judenfreund, Herr Blockführer. Sie sollen das wissen* — odpowiadam zaczepnie.

Memle przekleństwa pod nosem, po czym zwraca się służbowo do Siwego: — Lager-Ältester! Kurpanek polecił odwołać blocksperę!

— Idź! Wydzwoń odwołanie — nakazuje mi Siwy. Perschel daje Leonowi znaki, że pragnie z nim porozmawiać sam na sam.

Zduszony klangor żelaznej płyty niesie się raźno w mroźnym powietrzu. Z otwieranych drzwi bloków buchają strzępiaste kłęby pary. Stubedienści skrzykują się dźwięcznie po spóźniony obiad, spomiędzy chmur przebija się uporczywie wątlutki, roztańczony w guzikach mundurów promyczek słońca. Pełno dziś Niemców w obozie, jak nigdy.

Oczekuję Siwego w Schreibstubie. Po rozmowie z nim przyjdzie najgorsze — rozmowa z Wierą. Byle się zgodziła.

Pisarz obozowy, niemiecki Żyd Frank, przygląda mi się nieufnie. Schwytany na tym, wybiega wzrokiem za okno. Sztubowi taskają kotły z zupą, pod barakami snują się cienie polujących na ochłap Greków. „Schönster Otto" ze Zdzichem Krajewskim troskliwie ubezpieczają transport. Miesiąc temu zgłodniali Grecy napadli sztubowych i przewróciwszy w tumulcie kotły wychłeptali żarcie wprost z bruku. Nie pomogły kije, wylizali kamienie do czysta.

— Tyle na jeden raz jeszcze nie brali, co? — mówi cicho Frank.

Wzruszam ramionami.

— Ponad osiem tysięcy i sami młodzi — kontynuuje Schreiber. Rysuje paznokciem hieroglify na szybie. — Wystarczy, żeby się Czesi dowiedzieli... W razie buntu Niemcy wytną cały obóz, nie będą robić ceregieli.

Przestał zajmować się szybą. Znów z ukosa spogląda na mnie. Podejrzliwie pytająco.

— *Bist du verrückt?* Skąd mają się dowiedzieć? — odburkuję.

— Nie żałujesz Wiery?

— Daj spokój! — podstęp jest aż nadto przejrzysty. — Nawalają ci nerwy?... Mam dobry koniak, Frank. Podeślę wieczorem ze dwie butelki przez zastępcę, wystarczy ci na podreperowanie zdrowia.

— *Danke, Franz...* Miejmy nadzieję, że transport odejdzie w porządku. Współczuję ci — zapewnia uroczyście.

— Nie trzeba.

— Moją żonę też spalili...

— Tak. Opowiadałeś o tym — ucinam krótko. Frank nie kapituluje i snuje smętną opowieść. Nachodzi mnie ogromna ochota trzepnąć go pięścią w kwadratowy łeb. Przybycie Siwego niesie nierozumną ulgę.

Długo spacerujemy po obozowej uliczce ustalając szczegółowy plan działania. Leon bierze na siebie Kurpanka.

— Będzie ciężko — mówi. — Uważaj ino, co by Perschel nic nie pomiarkował. Mo na ciebie pierunową chrapę.

— Niech ma. Postaraj się reklamować także maminkę. Bez niej dziewczęta mogą nie zechcieć.

— Tyś je ale głupi, Franz!!! Taką starą kobitę? Dobrze bydzie, kiej udo się Zdenke i Wiere podmienić.

Słuszność jest po jego stronie, w cuda wierzyć nie należy. Ustalamy jeszcze granicę kosztów i ewentualne terminy przekazania okupu — nie wcześniej, aż po wyjeździe Czechów i zamknięciu likwidacyjnej listy „Theresienstadtu". Mógłby Kurpanek oszukać. Siwy dziwi się, kiedy wspominam o zaoszczędzonych dwóch kilogramach złota: — Bogatyś, pierunie! — To zresztą cały mój majątek. Siwy lojalnie zapewnia, że w potrzebie sięgnie i do własnej szkatuły.

Leon odchodzi, a wraz z nim opuszcza mnie spokój. Odżywają stare zwątpienia. Bezradność z nową mocą ssie w dołku, wypełnia usta słodkawą mdłością: jeżeli starania spełzną na niczym, wszelka pomoc będzie dla Wiery zbędnym, nijakim balastem. Każda, z ludzkich rąk pochodząca. Może się wtedy okazać, że nie kochała prawdziwie. Opiekowałem się nią, Zdenką i maminką przez długich pięć miesięcy, a mogłem dużo...

Boli mnie głowa, lilipucie młoteczki wystukują w skroniach męczące staccato. Po raz pierwszy od lat boję się prawdziwie. Ten lęk podąża za mną, jest cięższy do zniesienia niźli ten zwykły, fizyczny i trochę lepki.

Za godzinę, dwie zapadnie mrok. Będzie można podjąć działanie.

2

Wiera przycupnęła na krawędzi łóżka. Siedzi nieporuszenie, upodobniona do malutkiej dziewczynki ze zdjęcia w *Völkischer Beobachter*, który przeglądałem w Blockführerstubie. Podpisano pod nim: *Grosser Kampf für unsere Kinder, für unsere Heimat, für unseren Führer.* Prasowe wezwania nie oddzia-

ływują na frontowców, ale dodają energii esesmanom w obozie. Podejmują je bez szczególnego ryzyka.

Wiera wodzi za mną wyogromniałymi zdziwieniem oczyma. Krążę po ciasnej budzie, ciągle jeszcze nie znajdując właściwych słów.

— Pij herbatę!

Posłusznie pociąga dwa łyki ze stojącej na stole szklanki. Odstawione szkło perli się przejrzystym dźwiękiem.

— Co je, Franta?

— Pij, dopóki jest ciepła. Może wolisz świeżej?

— Franta!...

Zatrzymała mnie w pół kroku. Zabłociłem gdzieś czubki trzewików, chyba przy kuchni. Szarość błota kala gładką czerń skóry. Wiera podnosi moją brodę, spoglądam teraz z bliska w jej oczy.

— Je sem je u ciebie, a ty se nie cieszysz?

Bardzo kocha matkę. O ile nie zduszę w niej oporu na samym wstępie — może odmówić.

— Dla mnie ty już nie żyjesz. Pozostał jeden tylko ratunek: przenieść ciebie i Zdenkę do FKL-u. Siwy załatwia przeniesienia.

Nie pojęła sensu.

— Dziwnie prawisz, Franta. Ne mogemy maminki samej puścić w transport. Pomnij se, ona je chora.

— Musisz znaleźć siły, dużo sił... Matki nie uda się wyreklamować.

Na powrót przysiada na łóżku, chowa twarz w dłoniach. Dłonie są wysmukłe, delikatne. Pod cienką skórą znać błękitne żyłki.

— Ja ne myślała, żeś ty je taki... taki... — wybucha nie tłumionym żalem. — Co by maminka o nas pomyślała? Ne, Franta, uże my młodzi łatwiejsze zniesiemy rozstanie. Wojna przeca niedługo se skończy.

Nadszedł decydujący moment. Trzecią zapałką przypalam papierosa, dwie pękły z drewienkowatym chrobotem. Wiera wciąż jeszcze nie podnosi głowy. Tym lepiej, wolę przy tych słowach nie patrzeć jej w oczy.

— Słuchaj. „Theresienstadt" nie idzie w żaden transport — mówię po prostu.

— Po jakimu? Jadymy do Nemec na roboty... Tak nam rzykali wszechne. Lager-Ältester też tak rzykał, zanim go zabrali.

Jednak pierś pod różowym sweterkiem faluje szybciej. Zaniepokoiła się.

— Musimy tak mówić, kazali nam — wyjaśniam niechętnie. Herbaciana kropla na stole rozszczepia się na kilka drobniejszych kropelek. Zbyt mocno nacisnąłem taflę stołu, a podłoga budy nie jest równa. Mówię szeptem, nawet Janek stróżujący pod drzwiami nie może o tym wiedzieć. — Arnold okłamywał was. Na ich polecenie okłamałby własną matkę...

— Gde więc nas wiezą? — przerywa niecierpliwie.

— Cały „Terezin" idzie do gazu!

Wyznanie było nieuniknione, musiało paść wcześniej czy później. Wiera nie uwierzyła.

— Kaj tam! Same młodzi i zdrowi my tu przyszli! — protestuje.

— Nie żartuj, Wiero. Mówię poważnie, jak najbardziej poważnie.

— To nie je możliwe... Nas je dużo! My... My są czeskie obywatele i Nemcy ne mogą... Żeby zdrowych ludzi? Franta, oni zapewne tych, co zostali w obozie „B"?... Tam są same starzy i chorzy!

Pobladła nienaturalnie.

— Mieliśmy odprawę — niepotrzebnie opowiadam takie szczegóły, gotowa nabrać do mnie odrazy. Muszę ją jednak przekonać. — Wiedzą, że mieliśmy na „B" znajome rodziny. Gdyby ktoś zdradził wam prawdę?... Buntu całego obozu nie dałoby się zataić, dlatego przenieśli was na „A", wiążąc nam ręce. Nikt nie zaryzykuje, nie zechce zaryzykować dodatkowo sześć tysięcy Aryjczyków...

Szukam gorączkowo przekonywających argumentów. Żyli na „B" w oderwaniu od obozowej rzeczywistości: w rodzinnych blokach, nie rozdzieleni, żony z mężami, matki z dziećmi. Nawet nie bici — mieli własnych funkcyjnych, Schwarzhubert narzucił im jedynie zaufanego Lager-Ältestera Arnolda nr 6. Po pięciu miesiącach wyjątkowych warunków przestaje się je przyjmować jako wyjątkowe. Nie wiedzą, że „Theresienstadt" spełnił już wyznaczoną mu rolę wystawy niemieckiego dobrodziejstwa. *Ordnung muss sein,* nie wolno po próżnicy marnować obozowego chleba.

Wiera uparcie wydłuża przykrą pauzę. Wyłamuje wrażliwe, giętkie palce. Trwa gniotące milczenie.

— Franta! — odzywa się wreszcie. Głos ma szorstki, bezdźwięczny. Z wysiłkiem przełyka ślinę. — Jeżeli mnie kochasz, przysięgnij, że rzykasz prawdu, że ciebie ne idzie tylko o to, co bym została w Oświęcimiu. Przy tobie.

Błaganie wyraża całą zesztywniałą nagle kibicią. Mogę jej zaprzysiąc tę prawdę z czystym sumieniem.

— Przysięgam, że cały „Theresienstadt" idzie do gazu. Jutro!

— Už jutro?...

Z oczów Wiery uciekła wszelka treść.

— Siwy załatwia reklamację — przypominam. — Lagerführer przeniesie ciebie i Zdenkę do FKL-u, obejmiecie funkcje. Jeżeli ta kombinacja nie chwyci, podmienimy was na lewo. Kurpanek za forsę wszystko zrobi...

Słowa błądzą po budzie i mrą na drewnianych ścianach nie docierając chyba do jej świadomości. Milknę. Monotonne tykanie zegarka odmierza cenne sekundy.

— Wierka?...

Powinna się rozpłakać, byłoby jej lżej. Nie mam odwagi dotknąć zastygłego w bezruchu ciała dziewczyny.

— Wiera!

Zmęczonym gestem przeciera czoło.

— Jak se maminka dowi, co ona uczyni?

— Nie rozgłaszaj tego nikomu spoza rodziny. Wzięliby mnie razem z wami.

Brzmi to okrutnie, ale jest prawdziwe i Wiera powinna zrozumieć. Zrozumiała.

— Ne chcę, żebyś szeł do gazu — zapewnia cichutko. — Ty żeś zdrowy i Polak.

Szuka kurtki. Na wierzch wciąga ruski szynel, na głowę ruską papachę. Przywołuję jeńca wyczekującego cierpliwie w budzie Schreibera. Wasia ubrany jest podobnie jak ona.

— Nic ne mów mamince, ona ne może wiedzieć — zastrzega Wiera.

— W porządku.

Wasia utyka po przepaścistych kieszeniach otrzymane papierosy. Poprawiam papachę na głowie Wiery, sprawdzam, czy nie wystają spod niej włosy. Janek usuwa z korytarza nachtwachę i wychodzi przed blok. Wraca natychmiast.

— Możecie iść.

Obejmuje nas mrok i suchość przymrozka. Wiera i Wasia taszczą zabrany z korytarza kibel, kołysze się nierówno pomiędzy nogami niedobranych tragarzy. Do wynoszenia nieczystości z czeskich bloków Raportführer wyznaczył rosyjskich jeńców.

W bramie wiodącej za druty stoi Rotenführer Banski. Z dezaprobatą kręci głową.

— *Seh du! Die Saubande scheisst mehr wie wir* — powiada.

— Jeszcze kilkanaście godzin — podejmuję rozmowę. — *Morgen Abend wird schon Klops mit dem ganze Mist.*

— *Pssst! Pass auf, Block-Ältester!*

Wiera i Ruski zniknęli nie niepokojeni w drzwiach dziewiątego bloku. Zawracam. Miler zorganizuje powrót Wasi. Wolę nie brać udziału w rozmowie sióstr. Niech to załatwią pomiędzy sobą.

W kilka godzin później odwiedzam Pollakowe. Rozgorączkowane Czeszki zastępują mi drogę, zarzucają prostymi pytaniami: czemu rozdzielono je z mężczyznami? Czy można porozmawiać z pozostałymi na „B"? Dlaczego nie wolno im wychodzić z baraków?

Widywały mnie z Wierą, wywoływały ją, gdy podchodziłem do drutów. Jestem dla nich „Frantą", nie blokowym, więc wyczekują odpowiedzi nie myśląc ustąpić. Zdenka stoi z boku i wpiera we mnie uparty wzrok. W kącikach jej ust przyczaił się okruch zimnego uśmiechu.

Opowiadam zaniepokojonym Czeszkom bajeczkę o transporcie i oczekującej je pracy. Odprężenie rozluźnia mięśnie dziesiątków twarzy. Nierzadko zwracały się do mnie z różnymi drobiazgami i ze swej strony usiłowałem nigdy ich nie zawieść ani nie okłamać. Mieściła się ta zasada w trosce o dobrą u nich reputację, która pozwalała zbliżyć się do Wiery. Toteż wierzą mym słowom i komentując głośno przedłożone im wyjaśnienia rozpełzają się po kątach. Złudzenie może być też wielkim szczęściem.

Zdenka gwałtownie pociąga mnie w korytarzyk. Żarówka ledwie przebłyskuje w mroku. Dziewczyna napiera piersiami.

— Je prawda, co Wierka mówiła? Je prawda?

— Akurat znalazłaś okazję do żartów!

— Ne myśl se, że... — usiłowała parsknąć zuchwałością, ale zgubiła ją po drodze. Nabiera w płuca powietrza jak ryba wyrzucona na piasek. — A ja użem myślała, że ne potrefisz tak cyganić bidne kobity, że cosik se zmieniło. Tyś je wielki artysta, Franta.

Uśmiecha się szeroko i uśmiech w półmroku wydaje mi się czemuś straszny. Oczy Zdenki połśniewają gorączką.

— My som z Wierką gotowe. Pódź, powitej maminkę. Pytala o ciebie. Ino nic jej ne rzykej, wisz.

Miler urządził Pollakowe w rogu sali: malutki kąciczek osłonięty kilkoma kocami. Wiera nie podnosi głowy znad pakieciku papierów, maminka, usadowiona wygodnie pomiędzy bagażami, ożywia się za moim wejściem.

— Ne chcesz teraz znać Pollakowe, Franta?... Gniwasz se na Wierke?

Patrzy zmęczonym, życzliwym spojrzeniem schorowanej kobiety. Zintensywniał brąz wątrobianych plam na jej twarzy. W Birkenau każda zmiana jest wielkim przeżyciem.

— Ma mama jeszcze cibalginę?

— Zawsze pamiętasz. Dziękuję, Franta, jeszcze mam...

— Kłamie! — wtrąca wrogo Zdenka. — Pódź, postarosz się i tej cibalginy — dodaje łagodniej.

Wiera pospiesznie wsuwa za sweterek niewielki pakiecik. Całuje matkę w czoło i odchodzi pierwsza. Zdenka niecierpliwie podreptuje dając mi znaki, abym się wynosił.

— Przyjdę jeszcze, maminko — zapewniam. — Przyprowadzę dziewczęta i wówczas posiedzę z tobą.

— Nie starej sie. Wim, jak to młodym ciężko się rozstawać. Wierka ani nie je przytomna, musisz ją ułagodzić.

— Tak.

— Ona se czegosik boi... U tych Nemców wszechno je takowe newiadome — mówi jeszcze stara w zamyśleniu.

Wszystko jest przygotowane, Niemcy pilnują bloków z przodu, funkcyjni w tyle. Zastępca Milera w milczeniu wsuwa długą, zawczasu przysposobioną deskę pomiędzy dolne druty ogrodzenia. Spod sąsiedniej „dziesiątki" odrywają się dwa cienie, Siwy i Abram, gospodarz dziesiątego bloku. Naciskamy z dwóch stron końce zaimprowizowanej kładki. Deska trzeszczy, wygina się podejrzanie w środku, ale rozchyla druty. Przez powstałą lukę łatwo się przecisnąć.

— Franta! Chcem szaleć, bawić se... Rzeknij to Siwemu, dobre? — szepcze gwałtownie Zdenka i wyczołguje się pierwsza.

Piecyk w budzie Abrama promieniuje przytulnym ciepłem. W imbryczku rześko bulgoce woda, na stole złocą się otwarte pudełka sardynek, leżą węgierskie keksy i jaffskie cytryny.

Abram informuje zwięźle:

— Będzie coś potrzeba, pukajcie naprzeciwko. Nachtwacha pewna, nikt was nie zaskoczy.

— Pierunie! Pierwszy poleciołby twój łeb — zapowiada dla zasady Leon. Wzmożona czujność esesmanów dotyczy czeskich bloków.

Abram znika niepostrzeżenie. Plotkują o nim, że odprawia potajemnie rytualne praktyki, może poszedł się modlić za te dwanaście tysięcy swoich współwyznawców.

Siwy wyciąga z szafy butelkę koniaku i rozlewa rdzawy płyn w kieliszki. Wiera stanowczo odmawia, za to Zdenka pije łapczywie, dużymi haustami. Krztusi się, ale pije. Trudny wieczór otwiera bezsłowna pustka napięcia. Przerywa ją Zdenka.

— Rzeknij Siwemu! — żąda.

— Co? — nie rozumiem w pierwszej chwili.

— Com ci rzykala przy drutach — przypomina zajadle. — Chcem szaleć, Leon, wisz! Chcem szaleć!

Lager-Ältester tężeje w zaskoczeniu. Pierwszy raz nazwała go po imieniu. Krążył wokół niej z daleka, opiekował się i nigdy nie próbował posiąść. Ogar-

nia mnie nagła zazdrość o te nie nazwane głośno zasady, wykluczające romans z niefunkcyjną więźniarką. Berlińska prostytutka Herta z FKL-u otrzymuje od niego każdorazowo cenne podarunki i ani cienia serdeczności.

Siwy dłuższą chwilę przygląda się Zdence spod przymrużonych powiek. Wychyla nowy kieliszek, potem pyta brutalnie:

— Chcesz pasem po dupie?

— Mogę... — i łka bezradnie.

Wiera kładzie dłoń na ramieniu siostry, a Lager-Ältester podaje Zdence papierosa, podsuwa ogień.

— Rozmawiałem już z Kurpankiem w waszej sprawie... — zaczyna.

Podrywają się obie.

— Maminki nie zostawimy! Ani nic ne rzykej!

Tego się obawiałem. Siwy tchórzliwie opuszcza łeb.

— Mamy i my matki — zapewniam gorączkowo. — Jej nie można uratować, ale wy nie musicie umierać.

— Dej pokój, Franta.

— Wiera! Wściekłaś się?

— Jak ona łyknie gaz, a nas przy niej ne będzie, co pomyśli?... Tak już pójdemy razem!

Siwy przysłuchuje się mojej z Wierą rozmowie nadal nie podnosząc głowy. I Zdenka nie odzywa się słowem. Poprawia włosy, sięga po kieliszek, rozlewa ostrożnie koniak.

— Wierka, Wierka... Zastanów się! Żadnego nie będzie w tym pożytku. Prawdziwe szaleństwo, Wierka. Tak nie wolno!

— Można, można — upiera się. — Mieliby my przeklęte życie, że my maminkę oddali na... oddali na...

— Więc nie? — surowo wtrąca Siwy.

— Ne! — odpowiadają siostry razem. Obejmują się ciasnym uściskiem.

Pierwszy raz w życiu pokochałem kogoś naprawdę — i tak strasznie nie w porę, bardzo niepotrzebnie. Bruno Brodniewicz* pouczał mnie, gdy debiutowałem na funkcji w Oświęcimiu I: „nie przywiązuj się do nikogo, bo tęsknoty i żale zeżrą cię ze szczętem". Zlekceważyłem rozsądne rady. Przemijanie jest tutaj czymś zwykłym i naturalnym. Z woli Wiery przeminie również i ta niewyjaśniona miłość.

„Spokojnie, spokojnie — ostrzegam uparcie sam siebie. — Nie wolno ci się zaprzepaścić, nie czas na przetrząsanie sumienia. Ostatecznie stanie się tylko zadość obłędnym pojęciom sprawiedliwości oświęcimskiej: jej, ofiary, nie będzie, ja na powrót pozostanę już tylko blokowym... Iść z nią d o g a z u ? ? ?"

Wypadam z budy młócąc wściekle pięściami struchlałą nachtwachę. Rozpryskują się na boki piszcząc szczurzo z przerażenia.

Trzeźwi mnie nocny mróz. Od razu piecze rozcięta na zębach nachtwachy dłoń. Opieram się o barak zobojętniały na wszystko. Mając trzynaście lat ukradłem matce dwa złote. Zabrałem je po prostu z szuflady, potem strzelaliśmy cały dzień z korkowców. Rano matka nie kupiła chleba, gdyż były to ostatnie matczyne złotówki. Ojciec skatował mnie, a matka nie odzywając się

* Lager-Ältester obozu Oświęcim I, numer obozowy „1", stąd często zwany „jedynką" wśród funkcyjnych (narodowość: niemiecka).

słowem spoglądała bezosobowo na mnie i na młodszą siostrę, która płakała i wołała jeść. To było straszniejsze od cięgów, choć nie nazwane.

Czuję się podobnie, jak wtedy, ale nie nadaję się na męczennika. To tylko dzikie porywy i zapędy chcą wieść na manowce. Bez oporów pozwalam Siwemu wprowadzić się z powrotem do ciepłej budy.

— Nie rozbijaj Abramowi ludzi — mówi po drodze z wyrzutem.

Bez przekonania próbuję jeszcze nakłonić Wierę do zmiany decyzji. Kręci przecząco głową.

— Dziewczęta mają rację — stwierdza niespodziewanie Lager-Ältester. — Ja je rozumiem. Dla nich tak będzie lepiej.

— Zwariowałeś, Siwy!

— *Halt Maul... Du, verliebte Arsch!* — denerwuje się Leon.

Siostry ciągle jeszcze tulą się do siebie. Niemrawo poruszają wargami przyznając Siwemu rację.

— Tak będzie lepiej — powtarza ponownie Lager-Ältester. — Zbierajcie się, dziewczęta, pora wracać na blok.

— Ja idem do Franty! Ne chcę, ne mogę tam teraz iść. Bojem se — mówi Wiera. — Mam z nim do pomówienia, wisz.

Zdenka prosząco spogląda na Siwego.

— Leon... Zostanę z tobą, co, Leon? Tylko tak zostanę, wypijemy koniak...

— *Quatsch nicht so viel!* — odpowiada szorstko i z nieoczekiwaną delikatnością gładzi jej dłoń. — Idymy, odprowadza cię. Naprawdę, nie trzeba zostawać, tyś je dzielno dzieucha, Zdenka. Jo ci to padom!

— Dziękuję, Leon — bezbarwne, duże łzy spływają jej po policzkach.

Przywołany Abram zarządza blokową „ruhe". Stubowi pilnują, aby więźniowie nie podpatrzyli, jak wyprowadzamy dziewczęta. Odczekujemy z Wierą, dopóki Zdenka nie odkrzyknie się zza drutów, i przemykamy chyłkiem do mego bloku. „Czternastka" przyjmuje nas nocną ciszą.

— On ciebie uwierzy, ja tu napisała, co potrzebno — mówi Wiera.

Padający od stołowej lampy cień obejmuje z dołu jej nogi. Oczy ma pełne rezygnacji, lecz suche.

— Pamiętej! Dej to ojcowi i rzeknij mu wszechno, jak bylo. On to pojmie.

— Tak... — obracam w rękach wytarty na brzegach portfelik. Znajduje się w nim list Wiery, jaki otrzymała niedawno od ojca, i ostatni list córki do niego, kilka zdjęć. Passe-partout dla posła. Ojciec Wiery nie jest Żydem, a tylko ożenił się z Żydówką. Z tej dostatecznie prostej przyczyny pozostał w Wyszkowie, nie poznał getta w Terezinie i nie pojedzie z Birkenau „w transport" — jak jego żona i córki.

— Opowiedz mu wszechno, wszechno... Co z nami zrobili!

— Opowiem. Połóż się teraz i prześpij.

— Spać? A oni przyjdą i powiedzą: Wiera Pollakowa do gazu!

— Przestań! Mogę iść tylko pod lufę pistoletu!

— Zapomnij! Ja tylko tak...

— Sama nie wiesz, co mówisz.

— Ne diw mi se, ne diw.

Chłonę resztę emanującej z niej dobroci. Wiera wspomina rodzinny Wyszkow koło Brna, mówiąc raczej do siebie niż do mnie. Raz po raz rwie się sens zdań,

w których stara się zamknąć przeszłość. Przeszłość oznacza dziś dla niej wszystko, gdyż przyszłości nie będzie.

Podrywa się na zwykłe skrzypnięcie w korytarzu.

— Co je? Wyjrzyj, Franta!

Uchylam drzwi.

— Ne ma nic?

— Nie ma.

— Oni mogą tu przyjść?

— Wierka, nie wytrzymasz nerwowo. Odprowadzę cię do maminki.

— Jeszcze ne. Ostatni wieczer, więcej takich ne będzie... Siednij se przy mnie.

Siadam. Opiera wygodnie głowę na moim ramieniu, kilka razy niemo porusza ustami, zanim decyduje się powiedzieć:

— Franta... Ne bij ich więcej, ja proszem ciebie.

— Kogo? — drętwieję w zaskoczeniu.

— Rzykają, że bijesz, Franta. Ja wim, że dla pozoru może trochę musisz. Ne uwierzę, że sam chcesz... Ale ne bij ich. Zrobisz to dla mne?

— Zrobię. Bądź spokojna.

Ktoś jej jednak doniósł, znalazł się odważny. Chyba Arnold, był zazdrosny.

Wiera tuli się nieporadnie. Obcisłość sweterka i spódniczki zuchwale ujawnia jej kształty. Jest zgrabna, młoda i nie wygląda na więźniarkę.

— Płacz — mówię. — Czy ty nie umiesz płakać?

— Opowiedz ojcowi — przypomina.

— Opowiem. — Nie zdaje sobie sprawy, jak niezmiernie skomplikowane będzie dla mnie wyzwolenie. Obie strony zapolują na nasze gardła: esesmani, gdyż wiemy zbyt wiele, a tamci... Może uda się jednak. — Jeżeli tylko przeżyję, wszystko mu opowiem.

— Ty przeżyjesz. Ja to czuję.

Oczy jej znieruchomiały w poszukiwaniu czegoś ukrytego wewnątrz siebie.

— Jak to będzie, Franta?

— Co jak będzie?

— Tam, u gazu!

Niemcy od pewnego czasu skąpią gazu. Przy małej dawce trwa i dziesięć, i piętnaście minut.

— Trzeba głęboko oddychać. Wstrzymać powietrze, a później głęboko oddychać. Tylko pierwszy łyk się liczy. Tak mówią.

— Wstrzymać powietrze, a potem głęboko oddychać — powtarza powoli. — Dobre!

— Chodź do maminki!

— Franta! Jak to je, dwanaście tysięcy ludzi i nic nas nie uratuje? — buntuje się niespodziewanie. — Nic se nie stanie?... NIC?

Ein grosser Transport zum Himmelkommando — nazwał Kurpanek akcję „Theresienstadt". Raportführer lubi dowcipy i służby nie traktuje poważnie. Fakt ten niczego zresztą nie zmienia, pomyłka ani przypadek w Birkenau nie istnieją.

Spoglądam na Wierę z góry. Twarz jej okala kasztanowata piana włosów, pachnących jak kwiaty. A u nas kwiaty nie kwitną, po prostu nie ma ich tutaj.

— Bądź rozsądna i zgódź się. Siwy zdąży jeszcze załatwić reklamację.

— Chodziły my do szkoły, Franta. Uczyły my się i nigdzie nie pisało, że wolno zabijać za nic. Za co Nemcy nas zabijają? Za co?

Nie pozostawiono im nawet wyboru. W gestapo można ocalić życie wyznając prawdę, oddając się we władanie. Ale żadne wiarołomstwo nie zmieni losu Żydów. Są niepotrzebni, niczego się od nich nie wymaga prócz tego właśnie — ażeby pomarli. Niewinność mogą odzyskać tylko w śmierci.

Milczę, bowiem trudno wypowiedzieć to słowami. Wiera gasi światło. Przez długi czas czuwamy w niemym mroku. Uspokaja się jej oddech.

— Dobrze tu je — wsuwa dłoń w moje ręce. — Aż straszno stąd odchodzić. Wskazówki zegarka fosforyzują wyraziście.

— Musisz wracać, Wierka. Późna godzina.

— Boisz se, że mogą tu po mne przyjść? I tak wszechno stracone.

— Nie obawiam się. Ale powinnaś być przy mamie.

— Tak pódź. Ani ty uże ne chcesz mne zatrzymać...

Nie stać nas na głębszą filozofię. Powtarzamy rosyjską maskaradę i szczęśliwie docieramy do bloku Milera. Maminka jeszcze nie śpi. Ujmuje suchymi dłońmi moją głowę.

— No, Franta. Tedy pozostaniesz se sam, Wierka pojedzie...

— Zobaczymy się wkrótce.

Przysiadam na walizce. Granice złudy pierzchają bojaźliwie przed pustką gniotących przerw milczenia. Maminka drzemie po trosze, my siedzimy.

Do bloku wchodzą esesmani, dyżuruje ich dzisiejszej nocy kilkunastu w obozie. Rotenführer Scholz zagląda za zasłonę z koców. Umiejętnie pokrywa zdziwienie odwołując mnie na bok.

— Wiedzą, gdzie pójdą? — pyta ostro.

— Nie.

— *Ist gut.* U mężczyzn też panuje zupełny spokój — stwierdza z zadowoleniem.

Grupa ożywionych esesmanów opuszcza blok. Scholz nie odchodzi. Wypadła mu służba na „dziewiątce". Wieść przyjmuję obojętnie, łączą mnie z Scholzem liczne interesy. Zagłębiamy się w nic nie znaczącą rozmowę.

Po godzinie podchodzi do nas Wiera, odciąga mnie.

— Daj cigaretka dla Zdenki.

Wręczam jej kilka sztuk.

— Ona boi se palić w baraku. Zobaczy blokowy albo Nemec...

— Pal, Zdenka. Nic się nie bój! — mówię głośno.

Zdenka wychodzi przed koce, ażeby nie kopcić mamie pod nos. Pali z pasją i drży jej dłoń wsparta na ramieniu Wiery. Dym z papierosa owija się wokół ich twarzy. Setki ciekawych oczu oceniają rodzaj udręki, jaki kryje w sobie nasze rozstanie. Z pewnością wspominają przy okazji własne, różne i dawne pożegnania.

Nad ranem pożyczam od Milera dwie paczki „Juno" i palimy dalej: Zdenka, ja i Scholz. Scholz jest zadowolony, że może zaoszczędzić własne papierosy. Rozstajemy się tuż przed porannym apelem. Muszę wracać do zajęć.

Dzień wlecze się markotnie. Wzmaga się niepokój Czechów i atmosfera napięcia udziela się całemu obozowi. Słychać płacze: kilkunastoletni chłopcy zamknięci z mężczyznami błagają o zezwolenie udania się do matek, jakby ktokolwiek mógł im takiego zezwolenia udzielić. Kobiety próbują przez blokowych przesyłać wiktuały mężom i synom, nie wszyscy dokonali rozważnego podziału zapasów. Przypuszczali naiwnie, że rozłąka potrwa kilka zaledwie godzin, do chwili załadowania ich w wagony. Zwątpienie — duszące jak obręcz cisnąca gardło — poczyna wyzierać z oczu Czechów. Noc przetrwali w okropnym ścisku, wpół stojąc lub leżąc pokotem na buksach i w przejściach. Nie orientując się, kiedy „transport" odejdzie, jeszcze boją się pomyśleć, czy w ogóle odejdzie, a już targa nimi lęk o najbliższą przyszłość, o własne i czyjeś najdroższe losy. Zanudzają esesmanów i nas pytaniami, przypominają sobie setki drobnych spraw nie załatwionych w porę: nie przekazane rodzicom-staruszkom, pozostałym na „B", rady i pouczenia, niezbędne, a nie zabrane leki... Obawiali się zostać w wypadku rewizji uznani za chorych, co równałoby się — w ich pojęciu — skreśleniu z transportowej listy. Niemcy oferują pracę i życie wyłącznie ludziom zdrowym i pełnym sił. Teraz zgłaszają się pierwsi chętni, gotowi zrezygnować z transportu i wróciwszy do obozu „B" dzielić złą czy dobrą dolę z tymi, którym z uwagi na wiek, chorobę i niedołęstwo odmówiono wspaniałego prawa wyjazdu z Birkenau na roboty do Rzeszy. Odwrotu jednak nie ma, toteż niepokój rośnie z godziny na godzinę. Jasność dnia niesie z sobą nawrót trzeźwości. Poszarzałe twarze upodabniają się do teatralnych masek.

Niemcy czuwają. Raportführer Kurpanek dwukrotnie już dzwonił po Schwarzhuberta. Gnębi Kurpanka bezsilność, albowiem wobec „Terezina" ciągle jeszcze obowiązują łagodność i cierpliwość. Wszelki gwałt może tylko wzburzyć tę ogromną masę więźniów, trzeba by wówczas likwidować obóz publicznie...

Berlin stara się być lojalny wobec sojuszniczego rządu pana Hachy, który nie chce o niczym wiedzieć. I Berlin musi sprowadzić z Terezina następne tysiące Żydów, gdyż w niewielkim miasteczku Terezinie nie ma ani krematoriów, ani komór gazowych.

Zdenerwowany Kurpanek wypija u mnie dwie szklaneczki rumu i wysyła w pobliże Blockführerstuby.

— Zawołasz mnie, kiedy nadjedzie Schwarzhubert. Będę u Siwego.

— *Zum Befehl, Herr Raportführer!* — odpowiadam służbiście.

— Nie wygłupiaj się! — Chłepce trzeci „sztakanik".

Lagerführer nadjeżdża cichym, czterotaktowym BMW, za późno na ucieczkę i wzywanie Kurpanka. Pomagam Schwarzhubertowi ustawić motor na nóżkach, on zaś wypytuje lakonicznie:

— Co, spokój?

— *Jawohl, Herr Lagerführer.* Są esesmani.

— Na wszystkich blokach?

Kurpanek już biegnie, dano mu znać. Moje szczęście.

— Na każdym. U mężczyzn po dwóch — wyjaśniam.

Odchodzą z Kurpankiem na bok. Raportführer nerwowo objaśnia sytuację,

Schwarzhubert trze gładko wygolony podbródek. Dochodzi do mnie jego odpowiedź:

— Maszyny przyjadą wieczorem. Ale rozmawiałem z Thielem, powiedział, że ich uspokoi.

Są obaj przejęci. „Theresienstadt" to nie zdezorientowani, oszołomieni powitalnym biciem i krzykiem Żydzi, słani do gazu wprost z rampy. Sporo wśród nich młodzieży, która w okresie pięciomiesięcznego pobytu w Birkenau poznała wiele z jego tajemnic. Wystarczy, aby zwiedzieli się prawdy... Nielekkie brzemię odpowiedzialności złożono na barki Lagerführera.

Po godzinie wpada do obozu mały „Steyer" Hauptsturmführera SS Thiele. Po powitaniach dystyngowany doktor Thiele elastycznym krokiem sportsmena przemierza obóz. Wyminąwszy obojętnie czeskie baraki znika w drzwiach szesnastego bloku, w którym mieści się izba chorych. Schwarzhubert i Kurpanek czekają nań cierpliwie. Kręcę się po placu zaintrygowany wiarą esesmanów w cudowne, uspokajające właściwości doktora.

Thiele bawi na „szesnastce" kilkanaście minut. Wychodzi stamtąd w towarzystwie lekarza obozu „A", Kleinberga. Sposępniały więzień obładowany medykamentami sunie milczkiem za Hauptsturmführerem, dwóch flegierów taszczy sterylizator i pozostałe instrumenty. Rozpoczyna się nieprzewidziany przegląd bloków zamieszkałych przez „Terezin". Nowy rozdział transportowej komedii. Thiele wypytuje Czechów o stan zdrowia, skarżącym się na byle jakie dolegliwości ordynuje doraźnie i szczodrze lekarstwa lub wręcz — niebywały dowód łaskawości — zastrzyki. Doktor Kleinberg wykonuje zabiegi zwierając surowo usta. Zabroniono mu odezwać się słowem.

— *Bitte. Wer noch krank ist, der soll jetzt melden.* W pociągu personel sanitarny może nie dysponować pełnym asortymentem leków — zachęca z naciskiem Thiele. — *Ist schon niemand mehr?*

— Transport?... *Wann fährt der Transport ab?* — wypytują podnieceni Czesi. Chłoną każde słowo esesmana niczym życiodajną treść.

— *Heute Abend! Also: sind schon alle?* — odpowiada Thiele z nieprzeniknioną twarzą i daje znak sanitariuszom, aby zbierali klamoty.

Czesi spokojnieją. Najłatwiej uwierzyć w rzecz żarliwie, z głębi serca upragnioną. Tym bardziej że trudno zakładać, ażeby przesadnie skąpi Niemcy marnowali cenne lekarstwa i zadawali sobie trud dla ludzi im niepotrzebnych. Ostatni to chyba z wyjątkowych przywilejów „Theresienstadtu".

Dzień nadal wlecze się markotnie. Mechanicznie załatwiam setki powszednich, normalnych spraw obozowych. Na moim bloku nie ma czeskich Żydów, więc i życie płynie tu zwykłym, żłobionym przez kije i głód korytem. Blokowy „dwunastki", Mietek Katarzyński, przezornie schodzi mi z drogi. Gdyby uśmiechnął się, zabiłbym go wreszcie bez względu na konsekwencje. Wyczuwa zapewne we mnie tę gotowość mordu i skrywa triumfalną uciechę, jaka go musi przepełniać. Dzielą nas zawiłe, nie uregulowane porachunki.

Godziny ciekną wolno, lecz przecież mijają. Zbliża się jasna w intencjach noc. Nie odwiedziłem Wiery, nie krzyknąłem do jej rodaków: „Ratujcie się przed tym transportem do gazu!" Tak sobie jeszcze rano obiecywałem. Kleinberg odmówił mi przed chwilą kilkunastu luminali.

— Dawkę do zażycia na miejscu lub zastrzyk, bardzo proszę, Panie Franku — powiedział. — Inaczej mi nie wolno!

Uprzedził go Siwy?...

Siwy... Siwy... Wczoraj poparł dziewczęta. — Tak będzie lepiej — powiedział. Posądzałem go o głębsze uczucie do Zdenki, a on tymczasem: „tak będzie lepiej". Niepotrzebnie uczestniczył w decydującej rozmowie. Osamotnione w swej racji, może pozwoliłyby się dziewczęta przekonać.

— Franz!

Woła Siwy. Lager-Ältester, przełożony i kumpel w jednej osobie. Równie dobrze i zdrajca, powiedział przecież wczoraj: „Tak będzie lepiej". Nastroszony wchodzę za nim do budy. Nie oglądając się na mnie leje wódę w kubki, podsuwa porcję.

— Chlaj! — żąda.

— Odczep się!

— Pij, durny pierunie!

— Siwyyy...

Unosi w górę sękatą pięść. Tkwi w niej siła bawołu, nie mam najmniejszych szans. Choćby mnie zatłukł na śmierć, nic mu nie będzie, uwierzą, że zwariowałem i rzuciłem się na niego. Blockführerzy z „A" wiedzą o Wierze, tylko Schwarzhubert nie orientuje się w niczym, i dlatego brałem udział w ostatniej odprawie. Wiedząc, pewnie by nie ryzykował. Słowo szepnięte Czechom przed czasem...

Z trudem chwytam powietrze, Siwy potraktował mnie nierozcieńczonym spirytusem. Pali żywym ogniem, w gardle czuję najprawdziwsze krematorium. Za gwałtowny przeskok — po koniakach i rumach z francuskiego transportu.

Siwy przygotowuje następną dawkę.

— Nnnie ppiiję... więceeej — skrzypię głucho.

Sprawdza godzinę. Osiemnasta.

— Pij — powiada. — Musisz wytrzymać kilka godzin. Może wypadnie odliczać ci je przy transporcie.

— Nie będę ich liczył, Siwy... Nie będę!

— Masz swoje lata, za późno na naukę. Pij!

— Żeby nie ty... ehmp... — zatchnąłem się dawką przeklętego spirytusu. — Żeby nie ty, nie szłyby do gazu... Powiedziałeś, że „tak będzie lepiej"... Jesteś skurwysyn, Siwy! Wielki skurwysyn!

Zamachnął się krótko, jakoś nieznacznie. Uderzenie nie boli, tyle że nogi odmówiły posłuszeństwa. Policzek osobliwie piecze, rozcieram niepewnie to pieczenie. Siwy również siedzi już za stołem. Podparł brodę pięściami. Milczymy.

— Chcesz jeszcze? — zapytuje Siwy po chwili. — Nalać?

— Lej...

Nasze życie składa się w połowie z picia. Z esesmanami, bo trzeba, przed i po selekcjach — dla animuszu, po bogatym w złoto transporcie — na szczęście, po kłótni — na zgodę. Wódek na ogół nie brakuje. Niemcy za brylanty wszystkiego dostarczają. Żydzi z Belgii, Holandii, Włoch, z całej zresztą Europy, również zwożą — i biżuterię, i wódki.

— Żryć będziesz?

— Pocałuj mnie... — wysuwam nieprzystojną propozycję.

Ciągniemy spirytus powoli, delektując smak ognia. Gardło przywykło.

— Tak wyszło lepiej. Lepiej, że one same, będzie im lżej — mówi nagle Siwy. — Niech wierzą, że one same. To się dla nich bardzo liczy!

— Namówiłeś je, świnio.

— Ani nie zdążyłech ci wtedy pedzieć, pierunie. Kurpanek wcale nie chciał rozmawiać na temat wycofania dziewcząt — wyjaśnia sucho. — Grabner osobiście pilnuje listy. Ma nie pozostać żaden świadek.

— Złoto wszystkiemu da radę. Targował się, a ty...

— Dwa kilogramy, co? Ani za dziesięć! Muszą iść do gazu. Wszyscy co do jednego. Zobaczysz przy zdawaniu bloków!

Szumi mi we łbie spirytus i coś jeszcze. Niedopałek parzy palce...

— Pójdę na druty. Odejdę stąd, Siwy.

— Niech myślą, że z własnej woli. To dla nich bardzo ważne — powtarza i wyznaje uczciwie: — Bałem się, że wyrażą zgodę.

Skończył się Wiery czas, mój nadal istnieje. Samotny pójdę drogą, gdzie radości nie ma. „Blokowy" — symbol, szaleńczy skrót tej niejasnej na przyszłość drogi.

— Rozumiem. Lej, Siwy, chcę pić.

— Dobra, ostatniego ale. Pierunie, żeby Grabner nie poznoł.

— Aha...

Potem wychodzimy na obóz.

Noc zapowiada się czysto, pogodnie. Księżyc wychynął już z piany rzadkich chmur. Nie odzywamy się do siebie, bo i o czym mówić. Liczą się tylko godziny, liczy się czas — sprzęgnięty z niemiecką wolą.

Lustrujemy pobieżnie czeskie bloki. Blokowi nie podrywają znużonych ludzi komendą „achtung", choć zwyczaj ten niejako obowiązuje w stosunku do Żydów. Wprowadził go za swej kadencji Thinn dla podniesienia własnej godności i autorytetu Lager-Ältestera. Thinn lubił rumor stwarzający dodatkowe okazje do karania więźniów. Skwapliwie ogłaszał w tych razach „fliegeralarm": kiedy siedmiuset lub ośmiuset chłopa ma trzy sekundy czasu na wczołganie się pod niziutkie buksy, zawsze kilku zatratują na śmierć. Nie licząc pociesznego widoku, wypiętych dup, w które można dowoli kopać, celując w nasadę kości ogonowej — niby w tarczę. Kość ogonowa gnije nieznacznie, powoli, solidnie i ze skutkiem. Kości w Birkenau nie operuje się. Żadnych i w ogóle.

Thinn wsiąkł głupio w FKL-u. Krąży pogłoska, że wpadł w zorganizowaną pułapkę kobiet, że jedna z nich poświęciła się dla ulżenia doli więźniów kwarantanny, gdzie miała kogoś bliskiego. Wynikł skandal, którego nie dało się ukryć przed Politische Abteilung. Odszedł więc Thinn i nastał Siwy.

Leon zazwyczaj nie wymaga „achtungu". Tym bardziej dziś i na czeskich blokach. Siwy ma dobroduszny, wyrozumiały charakter, mimo to jest wzorowym Lager-Ältesterem. Nieskomplikowane raporty nabierają charakteru prywatnych rozmówek: Siwy wypytuje, blokowi odpowiadają, po czym Siwy marszczy się nijako i ruszamy w dalszy obchód. Czesi zachowują się potulnie i spokojnie, spokojniej bodaj niż my i Niemcy.

Palę papierosy jeden za drugim, nawet w trakcie rozmowy z esesmanami. Rzecz normalnie nie do pomyślenia, jeżeli tylko odbywa się publicznie. Dziś żadna ze stron nie zwraca uwagi na podobne drobiazgi — zbyt ciężkie postawiono przed nami zadanie, aby się rozpraszać.

Na dziewiątym bloku Wiera przychwytuje mnie podstępnie przed drzwiami budy Milera. Pragnąłem uniknąć spotkania.

— Franta! Jak je?

— Nie ma jeszcze nic.

W trzy minuty później — już jest. Ściąga nas na plac niosący się głośno w wieczorze warkot motoru. Przyjechali Lagerführer Schwarzhubert i Raportführer z „D", Poloczek. Siwy zgłasza aktualności:

— *Herr Hauptsturmführer! Kwarantäne-Lager belegt mit... Häftlingen. Alles in Ordnung. Der Transport ist vorbereitet zur Abfahrt.*

— *Danke Ihnen.* Wozy powinny nadejść za pół godziny. Siwy, *mach mal dreimal „bum"* na zbiórkę blokowych!

Łoskotliwy dźwięk szyny sprowadza Kurpanka. Po odebraniu odeń służbowego raportu Schwarzhubert mówi surowo:

— Nie ma cię w taki czas w obozie?

Zebrała się już spora grupka Blockführerów.

— Kurpanek *hat Angst vor Juden!* — rechocą dobrodusznie.

Schodzą się blokowi. Włazimy do Schreibstuby za esesmanami. Powietrze ciężkie od dymu układa się w przejrzyste pasma. Blockführerzy ćmią papierosy na potęgę, zapominając o nakazanej przez Führera oszczędności. Lagerführer wydaje proste, zwięzłe rozkazy:

— *Meine Herren!* Transport musi odejść jak wszystkie poprzednie transporty: s p o k o j n i e. Zarządzam ścisłą blocksperę. Obowiązuje bezwzględna cisza i spokój!

Wyciąga notes, kartkuje zapiski. Odebraną Kurpankowi „sterkę" ze stanem „Theresienstadtu" wręcza Poloczykowi.

— Pan kontroluje ewidencję wyjeżdżających więźniów i odpowiada za dokładne rozliczenie stanu osobowego! — Miał rację Siwy, obcy Raportführer będzie tym razem spełniał odpowiedzialną funkcję. Schwarzhubert kontynuuje: — Kurpanek i Raportschreiber obozu „A" będą liczyć na własną rękę, według wczorajszego raportu przeniesieniowego i stanu zdawanego przez poszczególnych blokowych. Wszystko jasne? Liczycie w trójkę, nie może być żadnej pomyłki!... Pozostali blokowi obstawiają baraki od dziewiątego w dół. Pójdą z nimi Unterscharführer Perschel, Rotenführerzy Wolf i Karnera. Pilnować, aby tyłem nikt nie wychodził. Akcja odbywa się w przodzie... Lager-Ältester! Po nadejściu maszyn zaczynamy od bloku trzeciego. Załadunek kolejno, blokami. Dopiero po opróżnieniu jednego otwieramy następny blok, zrozumiano? Polecam biorącym udział w akcji zawiesić na piersiach latarki z czerwonym światłem. Dotyczy to również blokowych. Siwy, czy każdy z nich ma „deimonówkę"?...

— *Jawohl, Herr Lagerführer!*

— *In Ordnung!* Rozejść się!

Nie wyznaczył blokowych numerami, więc uzgadniam z Wolfem, że obstawię „dziewiątkę" Milera. Postanawiam wbrew rozsądkowi być w pobliżu Wiery do końca.

Szosą, wybijając energicznie rytm, maszeruje pół-kompania SS z psami. Przed bramą sprawnie rozłamują szyk, część wkracza do obozu, reszta rozsypuje się pomiędzy wieżyczkami, za linią zewnętrznych drutów. Specjalna posten-ketta.

Słychać wyraźnie chrobot spuszczanych podpórek karabinów maszynowych. Z pysków tresowanych wilczurów wymyka się skowytliwy pomruk zniecierpliwienia. Psy muszą być bardzo głodne.

Obóz milczy. Późny wieczór przeszedł w noc. Piękną, jasną, bezwietrzną i ciepłą. Będzie odwilż. Księżyc pomyka bezgłośnie po niebie wolnym od chmur, nie pozostał po nich najmniejszy ślad. Malutkie placyki pomiędzy blokami i obozowa droga są puściuteńkie i doskonale widoczne.

Wędruję do budy po latarkę. Kroczę prosto i twardo, mimo że Siwy oszołomił mnie spirytusem. W minionej godzinie zapomniałem o specjalnym charakterze tego właśnie „transportu" — wyjedzie nim Wiera. Dziwne słowa! Wiera odjedzie... Aż trudno w nie uwierzyć! Coś powinno się stać, wydarzyć. Trudno przyjąć, że Wiera wyruszy tak samo zwyczajnie i w tę samą drogę, co inni. Należałoby przeciwdziałać groźbie, uczynić cokolwiek... Ale — co?

Nie mogę trafić uchwytem latarki na guzik kurtki. Wreszcie. Przesuwam szybkę i naciskam wyłącznik. Latarka pali się mdłym, krwistym światłem. Piękna noc dookolna również ma posmak krwi. Czuję ją w ustach — przegryzłem wargę. Przybyli esesmani rozlokowują się leniwie pomiędzy blokami, w skrawkach cienia. Ukrywają nadmiar posiadanej broni maszynowej. Nie jesteśmy zwyczajni podobnej delikatności.

Na szosie, od strony Oświęcimia I pojawiają się wydłużone stożki świateł. Pełzną po ziemi ruchliwe, żarłoczne reflektory, coraz bliższe. Poprzedza je monotonny grzmot rozklekotanych silników. Obóz przenika gwałtowny dreszcz. Niedostrzegalny, nie złowiony uchem, lecz zarejestrowany którymś ze zmysłów. Reflektory ciężarówek spływają po drutach chwytając w objęcia stanowiska karabinów maszynowych dodatkowej posten-ketty. Kolumna skręca w lewo, szybko pokonując krótki odcinek drogi przyległy do frontu obozu „A". Ostatnie samochody nadal dociekliwie obmacują zwyżki i esesmanów za drutami. Maszyny tratują Kwarantäne-Lager przekątnymi świateł, wyziewami spalin i hukiem motorów. Wtaczają się przez bramę. Towarzyszy im kilka motocykli.

Z pierwszego wozu wyskakuje szef Politische Abteilung, Grabner, i Kramer z FKL-u. Podbiega Lagerführer, pochyla się nad znudzonym Grabnerem. Ten kręci czegoś przecząco głową i uśmiecha się cienkim, nijakim uśmiechem. Przywołany Poloczek trzaska zuchowato obcasami, energicznie wyrzucając w górę prawą dłoń. Rozmawiają krótko w odosobnionej gromadce. Potem odrzucone niedopałki papierosów wykreślają w powietrzu lekko iskrzące łuki, Niemcy niepotrzebnie obciągają mundury, a Schwarzhubert daje znak rozpoczęcia akcji.

Chrobocą stalowe nożyce na cięciwach drutów. Wystarcza kilka ciachnięć i końce drutów zwisają bezsilnie ku ziemi. Brama wjazdowa jest gotowa.

Ciężka maszyna poskrzypując sprzęgłem podjeżdża tyłem na metr od drzwi trzeciego bloku. Smród spalin zatruwa powietrze, dalsze wozy ustawiają się w kolejce.

Na trzecim bloku wybucha rozpaczliwy lament. Przetacza się po obozie sztormowa fala harmideru zgrzywiona krzykiem. Kurpanek ogłosił zakaz zabierania ciężkich bagaży. Cięższych i większych.

Jazgot, sparaliżowany komendą „ruhe" — przycicha. Raportführer tłumaczy jasno, że bagaże odwiezie się do pociągu hurtowo, rzecz w tym, aby usprawnić

przewóz i załadunek nie obciążonych tobołami ludzi. Umowne słowa drążą umysły.

Niemcy zachowują się uprzejmie i stanowczo zarazem. Przekonują Żydów, ponaglają rzeczowo: transport musi odejść o oznaczonej porze, maszyny przybyły z pewnym opóźnieniem, nie ma czasu do stracenia... Odruchy protestu zanikają. Znużeni wyczekiwaniem mężczyźni pośpiesznie przyczepiają do grubszych bagaży zagryzmolone nazwiskami kartki...

Jarzą się rubinem krople latarek, przyczepione do esesmańskich mundurów i naszych bluz. Pierwsze piątki Czechów, obarczone lekkim drobiazgiem neseserków i pakuneczków, wstępują po krótkiej drabince na wysoki wóz. Raportführer Poloczek półgłosem liczy wychodzących. Kurpanek ze Schreiberem skreślają kolejne pozycje na przeniesieniowym raporcie. Skupiony blokowy, stojąc w drzwiach baraku, uważnie zagląda w twarze Żydów. Liczy ich również, porównując jednocześnie utrwalone w pamięci wizerunki wczorajszych przybyszów z twarzami przesuwających się obecnie przed nim więźniów. Rozpozna natychmiast obcego człowieka, nabyliśmy niesamowitej wprawy w trudnym rzemiośle. Ale w szeregach nie ma obcych. Wyjeżdża „Theresienstadt", reszta obozu śpi lub co najwyżej słucha potajemnie, spętana mocą blockspery.

Załadowano pierwszą czterdziestkę.

— *Genug!* — zarządza Schwarzhubert. Nie denerwuje Czechów natłokiem, pozwalając im odbyć przedśmiertną podróż w luksusie luzu. — *Abfahrt!*

Dwóch esesmanów z pistoletami maszynowymi wskakuje na stopnie ruszającej maszyny. W tyle terkoce silnikiem motocykl uzupełniającej eskorty. Pojechali.

Szoferzy uparcie podstawiają Opel-Blitze, nieomylnie manipulując kierownicami w rozpędzie. Piszczą hamulce. Zanim jeszcze ustaje rozkołys resorów, na drewnianej platformie dudnią głuche kroki. Żydzi wybiegają łakomym wzrokiem za uchodzącymi w noc wozami, ale luka pomiędzy drzwiami bloku a budą jest stanowczo za mała. Zanim cokolwiek dojrzą, brezent przesłania widok. Nerwowe pytania eksplodują w ciżbie cisnących się w tyle dalszych piątek. Wrzawa rośnie. Wszystkie głowy wykręcają się nieodmiennie w kierunku obozowej bramy, więc nogi ześlizgują się ze szczebli drabinki. Upadki, nagłe stłoczenia i te nie ustające podrzuty głów w bałaganie. Czesi niecierpliwią się. Krzepnąc w niepokoju, usiłują cofnąć się w tył. Bezradne krzyki rozdzierają noc na strzępy.

Schwarzhubert rzuca esesmanom warkliwe polecenie — pozwala Żydom napatrzyć się dowoli na szosę. Uciszają się od razu, tłumiąc w gardłach wyzywający pomruk ulgi.

Właśnie dwie maszyny wypryskują za bramę obozu „A". Skręcają w prawo i mkną szosą w stronę FKL-u i kolejnej rampy. Najbliższa droga do komór gazowych i krematoriów wiedzie w odwrotnym kierunku za bramą w lewo i potem prosto — jak strzelił. Kilometr, półtora zaledwie.

Esesmani tają uśmieszki. Akcję obmyślono drobiazgowo, bez zarzutu. Przewidziano i ten pomruk ulgi, wyliczony na podstawie naturalnych w Birkenau spodziewań i lęków Żydów. Dlatego samochody solidnie nadłożą dziś drogi, miną bez zatrzymania rampę, przy FKL-u po raz trzeci wykręcą w prawo, przemkną niby zdyszane widma wzdłuż uśpionego obozu kobiecego i jeszcze raz, biorąc w prawo ostry zakręt — trafią do celu. W rachunku nie ma błędu,

ztery zakręty pod kątem prostym w prawo równają się temu jednemu w lewo. Trasę wytycza matematyczny, ścisły pewnik, różnica polega na dodatkowych minutach życia.

Niewidzialne nici telepatycznego telegrafu wiążą czeskie bloki. Wszystkie już rozszemrały się radosną nowiną: wozy odjechały w kierunku kolejowej rampy. Wbrew przekornym podszeptom zwątpienia „Theresienstadt" idzie w prawdziwy transport... Odprężają się Czesi. Oczekujący kolejki z własnej woli stroją bagaże w prymitywne wizytówki. Lagerführer odprawia maszynę za maszyną. Akcja nabiera tempa.

Wróciła pierwsza ciężarówka. Lawiruję ostrożnie w bliskości jej załogi. W szwargocie Niemców nie znajduję nic ciekawego, klną nocną pracę i Żydów, krasząc przekleństwa trzeźwymi uwagami.

— Wypadnie dwadzieścia razy obrócić!

— *Verflucht!*... Na mapie nasze chorągiewki ciągle jeszcze pod Moskwą. Zajmiemy Moskwę, a Iwan Berlin!... Wtedy Rus z nami potańcuje!

— Do tej pory żaden Żyd nie pozostanie przy życiu.

— *Sind keine Leute, Mensch!* Za nich odpowiadać nie będziemy...

Skąpe wyznania esesmanów utrzymane są w tonie zwykłego dla Birkenau epitafium. Nikt zresztą nie dowie się o losach Czechów. Wiera i Zdenka, dopuszczone do tajemnicy, odjadą za kilka godzin, my zaś umiemy dochowywać sekretów.

Mądry Siwy spoił mnie spirytusem i sznureczek natrętnych myśli nie męczy. Tyle że krew nadzwyczajnie hałasuje w głowie.

Nie powinienem właściwie myśleć o niczym, przede wszystkim nie o Wierze. Bo i po co? Swymi myślami nie podzielę się nawet z jej ojcem, który pozostał w Wyszkowie. Zapewne uznałby je za profanację, obelgę czy wyzwanie rzucone losom jego rodziny, ich śmierci i nicości. Nie uwierzy, że pokochałem, lub będzie się tego wstydził. Blokowemu odmówi prawa do ludzkich uczuć. Poniekąd jest tak właśnie — serc posiadać nam nie wolno.

Skronie silnie pulsują. W przedsionku dziewiątego bloku zapalam papierosa. Nikotyna odrobinę pomaga.

Wiera i Zdenka są niezmiernie blade. Pociągają mnie w kąt obrabowany przedwcześnie z koców.

— Uż wywożą, Franta?

— Wożą.

— Jak długo to potrwa? — dopytuje się natarczywie Wiera. — Jak długo?

— Zaczęli od trzeciego. Wy około pierwszej, drugiej...

— Tyle godzin, tyle godzin...

Stoi nienaturalnie wyprostowana, z rękami bezsilnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Męczy się. Zdenka dopina pod szyją sweterek, choć duchota bije od tysiąca przegrzanych w ciasnocie ciał. Tłum kobiet przygląda się nam ze wzrastającą natarczywością. Słusznie, odjeżdża moja niemal narzeczona. W wypadku donosu do Politische Abteilung Niemcy nazwą mnie Judenfreundem. Nieodparcie podobnego zarzutu równa się zaocznemu wyrokowi. Zawczasu szukam logicznego wybiegu.

— Daj cigaretka — mówi Zdenka.

Wzywa mnie Rotenführer Wolf.

— Nas bać się nie musisz, ale w obozie znajdują się inni. Lagerführer zobaczy i... *Donnerwetter!* — ostrzega.

— Dobra. Nie wolno mi być w bloku?

— Jak chcesz, Block-Ältester. Lepiej jednak...

— *Ich komme schon raus!*

Zostawiam Zdence zapas papierosów i z tajoną ulgą wychodzę na powietrze. Nie znajduję słów, którymi mógłbym ułatwić Wierze trudne godziny wyczekiwania. Ruszam do przodu przyjrzeć się akcji.

Samochody kursują bez przerwy. Nie ustaje sypki szmer opon na obozowym bruku. Rozgrzane maszyny podjeżdżają pod piąty blok. Załadunek idzie szybko, bardzo szybko. Czterdziestu ludzi na wóz i odjazd w asyście rozszalałych motocykli. Trwa odmarsz życia.

Księżyc usadowił się nad wieżyczką. Polśniewa jasno i chłodno, srebrząc ornament kostropatych bloków, żyłek drutów i zgrabnych sylwetek esesmanów. Ujawnia także i Kurpankową, rozchwianą w biegu. Na „szóstce" coś się dzieje.

Mijając mnie Raportführer gwałtownie przystaje.

— Franz! Czwarty blok pusty, można filcować bagaże. Potem nie zdążycie — dyszy zemocjonowany. — Jak co, przyślę po ciebie Siwego.

Nie odpowiadam.

— *Ah, so!...* Tyś dzisiaj do niczego! *Verdammt noch mal,* nie ona jedna na świecie!

Biegnie dalej pozostawiając mnie w spokoju. Subtelny facet.

Harmider na szóstym bloku przybiera na sile. Góruje dźwięczny poryk blokowego wspierany szczekliwymi rozkazami dyżurującego tam esesmana. Po chwili wszystko zlewa się w jednolitą, potężną wrzawę.

Niemcy pędzą już w tym kierunku, rozjątrzeni i wściekli. Groźnie wymachują bronią. Wycofuję się pośpiesznie pod pusty blok czwarty. Zanosi się na grubszą harataninę. Czyżby Wiera zdradziła powierzoną jej tajemnicę?...

Wrzawa przechodzi w śpiew. Niesprawny chór Czechów głuszy nawoływania esesmanów. Melodia, zdławiona ścianami baraku, niesie się coraz śmielej wśród zacichłej nocy.

Chalupki pod horama
Co si to stalo z nama...

Wielu pochodzi z gór. Blok piąty próbuje chaotycznie podjąć piosenkę. Lagerführer wyszarpuje pistolet z kabury.

— *Ruhe!* — macha parabelką pod nosami uskakujących w tył Żydów z piątego bloku. Wstrzymuje załadunek i podstawiona ciężarówka, wyjąc wysokim tonem silnika, odjeżdża. Esesmani eskorty rozsypują się wieńcem, rubinowe krążki „deimonówek" kołyszą się nisko nad lufami wycelowanymi w barakowe drzwi. Piosenka jeszcze spoza nich wycieka, pełna tajemnych wzdychań i nawoływań.

...Byliście takowe heske
Te nasze chalupki ceskie.

Grabner rwie co sił w nogach do Blockführerstuby. Z pustej „trójki" wypadają dwa cienie, przecinając mu drogę. Zderzają się, przewracają i ryczą. Grabner bije po pysku dźwigający się z ziemi wyższy z cieni. Obóz spowijają kratownicą snopów myszkujące zajadle reflektory, któryś trafia na szamocącą się grupkę. Cięgi zbiera Unterscharführer SS Perschel. Rozwścieczony szef Politische Abteilung przytomnieje, kopniakiem odrzuca na bok ogłupiałego zdezeniem Hammerle i biegnie dalej. Blokowy Hammerle i Unterscharführer Perchel zmykają w podskokach w przeciwnym kierunku, solidarnie zespoleni winą gniewem Grabnera. „Młoteczek" gubi jakąś błyskotkę, podnoszę ją z ziemi, kiedy są już dostatecznie daleko. Skromna kolia... Wiem już, kto podsunął Kurpankowi myśl natychmiastowego filcowania bagaży.

Chaos nie ustaje. Schwarzhubert doskakuje pod drzwi „siódemki": kobiety podjęły piskliwie nutę czechosłowackiego hymnu. Powracająca z trasy maszyna skowycze w bramie hamulcami, odrywają się od niej pędzące od razu cwaem sylwetki konwoju. Ubezpieczeniowa posten-ketta sypie niezrozumiałymi rozkazami, szczękając lubieżnie odciąganymi u broni zamkami. Psy warczą poszczekują urywanie. Z rozśpiewanych baraków wypadają zestrachani Blockführerzy i blokowi. Uciekają. Gonią ich dwie skłócone melodie wibrujące w powietrzu. Bunt???

Strzał, jak ostry nóż, rozcina niewidzialną kurtynę dźwięków. Kilka kolejnych detonacji, potem rytmiczna czystość serii. Jeden z esesmanów sieje ognistymi paciorkami wprost w niebo — na postrach.

— *Bist du verrückt?... Lass das!* — wrzeszczy Lagerführer. Niemiec urywa serię i robi się nagła cisza. Nie ma nic prócz tej ciszy czającej się wokół oniemiałych bloków. Za drutami odległego obozu „D" pojawia się kilka niewyraźnych cieni. Prawdopodobnie funkcyjni nawiązali z Czechami niejedną znajomość.

Schwarzhubert zwołuje Blockführerów. Już wyspokojniał. Przywołuje i nas władczym gestem dłoni. Za plecami mamy sparaliżowane baraki.

— Proszę wrócić na bloki i zapowiedzieć, że w wypadku ponownych śpiewów wstrzymam transport. Ale bez żadnego bicia! — przypomina.

Za bramą obozu czernieje kolumienka sprowadzonych telefonicznie posiłków. Grabner niczym posąg sterczy sztywno na masce Opel-Blitza, wyolbrzymiały w księżycowej poświacie. Powracające maszyny uformowały się na szosie w wężowy szereg i oczekują rozjaśnienia sytuacji z wyłączonymi silnikami.

Wolf wsuwa pistolet do kieszeni spodni i mówi: — *Komm, Franz!* — Niebezpieczeństwo przeminęło. Wspiera najwidoczniej Niemców chrześcijański Bóg utajony w *„Gott mit uns"*, tłoczonym na klamrach pasów. Wezwano Go serią pocisków wystrzelonych w niebo, jeżeli gdzieś tam, w przestworzach się znajduje. Dopóki nierozważny Bóg jest esesmanom potrzebny, niechaj liczy na ich względy. Gdy będą mogli się już bezeń obejść, zburzą bez wahania Jego siedzibę, a Jego samego rozwalą. Lub zagazują, o ile będzie miał w sobie cokolwiek z ludzkiej materii i pozwoli zamknąć się w komorze. Czyżby On o tym nie wiedział?... Niech rozejrzy się, nas popyta!

Niebezpieczeństwo przeminęło, właściwie wcale nie istniało. Łatwo porozumiewamy się z Czechami. Na „B" nie wzbraniano im śpiewów, byle nie były nazbyt głośne. Ożywieni transportem i nadzieją drażniącą gardła wyrazili w śpiewie tęsknotę za domami, radość z pożegnania Birkenau — i chyba także

uparte zwątpienie czy obawę przed n o w y m. Groźba wstrzymania transportu utwierdza ich jedynie w złudzeniach. Przyjmujemy wyjaśnienia z niekłamanym zachwytem.

Lagerführer pchnął gońca do Blockführerstuby i kierowcy zapuszczają silniki. Wychłodzone, zaskakują opornie. Maszyn przybyło. Niemcy usiłują śpieszniej zakończyć kłopotliwą akcję. — Tempo! *Los! Loos, meine Herren! Bischen schneller, meine Damen! Tempo!*

Popędzani Żydzi nie mają czasu na rozglądanie się. Odjeżdżające maszyny gubią ich nieudolne, nie wiadomo dla kogo przeznaczone pozdrowienia: „na zdar! na zdar!".

O drugiej rozklekotane ciężarówki kończą wywózkę ósmego bloku. Zbliża się kolej na „dziewiątkę".

Wiera ma ciągle jeszcze suche oczy, mocno podkrążone.

— Uż jadymy? — pyta.

— Zaraz...

Muszę jej cokolwiek powiedzieć, choć nie mam nic do powiedzenia. Dziewczyna pierwsza pochyla się ku mnie.

— Śpiewali my, Franta. Wszechne my śpiewali, ale co z tego!

— Myślałem, że zdradziłaś im prawdę.

— Pomnożyj se moje czekanie przez te osiem tysięcy. Ne, Franta, ne mam siły na takową odpowiedzialność. Lepszy niech oni nic ne wiedzą... To by nas tyż ne uratowało. Nic nas ne uratuje! — nagły spazm zniekształca jej rysy. Bezsłowny ból dopełnia się na spierzchłych wargach.

— Już niedługo. Zaraz podstawią wozy dla was — stwierdzam ponownie.

— Ne martw se — mówi. — Ja będę głęboko oddychać, jak przykazaleś...

— Przestań!

— Być cicho! Maminka posłyszy — upomina. Ogląda się na niespokojnie drzemiącą matkę. — Pomyślij se, ja ani ni mam osiemnacet let!

— Ne my pierwsze, ne my ostatnie! — wtrąca mściwie Zdenka. Przypala kolejnego papierosa. Od wczoraj chyba setny, poprzednio paliła wyłącznie przy większych okazjach i raczej dla fantazji.

W progu sali staje Rotenführer Wolf z Milerem u boku.

— Przygotować się do transportu, ustawić numerami — zarządza blokowy. — Według kolejności. *Schnell!*

Zdenka opatula maminkę. Patrzę w oczy Wiery i za barierą tłumu całuję jej szczupłą dłoń. Na dzień dzisiejszy, na zawsze. Choć bliscy, jesteśmy sobie w tej chwili dalecy. Czuję wargami chłód jej dłoni. Nie pada żadne słowo. Zdenka przysuwa się bliżej.

— Teraz i mne pocałuj — nakazuje. Przywiera rozpalonym ciałem.

— Tak. Szwagierkę, prawda?

— A pamiętej o ojcu — szeptem przypomina Wiera. Drżą jej usta.

Maminka podsuwa policzek.

— Franta! Kaj by my ne były, napiszemy do ciebie. Przypilnuję Wierkę.

S t a m t ą d listy nie dochodzą. Przynajmniej do tej pory żaden nie nadszedł.

— Tak... Piszcie koniecznie — zgadzam się jednak, przemagając niemęski skurcz szczęk.

Wiera wybucha głośnym płaczem. Bliżej stojące kobiety pocieszają ją czule. Sądzą, że płacze całkiem normalnie, z powodu rozstania.

— *Block-Ältester aus „vierzehnte"!* — nawołuje mnie Wolf. Widocznie zaraz podstawią maszyny.

Odchodzę rozpychając łokciami podniecone kobiety. Wiera nadal płacze i ja słyszę ten jej straszny płacz poprzez setki obcych oddechów. Uciekam...

4

Stała na samochodzie z samego brzegu, w nieodłącznej czerwonej czapeczce z włóczkowej wełny. Kiwnęła wolną ręką i szepnęła coś, czego rozdygotane wargi nie zdołały głośno wypowiedzieć. Drugą ręką obejmowała Zdenkę, maminki spoza nich nie było widać. Odprowadziłem ją wzrokiem, aż zmarła w smudze cienia — za bramą.

Jeszcze kilka maszyn i w końcu ostatnia wypełniona ludźmi. Lagerführer rozpina kołnierz mimo tężejącego nad ranem mrozu. Chusteczką ociera kark.

— *Na, endlich! Ist schon alles vorüber!* — mówi z ulgą.

Esesmani przymawiają się.

— Poszło dobrze. Należy się teraz popić!...

Pozostawiają posty przy drutach obozu „B". Kolej na starców i chorych przypada na jutro, przedwcześnie nie mają o tym wiedzieć. Życiowych rencistów na transportowe łgarstwo nabrać się nie uda.

Pracujemy w pocie czoła ładując na samochody żydowskie bagaże. Z Blockführerstuby dochodzą nas pijackie hałasy. Wstawiony solidnie Kurpanek włóczy się po opustoszałych blokach i bezceremonialnie żąda daniny. Raportführer, nie kryjąc, że trzeba brać pod rozwagę przykrą ewentualność klęski Niemiec, stara się zapobiegliwie uchronić własną przynajmniej rodzinę przed spodziewaną klęską powojennej nędzy. Z tego, co wiemy, zabezpieczył swoim dobrobyt na długie, długie lata.

Załadowany wysoko ponad burty wóz odjeżdża. Wprawne ręce pracowników „Kanady" wyłuskają z waliz i ciuchów wszystko, co będzie mogło zasilić nadwyrężony skarbiec wojującej Rzeszy. Przysiadamy z Milerem na miękkim, potężnych rozmiarów tobole. Palimy.

— *Rauchen Sie? Bitte...* — Miler częstuje obcego, ryżawego esesmana, który dogląda naszej roboty. Post z niepewną miną bierze „Ecksteina".

— *Danke.*

Wnętrze dziewiątego bloku przypomina pobojowisko. Rozwleczone bagaże Czechów leżą w nieładzie. Pośpiech i tumult sprawiły swoje. Rozbebeszona walizka bezwstydnie poróżowiała damską kombinacją. Na haleczce tłusta plama, przykleiła się do niej czyjaś niedojedzona kromka smarowanego chleba. Zgrabny pantofelek z wysokim obcasikiem wala się w pyle, jeden tylko. Kuferek zamknięty na kłódkę, zrolowane turystycznie koce, nawet nocnik z poodpryskiwaną emalią i dziesiątek różnego gatunku i autoramentu pakunków wybrzuszają się ochronnym wałem, strzegąc dojścia do kącika, który był ostatnim mieszkaniem Wiery. Zaglądałem tam — nie wiadomo po co.

Na walizkach Pollakowych, na dwóch prostokątnych kartonach i troskliwie

zwiniętej kołdrze brakuje kartek z nazwiskami. Wiera i Zdenka nie pozostawiły po sobie wizytówek. Przeoczyły bądź też wyraziły bezsilny protest. Dziwnie nago prezentuje się przez to ich dobytek w zestawieniu z innymi pakunkami. Tamte wciąż jeszcze żyją nazwiskami wykreślonymi nieudolnie na skrawkach tektury, na listowych kopertach, strzępach szarego papieru, te zaś są już martwe i przeraźliwie obce.

Jakoś nie podstawiają maszyny. Miler, rozdeptawszy dokładnie niedopałek, podnosi się ociężale i ściąga graty w pobliże drzwi. Zrywa przy okazji kartki, Lagerführer nie życzy sobie, aby trafiły poza obóz. Nazwiska zaśmiecają podłogę. Są zbędne, w Sonderkommando nie prowadzi się imiennego rejestru niczyjego bogactwa czy ubóstwa.

Miler mocuje się samotnie z ciężkim kufrem. Niemrawo podchodzę ku niemu.

— Staraj się zmordować — radzi życzliwie. — I nie myśl o niczym...

Przystajemy w drzwiach bloku, kufer miał cholerną wagę. Brzask od dawna ścierał cienie z okiennych szybek, niebo pobladło. Jest bardzo senne, mleczne i bezpromienne. Widać oddalony pożar w kwadratowych kominach krematoriów. Przyglądam się długo smużystym, czerwonym płomieniom, wśród których tańczą chybotliwe języki koloru płynnego złota. Pali się już chyba „Theresienstadt".

Powietrze ma cierpko-rzeźwy smak. Nie pozostał w nim zapach Wiery włosów ani zapach jej łez. Pustka wydoskonalona jej zniknięciem trwa i bez wspominania.

Znów znosimy różnorakie barachło, wozu nadal nie widać. Ryżawy esesman kręci się od dłuższego czasu w moim pobliżu. Udaje zaaferowanego, ucieka wzrokiem, kiedy nań spoglądam.

— *Brauchen Sie was?* — pytam.

— Macie się tu na „A" dobrze — odpowiada niepewnie. — Często dostajecie Sonderbehandlungstransporty *, co?... Pisze żona, że jedzą chleb z margaryną i marmoladą.

— Powinna przywyknąć. Wojna! — Jeszcze rok temu esesmani nie byli żebrakami. Ostatnio coraz częściej spotyka się takich jak ten właśnie. Powtarzam niemądrze: — Żona zdążyła się chyba przyzwyczaić?

Niemiec spoziera spode łba na mój winkiel.

— *Bist du Pole?... Scheiss drauf, auf den ganzen Krieg!* — mówi nagle. Ogląda się na boki. — Kiedyś będą nas wieszać za to, co się tu wyrabia. Was też... Mam dwoje dzieci.

— Zostaną sierotami. Dużo będzie sierot po tej wojnie — zapewniam spokojnie. — Ja dzieci nie posiadam, mogą mnie wieszać.

Nie mam ochoty babrać się w cudzych betach. Ruszam do znajomego kąta. Niemiec za mną. Silnym kopnięciem w zameczek otwieram większą z walizek Pollakowych. W niej zazwyczaj Wiera przechowywała nie psujące się zapasy. Ostrożnie przekładam ręczniki, starą granatową spódniczkę Zdenki. Podaję esesmanowi kilka konserw oraz spory woreczek z kakao.

— *Danke, Block-Ältester.* Źle, jeżeli nie pracuje się przy Sonderkommando albo na rampie.

— Bieda...

* Specjalnie traktowane transporty (oznaczenie transportów śmierci).

— Macie dobre rozeznanie — chwali. — Wiecie, gdzie szukać.

— To była młoda dziewczyna. Młoda i piękna, miała osiemnaście lat i narzeczonego — mówię beznamiętnie. Może mu te konserwy utkną w gardle.

Mruga ryżymi powiekami i oddala się bez słowa. Podstawiają nam maszynę do załadunku. Pracuję z dziką pasją, która ułatwia rozprowadzenie krwi w organizmie. Ryży esesman upycha konserwy w szoferce pod siedzeniem.

5

Niecka oświęcimska ma specyficzne właściwości klimatu i pogoda kaprysi — jak szczęście. Zaczyna siąpić cienki deszcz, podobny temu sprzed pięciu miesięcy, którym Birkenau powitało „Terezin". Brniemy w szeleszczącym dżdżem mroku.

Niezsubordynowane zmysły próbują drapieżnie zdławić pierś. Kilkugodzinny sen pełen zwidów i pożegnań niewielką przyniósł ulgę. Na próżno przekonuję sam siebie, że najgorsze — przeminęło. Ale Wiery nie ma... Pozostawiła po sobie ogrom nienazwanego trudu, który trzeba z mozołem pokonywać. Jeżeli równy temu brzemienny trud zwala na czyjekolwiek barki każdy z odchodzących piecami Oświęcimia, to świat doprawdy jest kiepsko urządzony, a nierozumny trud wypełnia co najmniej pół świata. Zbraknie w nim wkrótce miejsca na zwykłe radości i uciechy.

Od dziwnych myśli boli głowa, w krzyżu pojawia się łaskotliwe mrowienie. Nie wiadomo, jak sobie z myślami radzić, gdzie je poutykać. Nagle wszystko stało się inne, odmieniło wartość. W nowym układzie pojęć trudno się rozeznać. Aż tyle mogłaby jedna śmierć, w odróżnieniu od tysięcy innych?...

Podpieram się pałką, zwaną tutaj dla przekory „laską". Pozostali również nie dbają o rytm, i echo przemieszanych kroków pobrzmiewa na szosie nierówno. Kurpanek odwraca głowę.

— Lager-Ältester! Maszerują jak stado baranów — gromi opryskliwie.

— Barany są tam! — mówi zuchwale Siwy, wskazując bliski już cel wędrówki. — A my som rzeźniki, pieruna!

Kurpanek przystanął z boku szosy i natrętnie przypatruje się Siwemu. Wymijamy go. Potem on dopędza nas w milczeniu i znów maszeruje na przedzie. Nie odkrył w powiedzeniu Siwego urągliwych intencji lub wolał ich nie odkrywać. Nie wiem nawet, czy zuchwalstwo Leona było rozmyślne, bywa, że i niewinne powiedzonko wyjdzie tak jakoś dwuznacznie.

Przystajemy przy Blockführerstubie obozu „B", w gwarnym roju i widności. Powietrze pachnie wodą zakropioną sowicie alkoholem. Esesmani są czegoś podnieceni, swarliwi i pijani. Ociekają odorem rumu. Ludzie ci sami, co wczoraj, a przecież inni. Schwarzhubert, Kramer z FKL-u, Polloczek z Blockführerami z „D", z drobniejszych szarż załogi „A" Perschel, Banski, Karnera, Bloch, Wolf, Bucholtz, Scholz... Z półgłośnych rozmów i nieufnych zerknięć Blockführerów wynika, że nieobecnego Grabnera zastępuje niski rangą, nieznany pracownik Politische Abteilung: blondas średniego wzrostu, ze swadą rozprawiający z oficerami. Oficerowie odnoszą się doń z widocznym respektem, strużki dżdżu żwawo spływają po ich nieprzemakalnych płaszczach. Nasze kurtki na-

siąkają wilgocią i poczynają ciążyć. Dostrzegam w szarej masie eskorty ryżawego żebraka od konserw i szubienicznych wieszczb. Nie wymieniono więc również konwoju. Ani nas. Wszechmocna Politische Abteilung nie wtajemnicza w drugi etap akcji „Theresienstadt" nowego kręgu osób. Znużeni nadliczbową służbą esesmani nie tają wściekłości. Zniecierpliwienie ulata w surowych pomrukach, gniew skondensował się w nerwowych spojrzeniach rzucanych na obóz i w zwierających się pięściach. Zapowiada się ciężka noc, choć chyba nie dla nas.

Komenda ucisza pogwar, brama skrzypi żelaziście zawiasami. Przewala się od razu po obozie tupot wielu podkutych butów. Na słupach wspierających druty zapala się sznureczek czerwonych światełek. Płoną różowym blaskiem, uszeregowane jak paciorki różańca rozwieszonego poziomo na gigantycznej ścianie nocy — Niemcy w obozie, z drutów wyłączono prąd. Prychające ropą ciężarówki wtaczają się za nami. Skryte w ustronnych ciemnościach psy posten-ketty skomlą pracowicie.

Spowite nocą bloki drzemią żałobnie, lecz kilka niewyraźnych cieni przemyka się chyłkiem pomiędzy barakami. Wystraszone najściem zbrojnych ludzi rozmazują się bezgłośnie po ścianach, niczym duchy. Za to w mdłym świetle dalekich, otwartych drzwi jawi się nieskrycie przysadzista postać. Odgarniając poły białego płaszcza, samotny człowiek rusza naprzód. Kroczy jasną uliczką spokojnie i stanowczo, jakby przemierzał znajome podwórze rodzinnego domu, nie zaś obozową drogę. Esesmani eskorty wymijają go obojętnie, rozsypując się sprawnie wzdłuż szeregu bloków.

Samotny człowiek zbliża się z uporem do oczekujących go oficerów. Nadal przytrzymuje poły plątającego nogi kitla. Za plecami Schwarzhuberta znieruchomiała bryła spitych Blockführerów, z boku my — pod wodzą Kurpanka. Przestrzeń kurczy się, maleje i wędrowiec przystaje wreszcie przed Lagerführerem. Jest mały, krępy, zupełnie samotny i bezbronny. W niepełnej panoramie poza nim odcinają się rozchybotane od latarń kontury martwych bloków i nago sterczące w niebo wartownicze wieżyczki. Przez chwilę trwa zdumiewający pojedynek milczenia. Przerywają go silni, a więc i wspaniałomyślni.

— *Warum schlafen Sie nicht?* — zapytuje uprzejmie Schwarzhubert.

Czech kręci nijako głową nie próbując nawet na pytanie odpowiedzieć.

— Po co panowie przyszli?... Tylu ludzi! Jestem starszym lekarzem obozu, służby porządkowej nie ma. Wyjechała... W transport! — robi delikatny ruch ręką, coś jak lekkie strzepnięcie. — Po co panowie przyszli?

Schwarzhubert wzrusza ramionami. Kilka nieudolnych chrząknięć zniecierpliwionych esesmanów i głos faceta z Politische Abteilung:

— *Ist ein Doktor? Gut.* Proszę sprowadzić w komplecie personel sanitarny, *Herr Doktor.*

— Po co panowie przyszli? Nocą, z samochodami?... — zapytuje dziwny człowieczek po raz trzeci.

Zwraca się do Lagerführera, inni dlań nie istnieją.

— Pan słyszał polecenie? Proszę je wykonać! — Kramer spąsowiał. Unosi się na palcach, chwieje — raz w przód, raz w tył. Dłoń błądzi łakomie w okolicach kabury. Schwarzhubert powstrzymuje go wzrokiem. Deszcz układa się w grube warkocze.

— *Herr Lagerführer!* Proszę, niech pan odpowie — lekarz z uporem szuka

oczu Schwarzhuberta. — Tu są chorzy ludzie, nie należy przyprawiać ich o wzruszenia nocnymi wizytami...

Ktoś urągliwie, krótko zachichotał. I ucichł natychmiast.

— Pańscy pacjenci pojadą w transport — Lagerführer łagodnie kwituje nierozumne pytanie Czecha. — Do Bawarii, w góry... Przygotowano specjalny ośrodek dla starców i rekonwalescentów. Będzie im tam o wiele lepiej niźli tutaj.

Po twarzy doktora przemknął cień gorzkiego uśmiechu. Ślad pozostał w opuszczonych kącikach warg.

— Transport? do Bawarii? — strząsa z rzadkich włosów strumyczki deszczu. Pięćdziesięcioletni mniej więcej, czerstwy mężczyzna. — Na blokach 27, 29 i 31 leżą chorzy niezdolni do transportu!

— Stworzymy im odpowiednie warunki. W ramach możliwości, oczywiście — Lagerführer rozkłada ręce. Przypomina: — Miał pan zebrać podległy mu personel. Właśnie o tym pragniemy z wami pomówić.

— Teraz? Nocą i w deszczu?

— *Herr Doktor!?...* — intonacja głosu wyklucza dalsze sprzeciwy.

— Zaraz sprowadzę personel. Ale... — nie kończy. W powrotnej drodze ciężko powłóczy nogami.

— Na drugi raz bez chichotów! Zrozumiano? — mówi ostro Swarzhubert do Blockführerów.

Zgrzytając zębami hamują pogardliwe uśmieszki. Coś w nich waruje, coś, co wypełza powolnie z wnętrzy i zaraz wyskoczy, i będzie. Kramer żywo przedkłada Lagerführerowi niedosłyszalne racje, nieznany blondas z Politische Abteilung milczy. Ma nieodgadnioną twarz.

— Bajzel! Widać, że zabrakło blokowych i Lager-Ältestera! — szepce cicho za mymi plecami „Schönster Otto".

Hammerle z trudem opanowuje podniecenie. — Coś mi się widzi, że nie za tragarzy nas tutaj sprowadzili — powiada.

— *Ruhe da!* — napomina Kurpanek.

W blokach zatliło się światło. Malutkie okienka rozjarzył słaby poblask. Niemcy niecierpliwie przestępują z nogi na nogę. Oficerowie zapalają papierosy, osłaniając je przed deszczem dłońmi. Wokół noc jak morze, mokra i nieprzenikniona. Minuty wloką się nieznośnie.

Doktor sprowadza wreszcie szpitalny personel: dwanaście flegierek i trzech jeszcze lekarzy. Na ramionach mają byle jak zarzucone płaszcze. Flegierki są młode, zdrowe, jedyna to młodość pozostawiona na „B". Zimne światło „deimonówek" podkreśla bladość Czechów i Czeszek. Dziewczęta nie odstępują głównego lekarza i kurczowo trzymają się za ręce. W wysiłku zupełnie zbielały im palce. Bezowocnie usiłują zataić lęk.

— Dwie pozostały przy ciężej chorych — zgłasza doktor. Zasapał się, nie wiadomo, z przejęcia czy z astmy.

Stożki wytryskujące z „deimonówek" są gęste przeciekającą przez nie wodą. Od kilku minut spotęgowało się nasilenie dżdżu. Lagerführer obserwuje jedną z ruchliwych smużek błądzącą nisko po nogach czeskiej grupy.

— Pojedziecie pierwsi i przygotujecie wagony na przyjęcie ciężej chorych. Daję wam na to dwie godziny czasu — mówi spokojnie i wyraźnie.

Żadnego okrzyku. Udrękę niepewności i oczekiwań mają już poza sobą. Nie są naiwnymi dziećmi — w tych przynajmniej sprawach.

Starszy lekarz wysuwa się bardziej do przodu, nie bacząc na wzrastające rozdrażnienie esesmanów. Pertraktacje wydają się im przydługie i Swarzhubert powstrzymuje doktora stanowczym ruchem dłoni. Kramer przesuwa wargami, z kącika w kącik, wygasły, zwilgotniały niedopałek.

— *Herr Lagerführer!* Potrzeba by kilku co najmniej dni na przygotowanie wagonów i ludzi. Mamy wielu niedołężnych i słabych, nie poradzą sobie...

— Przyprowadziłem więźniów, którzy im pomogą, *Herr Doktor.*

Czech kręci głową. Przelotnym spojrzeniem musnął swoich.

— Pan nie rozumie, pan nie jest lekarzem. Samych obłożnie chorych jest ponad dziewięćset osób...

— *Halte Schnauze! Los!* Wsiadać!!! — ucina Schwarzhubert.

Musiała istnieć zakreślona opanowaniem granica. Niezwykle — jak na Birkenau — rozległa, aż nieprawdziwa w swym ogromie. Czech śmiało ją przekroczył, albowiem w ostatecznym rozrachunku niczego to nie zmieni. Na pewno doktor wie o tym i to rozumie.

Ciężarówka oddalona jest o dwadzieścia metrów. Konwój zamknął już krąg za Czechami, pozostawiając wąską tylko uliczkę wiodącą do maszyny. Chudy, wysoki esesman przykucnął za plecami kumpli i leje w gardło wódkę wprost z butelki. Z miejsca, gdzie stoimy, dobrze go widać. W niepokalanej ciszy, wyczarowanej twardym rozkazem, słychać miękkie, mocniejsze od szelestu dżdżu bulgotanie przelewającego się płynu. Blondas z Politische Abteilung kręci głową w poszukiwaniu źródeł dźwięku. Czesi stoją nieporuszenie.

— *Einsteigen, hat der Lagerführer gesagt!* — Poloczek wyjmuje z kieszeni parabelkę. Schwarzhubert zsuwa czapkę z czoła, jak po ciężkiej pracy.

Nadeszła chwila i dziewczęta dojrzały ją w zaułkach rozpoznań. Tulą się mocniej do siebie.

— Nie pozostawimy chorych bez opieki — mówi z namysłem starszy lekarz. W migdałowych oczach Żyda tlą się chłodne błyski, znów z natężeniem szuka wzroku Schwarzhuberta. Nieprzeliczone krople obsiadły mu twarz. — Nie wierzymy w bawarski ośrodek, *Herr Lagerführer.* Nie wierzymy w wyjazd, w transport...

— Na bok! — Poloczek szarpnięciem odciąga Czecha. — Reszta wsiadać! *Loos! Bewegt euch!*

Grupka zamarła w bezruchu, Cześzkom przeszkadza jedynie drżenie biustów wstrząsanych pierwszym, nieśmiałym łkaniem.

— Nawet nie zwodzicie. Nie każecie zabierać w podróż medykamentów, narzędzi, nic... Ani własnych rzeczy — kontynuuje doktor. Nikt mu nie przeszkadza. — Wierzę, że tam, gdzie chcecie nas zabrać, nie będą one potrzebne...

—*Los! Na?... Einsteigen, verflucht noch mal!* — Poloczykowi wycieka z ust drobinka śliny. Skierowuje lufę w zespół flegierek.

Esesmani dyszą świstliwie. Tęgawa i brzydka czarnulka oswobadza pośpiesznie dłonie. Wyrywa je z uścisku rąk, które chcą ją powstrzymać. Kosmyk zwilgotniałych włosów opadł dziewczynie na oczy. Strąciła go podrzutem głowy.

— *Nigde ne pojadymy! Wir fahren nicht!* — mówi hardo.

Raportführer z „D" obniża parabelkę i strzela. Kula miękko weszła w brzuch.

Odeszła złuda ciszy. Flegierka wali się płasko, twarzą do ziemi, bez jęku. Kraciasta spódniczka podwinęła się trochę: dziewczyna ma tęgie uda pokryte gęsią skórką. W FKL-u takie uda mają wyłącznie funkcyjne więźniarki. Palce flegierki niewładnie gmerzą w kruczych włosach. Zaczyna pojękiwać. Echo wystrzału przetacza się jeszcze w oddali. Na moment zawisa nad obozem chłoszczący krzyk:

— Zbóje! Mordujecie dzieci!... — Starszy lekarz szarpie się z Poloczykiem. Blockführerzy obstąpili ich wkoło i doktor milknie pod gradem zajadłych ciosów. Razy dudnią głucho. — Przyjdzie i na was czas! Przyjdzieee...

Charkot. Upadł.

— Rzućcie go na wóz! — poleca szybko Kurpanek.

Zbieramy starego, a pistoletowe kolby pędzą flegierki do samochodu. Zataczają się w uliczce podkutych butów, pięści i rozognionych alkoholem twarzy. Rozkrwawione Czeszki padając czepiają się pomocnie wyciągniętych rąk lekarzy: dwaj trzymają się na nogach, trzeci klęczy nad brzydką, leżącą na bruku czarnulką. Nad nimi szeroko rozkraczony blondas z Politische Abteilung.

Gromadnie rozkołysujemy niesione ciało. Na komendę: hooo... ruk! — ciskamy je na wóz i odskakujemy w bok. Esesmani wrzucają sanitariuszki. Flegierki wierzgają popiskując przy tym dziko.

— *Was ist denn los, Doktor? Was wollen Sie machen mit solchem Scheissdreck?* — wypytuje z niefałszowanym zaciekawieniem rozkraczony blondyn. Czubkiem buta trąca leżącą dziewczynę. But pozostawił na udzie brudny ślad błota i lekarz odruchowo ściera go dłonią. — *Bitte, antworten Sie mir!*

Kramer namiętnie przekonuje o czymś Schwarzhuberta. Wygląda, jakby się kłócili.

— Jestem lekarzem. Moim obowiązkiem jest nieść rannej pomoc — Czech usiłuje podźwignąć flegierkę.

— Zwalniam was z tego obowiązku, *Herr Doktor!* Zostawcie ją!

— Nie pan zrobił ze mnie lekarza! — Ma ją już w ramionach. Leci mu jej głowa przez ręce. Dziewczyna patrzy przytomnie i przeźroczyście, spojrzenie upiększa jej twarz. — I pan nie może zwolnić mnie z czegokolwiek!

Na błyszczącym bruku pozostała czerniąca się soczyście plama. Blondas wyciąga pistolet mały, czarny, najpewniej „Walther".

— A jednak, *Herr Doktor...* — na chwilę pokazał zęby w uśmiechu, białe i mocne. — Mogłeś leczyć wszystkich, ale czy uleczysz sam siebie?... *Du, Slaviner!*

Błyskawica huku objęła przelotnie głowę Czecha. Nie wypuścił brzydkiej dziewczyny z objęć, wczepiony w nią gwałtownym, śmiertelnym skurczem. W sześciu podnosimy złączone ciała. Flegierka nadal ma szeroko otwarte oczy i łzy na powiekach. Smuga „deimonówki" przemyka się po nich i rozświetla je. Lśnią niczym prawdziwe perły. Staramy się na dziewczynę nie spoglądać.

— *Achtung!* — Lagerführer przekrzykuje tumult. — *Fangt an! Einladen!* Blok po bloku!

Esesmani rzucają się do najbliższego.

— *Alle raus! Loos!*

Trudno rozbujać podwójny ciężar — hooo... ruk! — udaje się. Hammerle do spółki z Katarzyńskim upychają na samochodzie żywych z martwymi. Z bloku toczy się już ku nam szybka, zmierzwiona fala Żydów. Spychana, tratowana,

łomotana ze wszech stron. Brak czasu na wymianę uwag. Pierwsze szeregi w samej bieliźnie, wyrwano ich wprost z betów. Fala gęstnieje i huczy. Biegną rozchwiani w mokrości, padają, podźwigują się — schlapani błotem, obłąkani, nieludzcy. Spiętrza się nad nimi skrzek i jęk, dźwięk nieartykułowany setek słabych gardzieli, rozmieniany w drobinki mocniejszym wrzaskiem Niemców i bębnieniem ciosów. Kierowcy, gazując opętańczo silnikami, wrzynają się w tłum. Drogę torują zderzakami. Chrupią kości, wozy przystają.

— *Los! Einsteigen! Schnell! Schneller!...*

Przy burtach tłok. Kolby i buciory miażdżą nosy, wbijają w czaszki oczy. Posten-ketta spuściła tresowane wilczury. Psy przechodzą burzą, łamiąc las postaci. Kąsają wyschłe golenie, sflaczałe pośladki, krtanie... Od razu pełno wszędzie starej nagości. Plątanina ciał i kudłów tarza się po ziemi, charczy i warczy, rzęzi i skrzeczy. Z tumultu w niepowtarzalnym cudzie wypryska on i ona. Trzymając się za ręce, jak małe dzieci, biegną na druty niepomni, że wyłączono prąd. Goni ich tylko szczeknięcie pistoletu maszynowego. Podnosimy zatrzymanych w pół drogi do celu, który dopędził ich z tyłu. Kobieta ma siwe, rozpuszczone włosy i jeszcze ściska tę drugą dłoń, poprzez którą dzielą pomiędzy siebie dygotliwe kurcze. Rozrywamy ręce. Dziwne, jak bardzo ludzie lubią umierać w zespoleniu. Obecność kogoś drugiego niewątpliwie w czymś pomaga. Czyżbym naprawdę skrzywdził Wierę?...

W ustach mam smak deszczu, za plecami ryki esesmanów. Używają dzisiaj.

— *Schneller! Verfluchte Bande, Schneller! Bewegt euch! Einsteigen! Los!*

— *Du alte Hexe!...* — i strzał.

Przy burcie maszyny rozmach: heeej... ruk! Ocieramy dłonie. Kurpanek nie pozwala wytchnąć.

— Wrzucać ten scheissdreck na wozy! *Los! Einladen!*

6

Opróżniają trzeci z kolei blok. Maszyny krążą bezustannie, bryzgając wkoło błotem, zarzucając tyłem w nagłych zawrotach. Trzeba cholernie zważać, aby nie znaleźć się na dole. Pot zalewa oczy. Podsadzamy, wpychamy, rzucane ciała śmigają łukiem. Władza nasza sięga daleko: możemy podeprzeć lub cisnąć — jak łachman. Najwygodniej jest wrzucać Żydów w dwójkę. Ręce mamy pełne kwiku, poplątanych nóg, obwisłych piersi, zaklęć i włosów. Czesi powierzają nam niepojęte zagadki błagań i rozpaczy. Bełkocą, gryzą... Poloczek na oślep siecze pejczem, w chaosie i nam się obrywa.

Żołądek ssie nieprzyjemnie, głowę spowija zaduch uryny, zwietrzałych perfum, gryzącego potu i benzynowych spalin. W czaszce łomocze pustka. „Theresienstadt" nie jest brudny, nędzny i wstrętny jak muzułmanie z normalnej selekcji, ale czuć go starością. Wszyscy starcy śmierdzą przed śmiercią.

Zaczyna być ciężej niż na rampie, choć rampa zwie się małym bajzelkiem belzebuba. Podobnie musiało wczoraj być tam, gdzie pojechała Wiera. Może ciężej nawet, bo młodzi mocniej wierzgają. Zapieram się twardziej w błoto, nie wolno upaść. W tłoku, gdzie padają wystrzały, obowiązują pewne zasady. — *Franz! Pass auf!* — krzyczy Siwy. Zbiera od naszych tamujące swobodę ruchów bluzy. Nasiąkłe wodą, ważą dziesiątki kilogramów. Ramiona poruszają się teraz

sprawniej. — *Los! Einsteigen!* Heee... ruk! „Schönster Otto" ma przekrwione wysiłkiem oczy, a ja jestem drobniejszy, młodszy. Dwadzieścia dwa lata, z tego cztery w kotłowaninie bloków, Abbruchkommando, rampy i teraz tych tu, z „Terezina". Mięśnie omdlewają. Nie wytrzymamy morderczego tempa, nie wytrzymamy...

Wytrzymujemy i chłoniemy łapczywie ozon nocy. Zabrakło wozów, ładowaliśmy szybciej, niż wyładowują na mecie. Przerwa będzie krótka, maszyny mają do pokonania półtorakilometrowy zaledwie odcinek, ale ważne, że jest. Ociekając parnym zmęczeniem znikamy w schronie pustego bloku. Towarzyszy nam kilku Blockführerów z „A". Snujemy leniwe rozmowy.

— Nie mamy szczęścia — mówi Siwy. — Akurat na nas trafiło!

— Nawrzucać tyle tysięcy... Gorsza robota niż na komandzie.

— Są lekcy, ale gryzą.

— Gryzą.

Rotenführer Scholz podaje mi dyskretnie pękatą buteleczkę. Ufa mej hojności.

— Pij. Jutro się rozliczymy!

Dzielę rum z Siwym i Milerem. Za to, że stworzył im ten kącik z koców. Dla mnie „wczoraj" ciągle jeszcze jest trudniejsze niż „dzisiaj". Wiery nie ma... Rum wlewa się w żyły wulkaniczną lawą. Na ekranie otwartych na oścież drzwi klęczą w błocie rozchlipane i rozmodlone resztki ludzkie. Zziajane psy zalegają wkoło nich z powywalanymi krawatkami języków.

Miler rzyga na buksę. Przenosimy się nieco dalej.

— Wrażliwy! — kpi Scholz i wiemy, że nie rum ma na myśli.

— *Herr Raportführer!* — Siwy przystępuje do sprawy uroczyście. Ładowanie wyżmie wszystkie siły. Nie starczy ich chłopom na sprzątanie.

— ...Byle nie Ruskie. U nich szybko kaput z naszymi głowami!

— Zamknij dziób i nie kracz!

— *Verflucht!* Powiem Poloczykowi, niech posty pomagają! — zapewnia Siwego ochoczo Kurpanek. Zazdrości tamtemu Raportführerowi zaufania, jakim go obdarzono. Lagerführer odjechał, Kramer z blondasem nie wytykają nosa z Blockführerstuby i Poloczek samodzielnie dyryguje akcją. — Wieczorem przywieźli do naszej kantyny polski spirytus.

Wieść elektryzuje, pobudza inicjatywę.

— Po ile?

— Cztery marki butelka! — rechoce. — Dla esesmanów!

— Tak prosiła a prosiła, żeby ich nie rozdzielali, ale Bucholz kazał wrzucić ją na sam spód, a jego odtrącił. Ale ona musi szybko udusiła się, wóz był fest załadowany.

— *Herr Raportführer. Ein Moment, bitte* — Ksyl odciąga Kurpanka.

— Skurwysyn! Nie ma o czym gadać, gówno kogo Żydówa obchodzi...

Hammerle jak zahipnotyzowany wpatruje się w plecy klęczących Czechów. Zdzisiek Krajewski częstuje papierosem „Schönster Otta", trzymają się ostatnimi czasy razem. Pinkus i Jumek wzajemnie zapewniają się, że w dupie mają Ruskich i pół Ameryki, byle przetrwać lub, jeżeli koniecznie, to wyjść kominem na samym końcu. Abram z Adkiem Rosenbergiem obrabiają Ksyla, który widać dogadał się z Kurpankiem. Przywołują Siwego. Rudi I bandażuje chusteczką pogryzioną nogę Rudiego II, choć przed dwoma jeszcze dniami byli zwaśnieni.

„Terezin" ich pogodził. Lager-capo Hans poszeptuje na ucho z Perschelem. Słychać wracają maszyny i Willi Brachmann spluwa w dłonie przed ciężką robotą.

— *Die kommen schon! Los zur Arbeit!* — zarządza Kurpanek.

Kołace się płacz po obozie „B". Kątami wybucha krzyk, Czesi bronią się wbrew przegranej barykadami betów. Psy ledwie powłóczą nogami, wysiadły pierwsze, ale esesmani są niezmożeni. Ciągną za nimi auta, za autami my. I tak blok po bloku. Heeeej... ruk! Heee... ruk! Rzadkie wystrzały. Krew przetacza się z ludzi w ziemię. Powinna w przyszłości dobre rodzić plony.

Mokra woń zwilgotniałego drzewa bloku 27 i Poloczek dopada dwóch pozostałych flegierek. Ta mała, kopnięta w rozpędzie w brzuch, od razu mdleje. W drugiej nazbyt wolno kona młode ciało.

— *Du Kreatur!...* — Poloczek chwiejną ręką naprowadza pistolet:

— *Mensch! Nicht im Block!* — protestuje Kurpanek.Powierzono mu ostatnią fazę: zatarcie śladów, a ciężko zmywa się krew z drewnianych przedmiotów. — Nie w bloku, słyszysz!

— *Ist gut!* Wyciągnąć ją!

Flegierka umiera oczami, zanim zdążył paść strzał. — Tak się robi z Żydami! — triumfuje Raportführer z „D". Ma w zwyczaju niszczyć przede wszystkim młode biodra zdolne rodzić Żydów.

Niebo przestaje smużyć deszczem. Ciężej chorych Czechów z bloków 29 i 31 trzeba pojedynczo wynosić. Kramer i blondas z Politische Abteilung opuścili Blockführerstube, aby ponaglić podwładnych: ranek za pasem. Esesmani dźwigają Żydów po społu z nami. Ciała nawarstwiamy na wozach wysoko, potem esesmani wdrapują się na wierzch i udeptują je nogami, byle się więcej zmieściło. Zeskakując omiatają burty pamiętliwymi, krótkimi seriami, bowiem nazbyt pulsuje niezastygła masa. Konwój zajmuje ich miejsca i popędza:

— *Ist fertig, Johann! Fahr ab!*

Odjeżdżają ze śmiechem, kierowcy podstawiają następny furgon na mięso. Kurpanek odwołuje nas z akcji. W kilku biegniemy po szpadle. Pijany Rotenführer Karnera sterczy samotnie w uliczce poza ośrodkiem piekła. Błysk przypomnienia — nie było go nigdzie widać. Ledwie trzyma się na nogach, wysoki, szeroki w barach chłop. Inni zdążyli go wyminąć, ja zaś pieskie mam szczęście.

— Franz! Franz! — przytrzymuje mnie za ramię chichocąc uciesznie. Wolną ręką zatacza nierówne kręgi. — *Deutsche Victoria! Stalingrad kaput, Leningrad kaput... Wird gleich alles kaput,* wszystko, ponimajesz?... *Aber wir machen Übung, die letzte Übung!* Ostatnie ćwiczenia, Franz!...

— *Herr Blockführer!* — potrząsam nim z dziką pasją. Żar momentalnie wyparowuje ze mnie, koszula na plecach parzy lodem. Rozwalą nas obu, jeżeli usłyszą. — *Herr Blockführer,* muszę iść... Puścisz, skurwysynu, czy nie!...

— *Scheiss drauf, auf die SS-Klike!* Sram na Hitlera, *verstehst du, Arschloch!* My też tak pójdziemy. *Ich und du!* Ty Polak, ja Słowak! Ale mnie lekko nie wezmą, mam broń... — puszcza ramię wymachując dla odmiany pistoletem. — Franz, zobaczysz! Skończy z Żydami i weźmie się za nas!...

Więcej nie słyszę, odgrodzony od niego zbawczą odległością. Serce zgłasza biciem przemijanie strachu i niełatwą, nagłą nowość. Kurpanek także kiedyś

przyznał: — Za nadejściem Rusa zlikwidujemy obóz. Ja akuratnie w ciebie nie strzelę, ale inni?

Raptownie zwalniam, przestaję się śpieszyć. Niechby mnie nawet Karnera dopędził... Szkoda, z pewnością byłoby Wierze lżej, gdybym wcześniej... Niepotrzebnie sama poszła w drogę.

Świtaniem kończy się lament, uspokaja się rozkołys drutów, posty odeszły. W pracowitym milczeniu przeszukujemy bloki, potem zasypujemy pozostałe na ziemi ślady krwi, kału i zgarniamy strzępki zbrukanej odzieży. Na „D" słychać apel, z „A" nadlatuje dźwięk kotłów. Kończymy, zanim mglisty dysk słońca zdążył wspiąć się na niebo.

Przemierzam powrotną drogę na „A" równym krokiem, równiejszym od innych. Wypełnia mnie pusty, lecz prawdziwy spokój. Nie modlę się, bo i nigdy nie modliłem się w obozie. Jeżeli On naprawdę istnieje, i tak niczego nie wybaczy. Bezgrzeszni umierają tutaj o wiele szybciej, nie po czterech dopiero latach. Cóż by to zresztą była za sprawiedliwość, jeżeli zostałbym rozgrzeszony na równi z innymi, chociażby z Wierą? Drobne miała grzechy, drobniutkie, jeżeli w ogóle grzechem jest miłość. Nie wiem, jak na to zapatruje się jej Jehowa, bo nasz Bóg jest w tych sprawach srogi. Pamiętam, „rzeczy nieskromne" się to nazywało. Dziwne, że Wiera w ostatecznym rozrachunku innym podlega formalnościom i innemu Bogu aniżeli ja. Może zresztą to jedno i to samo, a Jehowę wymyślono jedynie po to, aby znalazło się uzasadnienie dla zmilionizowanego zabijania.

Wolno idziemy, uwiera mnie nieznośna niecierpliwość. Jeżeli już, to najlepiej od razu. Nie analizować i zbytnio nie rozważać postanowień.

W obozie rozpełzamy się na bloki. Doszlusowuję do Siwego. Wymijamy szklane kałuże.

— Trzymaj się, pierunie. Kiedysik odwiedzimy ich rodzinę — mówi Siwy. Ma na myśli Zdenkę i Wierę.

Znów odnoszę wrażenie, że czas zawisł w próżni, stanął. Przecież najdłuższe czekanie niczego nie zmieni.

— Daj spokój, nie tłumacz mi. I żegnaj, Siwy. Ja z tych rzeczy wysiadam!

Wolno ściągam z ramienia amarantową opaskę blokowego. Wręczam mu ją.

— Nie wariuj! Chcesz trefić do Politische Abteilung?

— Wysiadam, Leon. Całkiem i naprawdę, nic mnie Politische Abteilung nie obchodzi! — powtarzam cierpliwie. Siwy ma prawo wiedzieć, przeszkodzić i tak nie zdoła. — Prędzej czy później Niemcy skończą i nas, mówią o tym, nie kryją. Po jaką cholerę to czekanie?...

— Pierunie! Powim, że zachorowołeś. Zastępca poprowadzi blok, a ty odpocznij se kilka dni. Nerwy ci się uspokoją... — pośpiesznie utyka w kieszeni moją opaskę.

Nie słucham. Wlokę się do Schreibstuby przejrzeć jeszcze raporty, trzeba się będzie z zastępcą rozliczyć. Siwy nawołuje Ksyla i Abrama. Długo z nimi rozmawia, wskazując mnie gestami głowy. Zawsze był mi życzliwy, od dwóch dni otacza skrytą opieką. Śledzą, abym nie dopadł drutów. Leon także pouczył Kleinberga i ten odmówił luminali.

Oszukałem go. Siwy nie wie, że znalazłem wczoraj w „Waschraumie" tubkę z napisem „Gift". Trucizna na szczury, a może tylko żrący płyn dezynfekcyjny,

co za różnica. Tubka tkwi w szufladzie. Ustanie wreszcie ten uparty łoskot serca.

Przed Schreibstubą sterczy Blockführer Günther z głową zadartą ku niebu.

— *Hör mal!* Słyszysz? — zatrzymuje mnie.

Nieco bokiem, ze wschodu na zachód przeciąga odległe, trzmiele burczenie ciężkich maszyn. Od paru tygodni weszła w życie tajna instrukcja regulująca życie obozu na wypadek lotniczego alarmu. Przedtem nie była taka potrzebna.

— *Der Rus ist schon wieder da* — mówi esesman. — Wczoraj bombardowali pod Krakowem.

I tak więc wkrótce będziemy musieli odejść...

Rawicz, sierpień-wrzesień 1960 rok

Ryszard Kozielewski

Małgorzata Hillar

ZA GRANATOWYM MUREM

Boję się
kiedy odchodzisz
za granatowy mur
snu
gdzie kwitną
twoje tulipany
a jaskółki siadają
na księżycowych drutach
których nigdy
nie zobaczymy razem

Chodzisz tam
ze mną
zupełnie mi nieznaną
tylko twoją

Przytuleni
wyłuskujecie
z czarnego słonecznika
cierpkie ziarnka
snu

Zazdrosna o siebie
wiem
nawet gdy otworzę
furtki twoich powiek
nie przejdę przez nie
na drugą stronę
muru

PŁATKI JAŚMINU

Proszę nie dotykać
zapalonego słonecznika
doktorze
poparzy pan ręce

Nie trzeba zamykać
okien
sowa zaczęła śpiewać
kołysankę Gershwina

To nie luminal
doktorze
to płatki jaśminu

Normalni ludzie
nie jedzą
płatków jaśminu

* * *

Witała go
z balkonu
płonącą dłonią
z daleka

Wybiegała
na próg

Podawała mu
swoje piersi
złote pomarańcze

Zasypiała
na jego ramieniu
jak oswojona wiewiórka

Kiedy wychodził
wychodziła

Kiedy wracał

wracała

Dziwił się
cieszył się

Nie wiedział
że ona boi się
zabitych drzew
zamienionych
w meble
i podłogi
patrzącej na nią
zmrużonymi
ironicznie
szparami

MALWY

Nachylała się nisko
nad śpiewającymi kołami
tramwaju
mówiła
świerszcze

Kładła na dłoni
balowe konfetti
mówiła
Biedronka

W upalny dzień
kiedy umarła
nasturcja
w zielonej trumnie
na balkonie
uciekła

Zaczęły ją gonić
domy

Zbliżały się
z obu stron
wybałuszając
szeroko otwarte
okna

Kiedy dotknęły
ramion
krzyk jej stał się
długi i cienki
jak liść tataraku

Zdziwiony milicjant
patrzył
jak pod jej rękami
zakwitały na murze
malwy
i spływały
czerwonymi korzeniami
w dół

Małgorzata Hillar

Mieczysław Porębski

ZNIKNIĘCIE MONY LIZY *

Soleil levant cou tranché
(Guillaume Apollinaire)

Je ne parle pas pour vous qui avez de l'instruction
pour qui le présent n'a pas de fortification;
dames et beaux messieurs qui, avec vos projets
vivez dans l'Avenir on bien dans le Passé
ni pour vous, bonnes gens dans les petites villes
qui allez au bureau et vous tenez tranquilles.
Je parle pour tous ceux qui sont „au jour le jour"
sans autre grand souci que de manger et boire
lisant plus le journal quotidien que l'histoire
forcés pour l'exploiter de connaitre leur temps;
Pour eux, pour moi, pour vous, Fantomas est vivant.
Tu es un meilleur professeur d'energie que Paul Adam
Le fils de mon concierge qui a quinze ans
A volé le revolver de son père
Pour aller comme toi conquérir mer et terre
Tu nous a promené ta „marque"
Comme des représailles contre les monarques
Mais aussi tu as proposé un idéal aux brigands
Or un idéal c'est une barrière.

(Max Jacob)

W roku 1909 młody poeta i od niedawna reporter dziennika *L'Intransigeant* polityka, informacja, literatura, sporty, życie paryskie, teatry), André Salmon, amieścił w tymże piśmie pierwsze swoje recenzje z Salonu Niezależnych Salonu Jesiennego. Kiedy w styczniu następnego roku powierzono mu stałą

* *Zniknięcie Mony Lizy* stanowi rozdział wstępny książki o sztuce XX wieku. Wszystkie ytowane w tekście wypowiedzi z lat 1909—1912 zaczerpnięto z dzienników *L'Intransigeant* *Paris-Journal*. Ich autentyczność nie budzi na ogół wątpliwości, jest tu jednak sprawą alszą. Materiałem moich badań nie są same fakty, ale informacja o faktach i jej funkcjo-owanie. Motto pierwsze wzięto z poematu *Zone* w wersji wcześniejszej, opublikowanej *Soirées de Paris* (r. 1912, nr, 11), motto drugie z poematu *Ecrit pour la S.A.P.* zadedyko-anego pani Picabia, opublikowanego tamże (r. 1914, nr 26—27).

rubrykę sprawozdawcy artystycznego w *Paris-Journal*, miejsce jego w *L'Intransigeant* zajął Guillaume Apollinairè.

Przytoczony niżej przegląd ciekawszych wydarzeń, które znalazły echo w jednym lub drugim dzienniku, ma na celu zobrazowanie charakterystycznego kontekstu, w jakim zaczynała docierać do opinii publicznej pierwsza mniej więcej kompetentna informacja o pewnych nowych zjawiskach na odcinku sztuk plastycznych. Da to możność niezbędnego naświetlenia założeń książki i zamierzeń autora.

Głównym tematem, jaki w dniu 1 stycznia 1909 roku wypełnił szpalty i czołowy, rozciągnięty zgodnie z redakcyjnym obyczajem na całą kolumnę, nagłówek *L'Intransigeanta*, było trzęsienie ziemi w Messynie, które pochłonęło 80 000 ofiar. Zaraz potem uwagę powszechną skupiła egzekucja czterech niebezpiecznych bandytów z departamentu Nord, w miejscowości Bethune. Zainteresowanie egzekucją potęgował fakt, że od dnia 28 czerwca 1906 roku gilotyna próżnowała. Akcja parlamentarna za zniesieniem kary śmierci skłaniała prezydenta republiki, Fallières, do konsekwentnego stosowania przez lat kilka prawa łaski. Ponieważ projekt ustawy abolicyjnej nie został w końcu uchwalony, a sprawa „bandytów z Nordu", którym udowodniono ośmiokrotne morderstwo i osiemnastokrotne usiłowanie morderstwa, szczególnie silnie poruszyła ludność, prezydent zdecydował się odstąpić (na jakiś czas) od dotychczasowej praktyki. Wczesnym ranem w przeddzień egzekucji przybył do Béthune furgon z gilotyną. Wóz pozostawiono na drodze, tak że ciekawi mogli oglądać przykryte płachtą części machiny. Przed jedenastą przyjechał pociągiem kat republiki, Anatol Deibler, z pomocnikami. Niewysoki, ale barczysty, z ciemną, starannie utrzymaną brodą, szedł ulicą w stronę hotelu, otoczony tłumem witających go nieomal jak ministra mieszkańców.

— Pan Deibler odstawi tu ładny kawałek roboty.

— W trzy i pół minuty będzie po wszystkim — odpowiedział Deibler.

W hotelu zaproszono go do wspólnego stołu, odmówił jednak. Wolał jeść sam. Tymczasem nadciągnął oddział artylerii z Douai, żandarmeria konna i dragoni. Gromady górników z okolicznych osiedli, którym tego dnia wypłacano w Béthune dwutygodniówkę, nie rozchodziły się. Ludzi wciąż przybywało. Wreszcie ściemniło się. Zaczął padać drobny, zimny deszcz. Z otwartych całą noc szynków dochodziły podniecone głosy, bawiono się i śpiewano jak w święto. Nad ranem tuż przy bramie więzienia pomocnicy Deiblera zmontowali pod jego osobistym nadzorem narzędzie kary. U stóp gilotyny ustawiono kosz wypełniony trocinami, skrzynie na ciała, wiadra z wodą i gąbkami do obmycia noża po każdorazowym użyciu. Skazańcy do ostatniej chwili nie wiedzieli, co nastąpi. Czas schodził im na grze w karty z dozorcami.

— Coś za długo tego wszystkiego — powiedział jeden.

— Czego takiego?

— Czekania na ten konwój do Gujany. Chciałbym już wciągnąć trochę morskiego powietrza; tu nie ma czym oddychać, za dużo się pali.

— Jak kiedyś wrócę — powiedział drugi — zacznę na nowo.

— Mam dziecko z siostrą szefa. Dobre nasienie, co? — rzekł trzeci.

Kiedy ich obudzono, zachowali się biernie. Ceremonia przedśmiertnej toalety

orzeszła bez incydentów. O siódmej piętnaście z bramy więziennej wyprowadzono pierwszego skazańca. Związany, usiłował przybrać arogancką postawę, ale nogi się pod nim uginały. Pomocnicy Deiblera podtrzymali go, pociągnęli do przodu. Gdy spadł nóż, podniosły się pierwsze wiwaty. Drugi skazaniec, atletycznej budowy, chwiał się podobnie jak pierwszy. Gruba szyja nie mieściła się w okrągłym otworze. W tym momencie, już przyduszony, spostrzegł niżej w koszu głowę poprzednika. Wtedy zaczął krzyczeć. Zagłuszyły go brawa i okrzyki tłumu. W nieustającej już ani na moment, przechodzącej w ostry triumfalny paroksyzm wrzawie spadły szybko do kosza głowy dwu pozostałych. Kosz wniesiono na razie do więzienia, furgon powiózł zwłoki na cmentarz, skąd zresztą zaraz miano je zabrać na sekcję. Prefekt, podprefekt, funkcjonariusze odchodzili otoczeni tłumem, wśród którego kręcili się już sprzedawcy oferujący fotografie straconych. Na zdjęciach głowy były dowcipnie oddzielone od korpusów. Nazajutrz ogłoszono protokół lekarski, który stwierdzał w wyniku przeprowadzonej sekcji, że wszyscy czterej skazańcy byli całkowicie normalni, nie zauważono u nich żadnych wad organicznych ani cech degeneracji.

27 stycznia i 11 lutego odbyły się dalsze egzekucje w Carpentras i w Albi, śledzone z nieco już mniejszą uwagą. Opinię publiczną zaczęły zajmować zamieszki w Turcji, grożące wojną napięcie między Austrią i Serbią, walki wewnętrzne w Persji. W marcu rozpoczęła się w Paryżu fala strajków. Strajkowali pomyślnie pracownicy poczt, telegrafów i telefonów. W maju strajk się powtórzył, doszło do pełnych napięcia scen w izbie deputowanych. W czerwcu nastąpiły aresztowannia wśród pocztowców pod zarzutem sabotażu. Wśród tego wszystkiego 17 kwietnia między komunikatem o wojnie domowej w Turcji i wiadomością o wzmożonej agitacji syndykalistów *L'Intransigeant* zamieścił szczegółowe sprawozdanie z „pojedynku dnia", jaki stoczyli w „Parc des Princes" w Boulogne dwaj znani w Paryżu ludzie pióra, Charles-Henry Hirsch i F. T. Marinetti. Przyczyną pojedynku był incydent zawodowo-literacki, w związku z którym Marinetti posunął się do zniewagi czynnej. Świadkowie poszkodowanego w porozumieniu ze świadkami dającego powód uzgodnili czas, miejsce i warunki spotkania: szpady, miękkie koszule, obuwie wizytowe, rękawiczki wizytowe — dowolne; pole wolne, po każdym starciu przeciwnicy wracają na pozycje; starcia dwuminutowe, przerwy takież; spotkanie zostanie przerwane na wniosek świadków ranionego, po uprzedniej konsultacji lekarskiej; na teren spotkania nikt obcy dopuszczony nie będzie. Przeciwnicy walczyli zacięcie, ale rozważnie. Unikając błyskotliwych efektów trzymali się wskazówek swych preceptorów. Charles-Henry Hirsch, zgodnie z metodą profesora Dubois, zniżał oręż, F. T. Marinetti respektując rady Maitre'a Bougnol systematycznie unikał dłuższej wymiany ciosów. Po emocjach pierwszego starcia, gdy szpada Hirscha przeszyła, nieszkodliwie zresztą, koszulę Marinettiego, dalsze miały przebieg raczej monotonny. Zanosiło się na godzinę albo dłużej. W przerwach przeciwnicy przechadzali się, każdy między swoimi świadkami, którzy zaczynali okazywać pewne zaniepokojenie. W dziewiątej repryzie szpada Hirscha pękła.

— Widywałem walki apaszów — odezwał się głośno sekundant Marine-

ttiego, Maurice Duplay — były mniej akademickie, ale za to bardziej krwawe. W jedenastej repryzie Hirsch otrzymał głębokie pchnięcie w prawe przedramię i krew pociekła obficie. Opatrzony, zażądał kontynuowania walki. Po dziesięciominutowej obserwacji lekarskiej spotkanie wznowiono. Dwunaste starcie, żywe, ale nie dające żadnego rezultatu prócz widocznego osłabienia rannego, zostało przerwane na życzenie strony właściwej. Spotkanie uznano za skończone. Do pogodzenia się przeciwników na miejscu nie doszło.

Początek lata 1909 roku przyniósł powstanie w Katalonii, zacięte walki z Hiszpanami w Maroku i niepokojący konflikt turecko-grecki. Na łamy prasy paryskiej powróciła tzw. „sprawa Biribi" w związku z nowymi, drastycznymi rewelacjami z karnych obozów wojskowych w Afryce Północnej. Stosunkowo jednak najwięcej pisano o osiągnięciach lotnictwa, zwłaszcza gdy rozpoczęły się próby sforsowania kanału La Manche. Pierwsza odbyła się w dniu 19 lipca niedaleko Calais, w Sangatte. Podjął ją awiator francuski, Hubert Latham, na monoplanie zakładów „Antoinette" z motorem konstrukcji inżyniera Levavasseur, który osobiście czuwał nad przygotowaniami do startu. O godzinie 7 minut 40 rano Latham, przebrawszy się w krótkie spodnie, getry, trykotową koszulę, w kaszkiecie na głowie i ochronnych okularach, zasiadł przy sterach, oderwał aparat od ziemi i po wyjściu na wysokość 80 metrów skierował się w stronę Dover na wybrzeżu angielskim. Wiał lekki wiatr, niebo było zachmurzone, morze spokojne. Po 18 kilometrach lotu motor się zatrzymał i monoplan opadł na wodę. Lathamowi, który, choć przemoczony, pozostał w maszynie i spokojnie palił papierosa, przyszedł z pomocą kontrolujący lot torpedowiec. Gdy po kilku dniach do Sangatte dostarczono nowy aparat i ekipa techniczna przystąpiła w pośpiechu do montażu, nie opodal, w Baraques, przygotowywał się już do startu drugi znany awiator, Louis Bleriot, również na monoplanie, własnej konstrukcji — „Bleriot XI", z silnikiem inżyniera Anzaniego, który, podobnie jak Levavasseur, sam dopilnowywał strony technicznej. Tymczasem jednak pogoda się psuła, nad Kanałem były burze. Dopiero 24 lipca po południu wiatr zaczął słabnąć. Latham był właściwie gotowy, nie wystartował jednak. Redakcja *Daily Mail* wyznaczyła za udany przelot wysoką nagrodę i Latham, zgłosiwszy swój udział, musiał zgodnie z warunkami czekać do następnego dnia rano. Bleriot czuł się źle, niedawno wybuch silnika oparzył mu stopę, która, zaniedbana, zaczęła teraz poważnie dokuczać. Lotnikowi groziła flegmona. Wieczorem wiatr dął znowu. W nocy świszczał wśród masztów i olinowań kutrów w pobliskim porcie, przycichając kapryśnie i na krótko. Przez cały 25 lipca czekano na zmianę pogody. Późnym wieczorem Latham i Bleriot, którzy dotychczas się nie znali, spotkali się w kapitanacie, gdzie uzgadniano sprawę konwoju, na wypadek gdyby start mógł nastąpić rano. Nadeszła wiadomość, że w sąsiednim Wissant uczeń Wilbura Wrighta, hrabia de Lambert, zapowiada lot na wrightowskim biplanie. O północy dwaj konkurenci rozjechali się na spoczynek. 26 lipca o trzeciej rano Bleriot wstał i po pożegnaniu z żoną, na którą czekał już konwojujący kontrtorpedowiec, udał się do Baraques. Wiał lekki, pomyślny wiatr południowo-zachodni. O godzinie czwartej, z trudem manewrując szczudłami, kulejący Bleriot zajął miejsce w swojej maszynie. O 4 minut 5 nastąpił

próbny start. O 4,42 Bleriot wystartował ponownie, by po 31 minutach spokojnego lotu o godzinie 5 minut 13 wylądować w Dover na wybrzeżu angielskim. Bleriot był fabrykantem latarni automobilowych. Gdy rosły jego sukcesy i sława, w prasie można było natrafić na niewielki, jednoszpaltowy inserat, informujący, że znana firma Bleriot, której produkcja odnacza się nie tylko doskonałością i precyzją wykonania, ale również niezrównaną elegancją linii, dostarczyła ostatnio specjalne garnitury lamp ozdobionych królewską koroną carowi Rosji, cesarzowi Niemiec, królowi Belgów, królowi Hiszpanii i księciu małżonkowi holenderskiemu. Wracającemu triumfalnie do Francji patronowi robotnicy jego zakładów ofiarowali artystycznie wykonaną statuetkę z brązu.

W Sangatte Latham i Levavasseur, zbudzeni na wieść o starcie Bleriota, obserwowali przez szkła jego odlot, po czym udali się do hangaru. Kablogram o sukcesie konkurenta Latham powitał głośnym „hurra!", nie przerywając przygotowań do startu. Okazało się jednak, że motor wymaga dłuższego przeglądu a i wiatr znów się nasilił. Wtedy dopiero Latham rozpłakał się. Kiedy wreszcie wystartował, 27 lipca rano, musiał zawrócić, lekko nadwyrężając przy zbyt gwałtownym lądowaniu maszynę. Start hrabiego de Lambert nie powiódł się również; upragnioną sławę zdobył on w trzy miesiące później, dokonując pierwszego przelotu nad Paryżem. Latham ponowił próbę jeszcze tego samego dnia. Leciał pomyślnie, atoli przyszedł deszcz, świece, jak się zdaje, zamokły i monoplan spadł prosto w morze, 800 metrów od wybrzeża Anglii. Gdy nadpłynął eskortujący Lathama kontrtorpedowiec, awiator unoszący się na szczątkach aparatu usiłował chusteczką zatamować krew, płynącą obficie z rozciętego nosa i czoła.

— Naprawdę, pech za pechem — mruknął — mam dosyć.

Do Francji wrócił tym samym statkiem, co triumfator Bleriot. Nie wiedział o tym zresztą, zamknięty w zamówionej zawczasu kabinie. Sprawiedliwie dzieląc swe zainteresowanie pomiędzy obu lotników, prasa francuska przypominała, że po amerykańskich eksperymentach braci Wright pierwszy w Europie oderwał się od ziemi i wzniósł na wysokość 10 metrów Brazylijczyk Santos-Dumont. Było to niecałe trzy lata wstecz, w paryskiej Bagatelle. Przypominano również, że aktualny rekord długości lotu należy wraz z pucharem firmy Michelin do Wilbura Wrighta (123 km w 2 godziny 18 minut 33 i 3/5 sekundy). Pomimo wszystko jednak Francuzi uważali lotnictwo za swoją niepodzielną dziedzinę.

„W ciągu ostatnich 15 lat — pisał *L'Intransigeant* — właśnie Francji przypadł w udziale honor stworzenia przemysłu samochodowego, lansowania motorowego jachtingu i balonów sterowych. Podobnie też, zanim ktokolwiek wziął serio próby amerykańskie i zanim bracia Wright pojawili się u nas, ludzie tacy, jak Santos-Dumont, Bleriot, Farmanowie i Latham, stworzyli prawdziwą szkołę i samodzielnie rozwiązali problem lotu maszyny cięższej od powietrza."

Sukcesom towarzyszyły pierwsze ofiary. Po śmiertelnym wypadku w r. 1908 kapitana Selfridge'a, w ciągu roku 1909 zginął pilot Lefebvre, a niedługo potem ceniony teoretyk, kapitan Feber. Późną jesienią, 5 listopada, Henry Farman pobił rekord Wrighta, przelatując z górą 232 kilometry w 4 godziny 17 minut 53 sekundy. W ciągu roku 1910 wiadomości o coraz nowych sukcesach francuskich lotników prawie że nie schodziły z tytułowej kolumny

L'Intransigeanta. 7 stycznia 1910 Latham wzniósł się na wysokość 1 000 metrów. 12 stycznia Paulhan osiągnął wysokość 1 380 metrów.

„Awiacja dała nam nowego Francuza — pisał redaktor naczelny *L'Intransigeanta*, Leon Bailby. — Odważny jak żuaw, spokojny jak lord brytyjski, ów Francuz 1910 jest elegancki, wykształcony i swobodny. To nie książę Rudolf Eugeniusza Sue, bo nie bawi go odkrywanie aniołów znad strumyka, ani René Chateaubrianda, ani Rolla Musseta, bo choć jest sceptykiem i igra ze śmiercią, kocha życie."

Refleksje redakcyjne nie zawsze były tak pogodne. 14 stycznia Bailby alarmował w komentarzu dnia:

„Pozwolono wyrastać młodzieży zatrutej przez amoralizm. I oto dzisiaj staje przed nami »armia zbrodni«, młoda, solidarna, wyzbyta najmniejszych skrupułów, świadoma swojej siły i przekonana, że miasta należą do niej."

Komentarz nawiązywał do świeżego zabójstwa policjanta na ulicy Aubry-le-Boucher. Morderca miał 24 lata, nazywał się Jean-Jacques Liabeuf, był z zawodu powroźnikiem. Wyszedł niedawno z więzienia, gdzie dostał się pod zarzutem sutenerstwa. W dzielnicy widywano go w towarzystwie czarnowłosej dziewczyny, zwanej „Duża Marcelle". Mówiono o niej, że lubiła prowokować krwawe porachunki, w nagrodę oddając się zwycięzcy. Wieczór 8 stycznia Liabeuf i Duża Marcelle spędzili w „Caves Modernes", Aubry-le-Boucher 12. Liabeuf miał przy sobie pięciostrzałowy rewolwer, zapas kul i długi nóż powroźniczy, mocno osadzony w drewnianej rękojeści. Pokazywał również parę specjalnych ochraniaczy własnego pomysłu i wykonania. Nabity gęsto ostrymi stalowymi kolcami, szeroki skórzany manszet opasywał przedramię od nadgarstka po łokieć. Tak uzbrojony oświadczył, że tej nocy poszuka agentów, którzy go znieważyli. Gdy pojawił się na ulicy, dwu uprzedzonych przez kogoś policjantów zaczęło iść krok w krok za nim. Po paru krokach Liabeuf nagle się odwrócił, z nożem w jednej, rewolwerem w drugiej ręce, odrzucając do tyłu okrywającą go pelerynę. Wywiązała się walka. Policjant, którego w dzielnicy nazywano „Papuzim Dziobem", ugodzony nożem w ramię, usiłował chwycić Liabeufa za przegub, lecz rozdarł sobie dłonie o kolce i musiał puścić. Wtedy drugi, zwany „Buldogiem", rzucił się naprzód, chcąc ująć Liabeufa wpół. Padł przeszyty kulami, z rozpłatanym brzuchem. Nadbiegło pięciu innych. Liabeuf uskoczył w bramę, broniąc się zajadle w ciasnym i ciemnym korytarzu. Dopiero cios szablą przez pierś przygwoździł go do ściany i obezwładnił. W czasie procesu Liabeuf nie przeczył, że świadomie szukał zemsty na policji, upierał się jednak, że do więzienia dostał się niesprawiedliwie.

— To ja utrzymywałem dziewczynę, która ze mną żyła — oświadczył.

Obrona wykorzystała ten moment, przywołując na świadków drobnych pracodawców z dzielnicy, u których Liabeuf znajdował zatrudnienie. Wszyscy potwierdzali, że Liabeuf był zdolnym i solidnym robotnikiem. Sprawy zaszły jednak za daleko. 2 lipca Liabeuf został stracony na gilotynie wzniesionej na bulwarze Arago, w miejscu, gdzie bulwar krzyżuje się z ulicą Saint-Jacques. Egzekucję poprzedziła długa salwa rewolwerowa w tłumie widzów. Szarżującą policję przyjęły wrogie okrzyki. Dwu policjantów raniono. Skazaniec, który

przedtem odtrącił tradycyjną szklankę rumu i papierosy, przyjąwszy tylko kawałek czekolady, prowadzony na szafot zaczął stawiać zacięty opór. Gdy go wreszcie unieruchomiono, wołał, że nawet ta egzekucja nie zrobi z niego sutenera. Krzyczącego „nie byłem sutenerem" rozciągnięto na desce i wówczas wołanie ucichło przechodząc w zduszony jęk. Tłum zaczął się burzyć i napierać na żandarmów otaczających furgon ze zwłokami apasza.

Wkrótce po straceniu Liabeufa rozpoczął się proces Komitetu Obrony Społecznej, który podjął jątrzącą się beznadziejnie od lat kilkunastu „sprawę Biribi". Bezpośrednią przyczyną wznowienia sprawy były fakty, jakie zaszły w wojskowej kolonii karnej w Djenan-ed-Dar, w południowym Oranie. Kazano tam żołnierzowi nazwiskiem Aernoult, który miał opinię „twardej głowy", przez trzy godziny wykonywać wyczerpujące ćwiczenia gimnastyczne, na słońcu, przy temperaturze 45°. Gdy w końcu zemdlał, ocucono go i zmuszono do 500-metrowego biegu z obciążeniem 40 kilogramów w tornistrze. Następnie związano go w tzw. „żabkę", wyłamując boleśnie do tyłu ręce i nogi i związanego bito przez dalsze pięć godzin, póki nie umarł. W rozplakatowanej nielegalnie na ulicach Paryża odezwie Komitet, relacjonując te fakty, konstatował:

„Zbrodnie Biribi od dawna były piętnowane przez pisarzy, dziennikarzy i polityków.

Biribi wciąż istnieje!

Teraz zwracamy się do klasy robotniczej, aby przyłączyła się do nas, wołając do młodych żołnierzy:

Żołnierze! jeżeli czujecie się zagrożeni, jeżeli czyha na was Biribi, nie wahajcie się!

Dezerterujcie! Jeśli nie macie czasu na dezercję, jeżeli poszliście w kaźń, gdzie czekają was tortury i śmierć, pamiętajcie, że zbrodnie wojskowe już popełnione usprawiedliwiają wszelkie środki odwetu przeciw dowódcom-mordercom.

Ci oficerowie i szausi, którzy torturują i zabijają, a których egzekucja w dniu rewolty zostanie przyjęta z entuzjazmem przez wszystkich ludzi kochających wolność — to kaci. Macie przy boku bagnet — użyjcie go!"

Inne wydarzenia roku 1910:

23 stycznia wylała Sekwana. Straty liczono na miliony. W ciągu następnych dni woda wzbierała bez przerwy. 28 stycznia straty w samym Paryżu sięgały już miliarda. 29 stycznia powódź objęła okolice dworca Saint-Lazare. 30 stycznia woda zaczęła ustępować. 300 000 osób było zagrożonych brakiem pracy. Pytano o odpowiedzialnych.

1 maja w Lasku Bulońskim, gdzie wobec zakazu manifestacji ulicznych miała się zgromadzić robotnicza ludność Paryża, skoncentrowano 20 000 wojska. Wojsko obsadziło również wielkie bulwary. Prasa pisała: W sumie zdarzył się dobry pierwszy maj, bo nic się nie zdarzyło. Szczęśliwe pierwsze maje, które nie mają historii.

W drugiej połowie maja z niepokojem czekano na spotkanie ziemi z kometą Halleya. Ogon komety musnąć miał naszą planetę w momencie, gdy kometa znajdzie się między nią a słońcem. W krytycznym dniu nie nastąpiło jednak nic szczególnego. Astronomowie nie zaobserwowali nawet oczekiwanego przejścia ciała niebieskiego przez tarczę słoneczną. Tłumaczono to stosunkowo dużym rozrzedzeniem jądra komety.

10 czerwca rozpoczął się tydzień awiacji, upamiętniony przelotem Blériota z Issy-les-Moulineaux do Vincennes.

Z końcem lipca wyszła książka F. T. Marinettiego *Mafarka le futuriste.*

5 sierpnia został zabity w Warszawie szef policji carskiej, Nowikow.

10 września awiator Leo Chavez wzniósł się na wysokość 2 680 metrów.

24 września Chavez, po udanym przelocie nad Alpami przez Przełęcz Simplońską, rozbił się przy lądowaniu i po czterech dniach zmarł.

6 października została obalona monarchia w Portugalii.

12 października rozpoczął się strajk francuskich kolejarzy.

25 października uwięziono stu przywódców strajku.

Największą teatralną sensacją sezonu 1909/10 było przedstawienie baśni scenicznej Edmonda Rostand *Chantecler* z Lucien Guitry w roli tytułowej. Wiele też mówiono o rozwoju kinematografii, która pragnęła wznieść się na wyżyny sztuki, godnie rywalizującej z literaturą i teatrem. Koło Vincennes powstało nowe wielkie atelier, gdzie dziewięć aparatów pracowało równocześnie w trzech dekoracjach.

„Trzy różne sceny rozgrywają się na raz — pisał sprawozdawca *L'Intransigeanta* — jak w prawdziwym życiu czarny dramat dobiega końca obok groteskowej bufonady i jak w rojeniach wyobraźni przeszłość przegląda się we współczesności. Przed szarym tłem dekoracji, w płytkiej przestrzeni, którą ograniczają czarne łaty, rodzi się na parkiecie cała epoka. A w kulisach przechadzają się, trącają łokciami, roją się i mieszają osoby najbardziej różne, najbardziej dziwaczne, Cezar, Otello, Gribouille... przybysze ze wszystkich stron świata, ze wszystkich warstw przeszłości."

Moda:

„Moda 1910 roku — mówiła w wywiadzie prasowym urocza tancerka i aktorka, Regina Badet — podobała mi się bardzo. Nosiło się rozkoszne kapelusze, cudowne suknie do teatru. Lubiłam bardzo wąskie suknie, które tak zwalczano, i jestem przekonana, że wiele kobiet będzie ich żałowało, tak powabnie uwydatniały harmonię linii. Zapewne — i ja też ubolewałam, że wąska suknia stała się w końcu suknią spętaną, co było przejściowym błędem. Jednakże

spódnica, która modelowała kształty, ciasno opinając nogi, podobała mi się naprawdę."

Jeśli można sądzić z niewyraźnej, szarej i pożółkłej gazetowej fotografii, Regina Badet miała duże, ciemne oczy i miękko falujące włosy, była dość szczupła, pełna naturalności i wdzięku. Otaczała ją atmosfera skandalu. Znany obrońca moralności publicznej, senator Bérenger, zażądał od prokuratury zajęcia się sposobem interpretowania przez nią roli tancerki Conchy Perez w sztuce *La Femme et le Pantin*, która weszła w grudniu 1910 na scenę teatru Antoine. Mówiono, że w trzecim akcie artystka tańczy prawie nago.

„Nigdy nie będę tańczyła nago — oświadczyła w wywiadzie prasowym rywalka Reginy Badet, Natasza Truchanowa — to jest zupełnie zbyteczne. Gruby realizm, który nie ma żadnego uzasadnienia: na scenie nikt nie strzela prawdziwymi kulami, nie broczy prawdziwą krwią, nie rozumiem, po co kobieta miałaby pokazywać swe ciało bez osłony. To szokuje — czyż nie tak? Teatr zaś jest ustawiczną iluzją, wszystko w nim jest względne, umowne. Kobieta to nie posąg. Jeśli jest dobrze zbudowana, zawsze potrafi to uwydatnić. Nie wiem, co tu może dodać pokazywanie ud czy piersi. Te, które to robią, mają zapewne swoje racje, ale jeśli mówimy o sztuce..."

Truchanowa też miała swoje racje. Recenzenci zarzucali jej, że w *Nabuchodonozorze*, który szedł w teatrze Des Arts, nosi kostium okrywający ją zbyt szczelnie — wbrew oczywistym intencjom autora. Regina Badet nie pozostała dłużna:

„Znam dobrze Truchanową, to moja przyjaciółka, ale jej zupełnie nie rozumiem. Czy ona myśli, że jak występuje ubrana od stóp do głów, pokazuje mniej? W teatrze od czterdziestu lat żąda się prawdy. Popatrzcie na dekoracje, kostiumy. Skąd nagle, gdy nie trzeba kostiumu, ten wstyd? Ależ gdyby na scenie mogła płynąć prawdziwa, ludzka krew, płynęłaby z pewnością. W trzecim akcie *La Femme et le Pantin* tańczę z ciałem do połowy odkrytym. Jak można inaczej wytłumaczyć rozpacz człowieka, który widzi ukochaną kobietę tańczącą dla obcych? Gdybym miała na sobie kostium po szyję, któż zrozumiałby gniew Mattea? I czy myślicie, że robię to dla przyjemności? To ogromny wysiłek, praca, której nikt nie może sobie wyobrazić. Po występie jestem ścięta z nóg, zlana potem. Publiczność rozumie dobrze, że to spektakl artystyczny. Nie przychodzi dla trzeciego aktu. W trzecim akcie nie oklaskuje mnie więcej niż w innych, może nawet mniej."

Perypetie odważnej artystki nie skończyły się w Paryżu. Gdy występowała w Nicei, znowu ciągano ją na policję i musiała demonstrować prefektowi trykot, w który się przezornie zaopatrzyła.

Tymczasem rok 1911 przyniósł w dziedzinie mody innowację śmiałą, ale — jak mówiono — przedwczesną: jupe-culotte, spódnicę-spodnie, inspirowaną przez wzory orientalne. Albert Flament, felietonista *L'Intransigeanta*, nie bez racji widział miejsce dla nowej mody raczej w domu, w salonie zaścielonym dywanami, gdzie unosi się dyskretna woń drzewa sandałowego i kadzidła, szerokie „tureckie" sofy w osiemnastowiecznym guście zapraszają do spo-

czynku, a parawany ze złoconej laki, porcelana chińska na konsolach, kakemona i nowoczesne obrazy na ścianach rozsiewają zmienne refleksy w pełgającym za najmniejszym powiewem blasku świec, z którym harmonizuje delikatna poświata, padająca z niewidocznego źródła na sufit — wedle ostatniego pomysłu pana Marino Fortuny. Przewidywania okazały się słuszne. Publiczność przyjęła dowcipami i gwizdami modelki, które dorocznym zwyczajem zaprezentowały nowość na wyścigach w Longchamp, doszło nawet do tego, że wielkie domy mody postanowiły na przyszłość nie demonstrować swych kreacji na tym — jak się okazało — zbyt szerokim terenie. To samo było w teatrze. Aktorka, która pierwsza zdecydowała się wystąpić w jupe-culotte, musiała ją po paru przedstawieniach zamienić na suknię; spiętą u kolan, ale jednak suknię.

Niektóre wydarzenia roku 1911:

22 stycznia sąd apelacyjny w Mediolanie skazał na dwa i pół miesiąca więzienia poetę F. T. Marinettiego za „obrazę dobrych obyczajów", jakiej tenże miał wedle orzeczenia sądowego dopuścić się w książce *Mafarka le futuriste*, świeżo wydanej w tłumaczeniu włoskim. Przyjaciele poety, malarze i pisarze, futuryści, przyjęli sentencję huraganem protestów, krzyków i gwizdów. Marinetti zapowiedział apelację.

W ciągu lutego epidemia dżumy w Mandżurii pochłonęła 55 000 ofiar.

Z końcem lutego teatr Réjane zaprezentował publiczności paryskiej długo oczekiwane dzieło Maeterlincka *Niebieski ptak*.

28 marca miasto Parma było widownią wielkiej manifestacji, która skupiła wokół futurystycznych poetów, malarzy i kompozytorów dziesięciotysięczny tłum sympatyków i widzów. Powodem manifestacji był zakaz poetyckiej imprezy, którą organizował Marinetti, jak również wydalenie z uniwersytetu pięćdziesięciu studentów, jego zwolenników. Blokującym ulice oddziałom piechoty i bersalierów pośpieszyła z pomocą kawaleria. Futurystyczne przemówienia przerwano i zagłuszono dźwiękiem wojskowych sygnałówek. W rezultacie doszło do starć i nastąpiły liczne aresztowania.

15 kwietnia zniknął z Paryża inspektor lotnej brygady policji obyczajowej, Warzé, którego pieczy powierzony był bulwar Sébastopol i jego okolice. Po zniknięciu inspektora wyszło na jaw, że Warzé pobierał opłaty od dziewcząt ulicznych i kawiarnianych swojego obwodu, zapewniając im pełną swobodę działania, ścigając natomiast policyjnie te, które opodatkować się nie chciały. Stwierdzono ponadto, że Warzé wyróżniający się szczególnym talentem charakteryzacji kierował nieuchwytną bandą fałszerzy i włamywaczy, której wykrycie było mu zresztą zlecone przez jego zwierzchników. Z ucieczką Warzégo łączono zniknięcie dziewczyny zwanej „Mulatką", która jako przyjaciółka jego kochanki wiedziała o inspektorze zbyt wiele i albo zdołała się ukryć, albo została przez bandę zamordowana. Po pięciodniowych poszukiwa-

niach Warzé sam zgłosił się do urzędu śledczego oświadczając, że dowiedziawszy się o zarzutach, które przeciw niemu wysuwano, wrócił z wypoczynku, żeby wykazać ich bezpodstawność. Równocześnie zatrzymano na bulwarach kochankę Warzégo, „Lilas", która zeznała, że ostatnie dni spędziła wraz z inspektorem w Brukseli, gdzie zresztą zameldowani byli w hotelu jako pan i pani Warzé. Prawowita małżonka inspektora utrzymywała, że całą jego winą było złe towarzystwo. Na tym sprawa ucichła, a prasę zajęły na dłużej losy francuskiej ekspedycji interwencyjnej w Maroku.

25 maja Francuzi zajęli Fez. W odpowiedzi Niemcy, którzy również interesowali się Marokiem, skierowali okręt wojenny do portu Agadir. Powstał groźny kryzys francusko-niemiecki, zwłaszcza że Niemcy wysunęli równocześnie pretensje do pewnych terytoriów w Kongo. Opinia francuska była tak podrażniona, że kiedy zniknął z Luwru obraz Leonarda da Vinci, *Mona Liza*, któryś z dzienników niemieckich doradzał ironicznie szukać zguby we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych. Czyż mógł być lepszy sposób — zapytywał dziennik — na odwrócenie uwagi i spokojne doprowadzenie do końca kłopotliwych pertraktacji?

„Poniżej *Wieczerzy*, w środku, miejsce puste. Tam właśnie znajdowała się *Gioconda*, arcydzieło Leonarda da Vinci, które nabył od tegoż król Franciszek I, którego to dzieła świeże zniknięcie wywołało na całym świecie ogromne poruszenie".

Słowa oprowadzającego, zanotowane przez sumiennego sprawozdawcę, konstatowały smutny stan rzeczy, który trwał od dziewięciu dni i który przez ponowne otwarcie zbiorów dla publiczności ustalał się na czas bliżej nie określony. Alarm podnieść miał podobno we wtorek, 22 sierpnia, po godzinie 10 rano malarz Louis Bernard. Bernard pracował nad niewielkim płótnem, mającym przedstawiać wnętrze Salon Carré, i brak obrazu Leonarda da Vinci na zwykłym miejscu zastanowił go. Woźni byli przekonani, że obraz zabrany został do fotografii, skoro jednak okazało się, że w atelier Brauna, które miało wyłączne prawo reprodukowania arcydzieł Luwru, nie ma go również, wezwano policję. Prefekt Hamard, który przybył na miejsce w towarzystwie sześćdziesięciu inspektorów i odpowiedniej liczby agentów, zarządził niezwłocznie zamknięcie bram muzeum, obsadzenie dachów i ewakuację zwiedzających. W ciągu następnych dni przeszukano wszystko, cały Luwr od piwnic po strychy, znaleziono jednak tylko ramy i szkło porzucone u cokołu *Nike Samotrackiej*, a także resztki papieru uszczelniającego oprawę — nie opodal w małym schowku ze służbowymi schodami, którymi zapewne uniesiono bez większych przeszkód niecodzienną zdobycz. Czas zniknięcia ustalił definitywnie mistrz murarski, który 21 sierpnia, w poniedziałek (dzień, kiedy muzeum jest niedostępne dla publiczności), kierował pracami w sąsiedniej sali. Przechodząc przez Salon Carré o godzinie 7.30 powiedział on do pomocnika, wskazując na *Giocondę:*

— Popatrz, to najpiękniejszy obraz w Luwrze.

Kiedy po godzinie przechodzili tamtędy ponownie, obrazu już nie było.

— Widzisz, boją się, żeby ktoś jej nie zwędził. Już ją zabrali — skonstato-

wał majster, który jak nieomal wszyscy miał zbyt dobre wyobrażenie o przezorności konserwatorów Luwru. W rzeczywistości było inaczej.

„Wypada nawet nie po jednym woźnym na salę; małe obrazki w gabinetach holenderskich, które otaczają galerię Rubensa, dosłownie pozostawiono dla złodziei. Obrazy, nawet najmniejsze, nie są, jak w większości muzeów zagranicznych, przyczepione do ścian kłódkami. Z drugiej strony woźni nie odbywają nigdy ćwiczeń przeciwpożarowych. Jest to lekkomyślność, obojętność, niedbalstwo..." — alarmował współpracownik *L'Intransigeanta*, Guillaume Apollinare, który, jak skądinąd wiadomo, mógł być dość dobrze poinformowany o stanie zabezpieczenia zbiorów.

W tymże samym artykule, który ukazał się nazajutrz po ujawnieniu kradzieży, Apollinaire napisał:

„*Gioconda* była tak piękna, że jej doskonałość zajęła trwałe miejsce wśród dzieł-komunałów. Nie ma ich tak wiele. *Apollo belwederski, Wenus z Milo, Madonna sykstyńska, Sąd Ostateczny, Wyjazd na Cyterę, Anioł Pański, Wyspa umarłych* — to prawie wszystko, co ludzkość odłożyła na bok z wielowiekowej produkcji artystycznej. To najsławniejsze dzieła świata. Co nie znaczy zresztą, żeby reputacja niektórych nie przewyższała ich artystycznej wartości. *Wyspa umarłych* Boecklina i *Anioł Pański* Milleta są bez wątpienia oceniane wyżej, niż na to zasługują, ale rozgłos *Giocondy* dorównywał jej piękności, może nawet jej nie dosięgnął."

W podobnym kierunku szły rozważania felietonisty *Paris-Journal:*

„W istocie *Gioconda* cieszy się u publiczności, i to nawet u publiczności nieobeznanej ze sztuką, przywilejem, którego sama jej wartość nie jest w stanie wytłumaczyć. Dla wielu *Gioconda* to cały Luwr. To *Gioconda* stanowi przykład Piękna samego; to *Giocondę* idzie obejrzeć w niedzielę uczeń licealny; to ku niej kieruje swe kroki, również w niedzielę, intelektualista z prowincji odbywający w Paryżu służbę wojskową; to u *Giocondy* wesela ludowe szukają, jak w *Assommoir*, błogosławieństwa."

W ten sposób znaczenie *Giocondy* dopiero po jej zniknięciu zaczęło ujawniać swe nieoczekiwane zakamarki, wobec których piwnice i strychy Luwru, gdzie jej szukano, dachy, skwery, nadbrzeża Sekwany, dworce kolejowe, punkty graniczne, kabiny transantlantyków niewarte są nawet tego krótkiego wyszczególnienia. W braku konkretnych wiadomości opinia analizowała szeroko hipotezy. Pierwsza myśl, dość naturalna, której jednak szybko trzeba było poniechać, brała kradzież za niewczesny żart dziennikarza-łowcy sensacji pragnącego skompromitować stosunki w dyrekcji muzeum, w podsekretariacie stanu do spraw sztuki, w prefekturze policji. Dosyć prawdopodobnie wyglądało również przypuszczenie, że mogła to być zemsta któregoś z muzealnych pracowników. I jeżeli dzieło zniszczono!

Dla tych, którzy żyją w atmosferze Luwru, było oczywiste, że któregoś dnia zdarzy się coś, co ujawni stan umysłów personelu.

Przewodniczący stowarzyszenia pracowników Luwru zaprotestował:

— Jesteśmy prawie wszyscy dawnymi żołnierzami, dawnymi podoficerami, którzy wykazali się na polach bitew i zdobyli w koloniach zasłużone medale i wyróżnienia. Czyż podobna przeszłość nie jest gwarancją dostateczną?

W każdym razie dochodzenie wykazało, że w dniu kradzieży piętnastu funkcjonariuszy Luwru było nieobecnych i nieobecności tej nie uważało za

potrzebne usprawiedliwić. W prasie pojawiła się karykatura: Nad zafrasowanym dyrektorem muzeum dobrotliwie pochyla się kelner.

— No zobaczymy, Panie Homolle! Straciliśmy *Giocondę*, nie traćmy przynajmniej, u diabła, uśmiechu!

Poza kręgiem wewnętrznych stosunków muzealnych hipotezy niestrudzenie szukały dalej. Podkreślając niemożliwość sprzedaży dzieła-unikatu zastanawiano się, czy nie wchodził tu przypadkiem w grę akt zboczeńca-erotomana. W archiwach muzeum znalazłby się pono nie jeden list miłosny adresowany: „Mona Liza, Luwr". Chętnie wyobrażano sobie również ukartowaną z góry intrygę jakiegoś fanatycznego zbieracza-miliardera, stawiającego się poza i ponad zasięgiem społeczeństwa, jego praw i powiązań. Czy rzeczywiście jednak — zapytywano dalej — sprzedaż byłaby niemożliwa? Po świecie krąży tyle falsyfikatów, że po pewnym czasie nikt nie będzie wiedział, gdzie właściwie znajduje się oryginał. Ktoś dodawał, że w końcu nie jest wcale pewne, czy skradziona *Gioconda* była oryginałem. Ktoś inny przypominał sobie, że od dawna już miał co do tego wątpliwości. Właściwa kradzież mogła była nastąpić znacznie wcześniej! W kabaretach śpiewano piosenkę: Prawdziwą *Giocondę* buchnęła biedna malarka-kopistka. Posłała ją pod swoim nazwiskim na salon, ale jury obraz odrzuciło. Zrozpaczona dziewczyna zniszczyła zlekceważone arcydzieło.

Biorąc pod uwagę rzeczywiste niebezpieczeństwo, na jakie obraz był narażony, pisma *L'Illustration* i zaraz po nim *Paris-Journal* wyznaczyły poważne nagrody za jego zwrot względnie pomoc w odnalezieniu. Rezultatem była nowa karykatura: W małej izdebce niewyraźny typ kontempluje zgubę:

— Dają mi 40.000 franków. Czekam miliona i legii honorowej.

Po trochu sprawę zaczęto uważać za beznadziejną. W prasie miejsce hipotez zastąpiła pełna rezygnacji ankieta: Czym zastąpić *Monę Lizę*? W ankiecie wzięli udział znani pisarze, krytycy, artyści. Miarą rozgoryczenia był powracający w wielu wypowiedziach projekt marmurowej tablicy z napisem:

„21 sierpnia 1911 roku skradziono stąd Giocondę
gdy dyrektorem Luwru był Pan Homolle".

Liczne głosy wypowiedziały się za *Świętym Janem* Leonarda. Wśród innych: *Księżniczka d'Este* Pisanella, *Człowiek ze szklanką wina* szkoły francuskiej, *Koncert* Giorgiona, *Portret Hendrickje Stoffels* Rembrandta, *Pasterze arkadyjscy* Poussina, *Zmierzch* Lorraina, *Wyjazd na Cyterę* Watteau, *Wolność wiodąca lud* Delacroix, *Olimpia* Maneta. Nawet w tej ciężkiej chwili patriotyzm przeważał szalę: w Salon Carré nie było dotychczas Francuza i większość chciała przy okazji krzywdę naprawić. Tylko jeden głos kwestionował w ogóle celowość robienia z Salon Carré kaplicy arcydzieł i radził gruntownie zreformować całą ekspozycję. Cała reszta trwała przy przekonaniu, że symbol wcielonego Piękna — Pisanello czy Manet to sprawa dalsza — jest niezbędny. W ten sposób zniknięcie *Mony Lizy* niespodziewanie ujawniło trwały awans sztuk wizualnych, stawało się symptomem czasu, który znak widzialny stawiał — nie bardzo wiedząc jak i dlaczego — nad wszystko inne.

„Ten triumf malarstwa, to niezwykłe poruszenie — pisał Paul Brulat — ujawniają sytuację duchową społeczeństwa, które wrażliwe jest już tylko na formę zewnętrzną rzeczy, na piękno atakujące zmysły, na inscenizację, deko-

rację teatralną, bo czymże innym są w końcu obrazy? Wszystko dla oka, wszystko dla zmysłów; nic dla myśli. Nie chcemy więcej wysiłku odkrywania piękności utajonych, głębokich, czystych, płynących wprost z duszy koncepcji intelektualnych. Nie czytamy poetów, którym brak sukcesów odbiera odwagę. Odrzucamy książki, które zmuszają do myślenia, do refleksji, prowokują i sugerują. Nasi współcześni nie mają czasu."

Brulat z pewnością upraszczał. Triumf skonwencjonalizowanej naoczności był triumfem co najmniej dwuznacznym. Równie dobrze mógł stanowić podzwonne. *Mona Liza* kompromitująca swoim zniknięciem społeczeństwo, w którym wszystko było tak oczywiście pomieszane i niepewne, kompromitowała również siebie. Cóż to w końcu za absolut, który można zdjąć ze ściany i wynieść nie wiadomo gdzie?

— Przedmiot handlu, nic więcej — mówił Octave Mirbeau. — Uśmiech Giocondy? Z pewnością, istnieje ten uśmiech, głupawy jak tyle innych uśmiechów. Trzeba było całej literatury, żeby uczynić go pociągającym. I pomyśleć, że dlatego więzi się poetów!

Uwięzionym poetą był mimowolny znawca tajemnic Luwru, Guillaume Apollinaire. Zaczęło się od tak zwanych „statuetek fenickich", które — skradzione tak, że nikt tego nie zauważył, na długo jeszcze przed zniknięciem *Mony Lizy* — teraz zostały zwrócone redakcji *Paris-Journal*. Pierwszą odniósł, za odszkodowaniem, sam sprawca kradzieży, dwie inne — przejściowy właściciel, który je zakupił. Nazwiska złodzieja prasa, związana przyrzeczeniem, nie ujawniła. Nazwiska nabywcy, którym był malarz, Pablo Picasso, nie ujawniono również. Zrobiła to dopiero Fernanda Olivier w swoich wspomnieniach. Ale jeszcze we wstępie do *Dzieł poetyckich* Apollinaire'a, wydanych w r. 1956, bliski przyjaciel poety, André Billy, pisze o „malarzu X", kryptogram rozwiązuje dopiero mniej dyskretny przypis na stronie 1061 zbioru. Sprawie restytucji „statuetek fenickich" dziennik aranżujący całą aferę nadał duży rozgłos. Bohater, dwudziestokilkuletni młodzieniec, sprawiający nader dodatnie wrażenie swoją otwartością i inteligencją, ale i niepokojący brakiem skrupułów, opowiadał w redakcji:

— Po raz pierwszy znalazłem się w Luwrze w marcu 1907 roku. Byłem zwyczajnym gapiem, któremu brak zdolności finansowych pozostawiał nadmiar wolnego czasu...

Uwagę zwiedzającego zwrócił mały gabinet, pozostawiony bez opieki, w nim zaś dziwna głowa kobieca o prostym nosie i wypukłych, migdałowato wykrojonych oczach.

— Statuetka została sprzedana pewnemu malarzowi paryskiemu, którego poznałem przez przyjaciół. Dał mi trochę pieniędzy, o ile pamiętam pięćdziesiąt franków, które zaraz tego samego wieczoru przegrałem w bilard. Co mi szkodzi — myślałem — zostaje mi cała Fenicja.

Następnego dnia tę samą drogę odbyła głowa mężczyzny, odznaczająca się podobnie jak poprzednia zastanawiającym wykrojem oczu, zdecydowanym rysunkiem nosa, a ponadto wyjątkowymi, nadnaturalnej wielkości, uszyma. Malarz posłał pokątnego antykwariusza do diabła, ale w końcu głowę zatrzymał. Była jeszcze jakaś płytka z hieroglifami, za którą ktoś inny dał dwadzieścia franków. Później młody człowiek wyjechał do Meksyku. Gdy wrócił w maju 1911 roku, udał się niezwłocznie do Luwru.

— Poszedłem do swojego gabinetu fenickiego, gdzie uderzyły mnie duże zmiany. Głowy rozmieszczone były inaczej, z czterdziestu, które zostawiłem wyjeżdżając, zachowało się zaledwie dwadzieścia kilka. Czułem się głęboko dotknięty tą nieprzewidzianą działalnością moich naśladowców.

Młodzieniec zabrał wtedy spore popiersie, ważące 6 kg 750 g, które w dniu 29 sierpnia zdecydował się odstąpić za pewną sumę redakcji *Paris-Journal.*

— Moje płoche zamysły napotkały przeszkodę, która zmusiła mnie do odłożenia na później antykwarycznych projektów. Kolega operujący w sposób tak hałaśliwy w departamencie malarstwa psuł mi kolekcję! Żałuję tego nieskończenie, gdyż owe artystyczne zdobycze miały dla mnie dziwny, podniecający urok...

— Paryżanie nie poznają nigdy liczby dzieł, które podstępem opuściły Luwr. Mnie samemu czasem wydawało się, że widzę, jak muzeum na moich oczach się rozpada, a co dzień nowe pustki zadziwiały mnie i smuciły. Swoją drogą woźni w Luwrze są jedyni w swoim rodzaju...

Zaproszony do redakcji jako ekspert konserwator starożytności Luwru, pan Pottier, nie przeczył, że statuetki, które mu pokazano, pochodzą z jego działu. Sprostował tylko, że nie są to dzieła fenickie, ale staroiberyjskie, mało znane, mogące jednak zainteresować specjalistów swą barbarzyńsko-archaiczną wymową. Restytucje statuetek nastąpiły 29 sierpnia i 6 września. 7 września sprawca kradzieży, już z zagranicy, przysłał do redakcji list, w którym protestował przeciwko pewnym sformułowaniom, jakie napotykał w dziennikach, i szeroko cytował Villona. Wyprowadzona z równowagi policja zdwoiła starania, zwłaszcza że sprawa statuetek dawała jej nowe punkty zaczepienia. Ktoś doniósł, że sprawca kradzieży, rzekomo Rosjanin, miał wspólnika tej samej narodowości, u którego skradzione przedmioty były zdeponowane i który pośredniczył w pertraktacjach z *Paris-Journal.* Władze doszły do przekonania, że są na tropie groźnej międzynarodowej bandy, która postawiła sobie za cel grabież francuskich muzeów. 9 września zakomunikowano, że tajemniczy wspólnik został wykryty i aresztowany. Gdy okazało się, że ma nim być Guillaume Apollinaire, wybuchł skandal.

„Podobno gdy złodziej opuścił Paryż — pisał *Paris-Journal* — policja z zaskakującą gorliwością aresztowała człowieka pióra, krytyka sztuki, współpracownika *Mercure de France, Matin, L'Intransigeant, Paris-Journal,* pana Wilhelma Kostrowickiego, zamieszkałego w Grenelle przy ulicy Gros 37.

Otóż pan Kostrowicki, znany w świecie literatury i sztuki jako Guillaume Apollinaire, nie jest Rosjaninem, ale Polakiem.

Kariera literacka Guillaume'a Apollinaire należy do najpiękniejszych w jego generacji. Debiutował on w *Revue Blanche,* gdzie między rokiem 1901 a 1903 ogłosił pierwsze swe opowiadania. W tymże okresie uczestniczył w wieczorach literackich *La Plume,* gdzie związał się przyjaźnią z najlepszymi pisarzami epoki. W rok potem wraz z grupą młodych poetów założył *Le Festin d'Esope.* Stworzył wiersze, które ma zamiar zebrać w tomie *Eau-de-vie;* wydał powieść fantastyczną *L'Enchanteur pourissant* i uwieńczony sukcesem tom opowiadań *L'Heresiarque et Cie,* jak również *Le Bestiaire,* tom poezji ilustrowanych przez Raula Dufy; pracuje ponadto nad historią włoskiego teatru, a także nad reedycjami dzieł szczególnie rzadkich, które zaopatruje w noty o dużej wadze krytycznej."

Ze spontanicznymi protestami, które nie przestawały napływać do redakcji, połączył się list protestacyjny sprawcy kradzieży, nadesłany z Frankfurtu i opublikowany przez niezawodny *Paris-Journal*. List był podpisany:

„Baron Ignace d'Ormesan"

— tytułem i nazwiskiem jednego z bohaterów *Heretyka i spółki*.

Przesłuchanie Apollinaire'a odbyło się 12 września po południu. Na pytanie, jak zawarł znajomość z Géry-Piéret, alias Baronem Ormesan, Apollinaire uśmiechnął się. Przyjaciele znali pono ten uśmiech — pobłażliwy i pełen dobroci.

— Najprościej w świecie — odpowiedział — było to w roku 1905, 1906. Pracowałem wówczas w *Journal des Rentiers*. Géry był moim podwładnym. Potem został odprawiony. Odprawiony również z następnego miejsca pracy wrócił do Belgii, swego kraju rodzinnego, gdzie jego ojczym, pan Hayerman, był prokuratorem.

Apollinaire zeznaje dalej, jak Piéret po różnych przygodach znowu pojawił się w Paryżu, jak opowiedział mu o kradzieży statuetek, jak na perswazje roześmiał się w nos. Zniecierpliwiony Apollinaire dał mu w końcu na odczepne adres przyjaciela — malarza. W kwietniu 1911 r. Géry ponownie wrócił do Francji i znów poinformował poetę o swej nowej wyprawie do Luwru. Co gorsza, po jakimś czasie zjawił się u niego z walizką w ręku, prosząc o schronienie. Apollinaire protestował energicznie, ale Piéret zauważył w przedpokoju składane łóżko.

— Zostawiła mi je matka, na wypadek gdybym przyjmował kogoś z rodziny, przyjaciela czy wreszcie przyjaciółkę. Dałem się ubłagać raz jeszcze.

W ten sposób Géry został sekretarzem Apollinaire'a. Chodził po zakupy, znosił różne informacje i opowieści. Apollinaire wyprosił go jednak ostatecznie, gdy ten zaczął rozwijać przed nim zuchwałe plany włamania do sąsiada. 2 września Piéret przyszedł się pożegnać. Szczęśliwy Apollinaire dał mu 160 franków i następnego dnia osobiście odprowadził na Gare de Lion.

— Czy pan przyznaje się do przechowywania, ze świadomością jej pochodzenia, trzeciej ze skradzionych statuetek w czasie od 14 czerwca do 21 sierpnia?

— Oczywiście. Była przecież w walizce Piéreta. Przechowywałem wszystko: człowieka, walizkę i statuetkę w walizce. I proszę mi wierzyć, wcale nie byłem tym potrójnym bagażem zachwycony.

— Tyle pobłażliwości zadziwia.

— Spróbuję to wytłumaczyć. Piéret był trochę moim dziełem. Zrobiłem z niego, po uprzednich studiach nad tą umysłowością tak barwną i tak ciekawą, bohatera jednej z moich ostatnich nowel w *Heretyku*. Zostawić go na ulicy byłoby literacką niewdzięcznością.

— A co pan sądzi o jego liście?

— Jest zabawny.

— Mówi się, że nabył pan ostatnio zamek w Drôme.

— I jeszcze o zamku w Hiszpanii. Ileż, niestety, widziałem tych rozpadających się zamków!

— Pewien list sygnalizuje mi, że pożyczył pan od pana B., dawnego szefa gabinetu, dwie książki, w tym *La Cité gauloise*, których pan mu jeszcze nie zwrócił?

— Pożyczono mi je niewątpliwie do przeczytania. Otóż jeszcze ich nie przeczytałem. Zwrócę, jak tylko będę mógł.

Na tym przesłuchanie zakończono. Po pół godzinie poeta został zwolniony, a w kilka miesięcy później sprawę uznano za niebyłą.

Nazajutrz po uwolnieniu Apollinaire opublikował w *Paris-Journal* artykuł *Moje więzienie*, gdzie dziękując wszystkim, którzy okazali mu pomoc i sympatię, opisał w słowach prostych i bezpośrednich swoje przygody od chwili, gdy zamknęły się za nim wrota La Santé, aż do momentu, gdy w blasku reporterskich reflektorów, mnąc w kieszeni krawat, z którym nie umiał sobie poradzić, znalazł się znowu wśród przyjaciół. Poeta szczegółowo analizował więzienne posiłki przyznając, że były smaczne, choć skromne. Jedyną lekturą, jakiej mu dostarczono, był Mayne Reid, który mimo pewnych nieprawdopodobieństw wydał mu się pisarzem godnym uwagi. Najsilniejsze wrażenie wywarł na nim napis wyskrobany w farbie żelaznego łóżka:

„Dédé z Ménilmontant za morderstwo".

Milsze mu były jednak naiwne wiersze pozostawione tamże przez więźnia, który podpisał się:

„Myriés le Chanteur".

Jeszcze poprzedniego dnia, razem z relacją z przesłuchania, *Paris-Journal* zamieścił krótką nowelę Apollinaire'a *La Favorite*. Autor przenosi czytelnika w okolice Monaco:

„Niewidzialny kat nurzał we krwi popołudnie. Dwaj ludzie dźwigający nosze pocili się i dyszeli. Od czasu do czasu odwracali się ku uciętej szyi słońca i przeklinali je, zaciskając oczy..."

*

Pojedynkującemu się poecie stawiano za wzór apasza, apasz stawał się poetą zbrodni, lotnik szukał ryzyka, sławy i pieniędzy z niedbałym zuchwalstwem bandyty. Kat był osobą szanowaną, oficer — oprawcą, komisarz policji — sutenerem. Aktorka świadomie narażała się na to, że traktowano ją prawie jak prostytutkę, pisarz-dziennikarz z właściwym sobie wdziękiem dzielił los złodzieja. Dzieło sztuki, którego szczególna rola polegała na utrzymywaniu wysokiego gabarytu martwej wzniosłości, jałowego kultu dla imponderabiliów, jakiegoś tam niby-uczestnictwa w najwyższych wzlotach cudzej myśli i cudzego odczuwania, znikało z dnia na dzień z muzealnego sanktuarium. Wszystko było możliwe — zniknięcie *Mony Lizy* i wiele innych rzeczy. Oczywiście, wszystko to mogło się zdarzyć dziesięć lat wcześniej albo dziesięć lat później; wszystko prócz może zainteresowania, jakie pewien malarz okazał kilku zapomnianym w tymże muzeum iberyjskim kamieniom.

Wcześniej czy później — takie właśnie fakty, oglądane z zewnątrz, świadczą o swoim czasie, rozświetlają go przypadkowym blaskiem jak meteory przeglądające się nocą w szerokiej, ciemnej rzece.

I gdyby tylko o to chodziło, można by z powodzeniem z jednej Apollinairowskiej metafory wyprowadzić zupełny obraz lat, poprzez które metafora ta dążyła ku swemu ostatecznemu miejscu i uformowaniu. Wszystko informuje o wszystkim: przenośnia poety, wiadomość o sensacyjnej kradzieży, sprawozdanie sądowe, teatralna recenzja, uwagi pani Magdy o modzie — „o jakże głę-

bokie są w trefieniu warkoczy prawdy historyczne". Trzeba mieć tylko odpowiedni kod, a o to nie jest tak trudno.

Ale przecież nie dlatego tyle się zdarzało *au jour le jour*, żeby przykładnie ilustrować historię. Każde z opowiedzianych tu wydarzeń miało własne swoje racje, własną konsekwencję, własne rozwiązanie. Historia po swojemu je warunkowała, ale ich nie tworzyła.

Tworzyli je ludzie, z których każdy stawał się aktorem wybranej przez siebie sprawy. Decyzja musiała być ściśle osobista, ryzyka nie dzieliło się z nikim.

Anatol Deibler był człowiekiem spokojnym, nie narzucającym się, prawie dystyngowanym. Miał swoją dzielnicę, swój klub cyklistów, przyjaciół od leniwych, mało znaczących pogawędek przy kontuarze, żonę, z którą odbywali długie rowerowe wycieczki. Rodzice zapewnili mu średnie wykształcenie handlowe, Deibler rzucił jednak pomyślnie rozpoczętą praktykę, by powrócić do zawodu swojego ojca. Nie sądzę, żeby to była sprawa dziedziczności. Nie byłbym może starał się go rozumieć, gdybym niedawno, w matissowskim Collioure, małym miasteczku pod Pirenejami, nie usłyszał w niedzielne popołudnie długiego, zwycięskiego okrzyku tłumu na niewielkiej lokalnej arenie. Pomyślałem wówczas, że zachodzi coś nieuniknionego, gdy człowiek, stając na moment poza zwykłym porządkiem rzeczy, wraca do zamierzchłego obrządku, staje się kapłanem dokonującym ofiary oczyszczenia przez krew, gdy zabijając daje rytualne zadośćuczynienie głuchej potrzebie gwałtu na naturze świata. Rzecz prosta, tłum musi przyjąć ofiarę, musi ona odpowiadać jego ukrytej woli i oczekiwaniom. Zawód torreadora, zawód kata jest zawodem niebezpiecznym, grą, którą prowadzi się nie tylko z ujarzmianą bestią, ale także z widownią. Wymaga zdecydowania, zręczności, doświadczenia. Deibler wiedział, że doprowadzenie skazańca musi mu zająć pół minuty, przygotowanie następnej egzekucji — też tylko pół. Nie darmo jego odległych poprzedników nazywano mistrzami. Czasem zresztą przegrywał. Przy egzekucji Liabeufa tłum przyznał rację zabijanemu i ofiary nie przyjął.

Ponosząc ryzyko gry kat nie ponosi ryzyka życia. Stąd pewna dwuznaczność jego pozycji, mieszanina szacunku i, pomimo wszystko, pogardy, która mu towarzyszy i z której on zdaje sobie sprawę. Dlatego Deibler był ostrożny i w zwykłych stosunkach z ludźmi nie przeciągał struny, nie dopuszczał większej poufałości.

W wypadku Liabeufa chciałbym zwrócić uwagę na jego kostium. Jean Jacques Liabeuf zeznał, że obmyślał go długo i starannie, jeszcze w więzieniu. Potem sporo czasu zajęło mu wyszukanie odpowiednich surowców, wycięcie i dopasowanie mankietów, żmudną pracę nitowania jednego przy drugim długich, zaostrzonych kolców. Włożył w to wszystkie swe umiejętności zręcznego rzemieślnika. Nie pominął żadnego szczegółu. Miał zapas kul, nóż dobrany do ręki; nie zapomniał o kryjącej oręż pelerynie, którą w decydującym momencie odrzucił gwałtownym, ale wystudiowanym ruchem na plecy. Do zagrania swej jedynej, a zarazem ostatecznej roli Liabeuf przygotowywał się sam, sam

układał rytuał swego wystąpienia. Nie miał usłużnych sekundantów, nie miał gotowych wzorów. Agenta, który go obraził, nie mógł wyzwać zwyczajowo na szpady, ale też nikt nie musiał mu przypominać, że w honorowym spotkaniu chodzi o krew. To, co w innych okolicznościach było prostym, złagodzonym protokolarnymi obwarowaniami zabiegiem, w jego wypadku było pełnym świadomym poświęceniem tej jedynej własności, jaką dysponował — własnego istnienia. Co zyskiwał? Podziw kochanki? W momencie ogłaszania wyroku, gdy ta, stojąc na ławce w białym staniku i niebieskiej spódnicy, obu rękoma posyłała mu pocałunki, nawet na nią nie spojrzał. Pamięć dzielnicy, salwę rewolwerową, która powitała go na szafocie? Zapewne. Ale wówczas i to było już poza nim. Nie chciał wiedzieć, kim był. Wołał, kim nie był. Czyn jego stanowił dojrzały akt wzniesienia się ponad własną egzystencję, ponad rzeczywistość, która go więziła, upokarzała, obrażała.

Liabeuf z kolcami u ramion, atakujący i niedostępny, był wolnym, nadrealnym tworem własnej wyobraźni. Rozgrywając swoją sprawę, przekraczał granice ustanowione przez wrogi mu porządek, tworzył porządek własny, być może złudny, dla niego jednak istotny.

Regina Badet nie szafowała życiem, ale i ona również decydowała się na wiele. W zasadzie nie różniła się od innych kobiet. Lubiła się ubierać, znała się na tym, wiedziała, jak się podobać. Na scenie wszystko to przestawało mieć dla niej znaczenie, tak przynajmniej mówiła, i myślę, że nie mamy powodu jej nie wierzyć. W imię swej roli, swej koncepcji aktorstwa, ryzykowała konflikty z policją, używała podstępów. Wszystkie środki były dla niej dobre. Gdyby miała zabić i gdyby to było możliwe, zabijałaby, zabijałaby co wieczór. Polemizująca z nią Truchanowa twierdziła, że nikt nie potrafi zmusić aktorki do wystąpienia nago, jeżeli sama tego nie zechce. Autor i tekst sztuki, dyrekcja, publiczność — nie mają tu nic do powiedzenia. Jest tyle sposobów, żeby ominąć, zamarkować, zastąpić aluzją kłopotliwą sytuację. Truchanowa wierzyła w sceniczną konwencję, teatr nie miał dla niej nic wspólnego z rzeczywistością; w gruncie rzeczy maskowała się, kłamała.

Wielką współczesną aktorkę, Jeanne Moreau, zapytano kiedyś, czy nie ciąży jej wyrażanie uczuć, które wynaleźli inni, interpretowanie tekstów, które inni napisali, czy nigdy nie miała ochoty wypowiedzieć słów, które by były jej własne.

— O nie! Nigdy!

— Dlaczego?

— Ponieważ nie byłabym w stanie. Wolę być kimkolwiek innym niż sobą.

Na pytanie, czy przy kręceniu filmu nie peszą jej pewne sceny, na przykład sceny z rozbieraniem się, odparła, że w rozbieraniu się przed obiektywem nie widzi nic nieprzyzwoitego. Mówiła natomiast, że jeżeli coś jej sprawia trudność, to konieczność p r z e j ś c i a s i e b i e s a m e j, moment, w którym trzeba skoczyć wzwyż metr 18, gdy normalnie skacze się metr 15: zmusić własną twarz do wyrażenia czegoś, co nie leży w jej naturze, co ma ona zarejestrować, prowokowana ową inną, nie własną koniecznością.*

* *L'Express*, r. 1960, nr 463.

Przejść siebie, stać się kimś innym — za to się płaci; mówiła o tym również Regina Badet. O to jednak i wyłącznie o to chodzi naprawdę. Moment ekshibicji jest tylko odwrotną stroną nieporównanie bardziej istotnego momentu przemiany.

W przypadku Deiblera, w przypadku Reginy Badet uważnemu obserwatorowi nie może nie narzucić się wspólny im wszystkim podstawowy schemat sytuacyjny.

We wszystkich trzech wypadkach mieliśmy do czynienia:

(1) z aktorem, który decyduje się przyjąć na siebie określoną rolę;

(2) z widownią, która aktora w jego roli obserwuje i ocenia;

(3) z aktem przekroczenia, który należy do istoty roli.

Przekroczenie — pojęcie to wziąłem od Georges Bataille'a * — wychodzi widowni naprzeciw. Widownia w nim uczestniczy, znajduje w nim rozwiązanie nurtujących ją, nie wypowiadanych w normalnych okolicznościach potrzeb i oczekiwań. Mimo to aktor dokonujący przekroczenia ponosi duże ryzyko. Ryzykuje mianowicie konflikt, jaki musi powstać między nim a współczynnikiem zakłamania, który w zwykłych warunkach stoi na straży normalnego porządku rzeczy.

Przedarcie się przez ową szczególną zasłonę wymaga od aktora chwilowego ujawnienia się w postaci, która normalnie nie istnieje, której sprzeciwiają się panujące nawyki i obyczaje, sprzeciwia cała jego codzienna egzystencja. Możemy to nazwać koniecznością ekshibicji.

Aktor to ryzyko i tę konieczność przyjmuje. Własna egzystencja nie jest dla niego czymś, do czego przywiązywałby wagę istotną. Nie widzi w niej nic ciekawego. Nuży go, niecierpliwi, w pewnych zaś wypadkach — obraża. Dlatego chętnie uczyni z niej stawkę w grze, którą podejmuje. W ten sposób aktor staje się gotowy do zanegowania rzeczywistości, która go więzi. Akt przekroczenia jest dla niego widomym znakiem zwycięstwa, które osiągnął, oznacza moment wyzwolenia, które jednak — dodajmy tutaj — nie jest wyzwoleniem realnym, wyzwoleniem trwałym. Żeby się wyzwolić, aktor musiał na moment stać się kimś innym, musiał jako ktoś inny stanąć ponad i poza tym wszystkim, co go realnie warunkuje. Gdy wraca, pozostaje mu już tylko ponoszenie wszystkich życiowych konsekwencji udanego lub, jakże często, nieudanego wzlotu.

Widownia współuczestniczy w akcie przekroczenia w sposób pozbawiony na ogół ryzyka i tych konsekwencji, które są udziałem aktora. Jest to współuczestnictwo bierne, rodzaj zbiorowego czy indywidualnego informowania się, informowania w najszerszym zresztą tego słowa znaczeniu: przez percepcję samego przebiegu i towarzyszących mu okoliczności, przez mniej lub więcej głębokie pojmowanie sensu wydarzenia, przez silną reakcję emocjonalną i wreszcie — przez mniej czy więcej spontaniczną ocenę, połączoną z reakcją zewnętrzną, w której się ona ujawnia.

Typ informacji, z którą mamy tu do czynienia, nazwałbym informacją inicjującą względnie — co na jedno wychodzi — inicjacyjną.

Inicjującą, gdyż, jak widzieliśmy, wynika ona ze swobodnej decyzji, swobodnej inicjatywy aktora, jest realizacją jego szczególnej, pozostają-

* Georges Bataille: *Lascaux ou la naissance de l'art.* Skira 1955. Por. również Georges Bataille: *La littérature et le mal.* Paris 1957.

cej poza zwykłymi normami postępowania, koncepcji wolnego działania, które przekracza normalne, dozwolone na codzień granice.

Inicjacyjną, gdyż udział w takiej demonstracji jest rodzajem wtajemniczenia, w wyniku którego widz przeobraża się wewnętrznie, czasem na chwilę i powierzchownie, czasem w sposób znacznie bardziej istotny i trwały.

Akt przekroczenia — trzeba to podkreślić ze szczególnym naciskiem — jest aktem, który niezwykle silnie angażuje emocje zarówno aktora, jak widowni. Nad uczuciami pozytywnymi, które być może nie są w nim nieobecne, biorą przy tym zdecydowanie górę pasje, które zwykliśmy uważać za destruktywne — uczucia nienawiści, pogardy, lekceważenia. Nienawiści do naturalnego porządku świata, do więzów, które porządek ten nakłada, do człowieka — ślepego, ograniczonego tworu natury i panujących warunków; pogardy dla pozorów, którymi się tę zasadniczą ułomność na codzień odkrywa; lekceważenia dla samego siebie, dla własnego istnienia, związanego przynależnością do świata, którego się nie wybierało.

Potężny ten żywioł drąży sobie kanały gdzie może i jak może. Alkoholizm, wszelkiego rodzaju zboczenia seksualne, dorywczy czy praktykowany metodycznie sadyzm, zwrócone przeciwko rzeczom i instytucjom akty frustracji — dowodzą tego w sposób aż nadto oczywisty. I nie łudźmy się, że są to zjawiska wyjątkowe. Ileż „małego sadyzmu" obserwować możemy w codziennym stosunku pracodawcy do pracownika, wydawcy do autora, nauczyciela do ucznia, jakże subtelną demonstracją „małego sadyzmu" może być każdy uniwersytecki egzamin. Do podobnej kategorii należą rozpowszechnione dzisiaj przejawy tak zwanego chuligaństwa, budzące mieszane uczucia grozy i współczucia dla jednostronności „młodych gniewnych ludzi", których nie nauczono, jak można swym słusznym gniewem kierować.

Przed żywiołem tym, który bezustannie podmywa fundamenty społeczeństwa, broni się ono szczególną bronią, jaką jest rytualizacja niektórych przynajmniej jego manifestacji. W ten sposób zabójstwo staje się egzekucją, rozprawa z wrogiem — pojedynkiem, ekshibicja — teatralnym spektaklem. Istotny stosunek: aktor — widownia — przekroczenie, pozostaje w tych wszystkich wypadkach nie zmieniony, zmieniają się jednak pewne ważne dla społecznego porządku okoliczności. Aura rytualnej wyjątkowości, powaga i dostojeństwo inicjacji — regulują bieg i nasilenie żywiołowych procesów.

Kiedyś rytualizacja łączyła się z sakralizacją. W ten sposób rodziły się mity i liturgie. Proces ten bynajmniej nie jest zakończony. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy mieli okazję uczestniczyć w brazylijskiej makumbie, gdzie pewne strony analizowanych tu zjawisk występują z uderzającą jasnością. Na ogół jednak, w miarę jak pierwiastkowy sens religijnych podań i obrzędów ulegał coraz dalej idącemu zatarciu (co wiązało się zapewne z rosnącą rolą instytucji religijnych w życiu normalnym), coraz większej wagi nabierać zaczęły inne, usamodzielniające się stopniowo sposoby zrytualizowanego przekraczania normalności, prowokowania natury, stawania się kimś innym. Szerokie pole dawały tu z jednej strony różne odmiany gry i agonistyki, z drugiej — ten rodzaj informacji inicjującej, który zawarty jest w poezji, muzyce, sztukach plastycznych.

Wróćmy do lat, z których czerpiemy konkretny wątek opowieści, i zauważmy, jak dalece podstawowy schemat: aktor — widownia — przekroczenie, warunkował wyczyny i brawurę pierwszych lotników. Celem każdego z nich, ich rolą, było manifestacyjne przekraczanie progu, jaki natura ustanowiła pomiędzy człowiekiem a jednym z odwiecznych pragnień jego wyobraźni. Przelecieć morze, góry, wznieść się nad miastem, osiągnąć rekordowy pułap, czas, odległość — to nie była sprawa zwykłego technicznego sprawdzianu. Słowa „maszyna cięższa od powietrza", które triumfalnym refrenem powtarzają się w sprawozdaniach z kolejnych sukcesów Blériotów, Lathamów, Lambertów i innych, były nagrodą widowni za każdy nowy spektakl podniecającego zwycięstwa. Stawka własnego życia, cena płacona jakże często za gwałt zadawany naturze — łączyły się u lotnika z chłodnym, jeśli nie lekceważącym stosunkiem do własnego istnienia. Pierwsi lotnicy podkreślali przy każdej okazji, że awiacja jest sportem całkowicie bezpiecznym, byle tylko nie robić głupstw. To także należało do roli człowieka-ptaka, swobodnego pogromcy powietrznych obszarów. Przed oderwaniem się od ziemi lotnik nakładał sportowy garnitur i ochronne okulary. Trudno powiedzieć, ile w tym było praktycznej potrzeby, a ile owej nonszalanckiej „elegancji", o której pisał Bailby, elegancji aktora, który komponuje rytuał swego wystąpienia.

W każdym razie — tak to było odbierane. Dowód, który przytoczę, być może nieoczekiwany, posłuży do dalszego, ostatniego już rozszerzenia pola relacjonowanych tu analogii i związków.

Chodzi o krótki artykulik z roku 1911, w którym André Salmon jako sprawozdawca artystyczny *Paris-Journal* po raz pierwszy prezentował czytelnikom swojej gazety Pabla Picasso.

„Gościnny i kpiący Picasso, ubrany jak lotnik, jednakowo obojętny na pochwały i na krytykę, pokazuje nam w końcu swoje obrazy, których poszukują kolekcjonerzy, a których on przez właściwą sobie kokieterię nie wystawia na żadnym salonie."

Ubrany jak lotnik — w tym jest i cała epoka, i chyba więcej. Przytoczę jeszcze jedno echo tego kostiumologicznego szczegółu. W roku 1960 rozmawia ze współpracownikiem *Arts* Dunoyer de Segonzac, malarz kiedyś bardzo ceniony, dziś zdystansowany przez bieg wydarzeń, który przybrał kierunek dla niego samego raczej niemiły. Segonzac jest trochę zgorzkniały, trochę obrażony, wspomnienia jego są nieco cierpkie. Opowiada o wielkiej wystawie Matisse'a u Bernheima w roku chyba 1910 — tej samej, którą André Salmon pokwitował był w *Paris-Journal* jak następuje:

„Mamy prawo przypuszczać, że Henri Matisse woli od głębokich poszukiwań mniej lub więcej ładne rezultaty błyskotliwej powierzchni. Do jakiejże negacji taki mistrz prowadzi swych uczniów? I zaiste, powstaje pytanie, czy długo jeszcze będzie mu dane cieszyć się cierpliwym respektem piewców swej chwały."

W pięćdziesiąt lat później Segonzac opowiada, jak Matisse z kąta sali obserwował przez złote binokle zwiedzających:

„Nagle weszło czterech zuchów w sportowych koszulkach i kaszkietach. Odziani w palta z grubej szkockiej wełny robili wrażenie bokserów albo trenerów. Ktoś mruknął: „Stajnia Kahnweilera". Byli to Derain, Braque, Picasso i Vlaminck, który jeden nosił melonik. Obeszli salę kołyszącym się

krokiem, zatrzymując się na kilka sekund przed każdym obrazem i słowa nie mówiąc. Potem wyszli w kierunku ulicy Richepanse, nie rzuciwszy Matisse'owi nawet spojrzenia. Obserwowałem jego widoczne poruszenie. Zobaczył generację, która wstępowała, tak różną od poprzedniej, tak odległą od Bonnarda, Vuillarda, Odilon Redona, artystów lękliwych, dyskretnych i zniuansowanych. Pasiasta koszulka zastąpiła fantazyjną kokardę, kaszkiet wziął górę nad szlachetnym, miękkim kapeluszem, zwanym, o ile pamiętam, *le frivole*. To było wejście ludzi »twardych«. Zapowiadała się estetyczna rewolucja."*

Rzeczownik *le dur* — twardy oznacza w paryskim argot po trochu apasza, bandytę, sutenera o szczególnej sile i autorytecie. Gdy taki wchodzi do lokalu, wszyscy milkną. Nieprzypadkowo tu właśnie krąg się zamyka. Wejście ludzi „twardych" oznaczało decyzję sięgnięcia do dna, odnowienia pierwiastkowych, inicjacyjnych funkcji sztuki — w tym sensie, jaki starałem się tutaj zaanonsować. Twierdzę bowiem — i twierdzenie to będę się starał na konkretnym materiale uzasadnić, że przy wszystkich funkcjach, jakie zdarzało jej się spełniać, sztuka w swej odnawiającej się ciągle istocie jest inicjacją. W materii sobie właściwej — materii informacyjnego przekazu — podejmuje ona, wciąż na nowo, tę samą gniewną próbę wolności, która cechuje gatunek ludzki we wszystkich momentach jego historii.

Dlatego się nią interesuję. Mało obchodzi mnie sztuka, która zapomina o swojej funkcji istotnej. W ogóle mało obchodzi mnie sztuka. Równie dobrze mógłbym się zajmować kryminalistyką albo religioznawstwem. Podzielam w pełni opinię Beniamina Péret, który pisze:

„Nie zgodzę się ani na chwilę, żeby język plastyczny oddzielać od życia, które wyraża się poprzez język w ogóle. Bylibyśmy wówczas zmuszeni przyjąć rosnącą liczbę języków pozbawionych wszelkiej interkomunikacji, liczbę światów zwiększającą się bez przerwy, dążącą do nieskończoności, światów bardziej sobie obcych i bardziej od siebie odległych aniżeli Ziemia od Jowisza czy Plutona, co oczywiście nie wytrzymuje krytyki. Gdyby tak było, każdy musiałby mówić tylko do siebie — językiem głuchych. Trzeba więc, żeby język plastyczny był sprowadzalny do języka w ogóle, a zatem, żeby się w nim zawierał." **

Jak to już wspomniałem, swoją pasjonującą grę z rzeczywistością sztuka prowadzi w sferze dosyć szczególnej, w sferze informacyjnego przekazu. Materią jej jest znak w stanie, powiedzmy, czystym. Porachunki jej są porachunkami znaczeń, co ma oczywiście swoje życiowe konsekwencje, ale co nie implikuje tego odwetu rzeczywistości, jakim jest realnie rozlana krew, realnie zaatakowane ludzkie istnienie. Dzięki temu sztuka wznosi się ponad rzeczywistość z większą śmiałością i bardziej chyba skutecznie. A jeżeli — z drugiej strony — wymaga ona od aktora-artysty stawki własnego czasu, spokoju, własnej n o r m a l n e j egzystencji, to jednak nie żąda, żeby spadał z wysokości kilku tysięcy metrów i skręcał sobie kark, albo żeby szedł pod gilotynę. Dlatego z punktu widzenia społecznego sztuka jest jednak niezastąpiona.

* *Arts*, r. 1960, nr 776.

** Beniamin Péret: *La soupe désydratée. Almanach surrealiste du demi-siècle. Numero spécial de La NEF, mars-avril 1950.*

Chodzi o to, powtarzam raz jeszcze, żeby była skuteczna. Żeby brała stronę życia, a nie kłamstw i pozorów. Żeby rzeczywiście stanowiła b a r i e r ę, zgodnie z pięknym powiedzeniem Maksa Jacoba.

O tej społecznej skuteczności należałoby rzec jeszcze słów kilka. Sugeruję, że sztuka jest czy też powinna być próbą wolności, inicjowaniem wolności, wtajemniczaniem tych, którzy pozostają tylko widzami, w jej nieprostą istotę. Istnieją jednak dwie drogi do wolności. Jedna ta, o której szeroko była tutaj mowa. Jest to droga jednostkowych wzlotów i nieuniknionych jednostkowych powrotów. Droga ta może prowadzić wysoko, nigdy jednak nie prowadzi daleko. Druga droga, którą wybierali strajkujący paryscy robotnicy, walczący o żołnierza z Biribi francuscy intelektualiści, wstrząsane przewrotami kraje od Paryża odległe — jest drogą daleką i tym samym powolną. Nie sądzę, żeby te dwie drogi były sobie obce. Przeciwnie, uważam, że są sobie wzajemnie potrzebne, a jeżeli nawet dochodzi między nimi do konfliktów, konflikty te nie mogą być istotne i trwałe.

Na wyrażeniu tego przekonania i ukrytej w nim nadziei należałoby ten rozdział zakończyć. Pozostają mi jednak jeszcze do zrelacjonowania dwa wydarzenia, bez czego sprawy zniknięcia *Mony Lizy* nie mógłbym uważać za wyczerpaną.

Wydarzeniem pierwszym jest pewne odkrycie archeologiczne, dokonane w roku 1911. Wiadomość o nim dotarła do prasy codziennej z opóźnieniem, bo dopiero na początku roku następnego, gdy na posiedzeniu Académie des Inscriptions et Belles Lettres Camille Julian, profesor Collège de France, przedstawił ostatnie wyniki prac wykopaliskowych, prowadzonych przez doktora Gastona Lalanne z Bordeaux w grocie Laussel, niedaleko znanej prehistorykom miejscowości Les Eyzies.

Prehistoria była wtedy nauką bardzo jeszcze młodą. Zaledwie dziesięć lat mijało od głośnego artykułu Carthillaca *Altamira — Mea culpa, dit un sceptique* w *L'Antropologie*, gdzie autor, dzielący przez długie lata wraz z całym ówczesnym światem naukowym niewiarę w możliwość istnienia sztuki jaskiniowej, przyznawał, że nie miał racji i że malowidła Altamiry są jednak z całą pewnością autentyczne. Od kongresów w Perigueux i w Clermont-Ferrand, na których młody abbé Breuil stoczył pamiętną „batalię oriniacką" i ostatecznie ustalił właściwą kolejność wielkich kultur młodszego paleolitu, upłynęło niecałe lat pięć. Tym niemniej źródła najdawniejszej sztuki wciąż jeszcze były niejasne i tylko nieliczni fachowi czytelnicy francuskich i niemieckich roczników antropologicznych wiedzieli coś niecoś o małych figurkach kobiecych z Brassempouy, Mentony i Willendorfu, które wyprzedzały w czasie wspaniałe malowidła i ryty zwierząt odnajdywane w otoczonych świeżą sławą grotach południowo-francuskich i hiszpańskich.*

Na znalezisko doktora Lalanne składało się kilka bloków skalnych prawie

* Herbert Kühn: *L'éveil de l'humanité*, Paris 1956; Christian Zervos, *L'art de l'époque du renne en France, avec une étude sur la formation de la science préhistorique par Henri Breuil*, Paris 1959.

półmetrowej wysokości. W każdym z bloków mieścił się głęboko cięty relief o powierzchni modelowanej mniej lub więcej sumarycznie, zawsze jednak bardzo wyraziście. W nierównościach modelunku zachowały się ślady czerwonej ochry, którą reliefy zostały przed wielu tysiącami lat pokryte. W resztkach rytualnego barwika wracały teraz do życia: naga postać kobieca z prążkowanym rogiem bizona w ręku, postać mężczyzny w skręcie przywodzącym na myśl miot oszczepem, przedstawienie łani, postać kobieca z głową zakrytą włosami, jeszcze jedna postać kobieca trzymająca w ręce kamienną lampę i jeszcze jeden dziwny dwupostaciowy układ, który kojarzył się z aktem kopulacji czy też ze schematycznym wyobrażeniem połogu. Uwagę przyciągała przede wszystkim pierwsza postać kobieca, najokazalsza, najbogaciej wypracowana.

„Wenus z Laussel" — pisały na pierwszych kolumnach gazety.

I jej twarz także nie była widoczna. Głowę miała odwróconą w bok, ledwo zarysowaną, przesłoniętą zaznaczonym ogólnikowo płaszczem włosów spadających na lewe ramię. Wielkie, ciężko zwisające piersi, szeroki brzuch, rozrośnięte, otłuszczone biodra były za to wymodelowane ze szczególną starannością. Efekt przerastającej naturalne rozmiary obfitości potęgowała jeszcze krótkość nóg o drobnych, prawie nie istniejących stopach. Kim czy czym była ta nosicielka tajemnicy życia, płci, rozmnażania, w imię czego czy przeciwko czemu została stworzona, jakie wtajemniczenia uświęcała swą obecnością — tym miały się zająć wyspecjalizowane w stawianiu i obalaniu kolejnych hipotez naukowe dyscypliny. Naprawdę istotny był sam powrót znaku, jego nieumniejszona przez czas, milcząca gotowość do dania informacji właściwej. Nowa ta obecność, jak przed pięciu laty obecność paru wyniesionych z Luwru głów iberyjskich, jak od pewnego czasu obecność przywożonych z Afryki i Oceanii rzeźb i masek, zastąpić miała blady uśmiech Giocondy, który od czterech wieków sprawował rządy w królestwie sztuki.

Ta nagła mobilizacja całej przeszłości artystycznej człowieka nie powinna nas zaskakiwać. W niej także zapowiadało się, czy już nawet spełniało odnawiające przekroczenie. Każde bowiem przekroczenie jest zarazem powrotem do źródeł — podjęciem funkcji, w której człowiek przed dziesiątkami, jeśli nie setkami lat odnalazł się i określił po raz pierwszy.

Wydarzenie drugie wiąże się nie z procesem ożywania przeszłości najbardziej odległej, ale z procesem zamierania utrzymującej się jeszcze do tego momentu teraźniejszości.

1 października 1911 roku dzienniki doniosły o wybuchu wojny turecko-włoskiej, w której chodziło o Trypolitanię. Rzecz jasna wojny bywały zawsze. Niemniej koniec wieku dziewiętnastego i początek dwudziestego widział tylko wojny dalekie. Wojna rosyjsko-japońska 1904—1905 także była wojną daleką. Wojna o Trypolis toczyła się na przedpolu Europy, Turcja była państwem europejskim. Poza tym wojna o Trypolis wynikła z europejskich rozgrywek. Szeroko pisano o tym, że Włochów zdopingował niemiecki manewr w Maroku: Gdy zanosiło się na nowy podział karty Afryki, nie chcieli zostawać w tyle. Z drugiej strony uderzenie na Turcję poruszało Bałkany, zmiany na Bałkanach angażowały antagonizm austriacko-rosyjski. Pierwsza wojna

światowa zaczęła się właściwie w Trypolitanii i odtąd wiek dwudziesty stale już żył w obecności wojny: grożącej, toczącej się, zakończonej, grożącej znowu. Obecność ta nie warta byłaby wzmianki, nie można jednak o niej nie wspomnieć, skoro stanowiła cechę charakterystyczną warunków, przeciwko którym zwraca się wolne działanie człowieka. A poza tym — wojna miała swoje pokusy. Po cóż zabijać nożem czy szpadą, skoro można zabijać masowo i patriotycznie?

Z końcem roku 1911 *L'Intransigeant* zamieścił w kilku kolejnych numerach reportaż F. T. Marinettiego z walk w Tripolitanii. Reportaż nosi tytuł *Bitwa nowoczesna*. Na toczącą się bitwę autor patrzy oczyma kapitana Piazza, lotnika-zwiadowcy.

„O, wgłębione ścieżki oazy, gdzie mnoży się śmierć! Ścieżki wydeptane bez wątpienia przez drapieżne, napastliwe bestie! Wgłębione ścieżki bitwy, którymi przemykają kule — przyziemne szczury! O jakże zazdroszczę pięćdziesięciu tysiącom Włochów, którzy, dobrze odziani, dobrze odżywieni i dobrze uzbrojeni, mogli mając lat dwadzieścia zanurzyć się sercem i duchem w waszym odorze ostrym i zaciekłym — odorze niebezpieczeństwa, przygody i bohaterstwa! Podniecająca intymność kul-wychowawczyń i dobrych doradczyń, które wam szepczą do ucha w przelocie i które wydają się zawracać w prawo, w lewo, gdy przebiegają korytarzami uliczek pomiędzy ścianami z gliniastego błota spieczonego przez słońce!

— O jak dobrze znajdować się w gwintowanej lufie olbrzymiego karabinu, być zarazem futurystyczną kulą i tarczą strzelniczą!

— I wreszcie, wreszcie radość schodzenia w dół, zręcznego planującego lotu w stronę willi Djamil-beja, żeby ucałować zbroczone krwią czoło tego żołnierza, który tuli w ramionach swój rozpalony karabin, tak jak matka tuli gorączkujące dziecko! Zbliża się ciężkim krokiem artylerzysta, brnąc w piasku, w którym są łuski od pocisków, grudki krwi i błota. Ze śmiechem w niebieskich oczach bełkoce rozerwaną szczęką:

— Ośmiu! Zabiłem ośmiu!

— Lecz nic nie dorówna wspaniałości epickiej tego sierżanta, który mając usta zakneblowane skrwawionym bandażem raz po raz wyciąga ku mnie obydwie dłonie, żeby na rozstawionych palcach pokazać mi, że on zabił dziesięciu!"

Wiek dwudziesty zaczynał się na dobre.

Wrzesień—październik 1960

Mieczysław Porębski

Konrad Frejdlich

DROGA PRZEZ LAS

światło już wzniesione — teraz to obuchem
stąd się rozpoczyna powietrza tuleja
a wreszcie denko powietrza blaszane
które kiedy przebić nafta może wyjdzie
dookoła rośnie że długości dosyć
na rodowód lasu wytoczony w słoje
a tu rasy będzie na genealogię
a tu maści tyle że kopytem bije
tutaj oto ziemia taka spracowana
że się teraz poci każdym fibrem piasku
na traktach osobnych tak żółtość pulsuje
tak nabrzmiewa korzeń od szyi w horyzont
jeszcze skrzypi puszczy zwierzątko kosmate
całą swą rozległość przeciągając w mięso
przebierać nóżkami smukłość wszystkich sosen
jeszcze gładzić parność po rozdętych chrapach
na koniec postawię klepsydrę tak wielką
to szkło zieloności z dyszą wiatru w środku
warczy piła słońca obrotowa ostra
że się przesypuje od skraju do trocin
teraz wszystkie miasta czekają jak traki
oto las wybiega na odległość strzału
uderzyć styliskiem w pień drewniany ziemi
oraz zapisywać pejzaż heblowany

CARYL CHESSMAN

chessman się włamał do ziemi zawartej
w krwiobiegu świata tkwi teraz bezpiecznie

tam george washington jankes standartowy
pompuje naftę przez dwururki celne
góry nadbrzeżne pasą się nad wodą
i mgły za sobą ciągną jak wymiona
śnięty pacyfik siny brzuch wywalił —
w puszce do konserw zanim go przerobią
na fladze republiki człowiek z paragrafem
pięćdziesiąt gwiazd wolności dokręca jak mutry
nie ma mutry chessmana chessman nakręcony
na osi karuzeli w lunaparku śniętych
teraz go poszukują radary wszechświata
człekokształtni kręcą kurki metaliczne
płuca chessmana wlecze atlantycki express
po torach kalifornii gazowe i ciepłe
on idzie bezczelny odrzutowce w niebie
drążą cywilizacji linie papilarne
nie ma chessmana chessman porwał siebie
i zebrał okup który jest szyderstwem

PARTIA SZACHÓW

tu konie szczypią biało-czarną trawę
nawozu dymią kwadratowe wzgórza
królowa nagle taka mocna w biodrach
że konie umkną tłustymi zadami
płaszczyzna taka
na niej są głębokie koleiny słojów
tyle wojen przeszło
a w jednych białość
że metal oślepnie
a w drugich ciemność
że ślepiec zobaczy
ta jest konwencja
zza zwrotników wyjdą
zamiast halabard tasaki uniosą
a gdy żelazo wejdzie w ciepłe mięso
po lasach uschną prawie wszystkie drzewa
płaszczyzna taka
eskadry latają rozgiętych dłoni
tu jest śmierć umowna
frontowe drogi wiodą po przekątnych
a na krawędziach jest śmierć równoboczna
aż król upadnie

pleśń na niego wejdzie nakrochmalona
blada tak i sztywna
drewniane nogi król na desce złoży
jakby nie stopy ale schła klepsydra
ta jest konwencja
żywi i polegli
zejdą w pudełka nadpróchniałe wnętrze
na nas zdrewniałych szczerb wojny zostanie
głęboka rysa żelaznym kozikiem

KARPIE

przecież lubię chodzić kładką swego cienia
pośród wszystkich karpi jak wśród niskich domów
    tutaj wioski ławic lśnią dachówką srebrną
na dnie zamulonym mięsem i osoczem
    stąd prądy zaczną wiać — łodygi napięte
nadawać będą rozchodzące kręgi
światło oślepi ten grunt przezroczysty
aż zmatowieje w otwartym upuście
    oto ziemia otwiera swe usta bezgłośne
a kiedy karp się w górę do powierzchni rzuci
to jakby ruch językiem gdy powietrze łapią
skrzela wyschnięte w przestrzeni rozgrzanej
    to jakby płetwa słońca zachodząca
tarła się w pramule tak spieczonej ciszy
że wraz z rybami atawizm przypływa
i atakuje mój ludzki kontynent

Konrad Frejdlich

Monika Warneńska

TROPEM LEGENDY BALZAKOWSKIEJ

I

Jeden z podróżnych, którzy znaleźli się na debarkaderze wrocławskiego dworca w pewne wczesne popołudnie roku 1847, zwrócił na siebie uwagę pasażerów i wywołał zbiegowisko. Niemłody, rumiany, zażywny, tuszą i wyglądem przypominający oberżystę lub piwowara — ujrzał przed chwilą, jak flegmatyczny posługacz popycha w kierunku pociągu wiedeńskiego wózek ze spiętrzoną na nim górą bagażu. Z chyżością, o którą nikt by go nie posądzał, pasażer dogonił wózek, zatrzymał posługacza — i jął uderzać laską w walizę, chwiejącą się na szczycie bagażowej sterty, z głośnym wołaniem:

— *A moi! A moi! Mislowitz! Mislowitz! Krakau!*

Nie umiejąc znaleźć innych słów, tłumaczył „na migi", że z bagażem zaszło wyraźne nieporozumienie. Posługacz wytrzeszczył nań oczy. Wokół zgromadziła się garstka pasażerów. — *Hat er zu viel getrunken?* — domyślał się któryś z nich. Hałas wszczęty przez krewkiego cudzoziemca sprowadził urzędnika kolejowego, który władał językiem francuskim. Wyjaśniono nieporozumienie. Walizka powędrowała do pociągu mysłowickiego. Urzędnik zaś z godnością wyjaśnił przybyszowi, że podobne nieporozumienie zdarzyło się we Wrocławiu po raz pierwszy od chwili, gdy ruszyła stąd w świat kolej żelazna.

„Nasi wnukowie nie będą wiedzieli nigdy, na jakie przykrości narażały ich dziadków te przerwy w liniach kolejowych! — rozmyślał pasażer siedząc wraz z bagażem we właściwym pociągu. — Świat pójdzie naprzód! Europa cała będzie poliniowana żelazem i urządzona jak fortepian: skoro tylko staną na jednym końcu klawisza, kolej żelazna wyrzuci ich tak, jak muzyk wyrzuca nutę, u celu podróży..."

*

Przygody porywczego pasażera, spisane przez niego własnoręcznie z zamierzeniem ich opublikowania, ujrzały światło dzienne na szpaltach drukarskich dopiero po upływie osiemdziesięciu z górą lat od opisywanych tu wy-

darzeń. Ale wieść o jego podróży szybko oplotła legenda. Podróż tę dyktowało bowiem uczucie, od którego „dymy szły po literaturze". Dość wymienić nazwę celu wędrówki pasażera, który we wrześniu z chwilowego postoju we Wrocławiu odjechał do Krakowa, aby każdy miłośnik literatury odgadł jego nazwisko. Pasażerem, zdążającym z Paryża przez Brukselę, Hamm, Hanower do Wrocławia, stąd do Krakowa, Brodów i do wioski ukraińskiej Wierzchownia — był nie kto inny, jak Honoriusz Balzak. Jechał on do pani Eweliny z Rzewuskich Hańskiej, w nadziei, że osobistym przybyciem przechyli szalę decyzji ukochanej kobiety i przyśpieszy jej zgodę na małżeństwo.

Czytelnicy studiów Boya-Żeleńskiego o Balzaku, widzowie, którzy na scenach teatralnych oglądali komedię Jarosława Iwaszkiewicza *Wesele pana Balzaka*, zbyt dobrze znają historię miłości wielkiego pisarza francuskiego do polskiej arystokratki, aby trzeba było tutaj raz jeszcze streszczać pokrótce jej przebieg, powikłania, spięcia, w jakie obfitował kilkunastoletni związek tych dwojga ludzi. Dotychczas nie została wznowiona jedna z najciekawszych pozycji międzywojennej „Biblioteki Boya", jaką była *Podróż do Polski* Balzaka, w oryginale nosząca tytuł *Voyage à Kieff*, uzupełniona wyborem listów pisarza z Wierzchowni. A szkoda — gdyż jest to lektura arcyciekawa, w kapitalny sposób przybliżająca czytelnikom autora *Komedii ludzkiej* i zahaczająca równocześnie wyraźnie o ów specyficzny „polski nurt" jego twórczości, o którym będzie mowa poniżej. Wróćmy jednak do Balzaka, jadącego przez Śląsk. Mimo zmęczenia, mimo steranego zdrowia ani przez chwilę nie przestaje on być sobą, czyli przede wszystkim pisarzem. Z werwą, pasją i temperamentem notuje wrażenia z podróży, kreśli świetne, choć migawkowe opisy sytuacji i zetknięć z różnego pokroju ludźmi, dowcipnie relacjonuje nieporozumienia językowe, takie chociażby, jak przytoczone na wstępie. Droga koleją z Wrocławia do Krakowa prowadziła — jak już wiemy — przez Gliwice i Mysłowice. Inny pisarz, rodowity Polak, który dokładnie w tym samym roku jechał tą samą trasą, w odwrotnym tylko kierunku, podpowiada nam słowami własnej relacji wygląd krajobrazu, na który spoglądały wówczas oczy pana Honoriusza. Mianowicie od Wincentego Pola dowiemy się, że „...Okolica Gliwic i Królewskiej Huty należy na Szląsku do najbardziej ożywionych przemysłem. Gdzie tylko okiem rzucisz, wznoszą się po polach samotne domy fabryczne, kuźnie i warsztaty, i wysokie kominy parowych maszyn, i długie koszary robotników, a obok nich sterczą wszędzie mogiły rudy, żużla i węgli kamiennych. Żużelicą wysypane drogi, dymami napełniona nieraz cała okolica, a sadzą okopcone domy, pola, a nawet i lasy na znacznej przestrzeni dokoła tych kuźnic nadają dziwnie ponury wyraz tym okolicom, gdzie człowiek pod ziemią nurtuje tylko za rudą i węglem, a na ziemi zajmuje się tylko wyrobem żelaza. Do łatwiejszego przewożenia jest tu kilka rzek skanalizowanych, a podziemny kanał, sztucznie bardzo prowadzony aż w głębie kopalni węgla kamiennego, ułatwia ich dostawę w odległejsze strony. Stąd poczyna się cały ruch handlu żelazem, który się na wszystkie rozchodzi strony, i Gliwice, lubo małe, mają już pozór handlowego miasta...".

W tych oto Gliwicach zjawił się wielki pisarz francuski. Gdyby mógł pozostać tutaj dłużej, w tym przemysłowym okręgu, którego rozwój dyktowały przemożne prawa pracy i pieniądza — niewątpliwie zaczerpnąłby stąd

niejedno bystre spostrzeżenie. Ale pamiętajmy, że gnał on dalej na wschód — aby bliżej swojej „gwiazdy polarnej"... Gliwice nie znalazły więc łaski w jego oczach. Zatrzymał się w nich na krótko, był to jednak postój raczej przypadkowy i nie zaplanowany. Ktoś bowiem z przygodnych towarzyszy podróży doradził cudzoziemcowi, żeby zamiast jechać do Mysłowic, raczej z Gliwic próbował dalszej drogi do Krakowa. Okazało się bowiem, że mimo niewielkiej odległości między Mysłowicami a Krakowem należało posyłać do Krakowa po konie, aby tę odległość przebyć. Przy powolności cechującej Niemców oraz ich środki lokomocji można było tkwić w szczerym polu dziesięć lub nawet dwanaście godzin, aby dowiedzieć się, że właśnie tego dnia pojazd z Krakowa nie nadejdzie. Natomiast Gliwice posiadały bezpośrednie połączenie dyliżansowe z Krakowem. Pan Honoriusz wysiadł więc z pociągu, obejrzał pobieżnie okolicę, która na pierwszy rzut oka wydała mu się brzydka, po czym ruszył do niedalekiej gospody, aby pokrzepić strudzone ciało. W zgrabnym koszyczku podręcznym miał wprawdzie zapasy: suchary, ozór wędzony, małą buteleczkę anyżówki, cukier i skondensowaną kawę. Na dotychczasowych postojach kupował tylko mleko. Pamiętał jego nazwę niemiecką: *Milch* — i usiłował zapamiętać polskie l i k o? czy też m l i k o? Warto było jednak na postoju skorzystać z obiadu w miejscowej gospodzie. Pan Honoriusz znał się jednak na dobrej kuchni, nie zadowoliły go więc zarówno potrawy, jak wręcz „straszliwy" sposób ich podawania. „Mięso jest tu tkaniną z grubych sznurów. Myślisz, że jesz, krajesz konopie, które ci zostają w zębach i w końcu masz w ustach pakiet niestrawnego włókna; ale kosztuje to szalone sumy."

Przybysza, zmęczonego „okrucieństwami komory" celnej na granicy niemiecko-austriackiej, zainteresował Kraków. Zwiedzenie katedry zamkowej doprowadza go do znamiennych wniosków:

„Kościół krakowski wart jest, aby jechać do Krakowa, pełen jest kaplic z grobowcami, gdzie nagromadzone bogactwa nie mają nic równego, chyba w Rzymie lub w niektórych kościołach belgijskich. Widzi się srebrne rzeźbione trumny, na których bokach wyobrażono bitwy liczące po osiemset figur, ludzi i koni. Istnieją tam w kaplicach brązowe drzwi, na których z obu stron widnieją arabeski zupełnie różne, jak na owych szalach bez podszewki, a cudowne wykonanie świadczy, że w XIV wieku robiono w brązie i w miedzi może bieglej niż dzisiaj. W tym kościele są istne skarby, a i tak nie mogłem widzieć tego, co nazywają specjalnie s k a r b c e m, nie stało czasu na uzyskanie koniecznego pozwolenia. Pełno tam zresztą srebrnych posągów, ołtarzy z rzeźbionego srebra, świętych naczyń."

Pan Honoriusz ma żyłkę turystyczną: dojeżdżając do Wieliczki dobrze wie, że znajdują się tutaj słynne na cały świat kopalnie soli. Cóż z tego, kiedy nie starcza czasu na ich zwiedzenie: trzeba ów zamiar odłożyć na inną, bliżej nie określoną okazję. Nocleg — i pora ruszać w dalszą drogę. Fascynuje wyobraźnię pisarza świadomość, że przekroczywszy progi imperium rosyjskiego wejdzie na obszar niezmierzonego lądu, którego krańce sięgają aż po Daleki Wschód i wybrzeże północne. Ukraina, choć leżąca stosunkowo najbliżej, należała do najmniej znanych regionów tego obszaru. Wydawała się więc panu Honoriuszowi jedynym krajem na świecie, gdzie mógłby poznać zupełnie nowe rzeczy, nowe zjawiska, nowych ludzi. I tam był dom, w którym świeciła jego „gwiazda polarna".

II

Zostawmy na razie autora *Komedii ludzkiej* w dyliżansie pędzącym drogami Galicji od Wieliczki do Brodów — i przerzućmy karty jego dzieł. Od wielu lat Balzak starał się zżyć, zapoznać, ba! — wręcz spoufalić ze wszystkim, co mogło zbliżyć go do ukochanej. W utworach jego pojawiają się więc postacie, których rysy zewnętrzne, charaktery, koleje losu zapożyczone były od jej rodaków — ludzi z dalekiej Polski. Jeszcze za życia męża pani Eweliny, magnata z Wołynia, pana Hańskiego, prowadził z nim dyskursy o... doli i niedoli obszarników. Na tle tych rozmów wysnuła się powieść *Chłopi*. Dla młodziutkiej Anny Hańskiej, od niedawna Mniszchowej, stworzył opowieść o jej biednej, prześladowanej rówieśnicy imieniem Pierrette. Na kartach niedawno powstałej powieści *Kuzynka Bietka* pojawił się Polak — utalentowany, wątły, wrażliwy Wacław Steinbok. W opowiadaniu *Fałszywa kochanka* wystąpili aż dwaj Polacy: pierwowzorem jednego z nich był brat ukochanej autora, modelem drugiego — jej kuzyn, zakochany w niej beznadziejnie.

Ów Tadeusz Pac — tym razem udało się pisarzowi trafnie dobrać polskie imię i nazwisko, zakochany w żonie swojego przyjaciela i dobroczyńcy, rozmyślnie uczynił siebie samego w jej oczach gorszym, niż był w istocie, aby oddalić uczucie darzącej go wzajemnością kobiety i przywrócić ją mężowi. Bohater dzieła *Poszukiwanie absolutu,* Baltazar Claes, zapożyczył rysy od wuja pani Hańskiej; był nim arystokrata ukraiński, który pochłonięty namiętnością dociekań naukowych wpadł w całkowitą ruinę majątkową, zostawiając po sobie... siedmiotomowe dzieło o chemii. Zgubił go, zaszczepiwszy w niego manię „poszukiwania absolutu", inny bohater powieści, nazwany przez autora: A d a m d e W i e r z c h o w n i a. Postać ta łączyła w sobie rysopis polskiego filozofa, Hoene-Wrońskiego, imię Mickiewicza — i nazwę majątku Hańskich.

W powieści *L'Interdiction* Balzak opisał pod prawdziwym nazwiskiem słynną niegdyś z urody żonę namiestnika Królestwa Polskiego, generała Józefa Zajączka, Aleksandrę: „Pewna znakomita Polka naszych czasów zachowuje pomimo podeszłego już wieku obyczaje młodziutkiej strojnisi. Pisane jej widać dożyć wieku Marion Delorme, której biografiowie dają 130 lat życia. Dawna wicekrólowa Polski, bliska już setki wiosen, posiada umysł i serce młode, figurę czarującą i potrafi w rozmowie, której słówka iskrzą jak ogniste języczki, porównywać ze sobą ludzi i książki naszych czasów z ludźmi i książkami XVIII stulecia! Mieszkając w Warszawie zamawia kapelusze w Paryżu u Herbaulta. Wielka dama, a ma upodobania dziewczynki... Podrwiwa ze śmierci, śmieje się z życia. Niegdyś zadziwiła Aleksandra I, dziś ściga Mikołaja wspaniałością przyjęć. Na jej rozkaz wylewają łzy młodzi kochankowie. Zaprawdę to jest bajka o wróżce, jeśli to nie jest w ogóle żywa wróżka z bajki... madame Z a y o n s c e k".

Nie wystarczało jednak Balzakowi modelowanie powieściowych bohaterów na wzór i podobieństwo Polaków znanych mu osobiście lub ze słyszenia. Usiłował się do nich w miarę możności zbliżyć. Okazji do takich spotkań nie brakło na paryskim bruku. W jednym ze swoich listów pisarz donosił pani Hańskiej: „Miałem widzieć w tych dniach znakomitego Polaka Wrońskiego,

wielkiego matematyka, wielkiego mistyka, wielkiego mechanika, ale który w życiu dopuszcza się nieprawidłowości, zwanych przez prawo oszustwem. Rozważane z bliska, postępki te są skutkiem straszliwej nędzy i geniuszu tak wysokiego, że nie podobna go za to potępiać. Mówią, że to najtęższa głowa w Europie".

Francuski prozaik interesując się Polakami poznał najwybitniejszego z wygnańców — Mickiewicza. Gościł go u siebie na obiedzie; w listownym sprawozdaniu, wysłanym pod adresem ukochanej, pisał:

„Miałem na obiedzie twego kuzyna Bernarda, Załuskiego i Mickiewicza, którego fizjognomia spodobała mi się bardzo."

Sympatia dla poety nie była przelotna; znajdziemy jej wyraz w jednym z listów późniejszych: „Podziwiałem wspaniałą twarz Mickiewicza, co to za piękna głowa!". Do bliższej zażyłości pomiędzy nimi obydwoma jednak nie doszło. Nic dziwnego: trzeźwemu realiście, wnikliwemu znawcy świata rządzonego twardymi prawami, jakie dyktował pieniądz i kapitał, trudno było znaleźć wspólny język z romantykiem, żyjącym w krańcowo odmiennym świecie zapatrywań, pragnień i poglądów. Nie zrażając się tym wszakże, Balzak nadal wytrwale poszukiwał polskich znajomości. Nie znał wprawdzie osobiście Słowackiego, choć podczas pierwszego spotkania autora *Komedii ludzkiej* z panią Hańską młody poeta przebywał w Genewie. Żywą sympatię wzbudził w nim natomiast Krasiński. „Ten młody człowiek jest to jedna z tak pięknych dusz wybranych, jakie tylko rzadko można spotkać na tej ziemi. Umysł i talent zaiste cudowny" — pisał do pani Eweliny. Cenił Chopina i jego sztukę, odnotowując zarazem, iż artysta ten „posiada zdolność naśladowania osób w tak wysokim stopniu, że natychmiast może odtworzyć kogokolwiek z całą wprost zastraszającą prawdą". U pani Récamier poznał sędziwego Juliana Ursyna Niemcewicza, który w drugim tomie swojego *Dziennika pobytu za granicą od dnia 21 lipca 1831 do 20 maja 1841*, obejmującym lata 1833—34, pisał: „Poznałem p. Balzac, autora rozmaitych dzieł, nierównych w moralności, lecz wielce przyjemnych. Jest to człowiek 30 lat mający, świeży, z żywymi, czarnymi oczyma, mówią, że stratny i rozwiązły...". W notatce Niemcewicza z Montmorency pod datą 28 maja czytamy: „Abonowałem się w nędznym tu gabinecie i wziąłem sławny romans Balzaca *La peau de chagrin*. Ileż tam imaginacyj głębokich, lecz nieraz dzikich myśli. Zawsze wiele w pisarzu talentu.

Trudno było pisarzowi uwierzyć, że spełnia się marzenie długich lat; że ten świat nieznany, tajemniczy, fascynujący słowiańską odmiennością i swoistą egzotyką zbliża się z każdym obrotem kół dyliżansu, pokonujących drogę z Krakowa do Brodów...

III

Czy w kraju, do którego podążał, był znany?... W dotychczasowej podróży trafiał na niejeden dowód popularności własnego nazwiska wśród czytelników. Skrzętni badacze po upływie osiemdziesięciu lat od podróży pana Honoriusza ustalą, że pierwsze przekłady dzieł Balzakowskich na język polski ukazały się w dwutomowej edycji nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie w r.

1833 pod tytułem *Snopek nadsekwańskich plonów czyli powieści pana Balzaka* (tom I zawierał powieść *Grand hiszpański*, tom II *Sarrazine*). Stosunkowo obszerny wybór utworów Balzaka wyszedł drukiem w latach 1834—38 nakładem warszawskiej księgarni Merzbacha; tłumacz, Franciszek Salezy Dmochowski, przełożył w serii zwanej „Czytelnia najnowszych powieści rozmaitego rodzaju i przedmiotu" powieści następujące: *Czerwona gospoda, Niebezpieczeństwo płochości, Obłąkana, Dziecię przeklęte, Obrazy z życia i powieści filozoficzne, Obłęd umiejętności, Eugenia Grandet czyli córka łakomcy, Po co chciał wiedzieć.* Dwie jeszcze pozycje przekładowe ukazały się w Wilnie w latach poprzedzających polską podróż pana Honoriusza: jedną z nich był *Lekarz obywatel* w przekładzie F. Tustanowskiego (1838), drugą *Torpilla*, tłumaczona przez F. Wołczackiego. Utwory Balzaka należały do książek, które zamykano przed młodymi dziewczętami; ludzie poważni i cnotliwi mieli niejedno zastrzeżenie co do tej lektury — wspomnijmy chociażby wyżej przytoczone uwagi Niemcewicza! *Zbieracz Umysłowych Rozrywek* z roku 1839 w artykule *O Balzaku i czytających jego romanse* przestrzega:

„Nie za naszych czasów dopiero skażenie obyczajów doszło już wysokiego stopnia, szczególniej w wielkich miastach i stolicach. Byli i dawniej nikczemne pismaki, których zamiarem było, przez podstrzyknięcie lubieżnymi obrazami zbestwionej imaginacji, zatruć serca lub rozdrażnić przytępione zmysły. — Była to literatura osobna, literatura miejsc bezecnych, przeznaczona dla podłych kobiet tam mieszkających i mężczyzn, którzy do nich uczęszczali. — Gdyby dzisiaj jaki bezwstydny żartowniś wziął które z tych dzieł i umiał je zręcznie udać za nowy romans jakiego Balzaka, George Sanda itp., niejedna z czytelniczek modnej literatury nie domyśliłaby się krwawego żartu, który z niej zrobiono".

Na rok przed polską podróżą autora *Fizjologii małżeństwa* niejaka pani Alfonsa Konigowska zamieszcza w nr 28 *Przeglądu Naukowego* wierszyk *Głos nędzarza*, przedrukowany w *Przyjacielu Ludu*, są w nim słowa:

Wiem, że często powieść jaka,
W rodzaju „Dumas" Balzaka, (?!)
Każe wam się zalać łzami,
Bo tam tak wdzięcznie oddana
Walka uczuć i tak świetnie
Wyobraźnia kołysana...

Kołysały wyobraźnię niejednej młodej kobiety powieści czytywane gorączkowo, z wypiekami na twarzy, jak owoc zakazany. Jedna z tych kobiet rzuciła wybitnemu autorowi z dalekiej Ukrainy słowo listu, owego pamiętnego listu, podpisanego *„L'Étrangère"*, który miał wywrzeć decydujący wpływ na życie ich obojga.

Autor, którego dzieła budziły tyle sprzecznych sądów także i w Polsce, tym razem nie rozważa własnej poczytności w kraju, przez który niesie go szybki dyliżans. Wszystkie wrażenia usuwa na plan dalszy jeden cel: „Dobić do Ukrainy! to była już nie chęć, ale namiętne pragnienie, bo to był spoczynek, a nie czułem już sił więcej niż na dobę".

Siódmego dnia od wyjazdu Balzak przybył do Brodów. „Nasze więzienia mają weselszy wygląd niż pokoje w oberży mieniącej się hotelem »Rosyjskim« — notuje nie bez zjadliwości. — Czekałem pięć godzin, aż gospodarz i służba wstaną. Dla mnie podróż zaczynała się dopiero w Brodach, sto mil bowiem dzielących Berdyczów od Brodów zdawało mi się trudniejsze do przebycia niż siedemset mil z Paryża do Brodów."

Przeszkody, jakie pisarz teraz napotkał, dały mu okazję do zetknięcia się z niebywałą dla Francuza egzotyką. Byli nią... polscy Żydzi. Balzak opisuje ich rysy charakterystyczne, wygląd, bogactwo, którego wzrost i rozwój nie mogły go nie zafascynować: „Olbrzymie fortuny wznoszą się i padają, nie wiadomo gdzie i jak. Piętnaście lat temu na przykład dom Nathansonów w Brodach miał pięćdziesiąt milionów. Co się stało z tym majątkiem? Zagadka. Dziś szwajcarski dom Hausenerów zajął miejsce Nathansonów; toż samo dom Halperynów, zawdzięczających swój początek rodzinie, której mam być gościem, jest królem Berdyczowa".

Trafiwszy na święto żydowskie, pisarz miał nie lada trudności z wyruszeniem w drogę z Brodów do Berdyczowa, nikt bowiem nie chciał mu załatwić niezbędnych formalności. Gospodarz hotelu przewidywał, że przybysz dotrze na miejsce w ciągu... tygodnia. Uprzejmy konsul rosyjski w Brodach przyśpieszył jednak uciążliwą procedurę paszportową. Po dłuższych korowodach z wymianą pieniędzy i wynajęciem powozu Balzak udał się do Radziwiłłowa. „Od Renu po Karpaty, to wszystko jest równina, częściej piaszczysta niż żyzna — notował później. — Krajobraz francuski odnajduje się pod Krakowem. Galicja, która jest podszewką Karpat, jest falista i urozmaicona jak Francja, te same drogi, tylko bez wsi i mieszkań. Każda stacja znajduje się w miasteczku, pałace kryją się dosyć starannie; tak starannie, że nie widziałem Przeworska, należącego do księcia Henryka Lubomirskiego, mimo że jadłem tam obiad."

Przyjęty serdecznie i ugoszczony obiadem przez naczelnika komory celnej, de Hackela, chwali „wina przednie, ryby potwornych rozmiarów, wyborną dziczyznę". Nie omieszkał zapisać wyglądu Radziwiłłowa; „...jest to kupa drewnianych chałup, które trzymają się na nogach dzięki specjalnej łasce Opatrzności na Rosję. Ani metra bruku, wszystkie ulice są z ubitej ziemi".

Po wynajęciu prywatnych koni i wręczeniu Balzakowi listu polecającego do burmistrza w Dubnie, pisarz wsiada do... kibitki. „Ten pojazd z drzewa i trzciny, pędzący z szybkością lokomotywy, odciska w waszych kościach wszystkie nierówności drogi z okrutną wiernością. Skacze się na trzech nogach, opada się na siano, woźnica nie troszczy się o was, jego rzeczą jest jechać, waszą trzymać się."

Policmajster w Dubnie szybko i uprzejmie załatwił konieczne formalności. Pan Honoriusz ruszył dalej.

„Mój przewodnik — pisze — jeden z tych ludzi, których hart jest przysłowiowy, prosił mnie dziesięć razy, aby się zatrzymać, dając mi znaki, które wyrażały jego zmęczenie i potrzebę snu, ale odpowiadałem: Berdyczów! I człowiek ten, włożony do posłuchu, siadał spokojnie z powrotem na kibitkę i patrzał na mnie, aby sprawdzić, czy jestem z ciała i kości jak on. Namiętność udziela człowiekowi najbardziej zniewieściałemu, najsłabszemu na pozór, siły oporu wyższej od wszelkiej siły materialnej; ale w żadnym momencie życia nie rozwinąłem tyle woli, tyle siły nerwowej. Kopyta końskie słały na mnie fale piasku i kurzu, tak biegły szybko. Przyjemność, że rosyjskie konie niosą mnie szybciej niż niemiecka kolej żelazna, podtrzymywała mnie. Żywiłem mego przewodnika sucharami i francuskim ozorem, pił zwłaszcza niezmącecenie anyżówkę, którą mu dawałem."

Około szóstej wieczór Balzak stanął w Annopolu. Po drodze widział „jedynie łany zboża, strzechy płaskie jak tabakierki. Co jakieś pięćdziesiąt wiorst widziałem przy drodze lub na horyzoncie jedną z owych siedzib rzadkich, ale wspaniałych, otoczonych parkiem i błyszczących z dala miedzianym dachem".

Do takiej właśnie siedziby jechał. Po jeszcze jednej nocy, ujrzawszy około ósmej rano duże miasto, myślał, że to już Berdyczów — i wtedy poczuł zmęczenie całej drogi. Okazało się, że to dopiero Żytomierz. Podwoiwszy hojne napiwki, jechał z szybkością prawie trzydziestu sześciu wiorst na godzinę. Około południa odsłonił mu się widok na „znamienite miasto Berdyczów". Zdumiał się, ujrzawszy „domy tańczące polkę, to znaczy wszystkie pochylone, jedne na prawym biodrze, drugie na lewym, niektóre jakby kiwające nosem, w większości rozłażące się, niektóre mniejsze od naszych bud jarmarcznych, czyste jak chlewki".

Przyjazd francuskiego podróżnika stanowił niemałą sensację dla berdyczowian. Otoczyli oni tłumnie na dziedzińcu budynku pocztowego pisarza, przed którym zdawała się wyrastać znów przeszkoda: pod pretekstem rychłego przejazdu któregoś z dygnitarzy państwowych odmówiono przybyszowi koni. Nadto policmajster zwrócił mu uwagę, że przepustka jego, niezbędna dla podróży, posiada ważność tylko do Berdyczowa, skąd jeszcze sześćdziesiąt wiorst bocznymi drogami należy jechać do pałacu wierzchowieńskiego. Z nieoczekiwanym sukursem przyszedł Balzakowi krawiec Francuz, nazwiskiem Ravel, osiadły w Berdyczowie. Przede wszystkim zaciągnął sławnego rodaka do swego sklepu z suknem — i tu postawił na straży subiektów, aby ciekawa gawiedź nie wtargnęła do wnętrza. Zabezpieczony tym sposobem pisarz mógł spokojnie wypić filiżankę kawy. Energiczny krawiec targował się tymczasem z miejscowymi Żydami, którzy o połowę taniej i znacznie szybciej niż poczta podjęli się przewieźć podróżnika do celu. Dzięki zaradności i uprzejmości „autokraty kamizelek i dyktatora elegancji na Ukrainie, wyruszyłem o drugiej" — relacjonuje autor *Komedii ludzkiej*. Przed oczyma wędrowca roztoczyła się Ukraina:

„To, co widziałem dotąd, to było nic. To jest pustynia, królestwo zboża, preria Coopera i jej cisza. Tam zaczyna się gleba ukraińska, ziemia czarna i tłusta na głębokość pięćdziesięciu stóp, a często i więcej, której nie nawozi się nigdy i gdzie wciąż się sieje."

Przejęty zdumieniem, zachwytem — i znużony ponad wszelką miarę pisarz

zapadł w głęboki sen. O wpół do szóstej zbudził go okrzyk woźnicy, podobny do wołania „Hebrajczyka, witającego Ziemię Obiecaną".

„Ujrzałem mały Luwr, świątynię grecką, ozłoconą zachodem słońca, wznoszącą się nad doliną, trzecią doliną, jaką oglądałem od granicy!"

V

Balzak spędził w Wierzchowni — dwoma nawrotami — trzy lata. Projektował podróże na Krym, na Kaukaz, aż do Tyflisu, ale przeszkodziło mu w tym coraz mocniej szwankujące zdrowie. Udało mu się tylko zwiedzić Kijów — „Rzym Północy, prawowierne miasto o trzystu kościołach, bogactwa Ławry, św. Zofię stepów". Spotkał się tam z wymownymi świadectwami własnej popularności. „Czybyście uwierzyli — pisze do siostry, Laury Surville, w liście z listopada 1847 roku — że pewien bogaty mużyk czytał wszystkie moje książki, że pali na moją intencję co tydzień świecę przed świętym Mikołajem i że chciał opłacić służbę jednej z sióstr pani Hańskiej, aby się dowiedzieć, kiedy będę wracał, aby mnie zobaczyć." Ale data ślubu jest jeszcze niewiadoma, pani Hańska wciąż waha się z decyzją. Tymczasem z Paryża dochodzą niepokojące wieści. Francja przechodzi kryzys związany z bliskim przewrotem. Wikłają się coraz bardziej paryskie interesy Balzaka i pani Hańskiej, w której imieniu pisarz zajmował się lokatą kapitału. Wreszcie nie bacząc na dwudziestostopniowy mróz pan Honoriusz jedzie do Paryża. Zastaje tutaj — rewolucję lutową. Walą się w proch plany i rachuby pisarza: spadły akcje kolei północnej, w których lokował gotówkę, zawiodły nadzieje sukcesów teatralnych. Rosną długi i wydatki związane z urządzeniem wymarzonego przez pisarza domu... Przygnębiony, rozgoryczony rozwojem wydarzeń, Balzak ma tylko jedno pragnienie: uciec z Paryża, schronić się znów do Wierzchowni!

Zjawił się tam ponownie we wrześniu 1848 roku. Tym razem ciężko odchorował podróż. Wreszcie jednak zabiegi jego, marzenia i pragnienia spełniają się. Laura Surville otrzymuje od brata ostatni list z Wierzchowni, opatrzony datą 15.III.1850 roku. Zawiera on wiadomość, że: „Wczoraj w Berdyczowie, w kościele parafialnym św. Barbary, delegat biskupa żytomierskiego, święty i cnotliwy kapłan, we wszystkim podobny do naszego księdza Hinaux, spowiednika księżnej Angoulême, pobłogosławił i skojarzył moje małżeństwo. Jest tedy od dwudziestu czterech godzin pani Ewa de Balzac, z domu hrabianka Rzewuska, czyli pani Honoriuszowa de Balzac, czyli pani de Balzac starsza".

Wkrótce po ślubie państwo Balzakowie udali się do Paryża. Jechali przez Berdyczów, Brody, Przemyśl i Tarnów, gdzie — jak świadczy relacja pani Eweliny w listach do córki — zjedli smaczny obiad. Następnym etapem podróży był Kraków, gdzie w ówczesnym hotelu „Pod Różą" na Stradomiu odpoczęli w wybornym pokoju na pierwszym piętrze, bardzo obszernym i czystym, z wygodnymi łóżkami. Pili tutaj „rozkoszną kawę z śmietanką prawie tak dobrą, jak w Wierzchowni". Nieco później czekał ich postój w Dreźnie, gdzie pani Ewelina chciała uniknąć ciekawości kolonii polskiej, która jednak rzuciła się, wedle jej słów, na nowożeńców „jak zgłodniały sęp

i nie oszczędziła mi żadnej przykrości". Arystokratyczni snobi ani rusz nie mogli wybaczyć urodzonej hrabiance Rzewuskiej mezaliansu.

A potem był już tylko Paryż, dom na rue Fortunée, długa choroba wielkiego pisarza — i śmierć, która przyszła nocą z 17 na 18 sierpnia 1850 roku.

VI

Przypomnienie dziejów romantycznej podróży pana Honoriusza i jego pobytu w Wierzchowni jest potrzebne przed wyruszeniem w podróż konfrontacyjną śladami balzakowskiej tradycji — i legendy. Minęło już wiele lat od czasu, gdy obrońcy i adwersarze pani Hańskiej kruszyli kopie na łamach prasy, kiedy szkice Boya na temat jej uczucia do Balzaka stawały się literacką sensacją dnia — od czasu, gdy jeździł po Polsce z odczytami dotyczącymi „Cudzoziemki" autor *Apologii pani Hańskiej*, Marcel Bouteron. Podczas lat międzywojennych wiele pisano w Polsce o Balzaku, o „polskim nurcie" jego życia i twórczości. O Wierzchowni jednak nikt prawie nie pisał — pojawiały się tylko na łamach prasy jej archiwalne fotografie lub rzadkie skąpe wspominki o niej. Anna z Hańskich Mniszchowa zmarła we Francji, straciwszy cały znaczny majątek, osamotniona po śmierci matki i męża, który u schyłku życia popadł w chorobę umysłową; przeżyła ich oboje o wiele lat. Wierzchownia z rąk młodych Mniszchów przeszła jeszcze za życia pani Eweliny w ręce jej młodszego brata, Adama Rzewuskiego. Członkowie rozgałęzionego klanu Rzewuskich za życia Balzaka pogardliwie traktowali małżeńskie projekty pani Eweliny. Ale w następnym pokoleniu snobowali się pokrewieństwem z wielkim pisarzem, którego sława pośmiertna przewyższyła wszystkie doczesne sukcesy. Jarosław Iwaszkiewicz na kartach *Książki moich wspomnień* opisuje wielkopańską siedzibę Rzewuskich w niedalekiej od Wierzchowni miejscowości Hajworon. Tu — „w małym empirowym salonie, z meblami pokrytymi czerwonym atłasem w czerwone gwiazdy z epoki napoleońskiej, na honorowym miejscu wisiał niewielki portret Balzaka... Właściciel Hajworonu mówił o nim: »Mój wuj«".

W Wierzchowni i w jej okolicy narastała balzakowska tradycja. Wyłuskajmy najpierw jej okruchy z pamiętników i wspomnień współczesnych. Sądy ich często grzeszyły stronniczością i złośliwością. Wirginia de Mory-Jezierska, Francuzka z pochodzenia, zamężna za Polakiem, w swoich pamiętnikach *Z życia dworów i zamków na kresach* napisze: „Tak, pani Hańska to osoba pełna wiedzy, szukająca gwałtem ludzi sławnych, ale z tym wszystkim śmieszna!... Balzak jest w wielkiej z nią przyjaźni i dedykuje jej swoje utwory, co przypisują nade wszystko potrzebie czerpania ze szkatuły jej wielce bogatego męża". (!)

Tadeusz Bobrowski, kostyczny pamiętnikarz wołyński, wuj Conrada-Korzeniowskiego, odsłonił romansowe ciągotki, jakie pani Ewelina żywiła do doktora Knothe. Tadeusz Walewski zwierza się w liście przyjacielowi: „Donosisz mi o ożywieniu Wierzchowni przez bytność Balzaka. Nic dziwnego. Ten gruby wół ma jeszcze dość rozumu, że mu się trzeba w głąb Ukrainy puścić, by jeszcze coś znaczyć na świecie".

Brzydka złośliwość! Znacznie spokojniej i rozważniej oceniał pana Honoriu-

sza Kraszewski, który poznał go osobiście w r. 1848. „Balzak — pisze autor *Starej baśni* — wygląda na słusznego obywatela lub na przyzwoitego kupca; ma trochę brzuszka, twarz wesołą, oczy czarne, włos posiwiały i nastrzępiony, bardzo podobny zresztą do znanego jego portretu. Mówi najchętniej (jak się zdaje) o grosiwie, spekulacji i rozchodach."

Istotnie nawet u celu wymarzonej podróży nie daje Balzakowi spokoju drzemiąca w nim żyłka do interesów, jak wiemy zresztą, niefortunnych: pierwszy list do siostry, Laury Surville, pisany z Wierzchowni, prócz krótkiego sprawozdania z podróży zawiera nierównie obszerniej potraktowane projekty transportu i korzystnego spieniężenia we Francji większej ilości dębiny wierzchowieńskiej na cele budownictwa i stolarstwa.

Ale polonica balzakowskie to nie tylko rozsiane w pismach i korespondencji pisarza polskie motywy i elementy, reminiscencje i wrażenia. To nie tylko ciekawe, choć często stronnicze czy bałamutne świadectwa o Balzaku, rozrzucone na kartach pamiętników i wspomnień Polaków, którzy go znali. To nie tylko pasje literackie Boya-Żeleńskiego, któremu zawdzięczamy pierwszy „z prawdziwego zdarzenia" przekład większości tomów *Komedii ludzkiej* — i jego liczne, wnikliwe studia balzakowskie. (Dodajmy, że w sposób interesujący i błyskotliwy, ale stronniczy pisał o Balzaku i pani Hańskiej Adolf Nowaczyński we *Wczasach literackich*, że ciekawe stronice poświęcił „Cudzoziemce" Stanisław Wasylewski w tomie szkiców *O miłości romantycznej* i w wydanej ostatnimi laty biografii jej siostry: *Karolina Sobańska.*) Krajobraz, tło, realia Ukrainy, otoczenie, w którym twórca *Komedii ludzkiej* spędził prawie trzy ostatnie lata u schyłku życia — odtworzył Jarosław Iwaszkiewicz w *Weselu pana Balzaka*. Spróbujmy dokonać konfrontacji między „polonicami" balzakowskimi zaczerpniętymi z lektury a rzeczywistością dzisiejszą.

VII

Podróżnik z Polski, znający Wrocław, Gliwice, Kraków i Wieliczkę — czyli główne punkty drogi Balzaka do Wierzchowni, oraz Przemyśl i Tarnów, gdzie zatrzymywał się on w drodze powrotnej — chcąc jechać dalej trasą pisarza, musi ze Lwowa udać się do Brodów. Chociaż Wierzchownię od Lwowa dzieli niebagatelna odległość przeszło pół tysiąca kilometrów, już tutaj legenda balzakowska błyska żywszą barwą. Trudno — jadąc tropami Balzaka — nie wspomnieć Boya-Żeleńskiego, który tu właśnie, we Lwowie, spędził lata 1939—1941, ostatnie lata życia przerwanego brutalnością hitlerowskich barbarzyńców. Czy Boy, fanatyczny miłośnik Balzaka, rzucony losem wojennym do Lwowa, nie próbował w ówczesnych warunkach odwiedzić Wierzchowni?...

W tym samym roku 1939 Wierzchownię jął odwiedzać młody pisarz ukraiński, zafascynowany Balzakiem i wspomnieniami jego pobytu na ziemi tutejszej. Pisarz ów, Natan Rybak, dwa lata pracował nad książką, której tytuł brzmi: *Omyłka Honoriusza Balzaka*. W toku tej pracy wybuchła wojna polsko-niemiecka. Gdy do Lwowa przybył Boy-Żeleński, pisarz wysoce ceniony przez władze Ukrainy Radzieckiej i miejscowe środowisko twórcze — autor *Omyłki Honoriusza Balzaka* prowadził z nim wiele rozmów i dyskusji doty-

czących książki o pobycie francuskiego prozaika w Wierzchowni. Do rozmów tych przyłączała się często Halina Górska, autorka *Drugiej bramy*, ona bowiem przygotowywała z rękopisu polskie tłumaczenie *Omyłki Honoriusza Balzaka*, Boy był jednym z recenzentów tej pracy. Analizował ją wnikliwie i opiniował przychylnie. Przekład polski zaginął w zawierusze wydarzeń związanych z wybuchem wojny radziecko-niemieckiej. Hitlerowcy zamordowali po wkroczeniu do Lwowa Boya, wkrótce potem — Halinę Górską. Natan Rybak poszedł na front jako korespondent wojenny. Pierwsze wydanie jego książki wyszło drukiem dopiero w r. 1945. Dotychczas *Omyłka Honoriusza Balzaka* ukazała się w trzech wydaniach ukraińskich i w trzech rosyjskich oraz w przekładzie na język francuski, angielski, czeski, niemiecki, bułgarski i wietnamski.

— Boy-Żeleński, sterany i wyczerpany przeżyciami wojennymi, nie wybrał się do Wierzchowni — odpowiada na moje pytanie Natan Rybak, spotkany we Lwowie. — Interesował się nią jednak wielce i dokładnie wypytywał o wszystkie szczegóły balzakowskiej tradycji. Oczywiście przed dwudziestu laty niektóre elementy tej tradycji były żywsze i bogatsze niż teraz. Żyli jeszcze wtedy ludzie znający pobyt Balzaka ze wspomnień własnych ojców. Ale echa tych wspomnień znajdziecie teraz — i pamiątki po Balzaku także...

*

Osiem dni trwała w tempie iście wariackim jak na owe czasy odbywana podróż z Wierzchowni do Paryża. Dziewięć godzin jedzie się dziś wygodnym autobusem ze Lwowa do Żytomierza. Od Brodów poczynając, wędruję szlakiem „balzakowskim". Powtarzają się nazwy miejscowości, przytaczane przez pana Honoriusza w jego sprawozdaniu. Otwierają się rozległe przestrzenie, zdające się nie mieć kresu — przestrzenie, które tak urzekały pisarza. Jeżeli jednak tu i ówdzie błyska z dala ocalałą bielą murów dawna magnacka siedziba — wiadomo, że mieści się w niej dom kultury, biblioteka lub szkoła.

Nazajutrz jedziemy do Berdyczowa. Mimo zniszczeń, jakich miasto doznało podczas ostatniej wojny, zachował się budynek kościoła, gdzie ksiądz hrabia Czaruski, delegat biskupa żytomierskiego, pobłogosławił związek małżeński pana Honoriusza de Balzac i pani Eweliny z Rzewuskich Hańskiej-Balzakowej. Dlaczego ślub ów zawarty został nie w mieście większym i bardziej okazałym, czyli w Żytomierzu, lecz w bliższym, skromniejszym i prowincjonalnym Berdyczowie?... Korespondencja pani Ewy z zięciem jej, Jerzym Mniszchem, który był jednym z dwóch świadków ślubu (rolę drugiego świadka spełnił znany nam z historii literatury hrabia Gustaw Olizar, poeta-romantyk, uwieczniony przez Mickiewicza w *Sonetach krymskich)*, pozwala stwierdzić, że mieszkańcy Wierzchowni chcieli koniecznie zawrzeć ów związek bez rozgłosu, aby uniknąć natrętnej ciekawości gawiedzi. Gdy przypomnimy sobie cytowane powyżej wspomnienia kąśliwych pamiętnikarzy — chęć ta wydaje się całkowicie usprawiedliwona.

Na ostatnim odcinku podróży przypominam sobie tarapaty pisarza z dotarciem do Wierzchowni. Leży ona na uboczu, w stosunkowo znacznym oddaleniu od dróg bitych. Przewodników, znających dobrze trafny kierunek jazdy, znajdujemy w komitecie rejonowym, którego siedzibą jest małe mia-

steczko Różyn. Ich wskazówki prowadzą nas na miejsce, gdzie świeci z dala bielą ścian i wysmukłych kolumn dawny pałac magnacki, nazwany przez pisarza „małym Luwrem". Na frontonie gmachu widnieje marmurowa tablica z napisem głoszącym, że: „W tym budynku w latach 1847—1850 mieszkał wielki pisarz francuski, Honoriusz de Balzak".

Pałac z tarasem wspartym na kolumnach wygląda okazale. Można sobie wyobrazić przepych odbywających się tutaj zabaw, bali i kuligów. Ale jakaż pustka i głusza otaczała dwór w Wierzchowni podczas długich miesięcy srogiej zimy! Niecierpliwie oczekiwano wtedy jeden jedyny raz w tygodniu nadsyłanej poczty. Konny kozak przywoził z Berdyczowa listy, zagraniczne książki i czasopisma. „Kiedy się kończy sanna, przy odwilży drogi się robią niemożliwe, wskutek wylewów każdy strumień staje się niezwalczoną przeszkodą, bo rzeki są bez mostów" — pisał Balzak 3.III.1849.

Kaprys kobiecy, chęć rozrywki, skrócenia długich, nudnych, zimowych wieczorów podyktowały słowa listu, podpisanego „Cudzoziemka". Ów list, zadzierzgnął nić długoletniej korespondencji. Miała ona wywrzeć ogromny wpływ na życie Balzaka, na koleje losu pani Eweliny z Rzewuskich Hańskiej, a także na... historię literatury.

Sceneria najbliższych okolic dworu nie uległa większym zmianom. Od dawna nie istnieje położony niegdyś naprzeciwko pałacu las. Ale zachował się piękny park z romantycznymi zakątkami, z mostkami, alejami i szpalerami. Tędy chadzał niegdyś pan Honoriusz z ukochaną.

Podczas lat międzywojennych wspomnienia dotyczące dawnej Wierzchowni ogłosił na łamach prasy bratanek pani Ewy Balzakowej, Adam Rzewuski. Podobnie jak Rzewuscy z Hajworonu, chlubił się on pokrewieństwem ze słynnym pisarzem, na którego boczyli się niegdyś współcześni mu arystokratyczni powinowaci. Wspomnienia te utrwaliły niejeden rys anegdotyczny, dotyczący wierzchowieńskich dni pana Honoriusza; Adam Rzewuski czerpał te szczegóły od dawnej służby pałacowej. Oficjaliści dworscy lubili pisarza, bo był wielce grzeczny i uprzejmy. Balzak pozostał w pamięci Mojżesza Dymnicza, niegdyś pierwszego skrzypka w kapeli nadwornej Hańskich (pan Wacław Hański chwalił się Balzakowi w Genewie własną domową orkiestrą...). Pamiętali go aż do starości lokaj i strzelec przyboczny, Jędruś Mościpański, oraz kamerdyner, Tomasz Hubernarczuk. Gdy stary Mojżesz Dymnicz wieczorami pięknie grywał na skrzypcach, Balzak wołał go na górę do siebie i wręczał „karbowanego rubla", dziękując za muzykę. Przybysz z Francji pisywał wieczorami „ubrany jak mnich" — notował Adam Rzewuski. Kiedy nocą kończył pisać, na górę niesiono mu kawę gęstą i czarną jak smoła. Lubił przechadzać się z panią Eweliną po ogrodzie i parku, gdzie latem cudnie śpiewały słowiki. Przed spacerem pił zwykle gorący bulion w filiżance; chociaż zdrowie mu nie dopisywało, chętnie wychylał kieliszek starego burgunda („A było w piwnicy niemało takiego, za którym Mojżesz Dymnicz z czumakami, co to za rybą soloną od Odessy jeździli, kilka beczek rok rocznie przywoził").

W listach Balzaka z Wierzchowni znajdziemy często wyrazy zainteresowania, więcej nawet — urzeczenia czy zafascynowania trybem bytowania powszedniego w Wierzchowni, miejscowymi nawykami i obyczajami, stylem życia, tak odmiennym niż francuski. Możemy więc uwierzyć słowom Adama

Rzewuskiego, który opowiada o zdumieniu pisarza na widok łupów i trofeów myśliwskich — łosi, głuszców i innej zwierzyny przywiezionej z Polesia. Trudno nie wspomnieć przy tym dowcipnego listu Balzaka z kwietnia 1849 roku, w którym prosi on siostrzenice, Zofię i Walentynę Surville, o przepisy kulinarne na: „1^0 sos pomidorowy wymyślony przez waszą matkę, i aby był zupełnie taki jak ten, który się jada u was, 2^0 purée cebulowe, takie jak robiła Ludwika u babci, bo tutaj, widzicie, żyjemy niby w wielkiej pustyni, i aby przełknąć kawałek wołu, który cały kosztuje tylko sto franków, oraz barana, trzeba wszystkich finezyj kuchni paryskiej".

Po Hańskich przyszli do Wierzchowni Rzewuscy. Po Rzewuskich — rewolucja. Przekreśliła ona ostatecznie odległość między pałacem a wsią i w mury dawnej magnackiej siedziby wprowadziła wiejską młodzież. Pałac w Wierzchowni od pierwszych lat porewolucyjnych zamieniono na szkołę. Mieści się w nim technikum rolnicze.

Adam Rzewuski wspomina portret Balzaka wiszący w jednej z sal parterowych; pisze o tym portrecie sam Balzak w swoich listach z Wierzchowni, ale w tonie cierpkim: „...z mego portretu Boulangera zrobił się najokropniejszy knot pod słońcem: farby musiały być złe albo źle skombinowane, jest cały czarny, ohydny... Wstyd mi za Francję za podobny obraz; umieszczono go też w bibliotece, do której mało się zachodzi" (22.III.1849).

Gabinet pisarza znajdował się na piętrze od zachodniej strony. Szerokimi, krętymi schodami idziemy na górę, do pokoi, o których pan Honoriusz pisał w jednym z pierwszych listów do siostry: „Mam rozkoszny apartamencik: salon, gabinet i sypialnia; gabinet jest z różowego stiuku, z kominkiem, wspaniałymi dywanami i wygodnymi meblami, okna całe ze szkła bez cynfolii, tak że widzę krajobraz na wszystkie strony. Możesz sobie wyobrazić, co to jest za Luwr ta Wierzchownia, gdzie jest pięć czy sześć apartamentów tego rodzaju dla gości!" (listopad 1847). Przetrwał burze dziejowe biały kominek, przy którym pan Honoriusz lubił grzać się podczas trudnej do zniesienia dla Francuza zimy ukraińskiej. Trzy pokoje, stanowiące niegdyś mieszkanie pisarza, są obecnie siedzibą biblioteki szkolnej. Biblioteka ta jest bogato zaopatrzona w dzieła klasyków i współczesnych pisarzy: znajdujemy w niej Mickiewicza i Orzeszkową, Stendhala... i oczywiście Balzaka. Nad sąsiednim wejściem widnieje napis, oznajmiający, że tu znajduje się pokój-muzeum, poświęcony pamięci pisarza.

Z troską i pietyzmem zgromadzono przedmioty, drobiazgi i pamiątki balzakowskie. Są tutaj meble — stół i krzesła, jakich używał Balzak. Jest świecznik z jego pokoju i zastygły w bezruchu zegar, który odmierzał mu także i w Wierzchowni godziny wytężonej pracy („Pracuję w tej chwili wiele, chcę za powrotem wydać tyle książek, aby załatać moje sprawy" — pisał do siostry w listopadzie 1847 roku). Zachowało się ponad tysiąc książek z dawnej biblioteki Hańskich. Do książek tych sięgał także Balzak. Część ich pozostała w Wierzchowni, reszta znajduje się w muzeum żytomierskim. Przeważa wśród nich historia, nauki przyrodnicze, dzieła klasyków greckich i rzymskich — wszystko w języku francuskim. Odnotowuję niektóre pozycje: Szekspir, *Oeuvres de Helvetius, Histoire d'Herodote, Annales* Tacyta... Obok *Médecin Domestique* i... *Dictionnaire Universel de Commerce...*

Ilustracje z radzieckich wydań *Komedii ludzkiej*, cytaty z sądów Marksa

i Engelsa o Balzaku — uzupełniają ekspozycję pamiątek. Projektowane jest z czasem przeniesienie jej do dawnych pokojów mieszkalnych Balzaka, gdzie obecnie mieści się biblioteka. Na dole zachowało się pianino, którego dźwięki umilały pisarzowi długie wieczory: muzykę uprawiała pani Ewelina i jej córka, Anna Mniszech, o której uzdolnieniach pan Honoriusz pisał z charakterystyczną dla niego egzaltacją: „Ma ręce bez przesady ośmioletniego dziecka, i te ręce niedostrzegalne, miękkie, białe, których trzy zmieściłyby się w mojej, mają siłę żelazną, jak ręce Liszta, oczywiście w odpowiednich proporcjach. Nie palce, ale klawisze się gną, obejmuje dziesięć klawiszów, trzeba widzieć ten cud, aby uwierzyć" (listopad 1848).

Monika Warneńska

Andrzej Biernacki

NIEZNANE LISTY PROSPERA MERIMÉE

Znalazłem je przypadkiem: wskutek złego zapisu katalogowego. Znajdują się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, w zespole Zbiorów Przezdzieckich; oznaczone są sygnaturą D-246.

Napisano o nich w inwentarzu, że nadawcą jest „P. Merimée, Senator", adresatem — Aleksander Przezdziecki i że korespondencja pochodzi z lat 1862—1877. Otóż żaden z nich raczej nie pisywał ani nie otrzymywał listów aż tak długo: pierwszy zmarł w roku 1870, drugi — 1871.

Obejrzenie teczki pozwoliło ustalić, że zawiera ona 6 listów do Aleksandra Przezdzieckiego i 1 do Elżbiety z Lachmanów Karolowej Przezdzieckiej (bratowej Aleksandra); prócz tego są tu 2 bilety wizytowe Mérimée'go z zagięciami świadczącymi o oddaniu wizyty (to z nich właśnie czerpana wiadomość, że „Sénateur"). Stan rękopisów jest dobry, pomimo że kiedyś zaciekawiły się nimi myszy: nadgryzły papier, ale dzięki szerokiemu marginesowi nie uszkodziły tekstu.

Aleksander Przezdziecki bywał wzmiankowany przez Mérimée'go, wiedziano więc, że się znali, lecz żaden list do niego nie trafił do rąk licznych zbieraczy i wydawców, od stu bez mała lat gromadzących olbrzymią korespondencję wybitnego pisarza. Obecna publikacja odsłania choć trochę ze stosunków łączących interesującego się historią francuskiego literata z polskim historykiem i mecenasem nauki, uprawiającym także literaturę.

Inaczej wygląda sprawa z zabłąkanym tu listem do Lizy Przezdzieckiej. Piękna córka pułkownika (przez grzeczność tytułowanego generałem) Lachmana, przez Paszkowskich wnuczka Kościuszki, żona dziedzica Czarnego Ostrowa — znaczną część życia przepędziła we Francji, należała do dam z najbliższego otoczenia cesarzowej Eugenii. Gdy na nie stroniącym od zabaw dworze Napoleona III restytuowano na poły legendarną instytucję tak zwanej *Cour d'amour* — została „prezydentką", a właśnie Mérimée — sekretarzem. Wywiązała się pomiędzy nimi korespondencja o charakterze marivaudage'u,* Listy te po raz pierwszy ogłosił Henry

* O Aleksandrze Przezdzieckim — *cf.*: *Aleksander hr. Przezdziecki 1814—1871*. Warszawa 1887 (praca zbiorowa, na którą składają się wspomnienia K. Wł. Wójcickiego i — bardzo rzetelne — Karola Łepkowskiego oraz bibliografia prac Przezdzieckiego na podstawie notat Cypriana Walewskiego). O rodzinie Przezdzieckich złośliwości — w *Pamiętnikach* Tadeusza Bobrowskiego, Lwów 1900: I 36—38, 259—260. — O rodzinie Lizy Przezdzieckiej — *Cf.*: Maria

Blaze de Bury w tomie *Lettres à une Autre Inconnue par Prosper Mérimée*, Michel Lévy Frères, Paris 1875, jednakże poprawną edycję daje dopiero rozpoczęta w roku 1941, a współcześnie kończona *Correspondance Générale* Mérimée'go pod redakcją doktora Maurice Parturier (w dalszym ciągu oznaczana skrótem *C. G.*, cyfra rzymska wskazuje tom, arabska stronicę).

Dr Maurice Parturier łaskawie zechciał patronować publikacji obecnej. Poddał kontroli lekcję tekstów i niejednej udzielił życzliwej wskazówki, wiele też przysłał niezbędnych informacji, zanim dzięki pomocy krajowych i zagranicznych bibliotek oraz Ambasady Francuskiej w Warszawie udało mi się zgromadzić potrzebne książki.

Dzisiejszy stan badań nad korespondencją Mérimée'go dostarcza sporo szczegółów, obok których historyk polskiej literatury nie powinien przechodzić obojętnie: w niejednym da się już uzupełnić studium Zygmunta Markiewicza.** Pośpiech, widoczny tu w publikacji samych tylko listów z komentarzem ograniczonym do minimum — wynika stąd, że nowo odkryte listy Mérimée'go mają wejść do *Suplementu* przygotowywanego przez pana Parturier, który czeka na pierwszeństwo druku polskiego pisma zaś nasze naukowe nie odznaczają się dbałością o terminy.

1

Lundi soir 6 oct[obre 1851]

Monsieur,

Je trouve votre lettre à mon retour d'une petite excursion[1], et je profite aussitot de l'offre obligeante que vous avez bien voulu me faire, pour vous demander d'après quelles autorités Niemciewicz [!] fait mourir Marine et son fils sous la glace[2]. Voici ce que j'ai trouvé dans la *Chronique des troubles*[3], p. 286 in fin[e]. На Москвежъ того Заруцкаго посадиша на колъ, а воренка и изменника Федьку Андро-

---

z Przezdzieckich Walewska: *Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie*, Warszawa 1930, s. 237—258. U Bobrowskiego znowu złośliwości: o Lachmanach i Świeykowskiej, *l. c.*, 255—260; o samej pani Lizie, tamże, jedno zdanie miłe. Przezdziecką z późniejszego okresu kilkakrotnie wzmiankuje we *Wspomnieniach* Marian Rosco Bogdanowicz. Kraków 1959: I 252, 258—260, 281; II 377. Ważne są wspomnienia córki Karolostwa Przezdzieckich *Souvenirs du Second Empire*, *Bibliothéque Universelle et Revue Suisse* 1924, t. 113, s. 268—294 i 451—465 oraz t. 114, s. 69—90 (tu o *Cour d'amour*, 81—83). Jedyny w Polsce egzemplarz tego czasopisma ma Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu, sygn. 257828 II.

** Sigismond Markiewicz: *La Pologne dans l'oeuvre et la vie de Mérimée*, *Revue de Littérature Comparée* 1953, nr 2, s. 148—159.

нову повесиша, и Мариика умре на Москве. Mr Oustrialof [4] rapporte le même récit d'après Nikon, je crois, enfin je le trouve encore dans une assez bonne histoire de Russie: Русская исторія en deux volumes. Je ne sais quel est l'auteur ou plutot je l'ai oublié [5]. Platon dans son histoire ecclesiastique dit encore que Marine est morte à Moscou. Je trouve comme vous que le bain glacé est fort poëtique mais encore faut-il qu'il soit attesté par quelque contemporain. Je vous serais infiniment obligé Monsieur, si vous aviez sous la main l'histoire de Niemcewicz, de vouloir bien relire le passage en question et m'en donner un extrait. Mille pardons de mon importunité, mais vous aimez trop l'exactitude historique pour ne pas m'excuser.

Veuillez agréer Monsieur le comte l'expression de tous mes sentiments de la plus haute considération

P. Mérimée

PS. En relisant votre lettre je vois que vous avez l'intention de mettre au bas de l'inscription DICAVIT. C'est en abrégé bien entendu. La formule ordinaire est D D D. — dat, donat dedicat.

1

Poniedziałek wieczór, 6 października [1851]

Szanowny Panie,

List Pański znajduję po powrocie z niewielkiej wycieczki [1] i natychmiast korzystam z uprzejmej oferty, którą był mi Pan łaskaw uczynić, aby zapytać Pana, na jakich to powagach opiera się Niemciewicz [!] uśmiercając pod lodem Marynę i jej syna [2]. Oto, com znalazł w *Łatopisie rokoszów* [3], s. 286 in fin[e]. На Москвежъ того Заруцкаго посадиша на колъ, а воренка и изменника Федьку Андронову повесиша, а Маринка умре на Москве. Pan Ustriałow [4] przytacza ten sam opis za Nikonem, jak sądzę; znajduję go zresztą również w niezłej historii Rosji: Русская Исторія dwutomowej. Nie wiem, co za autor, czy raczej zapomniałem [5]. Platon znowu w swej historii kościelnej mówi, że Maryna umarła w Moskwie. Podobnie jak Pan znajduję, iż lodowata kąpiel wielce jest poetyczna, trzeba by wszakże do tego, iżby była potwierdzona przez kogoś ze współczesnych. Gdyby Pan miał pod ręką dzieje Niemcewicza, byłbym Panu nieskończenie zabowiązany, o ile by Pan zechciał powtórnie przeczytać urywek, o który idzie, i dać mi jego streszczenie. Stokrotnie przepraszam za natręctwo, zbyt jednak lubi Pan historyczną dokładność, ażeby mnie nie usprawiedliwić.

Zechce Pan przyjąć, Hrabio, wyrazy mego najwyższego szacunku.

P. Mérimée

PS. Odczytując Pański list widzę, że miał Pan zamiar u dołu napisu umieścić DICAVIT. To w skrócie, oczywiście. Zwykłą modłą jest D.D.D. — dat, donat, dedicat.

2

[2 Mai 1862]

Monsieur le Comte,

J'ai remis à l'Académie des Insc[riptions] le livre que vous avez bien voulu lui offrir [1]. Je suis chargé de ses remercîments que le secretaire perpetuel vous transmet également. Je pars pour Londres où je suis membre du jury international [2] et je regrette bien que toutes les affaires que ce voyage m'a mises sur les bras, ne m'aient pas permis d'aller vous faire mes adieux et mes remercîments.

Veuillez agréer Monsieur le comte l'expression de tous mes sentiments de la plus haute considération

Pr. Mérimée

2 Mai 1862
[Adres:] Monsieur
le comte Al. Przezdziecki
8 Rue Duphot

2

[2 maja 1862]

Panie Hrabio,

Złożyłem Akademii Napisów książkę, którą był Pan łaskaw jej ofiarować [1]. Jestem upoważniony do podziękowań, które przekazuje Panu również sekretarz dożywotni. Wyjeżdżam do Londynu, gdzie jestem członkiem międzynarodowego jury i bardzo żałuję, że wszystkie te sprawy, które podróż włożyła mi na barki, nie dozwoliły, abym się osobiście pożegnał i podziękował.

Zechce Pan przyjąć, Hrabio, wyrazy mego najwyższego szacunku.

Pr. Mérimée

3

Paris 13 Avril 1867

Monsieur le Comte,

Hier, vendredi, c'est à dire aussitot après mon retour de Cannes [1], j'ai offert à l'Academie des Inscriptions, de votre part, votre mémoire sur la prose jusqu'alors attribuée à S[t] Casimir [2]. Je suis chargé par le bureau de vous adresser les remercîments de la Compagnie. En faisant l'analyse de votre interessant mémoire j'ai fait remarquer à l'académie [3] que vous aviez donné un exemple fort rare de votre amour pour la vérité, lorsque vous n'avez pas hésité à déposséder un saint, votre compatriote, d'une gloire dont il jouissait depuis longtemps, pour la rapporter à un

Français. Je crains Monsieur que vous ne trouviez pas beaucoup d'imitateurs parmi les érudits.

Permettez moi Monsieur le comte d'ajouter mes remercîments personnels à ceux de l'académie, pour l'exemplaire que vous avez bien voulu m'envoyer. Veuillez agréer Monsieur l'expression de tous mes sentiments de la plus haute consideration

Pr. Mérimée

3

Paryż, 13 kwietnia 1867

Panie Hrabio,

Wczoraj, w piątek, to znaczy natychmiast po mym powrocie z Cannes [1], w imieniu Pańskim ofiarowałem Akademii Napisów pracę Pana dotyczącą utworu przypisywanego dotychczas św. Kazimierzowi [2]. Jestem przez zarząd upoważniony do przekazania Panu podziękowań Towarzystwa. Rozbierając ciekawą Pańską pracę, zwróciłem uwagę Akademii [3] na to, iż dał Pan niezmiernie rzadki przykład umiłowania prawdy, skoro się Pan nie zawahał świętego, rodaka Pańskiego, pozbawić sławy, której zażywał od dawna, ażeby ją przyznać Francuzowi. Obawiam się, że niewielu znalazłby Pan naśladowców pomiędzy uczonymi.

Pozwoli Pan, Hrabio, że do podziękowań Akademii dołączę własne za egzemplarz, który był mi Pan łaskaw przesłać. Zechce Pan przyjąć wyrazy mego najwyższego szacunku.

Pr. Mérimée

4

16 Avril [1867]

Chère Présidente,

En effet je ne vais pas aux offices. J'espère que S[t] Pierre lorsqu'il saura que j'ai eu l'honneur d'etre votre secretaire, voudra bien ne pas trop examiner mes passeports [1]. Le fait est que je suis toujours bien souffrant. Je n'ose sortir le soir, mais le jour, je me traine. Le jour où vous auriez la bonté de me recevoir, je ferai le grand voyage de la rue du Centre [2] et j'attends vos ordres.

J'ai offert le livre de M. le c[te] Alex[andre] Przezdziecki à l'Académie qui m'a chargé de luit faire ses remerciments [3] mais où lui écrire. Je vous apporterai une lettre pour lui.

Adieu chère Présidente veuillez agréer l'expression de tous mes tendres et respectueux hommages

Pr. Mérimée

4

16 kwietnia 1867

Droga Prezydentko,

W istocie nie chodzę na nabożeństwa. Ufam, że skoro św. Piotr się dowie, iż miałem zaszczyt być Pani sekretarzem, łaskawie zechce nie przetrząsać zbytnio moich papierów [1]. To prawda, żem zawsze porządnie cierpiący. Wieczorami nie śmiem wychodzić, ale w ciągu dnia jakoś łażę. W dniu, w którym byłaby Pani łaskawa mnie przyjąć, odbędę wielką podróż na ulicę Centre [2], toteż oczekuję rozkazów.

Książkę p. hrabiego Aleksandra Przezdzieckiego ofiarowałem Akademii, która mnie zobowiązała do złożenia mu podziękowań [3], lecz dokąd doń pisać. Pani przyniosę list do niego.

Żegnam Panią, droga Prezydentko, chciej przyjąć wyrazy serdecznego uszanowania.

Pr. Mérimée

5

Paris 52 rue de Lille
25 Mai [1867]

Monsieur le Comte,

Je crains fort que vous n'ayez raison et que Max Müller n'ait tort. J'aurais du me défier de lui, car il place le basque parmi les langues aryennes [1].

Il est clair que l'Esthonien a beaucoup de rapports avec le Finnois, mais il me semble que le lithuanien est une toute autre langue, moins éloignée du slave. En effet il y a quatre mots sur neuf dans l'exemple de la Société biblique [2] qui peuvent se rattacher aux langues Slaves. Hier à l'Institut j'ai ouvert la grammaire lithuanienne de Schleicher, et il m'a semblé que pour les mots il n'y a que fort peu de rapports entre le lithuanien et le slave. Voici un proverbe lithuanien

Abrakas	arkliu [!]	nesundus
couverture [!]	au cheval	non lourde [5]

Pas une racine commune, mais les declinaisons et les conjugaisons, les noms de nombre, les pronoms etc. se rapprochent beaucoup des dialectes slaves. Je crois à une parenté éloignée sans doute, mais à une parenté, tandis qu'il ne me parait pas qu'il en existe avec l'Esthonien. Il se pourrait cependant que le lithuanien eût été très modifié par ses voisins Polonais et russes, bien que l'influence d'un peuple civilisé sur la langue d'un peuple qui ne l'est pas, se manifeste plutot par l'introduction de mots nouveaux que par l'altération de la grammaire.

Veuiller agréer Monsieur le comte avec mes remerciments l'expression de tous mes sentiments dévoués

Pr. Mérimée

5

Paryż, 52 rue de Lille
25 maja [1867]

Panie Hrabio,

Obawiam się, że to Pan ma słuszność, a Max Müller jest w błędzie. Powinienem był mieć się przed nim na baczności, albowiem umieszcza baskijski między językami aryjskimi [1].

Oczywista, że estoński wiele ma odniesień z fińskim, atoli wydaje mi się, że litewski jest zupełnie odrębnym językiem, mniej odległym od słowiańskiego. I tak w przykładzie Towarzystwa Biblijnego [2] cztery na dziewięć słów może się wiązać z językami słowiańskimi. Wczoraj w Instytucie otwarłem litewską gramatykę Schleichera i wydało mi się, że jeśli chodzi o słowa, tylko bardzo niewiele jest odniesień pomiędzy litewskim a słowiańskim. Oto przysłowie litewskie:

Abrakas	arkliu [!]	nesundus
Nakrycie [!]	koniowi	nieciężkie [3]

Brak wspólnego źródłosłowu, natomiast deklinacje i koniugacje, liczebniki, zaimki etc. bardzo się zbliżają do narzeczy słowiańskich. Jestem przeświadczony o pokrewieństwie odległym wprawdzie, ale pokrewieństwie, podczas gdy nie wydaje mi się, ażeby takowe istniało z estońskim. Możliwe wszakże, że litewski został bardzo zmieniony przez swoich polskich i rosyjskich sąsiadów, aczkolwiek wpływ narodu oświeconego na język narodu, który oświecony nie jest, objawia się raczej wprowadzaniem słów nowych niżeli zmianami gramatyki.

Zechce Pan, Hrabio, razem z podziękowaniami przyjąć wyrazy mego prawdziwego oddania.

Pr. Mérimée

6

Montpellier, Hotel Nevet
17 octobre [1868]

Monsieur le Comte,

Je n'ai pas de relations avec M. Duruy [1], et mon crédit est nul je pense auprès de lui; mais si vous aviez affaire pour M. votre fils [2] de quelque examinateur ou professeur à la Sorbonne, peut-être pourrais-je vous être utile. Ja connais M. Patin, S[t] Marc Girardin [3], et en général tous les membres de l'Académie française et de l'Académie des Inscriptions. Pour ces Messieurs, je suis tout à vos ordres.

J'ai reçu en même temps que votre lettre, des nouvelles directes de Czarny Ostrow. Mad[ame] votre belle soeur prétend qu'elle m'a écrit plusieure fois depuis un an, mais que les employés russes confisquent les lettres pour profiter des timbres-postes. Je crois que c'est une calomnie contre ces vertueux fonctionnaire, telle que les belles dames s'en permettent pour excuser leur paresse [4].

Je suis ici depuis une quinzaine de jours fort souffreteux, prennant des bains

d'air comprimé sous une cloche sans en sentir encore grand bien [5]. On me promet merveille pour l'avenir,

Mais [!] Philis, on désespère
Alors qu'on espère toujours.[6]

Cette ville ci est horriblement ennuyeuse, le pays tout plat. Le temps heureusement est très doux ce qui est un grand point. Je soupire après le moment où je pourrai aller à Cannes. Ne passerez vous jamais de ce côté? Je pense y etre vers le 1er Novembre.

Vous me surprenez en me disant que la comtesse de Noailles ne revient pas à Paris cet hiver. Voila une lune de miel bien prolongée [7]. Je suppose que sa maison de Biarrits est terminée. Elle est dans une admirable position, mais à mon avis bien exposée au vent.

Veuillez agréer Monsieur le Comte l'expression de tous mes sentiments dévoués

Pr. Mérimée

6

Montpellier, Hotel Nevet.
17 października [1868]

Panie Hrabio,

Nie utrzymuję stosunków z panem Duruy [1], mój zaś wpływ na niego jest, myślę, żaden; ale jeśli dla sprawy Pańskiego syna [2] potrzeba kogoś z egzaminatorów czy profesorów Sorbony, może mógłbym Panu być użyteczny. Znam pana Patin, St Marc Girardin [3] i w zasadzie wszystkich członków Akademii Francuskiej oraz Akademii Napisów. Co się tych panów tyczy, jestem całkowicie na Pańskie rozkazy.

Równocześnie z listem Pana otrzymałem bezpośrednie wiadomości z Czarnego Ostrowa. Szwagierka Pańska utrzymuje, iż od roku pisała do mnie po wielekroć ale że rosyjscy urzędnicy konfiskują listy, aby zyskać znaczki pocztowe. Sądzę, iż jest to przeciwko owym poczciwcom oszczerstwo z rodzaju tych, na które zezwalają sobie piękne panie, ażeby wytłumaczyć własne lenistwo [4].

Jestem tu od dwóch tygodni, mocno cierpiący, zażywający kąpieli pod dzwonem sprężonego powietrza, dotychczas nie odczuwam stąd wielkiego polepszenia [5]. Przyrzekają mi cuda w przyszłości,

Lecz, o Filis, z żałości też ginie,
Kto zbyt długo musi żyć nadzieją.[6]

Tutejsze miasto jest obrzydliwie nudne, okolica zupełnie płaska. Na szczęście pogoda jest nader łagodna, co ma duże znaczenie. Wzdycham do chwili, kiedy będę się mógł udać do Cannes. Czy nie zawadzi Pan o tamte strony? Myślę być tam około 1 listopada.

Zaskakuje mnie Pan powiadając, że hrabina de Noailles nie wraca tej zimy do Paryża. To się zowie miesiąc miodowy porządnie przedłużony [7]. Przypuszczam, że

skończono jej dom w Biarritz. Jest położony zachwycająco, ale, zdaniem moim, zbyt na wiatr wystawiony.

Zechce Pan przyjąć, Hrabio, wyrazy mego prawdziwego oddania.

Pr. Mérimée

7

Paris 14 oct[obre 1869]

Monsieur le Comte,

Je plead guilty pour la plupart des observations que vous avez la bonté de m'adresser. Je suis particulierement mortifié de ce que vous me dites des noms propres. Un de vos compatriotes qui a été mon guide me disait que les Szemioth n'existaient plus [1].

Un parent à moi, officier de la grande armée a vu un soufflet donnée dans des circonstances analogues à celles que je decris [2]. J'étais alors bien jeune, il est vrai mais je ne suis pourtant pas contemporain du roi Auguste.

Je suis fort effrayé de ce que vous me dites des tours de la Conciergerie et j'en donne avis à l'inspr gal des monuments [3]. Je crains bien qu'il soit difficile d'arrêter cet acte de vandalisme.

J'ecrirai au petit nombre d'académiciens que je connais pour leur recommander votre candidature [4]. Je vous serai très obligé de m'ecrire à Cannes, le lieu de votre résidence, je crois que c'est Cracovie [5], et si vous desirez remplacer particulièrement un des correspondants défunts. L'important est la résidence, mais je suppose que vous l'aurez marquée dans votre lettre.

Lorsqu'on mettra ma nouvelle dans quelque volume, je changerai les noms, et je vous serais même fort obligé de m'en donner [6].

Je vous ecris bien à la hâte, et n'ai que le temps de vous prier comme dans les pieces espagnoles [7] d'excuser les fautes de l'auteur.

Veuillez agréer Monsieur le comte l'expression de tous mes sentiments devoués.

Pr. Mérimée

J'ai envoyé à Mad[ame] de Rumbold la lettre que Mad[ame] votre belle soeur m'avait demandée [8].

7

Paryż, 14 października [1869]

Panie Hrabio,

Winienem plead guilty w odniesieniu do większości spostrzeżeń, którymi był Pan tak dobry się ze mną podzielić. Szczególnie jestem stropiony tym, co mi pan po-

wiada o nazwiskach. Jeden z Pańskich rodaków, który był mym doradcą, mówił mi, że Szemiothów już nie ma [1].

Krewny mój, oficer wielkiej armii, widział policzek wymierzony w okolicznościach odpowiadających tym, które opisuję [2]. Byłem podówczas bardzo młody, to prawda, ale przecież nie jestem rówieśnikiem króla Augusta.

Porządnie jestem przerażony tym, co mi Pan powiada o wieżach Conciergerie i daję o sprawie znać generalnemu inspektorowi zabytków [3]. Mocno się obawiam, iż trudno będzie powstrzymać ów akt wandalizmu.

Napiszę do paru akademików, których znam, ażeby im polecić Pańską kandydaturę [4]. Będę Panu bardzo wdzięczny za napisanie mi do Cannes, gdzie Pan stale mieszka, sądzę, że w Krakowie [5]; oraz czy w szczególności życzy Pan sobie zastąpić jednego ze zmarłych korespondentów. Ważne jest miejsce zamieszkania, ale przypuszczam, że mi je Pan wskaże w swym liście.

Gdy się będzie zamieszczać mą nowelę w jakimś tomie, pozmieniam nazwiska i nawet będę Panu szczerze zobowiązany za dostarczenie mi takowych [6].

Piszę do Pana w wielkim pośpiechu i mam czas zaledwie prosić Pana, jak w hiszpańskich sztukach [7], o przebaczenie błędów autora.

Zechce Pan przyjąć, Hrabio, wyrazy mego prawdziwego oddania.

Pr. Mérimée

Wysłałem do pani Rumbold list, o który Szwagierka Pana zwróciła się do mnie [8].

PRZYPISY DO LISTÓW MÉRIMÉE'GO

Do listu nr 1:

[1] Oto itinerarium owej „krótkiej wycieczki": 30 sierpnia wyjechał Mérimée do Sens i do Auxerre; 1 września był w Vezelay, 8 — wracając z Lyonu — w Puy, 9 — w Brioude, a 11 z Clermont-Ferrand udał się w drogę powrotną do Paryża.

[2] W roku 1848 Mérimée zaczął się uczyć po rosyjsku; przyjaźń m. in. z Sobolewskim i później z Turgeniewem sprzyjała zainteresowaniom kierowanym ku literaturze i historii jeszcze jednego kraju. Z początkiem roku 1851 pociągnął Mérimée'go temat Samozwańców: pod koniec roku 1852 wyszła z druku jego książka *Épisode de l'Histoire de Russie: Les faux Démétrius*, Paris 1853. List dotyczy przygotowań do tej pracy. Języka polskiego Mérimée nie znał, książki Niemcewicza w ręku nie miał, najwyraźniej ze słyszenia zna fragment, o który zapytuje: „Zarucki, zbyt słaby, by tak przeważającym siłom poddać się zdołał, uchodzi aż nad rzekę Jaik, długo ścigany, schwytany na koniec w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem, sam na palu życie kończy. Maryna utopiona pod lodem, syn jej, nie mający jak lat dwa, nielitościwie uduszon" (Julian Ursyn Niemcewicz: *Dzieje panowania Zygmunta III...*, Wrocław 1836, t. III s. 41—43). — Niemcewicz szedł prawdopodobnie za Pawłem Piaseckim *(Chronica gestorum in Europa singulariorum recentiorum...*, Kraków 1648, s. 334), a wbrew Stanisławowi Kobierzyckiemu *(Historia Vladislai Poloniae et Sueciae principis...* Gdańsk 1655, s. 471). Kwestia do dziś nie jest rozstrzygnięta, znane są rozmaite wersje, m. in. ze źródeł hiszpańskich pochodzi wiadomość, iż Marynę spalono na stosie. Przypuszczalnie umarła w więzieniu, zesłana do Kołomny (Aleksander Hirschberg: *Maryna Mniszchówna*, Lwów 1927, s. 336—337 nr 2). — Mérimée zdecydował się na kompromis: na śmierci Maryny kończy się tekst główny *Samozwańców*, idzie w nim autor za histo-

kami rosyjskimi; ale na tej samej stronie daje w przypisku ogólnikową wiadomość o rozwszechnionej w Polsce pogłosce *(Cf. l. c. s. 406—407)*.
W liście tym wyjątkowo odstąpiono od zasady jak najwierniejszego kopiowania oryginału. érimée oczywiście używał „jat' ", ponieważ drukarnia nie ma potrzebnej czcionki, w odpoednich miejscach wpisano literę „e".
[3] Летопись о многихъ мятежахъ..., Москва 1778. Przepisane nie bez błędu: winno być „Андроова".
[4] Bibliografię zestawia Mérimée na s. 449—452 swego dzieła.
[5] Autorem jej (Petersburg 1837) jest również N. G. Ustriałow. Wzmiankowana przez érimée'go wiadomość znajduje się w t. II, s. 180.

Do listu nr 2:

[1] Jest to *Magistri Vincenti Episcopi Cracoviensis Chronica Polonorum*, Kraków 1862. ajduje się do dziś w Bibliothèque de l'Institut de France z dedykacją wydawcy: „Respeceusement offert à l'Académie des Inscriptions et Belles-Lettres par le Comte Alexandre zezdziecki. Varsovie, 25 Mars 1862".
[2] W Londynie odbywała się w 1862 r. wystawa powszechna. O swym udziale w jury pisał érimée w liście: „Comme j'ai beaucoup barbouillé de papier dans ma vie, tant avec la ume, qu'avec le pinceau, on m'a chargé des papiers peints" (C. G. XI. 113). Do stolicy nglii przybył 5 maja.

Do listu nr 3:

[1] Wrócił Mérimée do Paryża 2 kwietnia.
[2] *Modlitwa świętego Kazimierza Jagiellończyka do Najświętszej Panny. Z rękopisów XII, V i XV wieku i ze źródeł archiwalnych krytycznie wyjaśniona przez Alexandra Przezieckiego*, Kraków 1867. Autorstwo tekstu przysądzone tu zostało św. Bernardowi.
Sprawę rozesłania egzemplarzy swej książki różnym wybitnym osobistościom omówił zezdziecki zawczasu ze swą wpływową szwagierką: w liście z 24 stycznia Liza Przezdziecka pewnia go, że skoro tylko otrzyma książki, przekaże je komu należy. W liście zaś z 6 arca, z Nicei, pisze m. in.: „Mérimée doit venir dans 2 jours ici, je lui remettrai pour nstitut et pour lui les 2 livres de St Casimir qui est un ouvrage fort remarquable" (Zbio- Przezdzieckich, rękopis D-346 w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie).
[3] 12 kwietnia 1867 r. Mérimée wygłosił w Akademii Napisów pochwałę książki Przezdziecego. *(Cf. C. G. XIII, 451 nr 2)*.

Do listu nr 4:

Na rozmaite pobożne propozycje Mérimée zwykł był odpowiadać dowcipną jakąś wyówką. Dopiero w testamencie wyraził zgodę na pogrzeb z udziałem pastora protestanckiego. st pisany jest we wtorek Wielkiego Tygodnia.
[2] Począwszy od 20 stycznia 1881 — rue Lamennais.
[3] *Cf.* wyżej (list 3, przypis 2).

Do listu nr 5:

[1] W liście z 6 maja 1867 pisał Mérimée do Lizy Przezdzieckiej: „M. le comte [Przezdziecki], i est venu me voir pendant ma grippe, s'est beaucoup moqué de moi parce que je lui ais dit que la langue lithuanienne était un dialecte slave. Il pretend que c'est une langue ute particulière. Or, je viens de recourir aux grandes autorités, Max Müller etc. Le huanien est un dialecte slave, division wendique. C'est ce qui resemble le plus au sansit parmi les langues européennes". (C. G. XIII 505. „Przezdziecki" wpisuję za zgodą ktora Parturier). — Max Müller pisał co następuje: „...The fifth branch, which is comonly called *Slavonic*, I prefer to designate by the name of *Windic, Winidoe* being one the most ancient and comprehensive names by wchich these tribes were known to the rly historians of Europe. (...) The earliest literary document of Lithuanian is a small techism of 1547. In this, and even in the language as now spoken by the Lithuanian asant, there are some grammatical forms more primitive and more like Sanskrit than e corresponding forms in Greek and Latin". (Friedrich Max Müller: *Lectures on the Science Language*, London 1885, t. I s. 226—227. — Nie mam wydania wcześniejszego, ale porównie z przekładem francuskim z 1867 r. nie wykazuje, aby autor w tym miejscu wproadził poprawki). — Powołanie się na oxfordzkiego językoznawcę w następnej sprawie ało jest ścisłe. Max Müller powiada: „...Let us take the Bask, which is certainly neither

Aryan nor Semitic, and which has thrown out a greater abundance of verbal forms than almost any known language", i obszernie cytuje francuskie dysertacje poświęcone językowi baskijskiemu (m. in. *Le Verbe basque* księcia Ludwika Lucjana Bonapartego). Trochę dalej znajduje się sformułowanie, do którego prawdopodobnie odnosi się aluzja listu: „...nay, the similarity between some of the Aryan languages and the Bask in the formation of their participles should be considered as an entirely exceptional case" (Friedrich Max Müller: *Lectures on the Science of Language...*, seria II, London 1864, s. 20 i 24).

[2] Przekład Pisma Św. na język litewski, wydany nakładem Towarzystwa Biblijnego, wspominany jest w noweli Mérimée'go *Lokis*.

[3] August Schleicher: *Handbuch der Litauischen Sprache*. Cytowane przez Mérimée'go przysłowie wziął autor z J. Ragaunisa; znajduje się ono w części II podręcznika: *Litauisches Lesebuch und Glossar*, Prag 1857, s. 73. — Mérimée pomylił się dwukrotnie: i w przepisywaniu, i w tłumaczeniu: powinno być nie „arkliu", lecz „arklui"; „abrakas" zaś znaczy nie „nakrycie", lecz „obrok" (sam Schleicher wyjaśnia w części słownikowej następująco: „Häksel und Haber gemengdt als Pferdefutter"). — Również polska paremiologia zna to przysłowie: „Nie cięży swe boroczno koniowi" poświadczone jest zapisem już z 1590 r. (Samuel Adalberg: *Księga przysłów polskich*, Warszawa 1894, *s. v.* KOŃ nr 200).

Do listu nr 6:

[1] Victor Duruy (1811—1894) — historyk, minister oświaty. 17 kwietnia 1868 — chodziło o inną jakąś przysługę — pisał Mérimée do Lizy Przezdzieckiej, wyliczając ministrów, do których trzeba się zwrócić: „Le ministre de l'instruction publique, auquel je m'adresserai, et qui a de la bienveillance pour moi" (*C. G.* XIV 98).

[2] Konstanty Przezdziecki (ur. w Neapolu 1846, zm. w Warszawie 1896), kawaler maltański. Kształcił się w szkołach paryskich, po śmierci ojca kontynuował jego wydawnictwa historyczne i uzupełniał zbiory biblioteczne rodzinnej ordynacji. Warszawa zawdzięcza mu założenie Pogotowia Ratunkowego.

[3] Henri Joseph Guillaume Patin (1793—1876) — historyk literatury starożytnej, profesor Sorbony, sekretarz generalny Akademii Francuskiej. 17 kwietnia 1868 pisał Mérimée do Lizy Przezdzieckiej, że w sprawie jej siostrzeńca wysyła list do niego (list ten nie jest znany), a 16 maja 1868 zapytywał swą korespondentkę o wynik egzaminu. (*C. G.* XIV 98 i 131). — Marc Saint-Marc Girardin (1801—1873) — krytyk literacki i mąż stanu, członek Akademii Francuskiej.

[4] Cały list jest bliźniaczo podobny do tego, który pisał Merimée do Przezdzieckiej, również 17 października 1868. Nawet przygana nie została złagodzona: „Vous calomniez, j'en suis sûr, les respectables employés de l'administration des postes pour excuser votre paresse"; ale też natychmiast znalazło się zręczne przejście do komplementu! (*C. G.* XIV 272).

[5] Mérimée cierpiał na rozedmę płuc. Co do kuracji w Montpellier zdania lekarzy były podzielone: nadworni wyraźnie ją odradzali. Tym razem (3—31.X.1868) jest tu Mérimée powtórnie, zachęcony złudzeniem poprawy po kuracji między 15.IV. a 17.V. tegoż roku.

[6] Cytat z Molierowskiego *Mizantropa* — akt I, scena 2, wiersze 331—332 (zakończenie sławnego sonetu Oronta). Pomyłka pamięci: winno być „Belle Philis..." etc. Przekład Tadeusza Żeleńskiego-Boya.

[7] Henri Emanuel de Noailles — zapamiętały polonofil, m. in. autor monografii poświęconej Henrykowi Walezemu — 30 stycznia 1868 ożenił się z siostrą Lizy Przezdzieckiej, Eleonorą (Laurą) z Lachmanów, I^o voto Świeykowską.

Do listu nr 7:

[1] List dotyczy w znacznej mierze noweli *Lokis*. Jest to późny utwór Mérimée'go, przygotowywany długo i starannie (w okolicznościach nader interesujących), opublikowany 15 września 1869 w *Revue de Deux Mondes*, włączony do pośmiertnego tomu *Dernières Nouvelles*, Paris 1873. Akcja noweli rozgrywa się w roku 1866 na Żmudzi; w intrydze znaczna rola przypadła *Trzem Budrysom* Mickiewicza. W sprawach realiów litewskich doradcą Mérimée'go był autor *Alkhadaru*, Chojecki (Charles Edmond): w liście z 20 września 1868 twórca *Lokis* zadał mu szereg pytań (*C. G.* XIV 245—246); z literackich zamysłów i kłopotów najciekawiej się Mérimée zwierzał Turgeniewowi, któremu nowela zawdzięcza nawet tytuł (*C. G.* XIV 261—262 i 302). — List Przezdzieckiego posłał Mérimée 14 października 1868 Chojeckiemu, czyniąc mu gorzkie wyrzuty: „Voici une lettre que m'adresse Mr Przezdziecki.

'e vous rends responsable des boulettes qu'il me reproche". W trzy dni później napisał doń powtórnie, nie tak już zagniewany: „Ce qui me faisait de la peine, c'était d'avoir traité l'ours un homme peut-être fort aimable" (*C. G.* XIV 638—640). Chodziło o Franciszka Szemiotha (*Cf.* o nim: *Druh Mickiewicza* w książce Marii z Przezdzieckich Walewskiej, córki Karola i Elżbiety z Lachmanów, *Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie*, Warszawa 1930, s. 63—68). Jednakże pocieszył się Mérimée tym, iż swego fikcyjnego bohatera wywiódł od Giedymina, a więc wprowadził szczegół zacierający podobieństwo z prawdą.

[3] Jest w *Lokis* przedstawiona scena poprzedzająca zawarcie aktu małżeńskiego Szemiotha: publicznie zostaje panna Julka Iwińska uderzona przez swą ciotkę, co w nikim prócz narratora nie wywołuje zdziwienia. „Tylko jakiś czarno ubrany pan nakreślił coś na papierze, na którym kilku z obecnych podpisało się z najobojętniejszą w świecie miną." Zagadkowe to wydarzenie jest w zgodzie z miejscowym obyczajem: ma to być kruczek umożliwiający w przyszłości ewentualne stwierdzenie, iż małżeństwo jest nieważne, „albowiem nastąpiło tylko skutkiem fizycznego gwałtu, wywartego na jednej ze stron zawierających umowę". Zwyczaj taki nie był w Polsce znany.

[3] Był nim podówczas Boeswillwald, z którym się Mérimée przyjaźnił; autor *Lokis* wiele lat (począwszy od 1834) sam przepędził na stanowisku generalnego inspektora zabytków.

[4] Listy Mérimée'go w sprawie kandydatury Przezdzieckiego do Akademii Napisów nie są znane, ale w liście do Lizy Przezdzieckiej z 27 listopada 1869 jest aluzja do tych starań. (*Cf. C. G.* XIV 670). Jeszcze wyraźniej uskarża się tam Mérimée, że niewielu już żyje jego znajomych.

[5] Istotnie trudno było — zwłaszcza cudzoziemcowi — ustalić, gdzie Przezdziecki zamieszkuje. Związany był zasadniczo z Warszawą, lecz poza granicami Polski najczęściej reprezentował środowisko naukowe Krakowa, niekiedy również Poznania. Pod koniec życia różne sprawy literacko-naukowe zatrzymywały go w Krakowie częściej i na dłużej.

[6] Podobnie zapowiadał Mérimée Chojeckiemu: że gdy wróci do Paryża, poprosi go o nazwisko jakiejś wygasłej rodziny (*C. G.* XIV 640).

[7] Tak też kończy Mérimée kilka ze sztuk swego *Teatru Klary Gazul*.

[8] Pani Rumbold — Nadina Łobanow księżniczka Rostowska, od 25.XI.1853 żona Williama, który był bratem Artura, piątego barona Rumbold; wzmiankowana w korespondencji Mérimée'go łącznie m. in. z Lizą Przezdziecką i Delfiną Potocką (*C. G.* XIII 332 oraz 417). List, o którym tu mowa, nie jest znany.

Podał do druku,
wstępem i przypisami opatrzył
Andrzej Biernacki

Henryk Breza

GENEZIS

Piękną chorobę * poprzedził Jastrun kilkoma zdaniami wyjaśnienia, któr jest jednocześnie ostrzeżeniem dla czytelników: „Nie chciałbym, aby narra tora tej opowieści identyfikowano ze mną. Nie miałem zamiaru napisać auto biografii, z wielu względów uważałbym tego rodzaju zamiar za niemożliw do wykonania". To wyjaśnienie czy ostrzeżenie jest ważne dla tych, którz by nie przeczytali *Pięknej choroby* albo przeczytawszy nie zrozumieli je sensu. Naiwnością byłoby ze strzępów faktów i okoliczności życiowych, któ rymi posługuje się narrator Edward Ostrzeń w swojej opowieści, dedukowa biografię faktograficzną samego Jastruna. Nie o fakty i okoliczności w zna czeniu zewnętrznym i społecznym chodzi w tej opowieści. Jest to opowieś w ścisłym sensie filozoficzna i jej materię stanowią treści wewnętrznej, du chowej biografii człowieka. Przy takim założeniu wszystkie sądy Edward Ostrzenia o człowieku i życiu można bez narażania się na zarzut prostactw przypisać samemu Jastrunowi. Ostrzeń filozofuje na rachunek filozoficzn Jastruna, pomiędzy nimi nie istnieje żaden dystans intelektualny, tak ja nie istnieje żaden dystans pomiędzy Jean-Baptiste Clamence'em a Alberte Camusem. Opowieść Clamence'a to esej z zakresu filozofii moralnej w for mie monologu-gawędy, opowieść Ostrzenia to esej z zakresu psychologi w formie, najlepiej chyba powiedzieć, genezyjskiego poematu intelektualneg I w jednym, i w drugim wypadku tryb eseistycznego formułowania sądó odautorskich jest nadrzędny w stosunku do takich czy innych zabiegów for malnych natury raczej dekoracyjnej.

Esej psychologiczny Jastruna jest pod pewnym względem prawdziwą re welacją. Eseistyczną analizę biografii duchowej człowieka przeprowadził Ja strun z takiego punktu widzenia, z jakiego jej zwykle w literaturze nie prze prowadzano. Ten punkt widzenia to jakiś stan aktualny duszy ludzkiej. Sta duszy ludzkiej należy tu rozumieć jak najszerzej, jako stan świadomośc i podświadomości, wyobraźni na jawie i wyobraźni sennej, uczuć zrozumia łych i niepojętych. Ten stan aktualny duszy ludzkiej traktuje Jastrun jak jedyną rzeczywistość względnie pewną, najbardziej bezpośrednio daną, naj

* Mieczysław Jastrun: *Piękna choroba*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawn czy, 1961; str. 238, 2 nlb.

bardziej podległą myślowemu wnioskowaniu. Pojęcie stanu teraźniejszego duszy ludzkiej jest oczywiście także czymś umownym, ponieważ nic co ludzkie nie może być wyzwolone od konieczności ustawicznej zmienności, ale ta umowność wydaje się Jastrunowi mniej ryzykowna niż umowność jakichkolwiek faktów zewnętrznych, niż umowność przeszłości i przyszłości także w życiu duchowym człowieka. Tę umowność stanu teraźniejszego duszy ludzkiej Jastrun gotów jest tolerować dlatego, że potrzebny mu jest jakikolwiek punkt oparcia, żeby móc się posłużyć szkiełkiem i okiem mędrca, żeby jakiekolwiek wnioskowanie było w ogóle możliwe. Czas przeszły i czas przyszły o tyle tylko są rzeczywiste, o ile istnieją w czasie teraźniejszym. Przyszłość nawet w formie swego potencjalnego istnienia w teraźniejszości wymyka się w sposób naturalny spod kompetencji ludzkich władz poznawczych. Przeszłość jest zdaniem Jastruna niepoznawalna sama w sobie i może być jedynie rozpatrywana w swoich śladach i przedłużeniach w teraźniejszości. To jest najistotniejszy powód, dla którego Jastrun zastrzega się, że *Piękna choroba* nie jest autobiografią. Z jego punktu widzenia autobiografia w sensie dokumentalnym i w sensie rodzaju fikcji literackiej jest zjawiskiem czysto konwencjonalnym, nie wykracza poza baśniopisarstwo. Przeszłość jest u Jastruna funkcją teraźniejszości, a nie na odwrót. Uzasadnieniem tego założenia jest opowieść Edwarda Ostrzenia.

W duchowej teraźniejszości narratora *Pięknej choroby* (wyjaśnijmy, że „piękną chorobą" nazywa się u Jastruna życie indywidualne i życie w ogóle) trwają ślady przeszłości jako wypadkowa rzeczywistych i potencjalnych doświadczeń, świadomych i podświadomych przeżyć, jako funkcja ludzkiej pamięci, która jest siłą tajemniczą i niepodległą ludzkiej woli jako skierowana w chaos czasu minionego sprawność wyobraźni. Aktualna treść duszy ludzkiej to niepowtarzalny układ efektów funkcjonowania różnych władz duchowych człowieka: intelektu, uczuć, wyobraźni i pamięci. Z tego nietrwałego i niepowtarzalnego układu niesposób nic pewnego wnioskować na temat układów minionych, ponieważ wszystko się zmieniło i żadna zmiana nie da się odwrócić. Doświadczaliśmy jednego, ważne akurat okazało się to, czego nie doświadczaliśmy, kochaliśmy to, o czym nie pamiętamy, a pamiętamy to, co nie zwracało naszej uwagi, siła naszej wyobraźni zmienia się nieustannie, obiekty naszych uczuć unicestwiają się wzajemnie, stajemy się ustawicznie coraz to inni i wszystko wokół nas także ustawicznie się zmienia. „Przeszłość ...) — konkluduje narrator *Pięknej choroby* — jest mniej realna niż przyszłość, gdyż ta przynajmniej jest napięciem kierunkowym, staje się w każdej chwili zdobywając nowy obszar dla życia, gdy przeszłość, którą staje się każda chwila, odpada, ścieka, podobnie jak wydzieliny ciała, i odrywając się od tego strumienia, płynącego bezustannie naprzód, zmienia się sama w sobie i nie podlegając już ciążeniu, ulatnia się w najbardziej lotny element, którego nie podobna zidentyfikować" (str. 229).

Konkluzja ta jest jedną z prób podsumowania wysiłków Edwarda Ostrzenia, żeby wskrzesić własną przeszłość duchową. Wszystkie te wysiłki są daremne i bezcelowe. Rodzice są dla niego bardziej rzeczywiści po ich śmierci niż za życia. Nie dadzą się odtworzyć owe stany niedostrzegania ich i nierozumienia, którym podlegał w dzieciństwie. Nie da się odtworzyć miłość jej obiekty, ponieważ miłość ze swej natury jest niepojęta poza czasem jej

trwania. „Do istoty tego zjawiska należy nieokreśloność, jakaś nowa logika widzenia, która osobom postronnym wydaje się czymś w rodzaju pomieszania zmysłów i zatratą zdrowego sposobu myślenia, a jest zapewne tylko wyzwoleniem się wyobraźni, dotychczas ograniczonej przez zdrowy rozsądek; pokazuje ona naocznie, że świat nie jest tak łatwy do zgłębienia, jak może się wydać w pierwszej chwili, że rozstępuje się i rozszerza w różnych kierunkach, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy" (str. 94). Pamięć, która nie zachowała twarzy, gestów i słów najbliższych, którzy byli wszystkim na świecie, jest usłużna i obsesyjna, gdy chodzi o zdarzenia i wówczas, i dziś pozbawione wszelkiego znaczenia. „Wypaliły się moje wielkie uczucia, w proch padły miasta i państwa, a ta uczennica, nie znana mi z nazwiska i imienia, trwa dotąd, może to drwina losu, który ukazuje mi naocznie i z całym cynizmem znikomość wszystkiego, co przeżywamy, wszystkiego, co nas spalało, trwając przez lata i absorbując całą naszą istotę i zamiast widm naszej miłości, przyjaźni, przywiązania podsuwa nam figurkę nic nie znaczącą w naszym życiu: »Widzisz, co warte były twoje uczucia, gdy myślałeś, że ofiarują ci pełnię. Idź za tym widmem lekkim i obcym, oto co pozostawiłem w twej pamięci, abyś się bawił miłym widzeniem, które jest bez wartości«" (str. 203).

Uznanie stanów duszy ludzkiej czy, jak się nie dość ściśle mówi u Jastruna, momentów świadomości za podstawową rzeczywistość ludzką prowadzi do daleko idących konsekwencji ontologicznych, wysuwanych przez Jastruna z pełną świadomością w formie jeśli nie filozoficznego, to w każdym razie artystycznego programu. Jastrun stawia jak gdyby znak równości między tym, co doświadczone, tym, co potencjalne, tym, co urojone. Niweluje czas i przestrzeń jako kategorie ludzkiego świata, przekreśla pojęcie osobowości jako wymysł sztuczny i konwencjonalny, usprawiedliwiony nie naturą życia, lecz przekonaniem metafizycznym, z gruntu i absolutnie wątpliwym. Edward Ostrzeń analizuje siebie, ograniczonego czasem i przestrzenią, ale ambicją jego są domysły na temat natury życia powszechnego. Wnioski z przeprowadzanych autoanaliz przenosi on na płaszczyznę filozofii w wymiarze genezyjsko-apokaliptycznym. Pozwolę sobie przytoczyć dłuższy fragment końcowych partii *Pięknej choroby* — jeden z najlepszych w książce:

„Właśnie dogmat o ciał zmartwychwstaniu jest chyba najbardziej wstrząsającą wizją, jaką ludzie podali ludziom do wierzenia: powstające z prochu ziemskiego ciała, liczne jak gwiazdy, na odgłos trąby archanielskiej zrastające się kości, na nowo oblekające się w ciała, wychodzące z wilgoci lochów grobowych, spod posadzek kościołów, z iłu i popiołu, gdziekolwiek, zaorane, zmiażdżone, starte na proszek, od wieków spoczywały albo krążyły w powietrzu, w wodzie, w związkach chemicznych, wstające na Sąd Ostateczny, mają świadczyć o jedności wszystkiego, co w nas samych było rozproszone, chwiejne, nie dokończone, mają przekonać nas, że byt nasz nie był złudzeniem, mimo że był ustawicznym ruchem, przenoszącym w nas i poza nami cząstki materii z miejsca na miejsce, rwącym bezustannie ciąg naszego myślenia i odczuwania, poddającym nas tysiącu śmierci jeszcze przed ostateczną, która zabiera nam obraz świata gasząc nasze zmysły; jest w tej wizji niezgłębiona wiara w realność naszej osobowości, przekonanie, że jest ona odpowiedzialna za wszystko, co zdarzyło się jej przeżyć, albowiem nic nie ginie, nie

rozpływa się w bezkształtnej mgławicy; ale właśnie sprawa rzeczywistego istnienia osobowości, owej duszy, którą wywyższa się człowiek nad zwierzęta, owej cząstki Boga, co została mu łaskawie udzielona przez niego, tak zazdrośnie strzegącego tajemnicy, jest chyba najbardziej problematyczna" (str. 228—229).

Jastrunowska „Genezis z Ducha" (ta analogia nasuwa się z nieprzepartą siłą) nie prezentuje treści duchowych człowieka, jest prawie wyłącznie zracjonalizowanym komentarzem do tych treści. Treści te są w niewielkim stopniu natury racjonalnej. Jastrun dociera raz po raz do ostatecznych granic kompetencji języka zracjonalizowanego, granic tych jednakże nie przekracza. Sygnalizuje coraz to nowe punkty, w których chęć przekroczenia tych granic jest, żeby tak rzec, racjonalnie usprawiedliwiona. „Nie zdajemy sobie zazwyczaj sprawy z tego, że nasza egzystencja, czyli świadomość odrębności naszego ciała i umysłu, opiera się na bardzo kruchych podstawach, że w istocie gubimy się ciągle — we śnie i w czuwaniu, w miłości i omdleniu" (str. 83).

Furtek jest wiele i korcą one rozmaitymi perspektywami. Musiałaby się poza nimi złamać racjonalna struktura języka. „Więc wszystkie gramatyki są po to tylko, by mydlić nam oczy w szlachetnym zresztą celu podporządkowania chaosu? Jestem tu i jestem tam, jestem chłopcem, który przyklęka nad budową gmachów, będących w mojej wyobraźni, jestem uczniem siódmej czy ósmej klasy gimnazjalnej, uczącym się w pokoju, z którego okien widać zieloną studnię, jestem w tylu postaciach i miejscach, że nie ma mnie naprawdę nigdzie i nigdy" (str. 119).

Jastrun utrzymuje się w granicach racjonalności wcale nie z troski o prawdę: „Nagle zrozumiałem, że moja władza poznawcza, moja zdolność orientacyjna jest mocno zawodna, że powinienem iść na ślepo, zaufawszy jedynie instynktowi, biec jak koń w ciemności, niewolnik wozu, prowadzący wóz do miejsca i celu drogi" (str. 131). Prawda jest bliska nieprawdy tak jak wszystkie autonomie stworzone przez ludzki umysł: „Ten dom trwalszy niż wszystko, co się w nim wydarzyło lub nie wydarzyło, mocniejszy od zdrady i wojny, trwa dalej, aby mi udowodnić murowaną prawdę, że to, co przeżyłem, nie różni się od tego, czego nigdy nie zaznałem, że mogę do obrazów pamięci, chwiejnych i niepewnych, dodać inne i te mogą być równie prawdziwe i równie kłamliwe jak te, które pamięć podaje za rzeczywistość minioną" (str. 126).

Jeśli mimo wszystko Jastrun ani razu nie przekracza granic zracjonalizowanego języka, wynika to przede wszystkim z samej formy wypowiedzi pisarskiej, z formy filozoficznego eseju. Chcę powiedzieć, że *Piękna choroba* jest w gruncie rzeczy dziełem z zakresu filozofii na użytek literacki. Na taki właśnie użytek, jak w *Ulissesie* Joyce'a. Nie przypuszczam, żeby Jastrun zamierzał zabrać się do czegoś takiego, jak *Ulisses*. Jastrun widzi zdaje się jakieś powody, dla których przekroczenie granic języka zracjonalizowanego gotów jest uznać za niemożliwość. Tym bezinteresowniejsza jest zasługa, że postanowił odkryć wszystkie słabe punkty tego języka, któremu postanowił być wierny. Może zresztą mylę się w tych przypuszczeniach. Czas pokaże, czy *Piękna choroba* jest podsumowaniem, czy inwokacją. Jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość. Jastrun napisał rzecz niezwykłą, rzecz natchnioną, głęboką w swoich treściach, szlachetną w swoim patosie, tak częstym u Jastruna, a tym razem w pełni właściwym, usprawiedliwionym doniosłością i dosto-

jeństwem tej wypowiedzi pisarskiej, w której powiedziane zostało wszystko, co Jastrun uznał się w prawie powiedzieć. Dzieła takie jak *Piękna choroba* powstają rzadko, są nader szczęśliwym rezultatem pisarskich wysiłków, które nie zawsze przynoszą oczekiwane owoce, ponieważ żywe dzieła literatury, tak jak „piękna choroba" zwana życiem, są wynikiem niespodziewanym, rodzą się z nieznanych przyczyn, są zapewne, tak jak wszystko, owocem zbiegu okoliczności, na co nie można mieć wpływu i czego najczęściej nie można zrozumieć.

Henryk Bereza

DEBIUTY WROCŁAWSKIE

Leon Szwed: *Ogród spadających masek*. Wrocław, Ossolineum, 1960; str. 63, 1 nlb.
Tadeusz Zasadny: *Zazdroszczę nut*. Wrocław, Ossolineum, 1960, str. 46, 2 nlb.

Omawiając dwa tomiki poetyckie wydane ostatnio przez wrocławskie Ossolineum wypada na wstępie podkreślić cenną i ważną inicjatywę tego wydawnictwa. Wyspecjalizowane od dawna w publikacjach klasyków, literatury o charakterze historycznym i pamiętnikarskim, literatury naukowej z dziedziny humanistyki, wreszcie serii tomów Biblioteki Narodowej — podjęło wydawanie współczesnych polskich pisarzy. Odciąża to w pewnej mierze wydawnictwa centralne i stwarza korzystniejszą niż dotychczas geografię wydawniczą. Był to w istocie rzeczy szczególny paradoks: miały swoje wydawnictwa literatury współczesnej Łódź i Kraków, Poznań i Katowice, nawet Gdańsk czy Olsztyn, a nie miał ich Wrocław, zajmujący na naszej mapie kulturalnej niepoślednie przecież miejsce. Dwa zbiorki, o których uwagi zamieszczam, bardzo są różne, łączy je jednak wysoki stosunkowo poziom selekcji zastosowanej przez wydawnictwo, nie niższy niż w wypadku przeciętnego tomu czy debiutu ukazującego się w wydawnictwie warszawskim. Widoczna jest także troska wydawnictwa o staranne opracowanie graficzne i estetykę książki, miałoby się może jedynie czasem pretensje o poziom niektórych grafik, jakimi wzbogacono teksty.

ESCHATOLOGIA LUDZKIEGO WNĘTRZA

Ogród spadających masek Leona Szweda — to debiut. Te dwa tytuły — moich uwag i zbiorku, zestawione razem, tworzą całość dość napuszoną, ale jednocześnie jakby godną, prowokującą. Co w sumie — oddaje chyba w pewnym sensie zawartość tej książeczki. Ma ona określony profil emocjonalny i myślowy: jest nią napięta bardzo wrażliwość i drażliwość moralna i poznawcza. Sprawia to, że problemy wewnętrzne, a o nich przede wszystkim tu mowa, choć i tła są często obecne — ukazują się jako sądy ostateczne sumienia i charakteru, katastrofy i końce świata osobowości i świadomości. Na tym tle tym silniej przebija się lęk przed rzeczywistym końcem świata jednostki — przed śmiercią, przychodzącą wcześniej, niż skrystalizuje się rozpraszana ciągle i wikłająca się w sprzecznościach osobowość:

Całe życie
jest stałą pogonią
za nogą,
której wszędzie brakuje. (...)
On przegapia okazje,
wreszcie ją chwyta w zakątku ulicy —
połyka, wpycha żarłocznie (...)
Krztusi się, klnie,
nie może strawić.

I nosi ją w sobie
jak zdrajcę,
jak wroga.

(Człowiek bez nogi)

Tę obcość samemu sobie, nienawistną proteuszowość rysują takie wiersze, jak *Wielokształtna nagość aktora, Łatwość odnalezienia się w ludzkości, Zagubieni w sobie.* Cytuję przykładowo. Ta nutka „obcości", znana egzystencjalizmowi, nie jest przecież egzystencjalistyczna, ale raczej, jako się rzekło wyżej, eschatologiczna, i ma w sobie coś z natrętności i udręki dążenia a zarazem niemożliwości spełnień wewnętrznej teodycei. Chodzi mi w tym porównaniu raczej o podkreślenie nastroju niż rzeczywiste odniesienie. Ale np. wiersz *Obłęd* potwierdza w pełni i zupełnie konkretnie to spostrzeżenie.

Inna obsesja, a wielce opisanej wyżej pokrewna, to obawa przed mitem wewnętrznym, chęć dekonspiracji czy autodekonspiracji, to właśnie owe „spadające maski". Zwłaszcza charakterystyczny jest tutaj wiersz *Katharsis:*

płomienne kolory bladły
odsłaniając w środku kuli
cały śmietnik porażki —
wyłamane kły,
lalki matki i ojca,
nieudane protezy,
ułomne maski,
czekające na litościwą zapałkę
przed cenzorem z odrzuconą w tył głową
i otwartymi ustami,
a na kuli powstaje błyszczący napis:
następny oszust proszę.

Dwa zdania w sprawie t ł a. Czasem jest ono tylko umowne, istnieje po to tylko, by dobitniej obrysować problematykę wewnętrzną, czasem jednak powołuje się Szwed na krajobrazy rzeczywiste, nieco podobne do wizji awangardowo-futuryzujących (właśnie to zestawienie!) — gdzie wizja świata „cywilizowanego", stechnicyzowanego, społecznego połączona jest z charakterystycznym lękiem przed jego potęgą i obcością (a więc w pewnym sensie odwrotnie niż w awangardo-futuryzmie). Trudno stwierdzić, czy to tło ma być u Szweda zapowiedzią uczulenia na rzeczywiste realia, czy też jest to sprzeczność w ramach jego poetyki, gdyż te dwa widzenia — zewnętrzno-rzeczywiste i wewnętrzno-umowne — raczej pozostają ze sobą w artystycznym skłóceniu.

Jest więc w tym zbiorze coś autentycznego, ostrego — ale zarysowana problematyka została w omówieniu sformułowana nieco poza konwencją, w jakiej umieszcza ją sfera językowo-obrazowa. Ta sfera, poza pokrewieństwami wyżej wskazanymi, to niewątpliwe naloty poetyki późno-młodopolskiej, jakiejś strefy pośredniej między moderną a zdobyczami dwudziestolecia. Tu przynależy i patetyczność, i upodobanie w rozdzierającym geście, krzykliwym bebechu, przy jednoczesnej obecności częstych i bardzo wytartych poetyzmów. Tu — i biologizm niektórych wierszy, jakby „niezdrowo" sensacyjny. Znajdujemy obrazy „drapieżnych" ptaków, sępów wbijających szpony w krew (wizja pierwszego wiersza powtarza się) — obok „oczu wiosny pieniących się w dreszczach kolorów". Wyznacza to mniej więcej konwencje stylistyki tego zbioru. Rzadko trafi się strofa obnażona do czystego, myślowego rdzenia lub obraz, który nie zostanie w dalszym ciągu zakłócony przez napuszoność jakiegoś kontekstu. Dałoby się tego uniknąć, gdyby nie przegadanie wielu wierszy. Problematyka myślowa czy obsesje moralne nie wystarczają do stworzenia nowej całości artystycznej, ale jest to coś. Ze stylami można rozmawiać — to są maski do zrzucania, czekajmy więc na zbiór następny.

KONWENCJE RYGORU POST-AWANGARDY

Drugi debiutancki zbiorek — Tadeusza Zasadnego — uderza w pierwszej lekturze dużym skondensowaniem i rygorem, dobrym słuchem poetyckich konwencji, kulturą literacką. Mieszcząc się w ramach konwencji post-awangardowej — odwołuje się szczególnie do tonów Czechowiczowskich (czasem odzywa się Białoszewski), przynosi aluzje śpiewanki ludowej i naiwnej ornamentyki:

Nie
nie śpiewaj Kasieńko wieczorem
już zachodzi czarnych muszek rój
u twych nutek zawstydzony złodziej
na rumiankach
wiesza złoty klucz

(Chora)

Tego typu tony pojawiają się w wielu utworach ukazujących w naszkico-

wanych za pomocą paru kresek aluzjach nastrój, kolor, pejzaż i sytuację.

Metaforyka u Zasadnego ma charakter intelektualny, mimo że intelektualizacja jest tej poezji właściwie obca. Odniesienie do rzeczywistości następuje za pośrednictwem obrazu, który stara się pozostać konkretem:

W pękniętej szybie
klowny w tęczach
ale już lisem
z boku
chmura

(Majowa)

To nieco zabawne, jak proces intelektualizacji konkretu, będący jakąś odmianą jego symbolizacji — zeszedł już do codziennej praktyki debiutanckiej. Kilkadziesiąt lat temu na temat wtórnej symbolizacji konkretu, nie w formie dużych całościowych obrazów, pisał nie bez cierpkości Osip Mandelsztam: „Przy stole nie należy jeść, gdyż to nie jest po prostu stół. Nie trzeba zapalać ognia, gdyż to może oznaczać coś takiego, że sam będziesz potem niezadowolony". Wydaje się, że te uwagi do dziś trafiają krytycznie w utwory, gdzie intelektualizacja i pseudonimizacja konkretu nie zostaje usprawiedliwiona dostatecznie istotną propozycją intelektualną czy jakością intelektualnego kontekstu, jego niebanalnością. W innym wypadku bowiem otrzymujemy ładne dekoracje, za którymi nie stoi treść, a same w sobie są pozorem konkretu. To niebezpieczeństwo zagraża niestety wierszom Zasadnego.

Powtórzenie pewnej impresyjności, nastrojowości Czechowiczowskiej, zresztą w obrazach o wiele bardziej eliptycznych i mniej konkretnych, czyni z wielu wierszy zbiorku całości opisowe i jakby powierzchowne. Z tego powodu na czoło wysuwają się nie tyle problemy, ile nurt opisowo-egzotyzujący, gdzie uniezwyklenie tematu zastępuje w pewnej mierze ostrość problemu. Przypomnijmy tu takie wiersze, jak *Lunatycy, Do ślubu, Piegowata, Zimowy erotyk* (ten ostatni utwór broni się niekonwencjonalnością ujęcia).

Nie chciałbym, aby te uwagi zostały odczytane jednostronnie na niekorzyść autora. Przeciwnie — sądzę, że publikacja tego zbioru była co najmniej uzasadniona. Doświadczenie, uczące, jak bledną nawet dobre książki sezonu, każe jednak wydobywać to przede wszystkim, co budzi zastrzeżenia. Ileż bo razy pisarz musi zmienić narzędzia i materiał, by trafić na właściwy i głęboki ton. Ale tymczasem rygor pracy poetyckiej — to jest umiejętność nie pozbawiona znaczenia.

Jacek Trznadel

MIĘDZY LIRYKĄ A FILOZOFIĄ

Jerzy Braun: *Patos przemijania. Z wierszy dawnych i nowych.* Warszawa, PIW. 1960; str. 110.

Patos przemijania, tom ukazujący się w dwanaście lat po poprzedniej książce Brauna, *Poematach* (1948), nosi podtytuł *Z wierszy dawnych i nowych*. Podtytuł bardzo enigmatyczny, bo sugerujący, że jest to wybór, ale i nie wybór. „Z wierszy"... A więc luźna składanka utworów wyjętych z różnych tomików poety, nie konstruowana jednak jako „portret artysty", jako próba wyszukania w jego dorobku wierszopisarskim przesłanek i materiałów do możliwie najprecyzyjniejszego określenia *differentiae specificae* jego indywidualności twórczej. Zebrane w *Patosie przemijania* wiersze pełnią z tego punktu widzenia raczej rolę ilustracji dowodowej uzupełniającej to, co w swoim wstępie do tej książki mówi na temat Brauna i jego poezji Jerzy Zawieyski.

Kłopot z tym, że wstęp Zawieyskiego akcentuje jeden tylko rys tej poezji: jej filozoficzność, a więc ujmuje ją w sposób wyraźnie zwężony. Daleko szerzej i pełniej widział lirykę Brauna K. W. Zawodziński, który omawiając *Tancerza otchłani* (1933) pisał: „Nawet

w oderwaniu od treści strofy jego są częstokroć wysokiej klasy poezją — zaśpiewem, zaczarowaniem. Ale prócz tego działa na czytelnika „olbrzymi nacisk myśli ku własnej otchłani", myśli, która w wierszach jego rozstaje się ze spekulatywną abstrakcyjnością i przyodziewa się w bogactwo obrazów, w magiczny patos wizyjności. Wbrew oczekiwaniom, jest to zmysłowa w gruncie rzeczy wizja świata, której towarzyszy nieodstępnie myśl pragnąca ująć sens wszechrzeczy (...), a wspaniałe, rozpętujące mitotwórstwo, spojrzenie w chmury ma za punkt wyjścia taką refleksję, której rozumowość nie unicestwia natchnienia poetyckiego:

Widzisz chmury pierzaste. A to woda
w niebie,
Ta sama, co szmerami pulsuje w dolinach.

Zawodziński trafnie podkreśla właściwe Braunowi stopienie refleksji filozoficznej z poetyckim wizjonerstwem i uczuleniem na ekspresyjność postrzegalnego zmysłowo konkretu trójwymiarowej rzeczywistości. Jest to jak najbardziej słuszne, gdyż tym sugestywniejsza i celniejsza artystycznie staje się poezja autora *Najazdu centaurów*, im ściślej współgrają ze sobą te trzy jej konstytutywne elementy. Punktem wyjścia zaś, bazą operacyjną jej filozoficznej zadumy i poetyckiego wizjonerstwa jest ziemia,

Ziemia piachami biała, sprażona i schnąca
i ziemia snów liliowych, wrzosowisk bez
końca —
i ta leśna, i wietrzna, i jeziorna wodą,
i ta w góry spiętrzona, i ta słodka
miodem —
ziemia zbita w gruz głuchy, iglasta
i zielna,
ziemia trzcinna i pylna (...)
(Ziemia)

Nawet najbardziej fantastyczne kosmogonie i apokalipsy tego poety kształtuje wyobraźnia o skłonnościach sensualistycznych, formująca obrazy o wyraźnie zarysowanych konturach:

Szła siwa, mglista noc, jak koń olbrzymi
w wilgotnym czapraku gwiazd —
(. . . . . .)
Szła siwa, mglista noc z długą, obwisłą
grzywą
i czworo mokrych kopyt wdrążała
milczkiem w piach —
(Dziwna noc)

Dyszy mgłami głąb niezmierna słońcami
obrosła,
lecą wory, gwiazdozbiory z ziarnami na
przemiał.
Płynie Młynarz, zgina Młynarz lazurowe
wiosła —
odprysnęła kropla z wiosła, odprysnęła
ziemia.
(Ziemia)

Wyobraźnia ta jest na wskroś romantyczna. Chodzi mi tu nie tylko o jej swoistą „dionizyjskość", o upodobanie do nastrojowości, wizyjności, patosu obrazów i słowa, ale również o to, że ukształtowała się ona na wzorach naszej poezji romantycznej. Związki z polskim romantyzmem ubiegłego wieku są dla poezji Brauna bardzo znamienne. Można by wręcz powiedzieć, że autor *Tancerza otchłani* usiłuje własną poetykę wyprowadzić wprost z poetyki romantyzmu, co zresztą okazuje się nie zawsze szczęśliwe (frazeologia, jak na nasze gusty, czasem zbyt górna i „mocarna", literacki, nie oparty na autopsji egzotyzm, osłabiający niekiedy dynamikę poetyckiego wyrazu nalot konwencjonalności w traktowaniu metafizycznych zamyśleń i niepokojów).

Niemniej w tym zwrocie do najświetniejszego okresu naszej poezji jest swoista oryginalność, zbuntowana przeciw krótkotrwałym modom literackim swego czasu, szukająca dla siebie natchnień u arcymistrzów słowa. Nie chodzi tu zaś tyle o natchnienia bezpośrednie, jak np. w wypadku *Lucifera* (z tomu *Dywan rozkwitający*), gdzie poeta nawiązuje wprost do stworzonej przez Słowackiego koncepcji lucyferyzmu, ale raczej o korzystanie z romantycznych wzorców przy kształtowaniu własnej postawy pisarskiej i własnego programu twórczego.

Często mówi się dzisiaj o „wyobraźni wyzwolonej", nie określając jednak dokładniej, od czego ma być ona wyzwolona i w jakim celu. W wypadku Brauna wyzwolenie owo polega na odrzuceniu zarówno skamandryckiej poezji codzienności, jak i awangardowych koncepcji liryzmu spod znaku „miasto, masa, maszyna". To odżegnanie się od obu najgłośniejszych i najbardziej po-

pularnych nurtów poezji dwudziestolecia wynika nie tylko z ambicji zachowania niezależności wyłącznie literackiej, ale jest nieuniknioną konsekwencją przyjęcia romantycznego poglądu na człowieka i sztukę.

„Ludzkość — mówi Novalis — jest jakby wyższym zmysłem planety, okiem, które podnosi ona ku niebu, nerwem, który wiąże ją z wyższym światem." To pojmowanie człowieka jako istoty granicznej, w której elementy materialno-ziemskie splatają się z kosmiczno-duchowymi, właściwe jest nie tylko mistykom w rodzaju autora *Hymnów do nocy*, ale również ateiście Shelleyowi. Stanowi ono wspólną własność różnych odmian i nurtów romantyzmu. Przyjmuje je także i czyni jednym z aksjomatów swojej poetyckiej filozofii Jerzy Braun. Nie tylko jednak przyjmuje, ale i umie przetłumaczyć na konkret poetyckiego obrazu (*Lucifer, Już tłoczą mi się zewsząd..., Przyroda, Dom, Pył, Ziemia, Kosmogonia*).

Człowiek Brauna jest obywatelem zarówno swojej ojczystej planety, jak i całego kosmosu. Dlatego też zdolny jest tworzyć nie naśladując otaczającej go, uchwytnej zmysłowo rzeczywistości, Może budować fantazją światy do niczego na ziemi niepodobne (*Dywan, Sen ślepca, Ballada o ogrodzie*). Na tym jednak romantycznym fantazjotwórstwie sprawa się nie wyczerpuje.

Braun, idąc w tym za romantykami ubiegłego stulecia, przyjmuje również jako konsekwencję poprzednich założeń wiarę w nieograniczone możliwości poznawcze umysłu ludzkiego. „Romantyzm — jak stwierdza Kleiner — na drodze intuicji i heglianizm na drodze spekulacji rozumowej za możliwy do osiągnięcia uznał ideał wspólny: wszechpoznawalność". Tędy wiodła droga Brauna do zaangażowania się w próby reaktualizacji i popularyzacji „filozofii absolutnej" Hoene-Wrońskiego, dającej rzekomo klucz do wszelkich tajemnic wszechświata.

W poezji nie to jest jednak najważniejsze, w jakich systemach poeta szuka dla siebie oparcia, ale to, w jaki sposób inspiracje z tych źródeł płynące wykorzystuje dla swoich artystycznych celów. Jeszcze w *Epitafium* (1934; do nowego wyboru utwór ten niestety nie wszedł) nad wykładem tez i nauk mistrza góruje balladowa wizyjność. Utwór ten staje się przede wszystkim wyrazem wiary w nieograniczone możliwości duchowego rozwoju człowieka i patetyczną skargą na tragiczne osamotnienie tych, którzy wyprzedzili swoją epokę. Sprawnością w poetyckim formułowaniu refleksji filozoficznej *Epitafium* przypomina lirykę Norwida. Nie sam Hoene-Wroński interesuje nas jednak w tym wypadku, nie kwestia dokładności w przedstawianiu jego życiorysu i filozofii, ale patetyczny rozmach i podbijająca sugestywność tego na wskroś romantycznego rapsodu, kreślącego urzekający obraz myślowych zmagań i dokonań wyrastającego wysoko ponad przeciętność Farysa intelektualnej spekulacji. Podkreślam raz jeszcze: nie sam Hoene-Wroński jest w tym wypadku ważny, ale owa apoteoza badawczej myśli, gloryfikacja pasji filozoficznych dociekań, tak rzadka w literaturze wielbiącej bałwochwalczo „czyn", zwłaszcza zaś „czyn" militarno-heroiczny. Nie propaganda określonego systemu filozoficznego jest w tym poemacie sprawą najistotniejszą, ale samo nawiązanie do protestu Słowackiego przeciw ideałowi „kolorowego hulana", do skargi Norwida na kraj

...gdzie każdy-czyn za wcześnie wschodzi,
Ale — książka-każda... za późno!

Epitafium zamyka otwarty *Dywanem rozkwitającym* najlepszy okres poetycki Brauna, okres, kiedy — jak to już powiedzieliśmy na wstępie — refleksja filozoficzna współdziała u niego ściśle z lirycznym wizjonerstwem i sensualistycznym uczuleniem na piękno uchwytnej zmysłowo rzeczywistości. Ta poezja ufilozoficzniona nie przestaje być liryką, grą uczuć i obrazów, balladą i pieśnią zarazem:

Gdy dom stał, gdy dom trwał, gdy dom
czas liczył,
wieki rozbiegły się w przestrzeń, jak
charty spuszczone ze smyczy.

Przez dom wiało, płynęło, w domu
szumiało jak w ulu.
Coś piłowali w nim cieśle, coś w nim
kowale kuli.
(. . . . . .)
W ścianach słyszałeś szmery — to rzeki
spływały z gór,

to morza biły w bazalt pod piorunowy wtór.

Coś się łyskało w oknach — to burze trwoniło lato.
To kwiecie wzbierało wiosną, to styczeń grał lodowato.
(Dom)

Ciąg obrazów zamyka tu zwykle refleksja będąca nie czysto pojęciowym ich podsumowaniem, ale syntezą *par excellence* liryczną:

Wiem, że wiozły mnie konie, kosmiczne zwierzęta,
długim dnem rzeki zjawisk nazwanej podróżą.
(Podróże)

W okresie późniejszym Braun przechodzi coraz wyraźniej od poezji ufilozoficznionej do poezji filozofującej. Chociaż i teraz znajdziemy wśród jego wierszy utwory takie, jak np. *Patos przemijania* czy *Świat mojej matki*, w których rozmach wizji i siła wyrazu poetyckiego idą w parze z rozległością i ważkością koncepcji myślowej, to obok nich trafiamy również na rymowany referat, jak *Legenda Egei*, czy na oschły alegoryzm i deklamacyjny patos *Weimaru*. Wykoncypowane na chłodno alegorie i wierszowane dywagacje filozoficzne wypierają z tych utworów spontaniczną wizyjność obrazowania i inwencję poezjotwórczą. Wcześniejszemu Braunowi patronuje Słowacki, temu z *Prometeja-Adama* i *Mojej matki* bliżej, niestety, do Koźmiana niż do Słowackiego. Cóż, muzy są mściwe i bezlitosne wobec tych, którzy chcieliby je zaprząc do pełnienia funkcji wyłącznie propagandowych czy komiwojażerskich — choćby nawet na usługach najszczytniejszych idei i najwyższego rzędu pojęciowych abstrakcji. Pamiętajmy jednak, że — jak twierdził Irzykowski — poetów oceniać należy według ich szczytowych osiągnięć, a nie według nieuniknionych przecież porażek.

Poezja myśli nigdy nie cieszyła się u nas nadmierną popularnością. Nawet powtarzające się okresowo fazy zainteresowań Norwidem więcej pozostawiły po sobie manierycznych stylizacji i błahego literacko epigoństwa niż rzeczy artystycznie trwałych. Wystarczający to powód, by zwrócić uwagę na *Patos przemijania* i traktować go nie tylko jako pojedynczy tomik wierszy, ale i jako manifestację liryki nie uciekającej przed problematyką filozoficzną w pejzaż, reportaż, „spowiedź duszy" czy konstrukcyjne i składniowe ekstrawagancje. Jest oczywiście kwestią jak najbardziej dyskusyjną, czy słusznym i szczęśliwym pomysłem autora była próba bezpośredniej kontynuacji spadku myślowego doby romantyzmu. Niemniej jednak Braun zdołał wybranym przez siebie treściom filozoficznym nadać własny wyraz poetycki, zamanifestować swoją odrębność pisarską uprawiając najtrudniejszy i najambitniejszy rodzaj liryki.

Stefan Lichański

„WNĘTRZE KWIATU"

Andrzej Tchórzewski: *Wnętrze kwiatu*. Warszawa, „Iskry", 1960; str. 80.

Poezja Tchórzewskiego przesycona jest delikatnym, niemal kobiecym liryzmem. Z początku, gdy czytamy te wiersze, uderza nas i trochę denerwuje ich zbyt pastelowa i melancholijna, zbyt nikła intelektualnie nastrojowość. Wydaje się, że moglibyśmy zarzucić poecie jakąś współczesną odmianę estetyzowania, jakieś wyrafinowanie niemal z okresu Młodej Polski, przybrane w szaty, które przystoją poezji pokolenia „niewinnych czarodziejów".

Pełno tu wielkich nazwisk i dedykacji, niejeden wiersz zaczyna się od cytatu z Rilkego, Eliota, Verlaine'a, mamy mnóstwo wiadomości z malarstwa i historii sztuki. Zwłaszcza malarstwo odgrywa w tej poezji rolę dość

znamienną. W wierszach zebranych w pierwszej części tomiku jest szczególnie dużo tych wycieczek i ucieczek do malarstwa, do plastyki, zresztą — osobliwych.

Malarstwo, plastyka odgrywają tu bowiem rolę specyficzną. Nie chodzi bowiem, przynajmniej w wielu wypadkach, o samą malarską fakturę wiersza, ale o aluzje do plastyki współczesnej, a raczej do współczesnego pojmowania i przeżywania plastyki.

błękit nieba
z fioletowego powstał cienia
i z gałązki
w obrazach Utrilla
jedynie on nie przemija
. . . . . .
Odkrywam bryłę
żeby ją wysączyć
dotrzeć do formy
przez jej zaprzeczenie...

Te same — jakby analizy poetyckie malarstwa, poetyckie traktaty na temat plastyki znajdujemy np. w wierszu pt. *Oda na zrozumienie chłodu.* W innych wypadkach — gdy treścią wiersza nie jest sama plastyka i jej filozofia — elementy i ornamenty z tej dziedziny nie zawsze są usprawiedliwione. Czasem robią wrażenie lubowania się w egzotycznych wycieczkach w odległe dziedziny kultury — owe "maski fenickie" na mazowieckiej równinie itd.

Wiersze Tchórzewskiego nie są na pewno z rodziny dramatu. Nic się tu nie dzieje. Istnieje tylko łagodna i subtelna kontemplacja liryczna. Dlatego nieraz zbyt ta poezja wydaje nam się krucha, nikła — nieraz bardzo piękna w obrazach: „poprzez kładki strugane z deszczu", kościoły: „delikatnie wykradają niebu — jego wszystkie zatoki nawietrzne", „lustro, które boi się oddechu, by nie stracić wyrazistości".

Jednak gwoli sprawiedliwości trzeba zwrócić uwagę na pewien nurt manifestujący się raczej w niewielu wierszach, i to w końcowej, ostatniej części tomiku, gdzie do głosu dochodzi coś więcej niż tylko estetyzująca kontemplacja. Poprzez impresyjność, nastrojowość — zaczyna przezierać jakiś nurt refleksji bardziej wyrazistej, intelektualnie bardziej ważkiej. Tak więc występuje ona np. w wierszu zaczynającym się od słów: „Omija nas — krystaliczna postać świata...", czy w zakończeniu wiersza *Rzut miasta,* czy we *Wniosku z przechadzki,* czy jeszcze w kilku innych końcowych utworach.

Czy poeta będzie miał coś więcej do powiedzenia niż okazanie pewnego znawstwa w zakresie umiejętności tworzenia obrazów przesyconych nastrojem i kontemplacją estetyczną, czy wyjdzie poza ułamkowe piękności, czy jego „wnętrze kwiatu nie zostanie puste" — jakby można powiedzieć trawestując słowa z tytułowego wiersza — zależy to oczywiście od jego dalszego rozwoju.

Bogdan Ostromęcki

„AKWARIUM"

Wacław Mrozowski: *Akwarium.* Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1960; str. 110.

Tom wierszy Wacława Mrozowskiego składa się z kilku części o odrębnej tematyce. Poeta, który rozpoczął swe wędrówki liryczne w kręgu skupionym wokół Józefa Czechowicza, wydał już przed wojną cztery tomiki oraz *Arkusz Poetycki.* Po wojnie ukazały się *Liryki dolnośląskie* oraz *Drugi brzeg.*

Młodość poetycka zadecydowała o całej dalszej twórczości. Nie tylko decydującym faktem stała się tu postać i poezja Czechowicza i innych, ale także poetyka i atmosfera twórcza całej awangardy lubelskiej. W wierszach Mrozowskiego odkrywamy może nie tyle tropy poetyckie najwybitniejszych indywidualności tego środowiska, ile właśnie znajdujemy ów klimat, tak charakterystyczny dla okresu i miejsca, będącego kolebką owych poetów.

Poeta chętnie korzysta z raz osiągniętych zdobyczy i nie przejawia szczególnej troski o renowację swego warsztatu. Obrazy, metafory, rytmy płyną strumieniem ujętym w określone brzegi i nie próbują się z nich wyrwać. W kręgu tej poetyki i metody pisarskiej Mrozowski zamyka swe przeżycia twórcze, pisze swój liryczny pamiętnik, który czasem staje się autentycznym pamiętnikiem życia.

Może bowiem ów charakter biograficzny jest najbardziej znamienny dla całego tomiku. Jest to spowiedź, i to spowiedź dość osobliwa, bo unikająca zawoalowań, spowiedź może szukająca na drodze twórczości rozładowania różnych kompleksów. Obsesyjny charakter pewnych wątków nie ulega bowiem wątpliwości. Nie ma tu przy tym ekshibicjonizmu — gdyż zwierzenia poddane są regułom rzemiosła i smak artystyczny chroni poetę przed ich naruszeniem.

Niewątpliwie osobliwością w poezji polskiej jest cykl zatytułowany *Z Johnem Barleycornem*. Ta postać z pieśni i ballad Burnsa jest przewodnikiem czytelnika przez piekło stanów alkoholicznych. Autor prezentuje nam stany owego depresyjnego osamotnienia i wykorzenienia, nie cofając się przed ostrymi nieraz w swym realizmie obrazami. Wspomnienia, obrazy dzieciństwa — to inny motyw, który tak często spotykamy na kartach tej książki. Wspomnienia te nie są tylko również zapisem lirycznym, pełnym nostalgii westchnieniem. Też i tu powracają kompleksy, urazy, obsesje.

Odrębny nieco charakter mają wiersze *Z pożogi* i *Z podróży*. Wśród nich nie wszystkie niestety są wyrównane, obok ładnych i zwartych spotykamy utwory rażące prozaizowaniem, opisywactwem. Wiersze *Z podróży* to poetyckie pejzażyki, szkoda tylko, że zaciążyła na nich metoda jakiejś dosłowności opisu i czasem doprawdy brak jakiegoś głębokiego uzasadnienia poetyckiego. Dlatego są to wiersze nieco „albumowe", jakby „antologijne".

Kilka utworów o tematyce literackiej i artystycznej, jak *Norwid* i *Szopen*, mimo pewnych podźwięków patosu retorycznego — przenosi nas w atmosferę pełną nastroju i skupienia jak w Czechowiczowskim *Domu Świętego Kazimierza*.

Bogdan Ostromęcki

PRZYPOMNIENIA I AKTUALIZACJE

Józef Hen: *Kwiecień*. Warszawa, MON, 1960; str. 287.
Wojciech Żukrowski: *Skąpani w ogniu*. Warszawa, MON, 1961; str. 293.
Mateusz Jantar: *Samotne kruki*. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 238.

Jaką szansę daje dziś pisarzowi powrót do tematyki frontowej? Czy pewna, ograniczona zresztą, ilość wyrazistych, klasycznie prostych schematów sytuacyjnych, w jakich spełnia się los walczącego żołnierza i partyzanta, jest najlepszą okazją dla dogłębnego rozrachunku sumień i generalnej próby charakterów? Bo o taką okazję chodziło wszak Henowi i Żukrowskiemu; wiosna 1945 roku, te miesiące i godziny, „kiedy kraj był wyzwolony, a tu żołnierze — z których każdy przecież chciał żyć — szli w bój", zatraca w ich powieściach ową duszną, nabrzmiałą niepokojem atmosferę, stając się potrosze przenośnią, literackim pretekstem, a właściwiej rzec: materiałem, na którym obaj prozaicy sprawdzają swe aktualne założenia ideowe i z którego komponują swój, różniący się wzajem, obraz człowieka.

Wydaje mi się, iż dla dzisiejszej prozy Hena jest rzeczą pierwszej wagi pojawienie się w niej bohatera wątpiącego, powiedziałbym: krytycznie obserwującego zarówno siebie, jak i te zdarzenia, które postaci Żukrowskiego odbierają żywiołowo, emocjonalnie, bez zdania sobie sprawy z ich właściwych wymiarów. Autor *Kwietnia* każe kapitanowi Hyrnie mieć „serce zwiędłe i niezdolne do emocji", za to w umyśle jego osadza przekonania, których

cierpka gorycz przypomina, *toutes proportions gardées*, smak tych myśli, jakie w chwilach znużenia miewają umundurowani bohaterowie Hemingwaya. Sarmackiemu junactwu rębajłów Hyrny przeciwstawia myśl bezradną i pełną rozterki, tę świadomość już zmęczoną „patosem absurdalnym" wojny. Owszem, ten wyrozumiały adwokat ludzkich błędów wygrywa szereg procesów przedsięwziętych przezeń w obronie „słabego i skomplikowanego stworu", jakim jest człowiek. Ale we wszystkich tego rodzaju wyrazach solidarności z życiem, ze społecznością, ze światem, „w którym są oskarżeni i oskarżyciele, pokonani i zwycięzcy", nie znajduje on ukojenia; od początku do końca towarzyszą mu niepokój i wahanie, niweczące stałość jego umysłu i serca. Jego zgoda na świat jest zgodą pokonanych, którym nie pozostało nic, jak tylko kochać to życie, które odarło ich ze wszystkiego, i tak, tym aktem wspaniale bezinteresownego oddania mężnie odpowiadać na głupią niesprawiedliwość losu. „Naszym kręgosłupem jest klęska." Oto, co z pewnością może wiedzieć każdy z nas.

Nie jest to więc typowo polski zabijaka wyżywający się w wojennej przygodzie, ale intelektualista, który, zwątpiwszy we wszystko, chwyta się najprostszych rzeczy, aby po odarciu świata z iluzji móc powiedzieć: „prawdziwa jest nagrzana onuca na nodze i plusk Nysy w uszach". Jest „biologiczny i uduchowiony, cały na miarę ludzką, na miarę doczesną i nieuniknioną, jak inni, jak wszyscy inni". Znając siebie, nie szuka na linii ognia herosów i zwierząt. Przeświadczenie o tym, że kręgi światła i ciemności rozchodzą się w głębi ludzkiej psychiki do granic, za które nie jesteśmy odpowiedzialni, pozwala mu wybaczać bezrozumną odwagę i powstrzymuje od potępienia niezawinionego tchórzostwa.

Stanowisko Żukrowskiego jest skrajnie przeciwstawne. Wraca on do przeszłości wojennej jak do baśni o „złotym wieku" człowieczeństwa i odnajduje w niej, tak lubiane przez siebie, chlubne realizacje polskości: „wartości żołnierza, wartości junackie i pełne jakiejś nienasyconej ufności biologicznej, przez którą nie widać śmierci, która poświęceniu i bohaterstwu odbiera patos, nadając im smak ryzykanckiej, biologicznej przygody..." Tak niegdyś, z okazji debiutu Żukrowskiego, określał jego postawę Kazimierz Wyka. Postawa ta, po latach, uległa zmianie o tyle, że nasilenie patosu niespodziewanie wzrosło, i to do rozmiarów, które pozostają w rażącej sprzeczności z opisywanymi wypadkami.

Na obwolucie książki Żukrowski zamieszcza swój własny do niej komentarz, w którym wyznaje, że jego ambicją było odkrycie człowieka autentycznego, tego człowieka, który w sytuacji ostatecznej, „na pograniczu śmierci, bez pozy, bez oszukiwania samego siebie" wybiera męstwo i przyjaźń przeciw strachowi i nienawiści i w tym szlachetnym wyborze odsłania swą niepodrobioną wartość. Nie mam zaufania do pisarzy, którzy tak ostentacyjnie, bez cienia wątpliwości, wskazują na szczerość tam, gdzie bardziej sceptyczna inteligencja szukałaby raczej fałszu i maski. Wszelkie strzeliste akty wiary są z natury swej niesłychanie sympatyczne. Na terenie literatury jednak wolę mieć do czynienia z podejrzliwością, która znieważa nasze pozorne cnoty, i z refleksją, która nicuje wykwintne przebrania ludzkich słabości. Stary La Rochefoucauld powiadał mądrze, iż „każdy przybiera jakąś maskę i postać, aby wyglądać na to, za co chce uchodzić". Nic nie uprawnia nas do sądu, że od tej naturalnej skazy wolni są: żołnierz, konspirator i partyzant. Przypuszczać należy, iż właśnie oni znakomicie opanowali sztukę pozy i gestu. Tak znakomicie, że trudno już odróżnić, co w ich namiętnościach jest prawdą, a co udaniem. Kto to pokaże? Kto bezwstydnie ujawni nie zawsze czystą podszewkę tych strojów, pod jakimi walczący żołnierz skrywa samego siebie? Jest jakieś urojenie w traktowaniu tych spraw, tak jakby nie podlegały one sprawdzianom psychologii, jakby współczesna wiedza o komplikacji struktur psychicznych przestała obowiązywać pisarza z chwilą, gdy wysyła on swego bohatera na front. Urojeniu temu Żukrowski pozostał, niestety, wierny. Chce sięgnąć po „szlachetny kruszec". Ale w rzeczywistości za przedmiot fascynacji wystarczają mu guziki od mundurów.

Dla przykładu: Żukrowski łudzi się, iż wystarczy do łóżka żonatego bohatera położyć kochankę, a samorzutnie zawiąże się w jego sumieniu konflikt, który uczyni zeń postać przeżywającą

najostrzejsze paradoksy problematyki egzystencjalnej. Jego wtopienie w tło obyczajowe wygląda równie płasko: kawaleryjskie szarże na baterie samogonki i kilka zwrotów rynsztokowych, którymi urozmaica on swój język, mają świadczyć, że jest to człowiek „z krwi i kości", a nie intelektualna fikcja. Nie leży w moim zamiarze szczegółowa analiza wątków tej nieudanej powieści. Kompromitująca nijakość jej postaci, bezład konstrukcji, mielizny stylu i narracji zwalniają mnie od tego smutnego obowiązku. Gdybym jednak pisał o *Skąpanych w ogniu* pełną rozprawę krytyczną, dałbym jej niewątpliwie motto zaczerpnięte z pism Kafki: „Okropność wszystkiego, co jest tylko schematem".

A teraz Jantar. Z naiwną pasją debiutanta zabiera się do tematu wojny, ściślej mówiąc: partyzantki wileńskiej, i w swym opisie nie wykracza poza granice czasu, którego okrucieństwo i bezsens pragnie nam przypomnieć. Jeśli dla Żukrowskiego wojna jest przygodą, w której człowiek ma okazję zamanifestować swe przymioty, to Jantar, niemal histerycznie, odtrąca okupacyjną przeszłość jako zaprzeczenie wszystkiego, co ludzkie. Bohaterowie Żukrowskiego „zanurzali się w boju jak w oczyszczającej kąpieli ognistej" — tak przynajmniej chciałby zaklasyfikować ich doświadczenia frontowe autor, natomiast partyzanci Jantara: zaszczuci, osaczeni przez strach i powszechną obojętność, przegrywają swe życia, wyzbywając się kolejno tych właściwości, które czynią z człowieka coś więcej niż „płową bestię". Droga, jaką obiera pisarz dla przeprowadzenia dowodu na nieistnienie bóstw humanistycznych, którym wojna odebrała siłę przekonywającą i pozbawiła je ważności, jest zbyt utarta, aby zajmować się nią serio. Za świadectwo klasy tego pisarstwa niechaj wystarczy taki oto passus: „— Gdzie broń? — Kazik już skądś wyrwał drąg. Przez plecy. Padł. Sześć nóg kopie nieprzytomnie. Obcasy natrafiają na coś miękkiego. — Gdzie broń? — drąg brzęknął. W łeb. W wybałuszone ślepia. W charczące piersi. W brzuch. Rzucili wreszcie narzędzia i poczęli go rwać za włosy, rozgniatać gołymi paluchami twarz — pazury w skórę, odrywają uszy, sięgają do zdławionej krtani... Aż wreszcie dziki ryk bólu. — Gdzie broń? — stanęli zadyszani. Kopnięcie. Drgająca konwulsyjnie masa wstała. Straszny. Nie ma co. Prowadzimy — słaniał się. Padał. Kolbami go. Butami. Szedł". Itp. — przez z górą dwieście stron!

Zbrodnia, gwałt, trupy — ta namacalna dokumentacja absurdu, na modłę naturalistyczną ułożona, mimo bogactwa tzw. anegdoty jest uboga aż do znudzenia. Właśnie dlatego, że składają się na nią prościutkie anegdoty, jednobarwne reprodukcje, fragmenty losów, którym brak jakiejkolwiek głębszej motywacji psychologicznej i moralnej. Subtelności takie, jak miłość i rozpacz, programowo nie wchodzą w grę. Liczą się jedynie obnażone, zwierzęce instynkty i one to degradują człowieka do roli morderczego cyklopa, przemawiają za jego potępieniem. Zawsze, kiedy tak natrętnie i sentymentalnie, bo sentymentalna jest każda jednostronność, mówią mi o nędzy mego gatunku, śmieję się z tych papierowych demonów, które nie mają nade mną władzy. Sztuka szokowania postąpiła także naprzód i nie wystarczają już kroniki wypadków, aby nas przerazić. To powieści, w których co druga strona jawnie („Kap-kap-kap-kap-kap", patrz np. str. 178 *Samotnych kruków*) ocieka krwią, dowodzą tyle, że wobec kataklizmów, jakie mamy za sobą, proza zawierzająca tradycyjnym modelom odczuwania i przestarzałym metodom analizy, narracji i opisu, staje całkowicie bezradna. Rozkład i relatywizacja czasu, zdekomponowanie przestrzeni, dezintegracja osobowości, wymieszanie różnorodnych treści psychicznych, nowe wymiary doznań i przeżyć — wszystkie te przemiany człowieka i jego światów, które wojna unaoczniła w sposób bardziej niż oczywisty, nie dają się zapisać ani sienkiewiczowską „szablą z konia" (formuła Kazimierza Wyki), ani nawet piórem wyjętym z którejś ręki Hemingwaya. Również naturalizm, choćby najwścieklejszy, „jantarowski", odległy tu jest od prawdy, jak schemat odległy jest od życia. A zresztą, po co te śmieszne wysiłki, przyznaję, nader szlachetnej w swych intencjach literatury? I tak jesteśmy skazani na pamięć, w której otwierają się płonące groby, i na wspomnienia, których nie wydrze nam żaden poranek.

Tomasz Burek

TRUDNA SZTUKA KONSTRUKCJI

Leon Gomolicki: *Uprowadzenie Baucis*. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1960; str. 210.

Okupacja przestała być współczesnością, stała się historią. Legenda coraz skuteczniej zastępuje rzeczywiste wydarzenia, nikt już dzisiaj nie umie dokładnie oddzielić tego, co przeżył, od tego, co sam o swych przeżyciach później opowiadał i napisał, a także przeczytał. Materia życia obrosła interpretacjami historyków, sporami publicystów, wzruszeniem poetów, fikcjami powieściopisarzy. Czyste wydarzenia przestały już istnieć, zastąpiły je utrwalone w naszej świadomości zbitki intelektualno-uczuciowe. Jeden z najbardziej pasjonujących fenomenów życia duchowego, owo „zmarmurzanie się historii", zamiana żywego faktu w legendę, w problem intelektualny, w odruch uczucia, przeżyło moje pokolenie na przykładzie epoki tak gwałtownej, jak hitlerowska okupacja, co nie mogło pozostać bez śladów w naszym stosunku do historii traktowanej generalnie. Dla tego pokolenia historia nie jest ciągłością, lecz raczej dramatycznym zygzakiem, skokiem, kataklizmem. Stwarza to szczególną inspirację literacką. Pytania literatury, mity literatury są w takich wypadkach nasycone w większym stopniu niepokojem, ciemnością, potrzebą metaforyzacji, realizm typu tołstojowskiego nie znajduje w takim pokoleniu chętnych kontynuatorów.

Piszę te uwagi na marginesie nowej książki Leona Gomolickiego, jednej z książek, jakie w ostatnich latach coraz częściej zastępują relację typu sprawozdawczego w rodzaju Nałkowskiej, Borowskiego czy Andrzejewskiego. Nie tyle bowiem po fakty sięga już teraz pisarz — i nie faktami pragnie przemówić do czytelnika — ile raczej po scenerię o ustalonym już walorze literackości, jakim dla romantyków np. było powstanie listopadowe. Sceneria okupacyjna zawiera kolosalne pokłady pretekstów intelektualnych, poetyckich, mitologicznych. Współczesny autor Apokalipsy tylko tam mógłby sięgnąć po piekielne wizje, po grozę, po mity początku i końca. Współczesny mitotwórca tam właśnie odnajduje potrzebne mu katastrofy, potrzebne mu wymiary egzystencjalne. Te właśnie warunki umożliwiły karierę książkom Leopolda Buczkowskiego, owym poetyckim suitom na temat końca świata i końca kultury, książkom, które w pewnym wymiarze są rozwinięciem opowiadań Tadeusza Borowskiego, rozwinięciem przenoszącym fakty w legendę.

Powieść Gomolickiego jest próbą zbliżoną do rzeczy Buczkowskiego, sam tytuł sugeruje już, że lata okupacyjne są dla pisarza jedynie scenerią, pretekstem do wyprowadzenia czy powtórzenia sprawy innego wymiaru. Antyczny mit o Filemonie i Baucis mówi o parze wiernych sobie kochanków, którzy po wielu latach wspólnego żywota zostali zamienieni w splatające się gałęziami drzewa. Sięgać po ten akuratnie mit, kiedy mowa o latach okupacji, albo raczej szukać tam właśnie ilustracji tego mitu — to znaczy być jako pisarz przekornym, szukać materiału ironicznego, budować paradoksy. Bo Gomolicki konstruuje wypadki, które właśnie spełnieniu się mitu zaprzeczają, kochankowie są ludźmi innego pochodzenia, innych środowisk, dzielą ich przesądy rodzinne, obyczajowe, dzieli ich nierówność niebezpieczeństwa, bariery prawne stworzone przez zbrodnicze okupacyjne prawo. Realizacja mitu, realizacja posłannictwa Filemona i Baucis polega tu więc na nieustannym zaprzeczaniu rzeczywistości, na wiecznym budowaniu sobie izolowanych od świata azylów duchowych. Wspólność egzystencji jest niemożliwością, więc zdobyć ją można tylko za cenę tworzenia mitów wewnętrznych, przenoszenia realnego życia w inną, wyobrażoną tylko scenerię. Obrona wzajemnego związku, obrona uczuć staje się równocześnie konstruowaniem skomplikowanego systemu kłamstw i fikcji. Życie prowadzone jest niejako na dwóch płaszczyznach: co innego się robi, co innego się przeżywa.

Pomysł, jaki zastosował w swej powieści Gomolicki, nie jest nowością. Odświeżyć go można za pomocą różnych zabiegów pisarskich, od których wszakże stanowczo należałoby wyma-

gać konsekwencji. Tymczasem stylizacja mitologiczna, jaką wprowadza autor, rozbijana jest zbyt często przez przemożną skłonność do wspomnień, do elegijności, przeszłość jako materiał konstrukcji literackiej przemienia się raz po raz w grząską sferę lirycznej zadumy, zamiast ewokować problemy zbyt często ewokuje uczucia. Zasada konstrukcyjna zostaje zachwiana, plany plączą się, autor prowadzi czytelnika przez skomplikowane meandry pamięciowych kojarzeń, w których zacierają się postaci, fakty i sprawy. Przede wszystkim sprawa miłości. Powraca ona jedynie jak stały refren o niewątpliwej sile lirycznej, refren ten jednakże nie spełnia większej roli konstrukcyjnej wobec centralnego problemu książki, on go jedynie przypomina, lecz nie rozwija, nie dramatyzuje.

Leopold Buczkowski wykorzystywał w swoich książkach podobne zachwianie konstrukcyjne na rzecz ekspresji lirycznej, wydobywającej grozę, koszmar, krańcowość, infernalność sytuacji. U Gomolickiego można by sobie także wyobrazić podobny zamysł artystyczny. Jednakże na przeszkodzie staje tu rozlewność nurtu wspomnieniowego, rozlewność działająca z natury rzeczy łagodząco. Wspomnienia miłosne są z istoty swej elegijne i elegijność daje w następstwie górujący nad innymi akcent artystyczny, elegijność zdobywa wyobraźnię czytelnika (w ślad za wyobraźnią autora), niezwykłość dramatyczna wynikająca z okupacyjnych stosunków społecznych zostaje przesunięta na dalszy plan, a razem z nią zatarciu ulega problem intelektualny — mit Filemona i Baucis. Znamiennym procesom ulega także jeden z mocniejszych elementów pisarstwa Leona Gomolickiego: jego zwarta i nasycona intelektualnie narracja. Znana to rzecz, że elegijne uniesienia rozbijają czytelność i precyzję myślowego wywodu i podobne, jakkolwiek w ograniczonych wymiarach występujące, zjawisko można zaobserwować w powieści *Uprowadzenie Baucis*.

Toteż sądzić należy, że w recepcji czytelniczej *Uprowadzenie Baucis* stanie się bardziej prozą o charakterze pamiętnikarskim niż jakąkolwiek próbą intelektualnej konstrukcji problemu. Nie wyjdzie zresztą na tym źle. Proza Gomolickiego demonstruje w tej mierze odrębne walory, które czynią ją interesującą, jest żywa i plastyczna. Sugestywnie umie np. autor narysować swoje postaci, ich sylwetki psychiczne, ich oddziaływanie na narratora — te wątki przeprowadzone są bez zarzutu. Gomolicki posiada pewną zaletę pióra, która zresztą wyraziściej zaznaczona została w *Ucieczce*, ale która i teraz daje się dostrzec; jest nią umiejętność kompleksowego rysowania postaci. Ludzie otaczający bohatera żyją i działają jak gdyby w ustawicznym związku z bohaterem, jak gdyby ustawicznie myśląc o nim, wzajemna zależność sięga głębiej, poza sferę wspólnie przeżywanych faktów, istnieją zawsze jakieś męczące napięcia, jakieś tajemnice wzajemnego duchowego szantażowania się, ludzie nie tylko otaczają bohatera, oni nieprzerwanie i żywiołowo dramatyzują jego los, bohater czuje się wiecznie zagrożony. Taki sposób rysowania postaci jest znamieniem nowoczesnej prozy, prozy widzącej człowieka jako nieprzerwaną kreację świata zewnętrznego: człowiek istnieje poprzez innych, poprzez ich porozumienie, ich działanie. Koncepcja taka byłaby doskonałą przesłanką ciekawej, w stylu Kafki utrzymanej konstrukcji tragicznej, której powieść w obecnym swym kształcie nie realizuje. Szkoda. Gomolicki dysponuje w ogóle niezłym rzemiosłem, które niejako nie może dojść do pełnego, klasycznego wyrazu, do całości, do konstrukcji właśnie. Zalety jego pióra, które pragnąłem tu przedstawić, pozwalają spodziewać się rzeczy niewątpliwie ciekawszych niż wydana ostatnio powieść, ciekawszych dla krytyka, rzecz jasna, tego czytelnika, który szuka nie tyle beletrystycznych satysfakcji, ile nowych artystycznych propozycji.

Włodzimierz Maciąg

DOBRA KSIĄŻKA O BOYU

Roman Zimand: *Trzy studia o Boyu*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 369, 3 nlb.

Nie wiem, czy ktoś już zauważył, że nie ma chyba poza Boyem-Żeleńskim ani jednego pisarza, którego gros twórczości mieściłoby się w międzywojennym dwudziestoleciu i który by z tego przede wszystkim względu skupił na sobie tyle uwagi publicystyki literackiej i badaczy. Już kilkakrotnie po drugiej wojnie światowej znalazł się Boy w samym centrum naszych aktualnych dyskusji literackich, zawsze w sporach o tradycję i współczesną kulturę i literaturę, w dyskusjach o Mickiewiczu i pojmowaniu nowoczesności, o etyce oraz o krytyce teatralnej, o Wyspiańskim i racjonalizmie, Fredrze i kulturze laickiej. Celowo rozstawiam motywy w sposób paradoksalny; pokazuję wielość skrzyżowań i ośrodków zainteresowań, charakterystycznych zresztą w większości dla dyskusji wokół Boya za jego życia.

Możemy jednak mówić raczej o aktualizowaniu się zagadnień i wątków dyskusji niż o ich kontynuowaniu. Inaczej wygląda dziś płaszczyzna sporu Boya z „uniwersytecką nauką" (ta odwołuje się do niego z komiczną nieraz powagą, a „Im się człowiek robi starszy..." lubią powtarzać co najsędziwsi polemiści autora *Brązowników*), inaczej kształtuje się dyskusja o laicyzmie i racjonalizmie Boya, inaczej o Mickiewiczu, inaczej o tradycjach kultury, wszystko inaczej, jeśli nawet ktoś chwyta za zirytowane i epatujące pióro pamflecisty Irzykowskiego, to i w tym wypadku — wbrew pozorom — czyni z niego odmienny użytek. I jeszcze jedna konstatacja: chyba ani jeden z pisarzy współczesnych Boyowi nie doczekał się po wojnie tylu prób syntetycznego opracowania swojej twórczości. Wśród współczesnych sobie Boy może będzie pierwszym, który doczeka się możliwie najpełniejszego zbioru pism, nie mówiąc już o licznych edycjach książek, wyborów, które ukazują się właściwie nieprzerwanie od kilkunastu lat, o przekładach.

Albo więc jest to signum naszego zacofania i zaściankowości kulturalnej, literackiej, jak to się zdaje „anty-boyowcem", albo...

Wydaje mi się, że słuszniejsza jest ta druga alternatywa. Świadczy o tym bardzo ciekawa książka Romana Zimanda. Myślę, że zaczyn dyskusji i polemiki tkwi w każdej z trzech rozpraw Zimanda, których walory nie są jednakowej miary. Najwyżej oceniałbym osobiście studium *Biografista*, najobszerniejsze i zamykające tom. Studium to przynosi rzetelną i bardzo często odkrywczą analizę roli Boya jako popularyzatora literatury francuskiej oraz jego kampanii brązoburczej w mickiewiczologii. Szczególnie zaś cenna wydaje mi się próba określenia stosunku Boya do literatury i celów, jakie mu przyświecały. Właśnie z tych rozważań w sposób konsekwentny i oczywisty wywodzi się w pełni uargumentowane twierdzenie, że Boy był — jak dotąd — „najwybitniejszym popularyzatorem literatury, jakiego posiadała i posiada kultura polska". Konstatacja ta ma oczywiście brzmienie niemal truistyczne, ale pryzmat spojrzenia na Boya od tej strony jest może najistotniejszą przesłanką zrozumienia właściwej jego roli, charakteru ogromnej części trudu pisarskiego tłumacza i eseisty, trafnie wydobywa najistotniejsze kryterium jego oceny, sensu jego kampanii mickiewiczowskiej, fredrowskiej, a przede wszystkim, oczywiście, jego studiów i szkiców z literatury francuskiej. Wbrew wszelkim pozorom — jakby się to mogło wydawać — nie jest to wcale „zaniżeniem" kryteriów. Wiąże się po prostu z określonym modelem pojmowania literatury przez Boya, jej funkcji kulturowej. Zimand ulega w tej mierze niekiedy pokusie paradoksu, wbrew skwapliwym zaprzeczeniom. Wtedy, kiedy jako naczelną tezę pracy podkreśla, że jedną z najcenniejszych rzeczy w stosunku Boya do literatury było to, że nie traktował jej jako literatury. Dziwne. Dlatego dziwne, że przy całej trosce o unikanie arbitralności w określaniu różnych sposobów pojmowania wartości literatury nie przychodzi mu na myśl, iż Boy miał inny stosunek do literatury „jako literatury". Da się on nawet dość jednoznacznie określić, determinował dość

jednoznaczny system wartości estetycznych, artystycznych. Myślę, że Zimand nie dociera do tych elementów, bo wybiera niezbyt szczęśliwą drogę. Widzi on zasadniczo w Boyowskim pojmowaniu literatury, w jej „poznaniu" wypadkową „pozytywistycznego psychologizmu i modernistycznego intuicjonizmu". Czy to nieprawda? Oczywiście bez trudu możemy wykryć te elementy, nie one jednak chyba określają Boyowski model traktowania literatury. Jeśli gdzie i kiedy jest miejsce na przypomnienie racjonalistycznego pojmowania wartości kultury, literatury przez Boya, to tu właśnie. Boyowskie „traktowanie literatury" wynika z całej tradycji racjonalizmu francuskiego. Historycy literatury francuskiej lubią przypominać Kartezjańskie traktowanie „dobrych książek" jako dialogu z *„les plus honnêtes gens"* wszystkich czasów, w którym użyczają oni czytelnikowi najlepszych swoich myśli, idei, pojęć i wrażeń. Myślę, że ten właśnie rodowód „francuski" jest składnikiem organizującym Boyowskiego traktowania literatury, jej wartościowania, jej oceny. I nie widzę powodu, aby traktować ten punkt widzenia jako „nieliteracki". Myślę też, że z tego punktu widzenia cenne rozróżnienia Zimanda w zakresie dorobku Boya na historię literatury (i krytykę) oraz na biografistykę nie tracą swojej wartości. Bo samo rozróżnienie wydaje mi się cenną, dobrze uargumentowaną zdobyczą studium o „biografiście".

Naturalnym niejako dopełnieniem studium ostatniego jest *Mitotwórca*, rzecz o Boyowskim micie czy legendzie Młodej Polski. Miejsce jej w pisarstwie autora *Słówek* zasługiwało na jak największą uwagę. Z różnych względów. I dlatego, że Boy poświęcał jej — jak żadnej innej epoce literatury polskiej — najwięcej uwagi, i dlatego, że był jej najważniejszym pamiętnikarzem (przynajmniej jeśli brać pod uwagę środowisko krakowskie), i dlatego wreszcie, że jego pisarstwo wielorakimi więzami było związane z tą epoką, z której wyrastał, w której partycypował, którą przezwyciężał. Przy naszym znanym ubóstwie wiedzy i badań w tym zakresie, studium *Mitotwórca* stało się także sposobnością do generalniejszej dyskusji o problemach badań nad tą epoką, szczególnie zagmatwanych i cierpiących na oczywisty niedowład. Zagadnieniem, na którym Zimand skupia główną uwagę, jest funkcja, jaką wspomnienia Żeleńskiego odegrały „jako swoisty nowożytny mit". Kierunek dociekań bardzo oryginalny i płodny, w pełni też uzasadniony praktyką pisarstwa pamiętnikarskiego Boya, co trzeba tu podkreślić na wstępie dlatego, że studium to we wnioskach ogólnych i szczegółowych, w swojej argumentacji rodzi chyba najwięcej powodów do dyskusji. Kierunek słuszny dlatego, że Boy jako autor uroczych wspomnień *Znaszli ten kraj?...* i wielu innych wspomnień z czasów Młodej Polski istotnie nie tyle dążył do ukształtowania jakiejś kronikarskiej, „wiernej" historycznie wizji tych czasów, ile od razu kształtował ją pod szczególnym kątem widzenia, który Zimand nazywa — szeroko uzasadniając dlaczego — „mitotwórczymi". „Boję się zaciemnić kolorytu tej gawędy" — pisał Boy w felietonie *Pański Kraków* (w *Znaszli...*), a w innym miejscu: „Niechże mi wolno będzie spojrzeć na ten dawny Kraków tylko okiem artysty".

Ale Zimandowi chodzi nie tylko o to, o subiektywne zawężenia pola obserwacji, o specyficzny pryzmat, bardziej interesuje go, jaka jest obiektywna funkcja kulturowa najpopularniejszego w swoim czasie popularyzatora środowiska artystycznego Młodej Polski, autora najpopularniejszego „świadectwa" tamtych czasów i ludzi. Sfera zainteresowań autora mieści się więc przede wszystkim na obszarach socjologii kultury. Zimand rozważa przede wszystkim, jak obiektywnie kształtuje się Boyowski mit o krakowskim środowisku Młodej Polski, jaka jest obiektywna postać tego mitu i jaką pełni rolę w społecznej świadomości, niezależnie od tego, w jakiej mierze mit był intencjonalnie zamierzony. Ale tu pierwsza uwaga: Zimand z taką pedanterią potraktował wspomnienia Boya, zwłaszcza *Znaszli ten kraj?...*, że stwarza nieodparte wrażenie przeceniania roli „mitotwórczej" felietonów Boya, ich znaczenie podwyższa niepomiernie w stosunku do rzeczywistego. „Właściwie — pisał Boy, o czym Zimand zdaje się zapominać — ten dziesiątek felietonów o starym Krakowie napisał mi się nie wiem jak." Mówię: zdaje się zapominać. Jakże nie wynieść ze studium Zimanda takiego przeświadczenia, skoro nie waha się on

napisać, że legenda Boya o krakowskiej modernie traktowała sprawy neoromantyzmu jako „księgę zamkniętą i przez to nie sugerowała konieczności dalszych badań". Wydaje mi się to bardzo wątpliwe; Boy wielokrotnie postulował konieczność badań w tej dziedzinie, wielokrotnie podkreślał swoją niekompetencję, nawet marginalność swoich wspomnień w stosunku do istotnego ich przedmiotu. Zimand zdecydowanie dokonuje operacji przeceniającej Boyowski obraz krakowskiej moderny. O wiele natomiast ciekawszy wydaje mi się trop wywodów poświęconych próbie określenia stosunku Boya do „bohatera" mitu, do środowiska, którego obraz kształtował, stosunek bardzo zróżnicowany, mieszczący w sobie elementy fascynacji i krytycyzmu. Zimand raczej akcentuje to drugie — i słusznie, chociaż istotnych źródeł, jak mi się wydaje, i tu nie ukazuje — ale i atmosfera zafascynowania jest ciekawie wydobyta. Burzy tu coraz częściej rozpowszechniający się inny mit, jednostronnie wydobywający tylko krytyczny stosunek autora *Słówek* do moderny. W tym zakresie nagromadził Zimand bardzo dużo argumentów świadczących o pełnym niekonsekwencji stosunku Boya do krakowskiej moderny, zwłaszcza literackiej. Boy był zafascynowany atmosferą cyganerii i równocześnie pełen rezerwy do jej rezultatów artystycznych. Poza Wyspiańskim autor *Plotki o „Weselu"* i *Literatury trumien* nikogo właściwie nie oszczędził. Chociaż zdarzało mu się zastosować kilkakrotnie do Przybyszewskiego epitety „wielki pisarz", „wielki poeta", to po argumenty odsyłał z reguły do „niemieckiego tekstu". Kiedy zaś przyszło określić styl artystyczny moderny, napisał po prostu „fałszywa literatura", mając na myśli przede wszystkim Przybyszewskiego. A więc przede wszystkim fascynacja środowiskiem „Przybysza", nie sztuką, którą ono wydało. To jeden bardzo istotny motyw rozwinięty przez Zimanda, chociaż niezbyt wyraziście sformułowany: zafascynowanie pewną atmosferą, której wytworów — poza nielicznymi wyjątkami — nie akceptowano. Ani programów, ani gustów, ani dokonań artystycznych. I jeszcze jedno — Zimand gromadzi na to wiele argumentów — zafascynowanie, powiedziałbym, przeszłościowe, jaśniej mówiąc, z dystansu czasowego, z oddalenia.

I tu docieramy do problemu studium *Mitotwórca*, najbardziej zasługującego na dyskusję. Powiem od razu dlaczego. Nowatorskie postawienie przez Zimanda zagadnienia funkcji mitotwórczych Boyowskich wspomnień o cyganerii krakowskiej jest drogą tak istotnie prowadzącą do określenia specyfiki pozycji Boya w kulturze dwudziestolecia, że aż zdumiewa, iż autor zatarasował sobie doń drogę pewnymi pseudokonstrukcjami, mało w gruncie rzeczy płodnymi. Powiem szczerze, nie uważam, aby szczególny nacisk, jaki Zimand kładzie na rozwinięcie i rozróżnienie „mitów nowożytnych" na ideologiczne i zabawowe, był szczególnie płodny, a sprowadzenie mitu Boyowskiego — w celach wyraźnie „obronnych" — do wymiarów „zabawowego" za właściwe. Dlatego przede wszystkim, że przez abstrakcyjne sito przeciekła najistotniejsza problematyka Boyowskiego modelu kultury i sensu mitotwórstwa autora *Ludzi żywych*.

Boy „deformował" obraz moderny krakowskiej — oczywiście. Lecz w jakim kierunku szła deformacja? Przypomnijmy przykład jaskrawy: Boy — według określenia Zimanda — próbował „ratować" Przybyszewskiego, ratował wskazując nie na jego twórczość, ani nawet programy, które uważał za „mdłe i trochę śmieszne", ale jako demiurga fermentu, atmosfery, jaką wytwarzał i której Boy jest skłonny przypisywać nawet nie tyle „współdźwięki", ile „sprzeciwy, które budził", a efekty artystyczne tych sprzeciwów próbował dyskontować na rzecz Przybyszewskiego (więc nawet *Wesele*, *Na skalnym Podhalu*, *Hymny*, dzieła trzech pisarzy, których najwyżej w końcu cenił obok Żeromskiego i Reymonta). A więc ciągle mitologizacja środowiska, jego atmosfery. Tak, ale spójrzmy równocześnie, jak kreśli Boy rysy wizerunku „Przybysza"; przecież zawsze w wymiarach groteski, makabrycznej farsy. A to główny obok Wyspiańskiego bohater Boyowskiego mitu o Młodej Polsce. Rzecz ciekawa, chociaż Boy cenił, a nawet giermkował Kazimierzowi Tetmajerowi, chociaż przypisywał mu wyjątkową rolę w przełomie modernistycznym, pozostawiał go jednak poza mitem. I można się domyślić dlaczego. Wydawał mu się indywidualnością jed-

nostronnie tragiczną, nie pasował do pewnej atmosfery. Jakiej? Otóż i to zastanawia: Zimand snuje rozważania nad rodowodem historycznym mitotwórstwa Boya i wskazuje na Chamforta, na Gautiera *(Historia romantyzmu...)*, ale dziwnie omija to, na co wskazał *expressis verbis* sam Boy, mam na myśli tłumaczone przez niego Murgerowskie *Sceny z życia cyganerii*. Nie tylko tłumaczył je, ale były mu po prostu modelem. W pewnym miejscu *Znaszli...* napisze, że to wszystko brzmi „jakby jakieś echo Murgerowskiej cyganerii". Mało tego, analogia była dlań pewną „prawidłowością historyczną". W *Cyganie nieznanym* napisze: „Ale ten styl nie jest może również całkowitą własnością epoki. Dużo jest w nim starej, wciąż odradzającej się »cyganerii«, uwiecznionej przez Murgera...". Wskazując na *Cyganerię* Murgera nie chodzi bynajmniej o wskazanie jeszcze jednego źródła inspiracji, skądinąd oczywistego. Chodzi o perspektywę „mitu" Boya, wbrew wszelkim pozorom nie była to perspektywa *„poètes maudits"*, lecz właśnie Murgerowskich „cyganów", biedaków, przemyślnych i naiwnych, „na bakier" z życiem, ale raczej w sposób groteskowy niż tragiczny, bez pozy i namaszczenia, bez wielkich buntów, perspektywa „wielkich dzieci", bez fanatyzmu kapłanów i świętych męczenników sztuki. Pomyślmy na chwilę, co taki pryzmat spojrzenia na Młodą Polskę znaczy. Mówiło się, że Młoda Polska była „szatańska i zakopiańska", ale przede wszystkim w swojej samowiedzy, a na taką modłę kreślili ją historycy literatury, była kapłańska, napuszona, najchętniej rysowała sama swój wizerunek w pozie posągowo-tragicznej. I to cała formacja. Zarówno na swoich krańcach estetyzujących, jak i społecznikowskich; Przybyszewski i Berent głosili wieczną tragedię artysty, Tetmajer indywidualności, Kasprowicz Człowieka, Żeromski „człowieka uspołecznionego", Brzozowski — Polaka itp. Atakował Młodą Polskę za to Irzykowski, sam męczennik „prawości" i „szczerości" artystycznej. Otóż to, co wydaje mi się szczególnie istotne w „micie" Boya o Młodej Polsce, to „przestrojenie tonu" — jak sam to nazwał w zakończeniu *Znaszli ten kraj*?... W jakim szło kierunku owo „przestrojenie tonu"? Boy precyzyjnie je określił, kiedy we wstępie do wyboru poezji Młodej Polski dla Biblioteki Narodowej wskazywał na główną zasługę „Zielonego Balonika", którą stanowiło „odprężenie dla napuszoności". Myślę, że główny autor tekstów „zielonobalonikowych" pozostał w swoich wspomnieniach wierny tej praktyce. Mit Boya przenicował pelerynę cygana młodopolskiego, jego uzwyczajnił; był i tutaj „brązoburcą" — czego Zimand zdaje się nie dostrzegać. Toż Zimanda „mitotwórca" krytykował *Moich współczesnych* samego Przybyszewskiego, zarzucał mu, że robi wrażenie wykopaliska, bo nigdy nie wyszedł „z kręgu pojęć, o które donkiszocił w swojej młodości", gdzie indziej zaś określił atmosferę wytwarzaną przez Przybyszewskiego mianem „ekskluzywizmu", „napięcia desperacko-ekstatycznego". Otóż główny sens Boyowskiego mitu o Młodej Polsce — jeśli już pozostaniemy przy tej poręcznej terminologii Zimanda — polega, jak mi się wydaje, na tym, że Boy niwelował „młodopolski model kulturowy", o którym autor pisze słusznie, że był „bardzo elitarny, ba, świadomie antydemokratyczny". Boy, jeśli był istotnie twórcą mitu o Młodej Polsce, to jego mitotwórstwo szło właśnie w kierunku „uziemnienia" tego modelu, ukazania pod poleryną „cygana" moderny pospolitej podszewki i zawsze miłych pojęciom demokratycznym dziur; demonicznie rozwichrzone zaś czupryny tłumaczył oszczędnością wydatków na fryzjera. Młoda Polska legitymowała się swoim indywidualizmem — Boy na to, że „nigdy się tak nie żyło kupą". To, co wydaje mi się najważniejsze w „micie" Boya, to po prostu zdemokratyzowanie obrazu cyganerii młodopolskiej. Ale czy to tylko mit? Czy nie mamy tu do czynienia z klasycznym dla Boya burzeniem mitu, który o sobie stworzyła Młoda Polska? Wydaje mi się, że wizerunek cyganerii, jaki kreślił Boy, był wyraźną repliką na mitotwórstwo własne, jakie stwarzała o sobie Młoda Polska we wszystkich właściwie swoich odgałęzieniach. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że Boy schodząc się w tym zakresie z Irzykowskim z drugiej strony spotkał się z postacią młodopolskiego cygana, jaką narzucał naszym wyobrażeniom inny wychowanek moderny krakowskiej, Schiller, w *Kramie z piosenkami*. Oczywiście ten nurt

odzierania Młodej Polski z kostiumu elitaryzmu i górnego patosu wywodzi się z tradycji satyry „Zielonego Balonika", ale są i inne źródła, nie mniej widoczne. Tu znowu przychodzi wskazać na przykład Francji, na który bezpośrednio wskazywał Boy w felietonie *Cichy jubileusz*, przeciwstawiając odświętny stosunek do literatury u nas „poufalszemu", właściwemu kulturze francuskiej. Ale działał nie mniej istotnie od tych czynników i inny. Wydaje się, że na Boyowski „mit" Młodej Polski, na właściwy mu sposób jej ukazania najistotniej oddziałały procesy demokratyzacji kultury, przeobrażenia obyczajowe, które dokonały się po pierwszej wojnie światowej w Polsce, procesy mające głębsze znaczenie niż się to na ogół zauważa. Boy, jak to może najdobitniej podkreślił Stawar, był bardzo uwrażliwiony na te procesy, był dobrym ich obserwatorem. W tym kontekście znacznie mniej paradoksalne jest „mitotwórstwo" Boya, niż podkreśla to Zimand w opozycji do racjonalizmu, sceptycyzmu i brązoburstwa autora *Ludzi żywych*.

■

Omawiałem studia Zimanda w innym porządku niż autor pomieścił je w tomie. Na uboczu pozostawiałem studium otwierające tom, rozprawę o Boyu-moraliście. Nie żebym wagi tego studium nie doceniał. Oczywiście Zimand ma rację, kiedy zżyma się na wyniosłe traktowanie moralistyki Boya w naszym kraju, podkreśla wiele jej żywotnych składników. Ale równocześnie w tym studium jest najbliższy chyba krytykom moralistyki Boya, chociaż zbliżenia te zastanawiająco zamazuje. Czyni to w sposób osobliwy. Nie tai, że wiele istotnych składników systemu wartości etycznych Boya nie współbrzmi z konfliktami i problemami współczesności. Nie ma w tym — wbrew pozorom — niczego dziwnego. Kampanie obyczajowe Boya, to, co było w nich najwartościowsze może, często zasymilowało się, straciło swój bulwersujący charakter. Boy sam to zrozumiał, ładnie pisał kiedyś o losie „wulkanicznych książek", które nie wywołują już dawnych wzruszeń, zdumienia, zgorszenia, oburzenia, których rewolucjonizująca barwa właśnie z racji jej skuteczności z czasem blaknie i płowieje. I wydaje się, że moralistyka Boya posiada wiele takich członów, na tyle powszechnie przyswojonych, bodaj przez sfery kulturalne, że ich skala rewolucjonizująca jest wymierzalna już tylko „historycznie", nie aktualną aktywnością. Ale i tu godzi się zachować większą ostrożność, niż wykazują niecierpliwi krytycy Boya, niepomni na rzeczywiste procesy kulturalne i obyczajowe w skali masowej. I temu słusznie przeciwstawia się Zimand, który usiłuje w sposób zobiektywizowany zrekonstruować „system wartości" moralistyki Boya. Jest to bardzo frapująca próba u pisarza, który z nonszalancją pisał o „systemach", u pisarza pełnego w tej mierze ostentacyjnych paradoksów, kapryśnego. Zimand wykazuje, że wbrew pozorom Boy jest przykładem „wierności zasadom", że dają się one w pełni zrekonstruować, że są czynnikiem kształtującym całe pisarstwo Boya oraz jego filozofię literacką. Rozciąga autor pojęcie „moralisty" nie tylko na poszczególne części pisarstwa Boya, ale na całą jego twórczość, śledząc konstytutywne elementy moralistyki Boya, jej związki z określonymi nurtami moralistyki europejskiej, dawniejszymi i współczesnymi pisarzowi. Mamy tu do czynienia z bardzo wnikliwym obserwowaniem powinowactw i związków z systemami laickimi, racjonalistycznymi, z nurtem sceptycyzmu europejskiego itp. Ale jedno zastanawia: Zimand gromadzi wiele argumentów, jednakże uchyla się od wniosków. Śledząc elementy moralistyki Boya podkreśla jej optymizm wywodzący się z ewolucjonistycznej historiozofii i to, że brak w niej motywu heroistycznego i patetycznego, brak poczucia dramatyzmu procesów historycznych, podkreśla dalej niemal całkowite zapoznawanie przez Boya „problematyki etycznej wielkich konfliktów społecznych". Zimand jakby się bał stwierdzenia, że moralistyka Boya jest bardzo dziewiętnastowieczna, wyraźnie wywodząca się z laickich tradycji mieszczańskich wieku, który kształtował młodość Boya. Czytam w jakimś felietonie Boya: „Moralność to jest gojenie krzywd, ucisku i nieszczęść, to jest ład społeczny, a nie bezład, jaki powstaje między formułkami a życiem". Jakbym czytał Prusa, Świętochowskiego, Orzeszkową. Nie wiem, nie umiem odgadnąć, dlaczego ten wątek rodowodu moralistyki

Boya, wątek pozytywistyczny, Zimand pomija u pisarza, który nawet wybór studiów medycznych tłumaczył (nieco żartobliwie oczywiście) sugestiami „nie tak dawnej epoki pozytywizmu". Tyle powiedziano — zwłaszcza niedawno — o dziewiętnastowieczności moralistyki Boya — mógłby odpowiedzieć Zimand. Tak, dlatego właśnie czas by już był, aby trochę przewietrzyć ten truizm, podyskutować z generalizującą pejoratywnością tego pojęcia. Boy był dla tych spraw dobrą sposobnością, a przede wszystkim było, moim zdaniem, rzeczą konieczną zająć się tą stroną moralistyki Boya, aby nabrała cała pełniejszego wyrazu, właśnie dramatyzmu wynikającego z uwikłania w nasz wiek dwudziesty.

*

Jest to książka o bardzo rozległych problemach, książka traktująca o Boyu jako moraliście, Boyu historyku i krytyku literackim, a więc dziedzinach, które obok krytyki teatralnej i praktyki tłumackiej na pewno należą do centralnych w działalności Boya i w sposobie jej pojmowania dawniej i dzisiaj. Wartość tej książki zasługuje na pewno na najżyczliwszą rekomendację recenzencką. Jest to książka dyskutująca i dyskusyjna. W trybie rozwijania problematyki, w jej wyborze, w sposobie argumentacji. Jest taka — polemiczna — z temperamentu autora, z natury jego upodobania do dialogu. Do kontrowersji z adwersarzami i uprzedzeniami oraz wątpliwościami czytelnika. Ale przede wszystkim i ponad wszystkim z racji „tematu". Najbardziej chyba istotnym źródłem polemicznej tonacji książki jest to, iż był on i pozostaje poniekąd dyskusyjny od kilku dziesiątków lat. Tonacja dyskusyjna książki — co, jak się często zdarza, nie zawęża bynajmniej jej zakresu zainteresowań — nie wynika więc głównie stąd, że autor bywa przekorny, ani też stąd, że polemika czasem — niepotrzebnie — spełzła do złośliwostek, kryjących się zazwyczaj w przypiskach. To są „dodatki" tylko i — jak Zimand lubi powtarzać — ich wartościowanie jest sprawą gustu.

Autor jest uczulony na pełną argumentację poglądów, konstatacji i hipotez, czasem aż — chciałoby się powiedzieć — pedantyczny, co skojarzone z jego weną eseistyczną nadaje książce całkiem swoistą postać. Jej lektura ma szczególny tedy smak — prowokujący. Nastawienie polemiczne i dyskusyjne autora, swojego rodzaju „zadziorność" wywodów — nieustannie prowokują, wciągają w dyskurs, stylistyka „ukrytego dialogu" na pewno usposabia do rewizji, kontroli. To, co by potocznie uchodziło uwadze przy lekturze tekstu o fakturze eseistycznej z właściwymi jej eliptycznymi skrótami, jednostronnymi akcentami, tu, w skojarzeniu z rozległym polem argumentacji i analizy, natarczywiej narzuca się uwadze, pobudza do dyskusji, ściślejszej weryfikacji, kontroli. I jeśli intencją autora było takie ukształtowanie swoich studiów, to rezultat okazał się bardzo skuteczny.

Samuel Sandler

W KRĘGU NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

Narcyza Żmichowska — Julia Baranowska: *Ścieżki przez życie*. Wspomnienia. Opracowała Mieczysława Romankówna. Wstęp napisała Zofia Kossak. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1961; str. 333, 2 nlb.

Młodość i wiek dojrzały Żmichowskiej zbiegły się ze zmierzchem romantyzmu w Polsce. Ze zmierzchem, ale nie z dewaluacją ideałów romantycznych, które straciły może na głębi myślowej, ale zyskały na rozmiarach stanu posiadania w społeczeństwie, rozlewając się płytszym, ale szerszym strumieniem. Romantyzm marzeń domagał się realizacji w czynie. Pojmowano go rozmaicie. Jedni, spadkobiercy niepopularnej ideologii Lubeckiego, a przodkowie tak zwanej „pracy orga-

nicznej", widzieli go w rozkwicie ekonomicznym, połączonym z wyrzeczeniem się całkowitym daremnych walk o niepodległość kraju. Inni, zwłaszcza młodzi, wyznawali wyłącznie kult jawnego oporu, walki zbrojnej bez względu na jej zgubne konsekwencje.

Żmichowska w przedziwny, bardzo charakterystyczny dla swojej sfery sposób, łączy te znamienne przeciwieństwa, ale pogodzić ich nie może. W utworach swoich i w działalności pedagogicznej zachowuje postawę pozornie umiarkowaną, aby pod maską solidnej guwernantki i wiernej carskiej poddanej, wyżywać się w konspiracji, która ją wreszcie zaprowadzi do lubelskiego więzienia.

Podobną dwoistość okazuje w dziedzinie zjawisk natury erotyczno-moralnej. Zbyt postępowa na to, aby nie uznawać prawa kobiety do życia seksualnego, nigdzie w swojej twórczości nie postuluje tej swobody, skrępowana więzami konwencjonalnych zasad odmiennej etyki dla każdej płci. Gdyby nie siła jej charakteru i świadome podporządkowanie się nakazom społecznym, stałaby się walczącą pionierką ruchu kobiecego. Tymczasem jest tylko postacią tragiczną w stylu ibsenowskim. Jej bunt przeciw istniejącemu stanowi rzeczy zawiera się w podtekście. Świadczy o tym najdalej idący jej utwór *Poganka*, zawierający galerię postaci kobiecych z jej najbliższego otoczenia. Zarówno w ich rysach, jak i w obrazie całego środowiska wyczuwa się wyraźnie tradycje romantyczne. Jest coś norwidowskiego w demonizacji jednych osób, w idealizowaniu drugich. Dwoistość targająca psychikę Żmichowskiej wyzwala się tutaj w rozszczepianiu się jej na szereg krańcowo różnych typów.

Jakimi drogami doszła Żmichowska do takiej koncepcji stosunków międzyludzkich, głównie w zakresie erotyzmu? Pierwsza część *Ścieżek* na to ma odpowiedzieć.

„Jedna jest tylko prawda — uczucie; jedna rzecz trwała — cnota; jedna wieczna — Bóg. Człowiek jest tylko człowiekiem przez swą duszę, przez to — co czuje, i przez to — co dobrego robi. Wszystko inne — to otchłań straszliwa potępień i zapomnienia."

Brzmi to jak slogan ze wzorów kaligraficznych i istotnie nim jest. Bo oto, co czytamy w innym miejscu: „Romanse ukształciły mnie, drugą edukacją się stały".

Żmichowska była sierotą, matkę straciła w trzy dni po urodzeniu i aczkolwiek w zupełności zastąpiła ją stryjenka, we wrażliwym dziecku wyrobił się kompleks osamotnienia i niezasłużonej krzywdy. Tym się tłumaczy późniejsza egzaltacja Narcyzy, żądza wyłącznego uczucia, liczne zawody w miłości i przyjaźni, pragnienie śmierci, pisanie jako klapa bezpieczeństwa. W sumie — idealny okaz psychologiczny dla Freuda. „Mój ideał to Werther, ale bez przesady, bez rozkołysanej czułości, tylko z duszą namiętną, z umysłem Sanda, z imaginacją Schillera, z sercem swego biografa." A w innym miejscu: „...gdyby można było znaleźć taką istotę, która by dla nas żyła, której byśmy całą duszę naszą oddali... Gdyby doszły do mnie te słowa: »Kocham cię« — a ja na ulubionej twarzy ich prawdziwość czytała. O, Boże mój! Zadrżeć na te wyrazy, nie czuć życia, życie nowe zaczynając, ulec wzruszeniu, wyciągając dłonie, zawołać do niego: »Zlituj się, zlituj, jam twoją do śmierci«. Jakże świetne marzenie! Jakiż sen zwodniczy!... Ale próżno tego szukam. Nie ma pod słońcem mężczyzny, który by tak kochać umiał, jak ja chcę być kochaną, więc też dla mnie i szczęścia nie ma... Jeżeli czasem myślę o tem... wtenczas gniewam się na całą naturę, tak mi się zdaje odludną, samotną i ponurą... Dlategoż to jest trudno znaleźć jedno serce, jedno tylko..."

Czyż to nie brzmi jak zmodyfikowany nieco monolog Dziewicy z drugiej części *Dziadów*?

Na wskroś romantyczna, nawet byroniczna jest jej alokucja do śmierci: „Och, już całe życie w myśli mojej przebyłam, już wyczerpałam i smutki, i rozkosze. Dla mnie nic nie ma, tylko śmierć wokoło — śmierć w duszy — śmierć w przeczuciu — śmierć w powietrzu, którym oddycham. Zdaje mi się, jakby głos schylonej nade mną istoty do ucha mojego ciągle okropne powtarzał słowa: »Umarła. Umarła!« I próżno się odwracam, i próżno wesołą być zaczynam lub chcę gdzie indziej myśli i uwagę zwrócić, ten hymn grobu, ta pieśń żałoby brzmi ciągle, brzmi bez przestanku".

Urywkowi temu brakuje tylko rymów i bardziej uwydatnionego rytmu,

a stałyby się typową romantyczną elegią. Ujawnia się tu w całej pełni charakterystyczny epigonizm Narcyzy. Jest to zjawisko zupełnie naturalne w tej epoce. Nie należy zapominać, że rok urodzin Żmichowskiej (1809) zbiega się z datą urodzenia Słowackiego...

Od tych młodzieńczych wspomnień przerzuceni zostajemy od razu do *Memuarów*, pisanych przez Żmichowską na krótko przed śmiercią, w roku 1875. Olbrzymi dystans czterdziestu lat ukazuje nam Narcyzę dojrzałą, opanowaną, która przebyła daleką drogę od romantyzmu do pozytywizmu. Oto, jak go charakteryzuje na przekór komedii Narzymskiego *Pozytywni*, która wtedy właśnie ukazała się naprzód w *Tygodniku Ilustrowanym*, później w oddzielnym wydaniu. „W książkach naukowych, u ludzi najpozytywniej myślących i piszących pozytywizm... jest niby ogólnym streszczeniem wszelkich nauk ścisłych, prawem wyciągniętym ze zjawisk dowiedzionych, synonimem arytmetyki, geometrii, ekonomii politycznej, geologii, statystyki i tym podobne. A w komedii wygląda zupełnie jak nieboszczyk mój szwagier, istotnie bardzo zdolny człowiek, luminarz rawskiej ziemi, który za jedyną powinność to uznawał, by jemu i dzieciom jego było wygodnie na świecie."

Znamienne jest stwierdzenie przez Żmichowską „upadku sławiańskiego poszanowania dla głów sędziwych i rozerwania rodzinnego między ojcami a dziećmi stosunku... Generacja po generacji przychodzi już na świat z tym usposobieniem, że się czuje niezależną od żadnej poprzedniości, jak gdyby z nią dopiero świat się zaczynał. Póki sobie głów o mury nie porozbija, póty jej się zdaje, że ma prawo wszystko według swojej woli, według swego pomysłu i według swoich fantazyjnych wymagań urządzać. Każdy jest w sumieniu swoim jakimś „first suttlerem" (pierwszym karczownikiem), pierwotnym rudownikiem amerykańskim. Masy sił i zdolności marnuje się na początki i próby; gdyby choć połowę tego na jakiś dalszy ciąg użyto".

Jak widzimy, nic się przez te blisko sto lat nie zmieniło. Rozłam między starymi a młodymi powtarza się z każdym pokoleniem. Może to jest po prostu stały atrybut postępu...

W *Memuarach* więcej jest obrazków charakterystycznych z życia ówczesnego ziemiaństwa i rodzącej się z niego inteligencji miejskiej. Dojrzałość Żmichowskiej jako obserwatorki i jako pisarki wyraża się nie tylko w umiarkowaniu sądów i w obiektywizmie portretów, ale i w większej zwięzłości stylu, który w jej latach młodzieńczych urabiał się według zasady: „skoro natłoczę wiele słów, myśli znajdą się może".

O głodzie heroizmu, który pomimo wszystko trawił najszlachetniejsze jednostki, pisze Żmichowska, jako o przedmiocie dyskusji między nią a Ziemięcką. Z pojęciem heroizmu łączył się organicznie problemat zamachów i morderstw politycznych. W zasadzie obydwie doszły do odrzucenia tego sposobu walki z tyranią, kierując się względami raczej natury mistycznej. „...jak łatwo zbrodniarzowi zgładzić użytecznego człowieka, a jak trudno poświęcającemu się odważnie szkodliwego ze świata sprzątnąć... Zapewne trzeba jakiegoś doskonałego zrównoważenia się w duszach — równa ilość zła przeciw równej ilości dobra... Archaniołem być trzeba, by zwalczyć szatana."

Gdyby komisja wojskowa, która miała sądzić Żmichowską w roku 1848 za jej działalność konspiracyjną, znała ten ustęp, może by on ją przekonał o nieszkodliwości tak filozofującej konspiracji. W związku z tym procesem w 1849 roku stoją *Zeznania* Żmichowskiej, napisane na żądanie wspomnianej komisji śledczej. Z zamieszczonych w *Ścieżkach przez życie* pierwodruków, ten chyba, opracowany po głębokim namyśle i z intencją odwrócenia uwagi sędziów od istotnych działaczy patriotycznych — uderza największym opanowaniem zarówno treści, jak formy. Jest to małe arcydzieło maskowania się pod pozorami lojalności wobec carskich władz, które jednak nie dały się wywieść w pole i skazały Narcyzę na paroletnie więzienie.

Druga część *Ścieżek* to notatki do życiorysu Narcyzy Żmichowskiej, wspomnienia o niej, jej rodzinie i kręgu jej przyjaciół pióra Julii Baranowskiej. Jest to coś pośredniego między notatkami biograficznymi a uszlachetnioną plotką. Tego rodzaju prace mogą rozrastać się do rozmiarów wprost potwornych. Wobec tego, że Narcyza była jednym z dziesięciorga rodzeństwa, niebezpieczeństwo potopu szczegółów wobec katastrofalnej wręcz pamięci i dokładności autorki jest zbyt wielkie, aby

mogło nie doprowadzić czytelnika do ostatecznej utraty wytrzymałości. Z bardzo pilnej lektury tych wspomnień i ustawicznego zaglądania do komentarzy, not biograficznych i spisu członków rodziny Narcyzy (z górą pięćdziesiąt osób) pozostało mi tylko ogólne wrażenie chaosu, z którego wyłania się syntetyczna postać ginącego już dziś typu matrony polskiej, uniwersalnej kapłanki ogniska domowego, pani domu, wzorowej gospodyni, wychowawczyni, a często i nauczycielki własnych i cudzych dzieci, podpory męża, moralnego, a niekiedy i materialnego pionu całej rodziny.

Okazuje się, że kobiety na ogół lepiej znosiły współczesne przełomy i kataklizmy rodzinne i społeczne od mężczyzn, rzadziej wykolejały się i łatwiej przystosowywały do radykalnie zmienionych warunków bytowych. One to właściwie tworzyły trzon rodzącej się w bólach inteligencji miejskiej. Wybitną rolę odegrały tu ich wrodzone instynkty i upodobania pedagogiczne. Poważny procent sióstr, krewniaczek i przyjaciółek Żmichowskiej i Baranowskiej ukończy Państwowy Instytut Guwernantek, aby zdobyte tam wykształcenie wykorzystać już to zarobkowo na płatnych posadach, już to ucząc własne dzieci, młodsze rodzeństwo, czasem ich rówieśników w grupach, które później nazywano kompletami. Przeżyły przy tym wiele zawodów i upokorzeń, zwłaszcza w domach magnackich, gdzie guwernantkę traktowano nieraz gorzej od pany służącej. W tej księdze zasług dużo jest i o Żmichowskiej, ale tak omotanej w rysy innych, że trudno ją odnaleźć. Przytomny i świetnie orientujący się powieściopisarz mógłby z tego lamusa nazwisk i postaci zrobić niezły *roman-fleuve* o przeradzaniu się sfery ziemiańskiej w inteligencję miejską, i to przede wszystkim dzięki kobietom. Można by tu odnaleźć i jakąś panią Latter na małą skalę i bez tragicznego zakończenia, które jej musiał przyczepić Prus, ten przysięgły wróg emancypacji kobiet.

Podziwiać należy pracowitość i drobiazgowość wydawczyni w kolekcjonowaniu not, przypisów, komentarzy, spisów osób i miejscowości.

Książkę poprzedza piękna i sprawiedliwa przedmowa Zofii Kossak, a kilka wizerunków ze zbioru rodziny Baranowskich nakłada na całość patynę staroświecką.

Stefania Podhorska-Okołów

LATO

Przed paru dniami jeden z pracowników Polskiego Radia przeprowadzał ze mną wywiad: „Chcielibyśmy z Panem porozmawiać na temat lata — powiedział — ponieważ ta część roku odgrywa specjalną rolę w pańskiej twórczości".

Nigdy nie przychodziło mi to do głowy. Ale rzeczywiście. Weźmy chociażby tytuły: *Lato 1932, Lato w Nohant*... Ale mimo wszystko większość moich opowiadań ma za tło jesień. Bo były prawie wszystkie napisane w jesieni. Wiemy dobrze — chociażby z biografii (a i z poezji) Puszkina — że jesień jest porą literackich żniw. Lato jest tylko porą przygotowań.

Niedawno Związek Literatów Polskich urządził autokarową wycieczkę do ośrodków przemysłowych. Wycieczka się udała, chociaż zbyt mało pisarzy wzięło w niej udział. Była dobrze zorganizowana, bardzo serdecznie przyjmowana, zwiedziła bardzo ciekawe obiekty. Niewątpliwie sprzyjała kontaktowi pisarza z naszą codzienną rzeczywistością. Była także jakimś przygotowaniem materiału.

Pisarze zareagowali na tę wycieczkę kilkoma echami w prasie, miejmy nadzieję, że wrażenia odebrane na Śląsku czy w Nowej Hucie odnajdą się i w jakichś utworach literackich.

Nie tak jednak wyobrażam sobie „porę przygotowań". Lato jest czasem wypoczynku, jest epoką skupienia, zamyślenia przed jesiennym atakiem. Oczywiście skupienia nieświadomego, nie specjalnie projektowanego, przychodzącego ze świeżą falą powietrza, z oddechem lasu, z „wiatrem od morza".

W maju parę dni spędziłem w Zakopanem, a raczej w resztkach tego, co się dawniej nazywało Zakopanem. Był maj, pustka, przeraźliwe wiosenne zimno. A mimo to, jadąc kolejką na Kasprowy, z zazdrością patrzyłem na puszyste świerkowe zarośla: gdyby to tak można było znaleźć się wśród tych drzew... samemu.

Dobrą rzeczą są zbiorowe wycieczki, konieczne jak najściślejsze zaznajomienie się z życiem codziennym kraju, wejście w kontakt z ludnością — aby się nie starzeć, aby iść „w nogę" z najmłodszymi pokoleniami, aby wiedzieć, co się w Polsce dzieje.

Ale aby wszystkie te wrażenia uporządkować, aby je ułożyć w głowie — a potem na papierze — potrzebna jest cisza i samotność. A ta sprawa w naszym życiu twórczym jest zupełnie niezorganizowana, właściwie mówiąc niedostępna.

Domy twórcze (a jest ich przecie minimalna ilość) zmieniły się w modne pensjonaty, turystyka masowa uniemożliwiła ciszę gór czy nadmorskiej plaży, diabelski wynalazek telefonu i motocykla dopełnił reszty. Pisarz, malarz czy muzyk latem psuje sobie do reszty nerwy zamiast wypocząć.

Niestety można tylko (na razie) skonstatować te fakty. Nie widać tu żadnego (znowu na razie) remedium. Ale już w samym skonstatowaniu tego faktu dużo się zawiera. Jakoś to trzeba urządzić.

Gałczyński uciekał do swojej mazurskiej leśniczówki. Wiele tej leśniczówce zawdzięczamy. Ziemia nasza coraz się robi ciaśniejsza, ale jeszcze się znajdzie trochę cichych jezior czy lasów. Wygnani z Helu i z Podhala może znajdziemy to, co nam tak jest potrzebne — spokój skupienia?

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Z 10 n-ru *Współczesności* dowiadujemy się, że odbył się zjazd młodych pisarzy Polski południowej. Nigdy nie przypuszczałem, że nasz ogromny kraj ma aż tak potężną młodą literaturę, iż jej nie podobna ogarnąć razem, w całości — trzeba ją dzielić na zony według stron świata. Wyobrażam sobie tylko niepokój młodego pisarza mieszkającego np. w Skarżysku: do kogo przynależy — do Południa czy do Północy. Mogą stąd wytworzyć się kompleksy alienacji, zwłaszcza gdy mu wpadną w ręce rozważania pani de Staël o literaturze ludów południa i ludów północy.

Na zjeździe tym Włodzimierz Maciąg wygłosił przemówienie, które wspomniany numer *Współczesności* drukuje „na zasadach głosów w dyskusji". Krytyk zaatakował młodą literaturę z prawdziwie południowym temperamentem. Aby uniknąć jednakże wszelkich nieporozumień uprzedził od razu młodych pisarzy, że „rozmowa (z nimi) może być prowadzona na zupełnie prymitywnym szczeblu intelektualnym i artystycznym". Potem jednak sytuacja się skomplikowała, ponieważ nasz przyjaciel zza Gór Świętokrzyskich stwierdził, że „nie mamy żadnej młodej literatury ani młodych pisarzy". Skoro tak, nic dziwnego, że „z młodą literaturą nie można w tej chwili nawiązać żadnego kontaktu, nie można jej się sprzeciwiać, nie można z niej drwić". Nie ma literatury młodej: „Nie ma jej w sensie treści, które miałaby do zaproponowania, w sensie świadomości artystycznej, ani w sensie zadań, które by sobie stawiała". Natomiast, stwierdził dalej Włodzimierz Maciąg, istnieją książki, które są materiałem do prasowej recenzji. Można by pomyśleć, że to już coś, ale Włodzimierz Maciąg, jak wszyscy południowcy, jest pryncypialistą nieubłaganym: jeśli nie ma zadań, literatury nie ma. Sam zresztą rezygnuje z przedłożenia owych zadań, a w tej rezygnacji jest coś bolesnego — Maciągowi aż wstyd mówić: „Było to dla mnie zawstydzające: to agitowanie młodych pisarzy, aby pisali o sobie i o świecie, który ich otacza", tym bardziej że — jak stwierdza dalej Maciąg z goryczą — ludzie ci „w ogóle nie mają do wyboru innego świata". Ten argument powinien był ostatecznie przygwoździć wszystkich młodych pisarzy osiadłych w górnym biegu Wisły, Odry i Sanu, zwłaszcza że ludy południa są raczej skłonne do empiryzmu, w przeciwieństwie do metafizyków z północy. Myślę tylko, że jeśli tam był obecny Jerzy Harasymowicz z Muszyny nad Dunajcem, protestował w imieniu krasnoludków.

Wszystko to jest okropnie smutne. Wyobrażam sobie ten zjazd: w jakiejś przestronnej sali wypożyczonej na ten cel przez władze miejskie zasiadło ze stu chłopców i drugie tyle dziewcząt. Połowa ich jeszcze nie ujrzała w druku swych nazwisk, jedna trzecia czeka od roku na odpowiedź redakcji, jeden procent już tę odpowiedź otrzymał, jeden promil poszczycić się może umową wydawniczą. Ci zaś, co już książki wydali, nie uważają się za młodych pisarzy. I przed tymi proletariuszami literatury staje łysawy pan w okularach, wymyśla im od debili, krzyczy na nich, że nie mają wspólnej idei, obciąża ich grzechami jakichś paru spryciarzy, którzy się już w literaturze lepiej niż sam Maciąg pourządzali. I co ma jedno z drugim wspólnego: udręki debiutanta z karierą literacką? Rację ma Maciąg: nie ma literatury młodej, nigdy jej nie było. Co prawda, wszystkie rewolucje literackie robili młodzi pisarze, nieledwie debiutanci, ale z tego nie

wynika, że literaturę stale odnawia się przez napływ świeżych sił. Zresztą z tymi rewolucjami literackimi też sprawa nie jest tak zupełnie jasna: młodzi pisarze stanowili siłę uderzeniową rewolucji, ale jej teorię formułował kto inny, wcześniej. Kiedy bojówka Teofila Gautier i Gerarda de Nerval wywołała skandal na premierze *Hernaniego*, romantyzm był już gotowy: miał nawet swoich klasyków, tyle że nie uznanych. Ile zresztą było tych rewolucji literackich? Dwie, nie więcej: romantyczna i surrealistyczna. Pierwsza w imię nowej sztuki, druga przeciwko sztuce. Dwa razy ekipy debiutantów okazały się groźną, przebojową siłą. Dwa razy w historii literatury debiutanci wystąpili z programem: za jednym i drugim razem chodziło o rozpowszechnienie idei dawno sformułowanych. A poza epokami szczególnego napięcia artystycznego debiut literacki jest wydarzeniem skromnym: ktoś młody, zdolny, ambitny próbuje naśladować ulubionych pisarzy. To wszystko. Z czasem staje się z niego pisarz; to znaczy, że „zaczyna pisać o sobie i o świecie, który go otacza", i uświadamia sobie „treści, które ma do zaproponowania". Maciąg i inni krytycy domagają się dojrzałości od pisarzy niedojrzałych, chrupią zielone gruszki, po czym dziwią się boleściom, co ich dręczą.

Innym przykładem pomieszania pojęć w tej materii jest artykuł Marka Milenaja pt. *Młodzi w literaturze młodych*, zamieszczony w 19 n-rze *Kierunków*. Publicysta nakreślił portret polskiej młodzieży opierając się na twórczości młodych pisarzy. Z całą powagą traktuje wypowiedzi bohaterów, ich czyny uważa za charakterystyczne dla młodzieży współczesnej, wysnuwa wnioski, moralizuje etc. Tak jakby literatura z reguły była dokumentem socjologicznym i jak gdyby wierność wobec rzeczywistości nie wymagała udowodnienia w stosunku do każdego utworu z osobna. I tak jakby literatura pisarzy młodych, nie ukształtowanych jeszcze nie zasługiwała pod tym względem na szczególną ostrożność jako — z samej istoty swojej — najbardziej podatna na wpływy literackie. Wierność wobec rzeczywistości, trafność opisu, przenikliwość obserwacji, jest przecież jednym ze stopni doskonałości artystycznej, którą osiąga bardzo niewielu pisarzy. Utwór pisarza początkującego może posłużyć za socjologiczny dokument tylko wtedy, gdy się za przedmiot badania weźmie pewne deformacje rzeczywistości — deformacje podyktowane bardzo wieloma względami, które wytłumaczyć się dadzą sytuacją samego pisarza, jego warsztatowymi trudnościami, jego ząbkowaniem artystycznym. To tak jakby ktoś słysząc wrzask osesków w klinice położniczej wywnioskował, że ciężkie musi być życie w kraju, w którym dzieci tak płaczą.

Z tych moich uwag mógłby ktoś wysnuć wniosek, że lekceważę twórczość młodych pisarzy. Wręcz przeciwnie: staram się zrozumieć szalony wysiłek, który ponoszą dla napisania poprawnego zdania, skomponowania rozdziału i doprowadzenia powieści do końca. Jest to rzecz trudna, jeśli się serio traktuje literaturę.

Warto natomiast zwrócić uwagę na rozsądny artykuł Jerzego S. Sity w 20 n-rze *Nowej Kultury*. Sito sprowadza dyskusję o poezji na grunt pewnej — że się tak wyrażę — fachowości. „...Jeśli o »ferment intelektualny« chodzi, sądzę, że większe zasługi miałby tu tom esejów krytycznych Eliota, Arnolda czy Richardsona niż modne dzisiaj sympozjony i zjazdy poetyckie." Zapewne. Dalej autor ubolewa nad poetyckim dylentantyzmem poetów, którzy nie znają dobrze nawet tych pisarzy, z których ściągają. Następnie przypomina poetom opanowanym przez demona nowoczesności (awangardy) właściwy sens przeszłości: „Prawdziwa i stała rewolucja zakłada stały ruch i zmianę, nie zapomina jednak o niczym, przeszłość traktując jako swój zmieniający się wciąż budulec". Inne „prawdy banalne": zaangażowanie poezji wyraża się w jej formie, jej funkcja społeczna w kształtowaniu języka. Prawdy są rzeczywiście nienowe, ale potrzebne. Zwłaszcza tym, którzy je formułują.

Myślę, że w ogóle nie można mieć pretensji do nikogo ani o artykuły banalne, ani o artykuły niemądre. Banał i głupstwo głośno powiedziane i utrwalone są znacznie mniej groźne niż wtedy, gdy pączkują w głowach. Dlatego nie mam pretensji nawet do Maciąga.

Andrzej Kijowski

Angielskie odczyty radiowe Edgara Winda o *Sztuce i anarchii*, z których zdawaliśmy sprawę w kwietniowym numerze *Twórczości*, wywołały żywą dyskusję jeszcze przed ukazaniem się ich wydania książkowego. Wynikłe nieporozumienia i szczegółowe różnice zdań między oponentami mniej nas mogą interesować, na uwagę zasługują natomiast pewne nowe myśli i spostrzeżenia, wypowiadane nieraz na marginesie zasadniczych sporów. (Artykuły, o których będzie mowa, ogłoszone zostały w tygodniku *The Listener* w lutym i marcu br.)

Diagnoza Winda na temat roli sztuki w życiu współczesnym brzmiała, że w ciągu ostatnich lat stu pięćdziesięciu mniej więcej sztuka zatracała stopniowo swą dawną rolę zarówno wobec społeczeństwa, jak i wobec jednostek: stawała się bardziej rozrywką, mniej przeżyciem, zyskała na powszechności, a straciła na intensywności odbioru. Genezę tej ewolucji upatrywał zarówno w „odśrodkowych" tendencjach samego rozwoju sztuki, jak i przede wszystkim w zmianie form obcowania ze sztuką, narzucanej przez postęp społeczny i techniczny. Oczywistą intencją Winda jest zachęcenie do podjęcia starań, aby w procesie nieuchronnych przemian historycznych nie zatracać wszystkich dawnych wartości; co więcej, aby dążyć do takiej organizacji życia społecznego i wychowania estetycznego, która umożliwiałaby pełniejsze i głębsze odbieranie dzieł sztuki.

Ponieważ jednak w szkicach Winda krytyka przeważa zdecydowanie nad propozycjami pozytywnymi, przy całym ostrożnym zresztą optymizmie autora można odczytać jego stanowisko jako obronę konserwatywnego poglądu na sztukę, jako protest przeciwko powszechności obcowania ze sztuką i apologię arystokratycznego elitaryzmu. Tak właśnie — niesłusznie moim zdaniem — zrozumiał poglądy Winda Owen Holloway, znawca malarstwa Dalekiego Wschodu. Zarzucił on Windowi reakcyjność w poglądach na sztukę i wynikający z reakcyjności pesymizm: „Wind wydaje się być dosłownie niezdolny do zrozumienia, że jeżeli kultura, która była *ex definitione* ekskluzywna, ma obecnie służyć czemuś lepszemu niż oderwanej od nieoświeconego społeczeństwa elicie, jej sztuka musi ulec zmianie".

Jednakże różnica między obu stanowiskami: obroną tradycyjnie ustalonych wartości w nowej sytuacji coraz powszechniejszego uczestniczenia ludzi w życiu kulturalnym — i podkreśleniem, że nowe układy społeczne oraz rozwój nauki i techniki muszą rodzić nowe wartości, odmienne od dawnych — wydaje się polegać raczej na rozłożeniu akcentów niż na przeciwstawności. Można walczyć o przeniesienie cennych rodzajów przeżyć do teraźniejszości nie wyrzekając się tym samym całkowicie nowych typów doświadczenia.

Uwagi Winda zyskują na jasności i dobitności, jeżeli się pamięta, że odnoszą się one — nawet jeżeli autor nie mówi tego *expressis verbis* — do określonego, kapitalistycznego typu społeczeństwa, w którym problemy kultury masowej muszą spędzać sen z oczu każdemu, kogo sztuka choć trochę obchodzi. W tym miejscu dodać trzeba, że zarówno Wind jak i jego dyskutanci pomijają w swoich rozważaniach jeden niezmiernie prosty a ważny czynnik: stosunek odbiorców do sztuki pod względem ilości czasu, jaki jej mogą poświęcić. Otóż dawne formy obcowania ze sztuką, o których pisze i których broni Wind, powstały w warunkach posiadania znacznej ilości czasu przez stosunkowo niewielką liczbę ludzi. Niedawne i współczesne kłopoty z kulturą i sztuką zrodziły się w okresie, kiedy znaczna ilość ludzi ma stosunkowo niewiele czasu na artystyczny element w życiu (co zupełnie oczywiście musi sprzyjać eklektyzmowi, powierzchowności i snobizmowi). Stoimy natomiast niewątpliwie w przededniu epoki, kiedy ogromne masy rozporządzać będą bogactwem czasu, który można będzie użytkować dosyć dowolnie, między innymi i na takie czy inne obcowanie z różnymi formami artyzmu.

W wypowiedzi Hollowaya najcenniejsze są uwagi metodologiczne. Mówi on o bezwzględnej konieczności pamiętania, że nie tylko formy, ale i rola

sztuki zmienia się ze społeczności na społeczność i z cywilizacji na cywilizację. Uparty „europocentryzm", ciągle jeszcze panujący w rozważaniach na temat sztuki, jest zarówno absurdalny teoretycznie, jak i niewybaczalny z praktycznego punktu widzenia (bo nasz krąg cywilizacyjny, jakkolwiek niezwykle aktywny, obejmuje wyraźną mniejszość rodzaju ludzkiego). Najbardziej charakterystyczne dla słusznie radykalnego stanowiska Hollowaya są jego zdania na temat estetyki: „Wydaje mi się, że estetyka, podobnie jak historia albo geografia, powinna być nauką społeczną. Każde dzieło sztuki jest porozumiewaniem się *(a communication)*, a więc przedsięwzięciem nie tylko osobistym, ale także społecznym. Przedstawia ono praktyczną propozycję: jego ton i sama forma określają możliwość jego rozpowszechnienia i obiegu. Gust, który uważamy za dobry, odzwierciedla po prostu fakt, że obrońcy tego gustu mają w swych rękach kontrolę nad kulturą. Sama różnica między prawidłami rządzącymi sztuką w różnych kulturach pozbawia nas możności wysławiania jedynego »piękna«. Żaden problem związany ze sztuką nie może być dyskutowany w terminach abstrakcyjnych, indywidualnych i hedonistycznych — ale tylko przy zastosowaniu kategorii zmieniających się układów władzy i autorytetu w naszych społeczeństwach."

Michael Tippet, znany kompozytor i muzykolog, również poświęcił znaczną część swych uwag zagadnieniom metodologicznym. Wskazał, że znaczna część ogólnych wypowiedzi Winda na temat „sztuki" odnosi się tylko do sztuk plastycznych, a nie da się zastosować np. do muzyki. Na przykład w muzyce nie istnieje ani „koneserstwo" (w znaczeniu dyskutowanym przez Winda), ani kult „szkiców" i niedokończonych fragmentów; a zwłaszcza muzyka atonalna daleka jest od ulegania trawiącej współczesne malarstwo chorobie bezpośredniości i spontaniczności. Generalny wniosek jest taki, że „jeżeli chcemy udowodnić, iż w obecnym wieku nauki twórcza sztuka zeszła na margines, możemy używać wszelkich nasuwających się argumentów, ale w odniesieniu do każdej ze sztuk z osobna. Jest bowiem prawie pewne, że w innej znajdziemy sytuację wręcz odwrotną".

Trzeci z dyskutantów, mieszkający w Anglii kompozytor kataloński Roberto Gerhard, przeciwstawia z sympatią twórczy krytycyzm Winda beznadziejnemu wieszczeniu upadku sztuki przez Oswalda Spenglera. Uważa jednak, że obraz jest i tak utrzymany w barwach zbyt ciemnych. Jeżeli opuścił nas „święty lęk" wobec sztuki — to dlatego przede wszystkim, że rolę budziciela grozy przejęła na siebie nauka. Niektóre zwyrodnienia w stosunku odbiorców do dzieł sztuki, obserwowane i opisane błyskotliwie przez Winda — jak niechęć do „podporządkowania woli" w przeżyciu estetycznym i nadmiernie toleracyjne zobojętnienie na wielorakość form sztuki — są charakterystyczne raczej dla specjalistów niż dla normalnej publiczności, dla której Gerhard znajduje wiele słów prawdziwego uznania.

Sprawy „kultury masowej" i, jako jej przeciwstawienia, wspólnej żywej kultury narodowej są obecnie w Anglii przedmiotem dyskusji tak ożywionej i namiętnej, jak nigdy przedtem. Odczyty Winda stały się niewątpliwie jednym z najważniejszych głosów w tej debacie. Ofensywny krytycyzm i rozsądny optymizm Hollowaya i Gerharda są bardzo charakterystyczne zarówno dla dominującego w dyskusji tonu, jak i dla wyraźnie lewicowego podłoża poglądów większości uczestników.

Zdzisław Najder

ZJAZD POETÓW ZIEM ZACHODNICH W KŁODZKU

Jednym z dowodów zagospodarowania Ziem Zachodnich jest ich samodzielne, bogate, barwne życie intelektualne. Istnieją tam bowiem imponujące energią i promieniowaniem ośrodki, które śmiało mogą rywalizować z analogicznymi ośrodkami Polski centralnej. Rywalizować? Uważam ośrodek wrocławski np. za najbujniejsze po Warszawie i Krakowie centrum kulturalne kraju. Dzięki kilkakrotnym wyjazdom odczytowym miałem możność przyjrzeć się z bliska przejawom życia intelektualnego tam właśnie. Wrocław wiadomo. Wyższe uczelnie wychowały tam własną inteligencję, która zwraca uwagę aktywnością i szerokością zainteresowań. Tam właśnie uderza fakt, że inteligencja techniczna stanowi publiczność imprez ultrahumanistycznych, jak wieczory poetyckie czy odczyty o bardzo specjalnej tematyce formalnoliterackiej. A taka Zielona Góra! Od trzech czy czterech lat trwająca działalność Towarzystwa Ziemi Lubuskiej i Klubu Literackiego, działalność wielostronna, badawcza, dydaktyczna, wydawnicza wyznacza temu terenowi miejsce bynajmniej nie marginesowe na mapie kulturalnej kraju. Wszędzie tam uderza to samo: samoistność życia umysłowego, jego organiczny związek z potrzebami i aspiracjami terenu. Od trzech, czterech lat w Zielonej Górze i Szczecinie, w Jeleniej Górze i Olsztynie występuje to samo zjawisko: ambicje kulturalne są zakorzenione, działalność artystyczna i intelektualna jest naturalnym owocowaniem tej ziemi. To jest właśnie to *novum*.

W latach bezpośrednio powojennych Ziemie Zachodnie gościły pisarzy, artystów, intelektualistów. Dzisiaj ich wydają. Wrocław wdzięcznie pamięta Marię Dąbrowską, Annę Kowalską, Wojciecha Żukrowskiego, Stanisława Dygata. Szczecin z rozrzewnieniem wspomina Gałczyńskiego i Andrzejewskiego. Ci goście swoją obecnością uświetnili wówczas kulturalną pustynię. Byli ambasadorami polskiej kultury. Otóż dzisiaj ambasadorowie już nie są potrzebni. Tam polska kultura żyje dzisiaj na codzień, jest na miejscu u siebie. Nie przyniesiona, nie reprezentowana, ale zakorzeniona i równie naturalna, jak w Krakowie czy Poznaniu.

Piszę tę notę pod bezpośrednim wrażeniem spotkania z poetami Ziem Zachodnich, które odbyło się w Kłodzku w dniach 13—14 maja. Tam bowiem z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Kłodzka odbyła się pierwsza Poetycka Wiosna Ziem Zachodnich. Rzecz niebywała, oddająca skalę i tempo życia kulturalnego Ziem Zachodnich. Niewielkie miasto powiatowe gościło artystów przybyłych zewsząd, bo obok poetów Ziem Zachodnich byli także przedstawiciele Warszawy (Małgorzata Hillar, Stanisław Grochowiak), Krakowa (Stanisław Czycz). I to jak gościło! Oczywiście nie chodzi o skalę gastronomiczną, która była dość skromna, ale o skalę ambicji i nadziei, jakie z tą imprezą wiązało.

Kilka słów o nich, o organizatorach, o tej inteligencji kłodzkiej, która, nie ograniczając się do pracy zawodowej, z poczuciem misji społecznej pragnie uczynić z tego miasta żywy ośrodek intelektualny. Kim są? Nauczycielami, urzędnikami, lekarzami. Animatorem ruchu umysłowego jest młody lekarz Eugeniusz Karczmarek. To z jego inicjatywy powstało w październiku ubiegłego roku Towarzystwo Miłośników Kłodzka. Współobywatele nazywają go „kłodzkim Boyem". Ten Boy poza pracą w szpitalu i ambulatorium pracuje naukowo, pisze prace z zakresu swojej specjalności. Ten entuzjazm nie jest odosobniony. Działacze partyjni (Stefan Skarżyński, sekretarz KP od propagandy), pracownicy aparatu administracyjnego (Jerzy Brzozowski, kierownik Wydziału Kultury), nauczycielstwo (Eugenia Bożko, Salomea Koszutska), miejscowi artyści, miejscowi poeci (Anna Zelenay, Jan Kulka) powołali do życia nie tylko ośrodek organizacyjny, ale stworzyli program kulturalny odbiegający od standartu. Wiosna Poetycka 1961 była ich pierwszą realizacją. Mają w planach sesję naukową poświęconą sprawom radiowym.

Poetycka Wiosna Kłodzka była najciekawszą imprezą tego typu, w jakiej uczestniczyłem. Przygotowana wzoro-

wo. Nie zdano się na żywioł. Referaty o bardzo uściślonym zakresie (Wilhelm Szewczyk: *Geografia poezji Ziem Zachodnich*, Jan Kulka: *Pejzaż Ziemi Kłodzkiej w poezji* i podpisany: *Słowo i wyobraźnia w poezji Ziem Zachodnich*), dyskusja, spotkania autorskie dały obraz poezji powstającej na naszym zachodzie. Już od razu sprawa zasadnicza. Czy poezja Ziem Zachodnich posiada własną specyfikę, która ją wyodrębnia z reszty literatury? Czy poezja Ziem Zachodnich jest poezją regionalną? Na tym właśnie polega jej rola i wartość społeczna, że przede wszystkim jest poezją jako taką. To jest poezja polska, która narodziła się i żyje na zachodzie tak samo naturalnie i spontanicznie, jak rodzi się i żyje w Rzeszowskiem czy na Mazowszu. Ona nie jest sztucznym tworem dla manifestowania tez propagandowych. Ona nie jest sztampą czy tematyką specjalną, ale po prostu własną egzystencją daje świadectwo polskości Ziem Zachodnich. Tam, gdzie się rodzi poezja polska, tam jest Polska.

Ta sprawa była namiętnie i drobiazgowo dyskutowana. Wilhelm Szewczyk w swoim interesującym i żarliwym referacie nie odciął się niestety od prymitywizmu propagandowego. Mówiąc był bardziej politykiem niż działaczem kulturalnym. Żądał wierszy o Wrocławiu, o Wałbrzychu, wierszy dokumentów, wierszy legitymacji. Jakby zapomniał, mówiąc do poetów ze Śląska, z Wrocławia, z Wałbrzycha, że każde ich słowo, każde wzruszenie nazwane jest dowodem żywotności tych ziem, ich autentycznej, a nie deklamowanej polskości. Jest to jedna z najbardziej bolących poetów tamtych ziem sprawa. Chcą być poetami w takiej samej mierze, jak poetami są poeci z Warszawy czy Krakowa. Jan Kulka w swoim referacie o odbiciu pejzażu Ziemi Kłodzkiej w poezji wyliczył szereg utworów, by je określić jako pozbawione wartości artystycznych. Cóż więc z tego, że powstały, jeśli nie mają siły oddziaływania? Jak bardzo bolesne jest to nierozumienie kulturotwórczej roli poety, niech zaświadczy ten fragment listu wrocławskiego poety, Tadeusza Zelenaya. Zelenay, który zabierał głos w dyskusji kłodzkiej, raz jeszcze w liście przysłanym mi do redakcji powraca do tej sprawy. Pisze: „Chodzi mi o to nieszczęsne zagadnienie regionalizmu, o to «Piszcie o Ziemiach Zachodnich». Nikt chyba z poetów wrocławskich, nawet tych bardziej twórczych i bardziej utalentowanych ode mnie, nie jest w większym stopniu uprawniony mówić o tym śmielej niż ja, autor utworów takich, jak *Pochwała Wrocławia, Wrocławskie lato, Nad Odrą, Słowacki we Wrocławiu, Szkicownik wrocławski* itd. Nawet nazywają mnie już przecież wrocławskim Or-Otem, co uważam za komplement raczej wątpliwy. Wilhelm Szewczyk wspomniał w swoim referacie o setkach utworów niemieckich pisarzy rewizjonistycznych poświęconych »niemieckim terenom pod polską administracją«, ciekaw jestem, ile z owych utworów pozostanie w literaturze? Nam, poetom, nie może chodzić tylko o efekty propagandowe. Co dało więcej Warszawie, czy tych kilkanaście miernych wierszy Or-Ota, czy to, że jest terenem pracy i działalności wielu wspaniałych artystów i pisarzy? Nikt nie może chyba podać w wątpliwość miłości Tuwima do Warszawy i Łodzi, a ileż on napisał wierszy o tych miastach? Poznań słynny jest swoją operą, a nie tym, że teatry grają utwory dramatyczne i operowe o poznańskiej tematyce". Cytuję obszernie ten głos, by dać wyraz żalowi tych poetów, którzy przecież chcą być przede wszystkim poetami.

Poezja powstająca na Ziemiach Zachodnich — i na tym polega jej waga — jest wyobraźniowo związana z poezją polską. Jest jej niewydzielną częścią. Na Ziemiach Zachodnich żyją i tworzą poeci wybitni, wynalazcy. Tymoteusz Karpowicz, jeden z najświetniejszych dzisiaj poetów, posiada taką czułość słowa i obrazu, jakiej nikt poza nim w Polsce nie osiągnął. Wyzwala ze słowa delikatny blask, który świeci, mieni się wieloznaczeniem tworząc nowe realności. Nie darmo tytułem jego wiersza *Lekcja ciszy* Karl Dedecius nazwał antologię liryki polskiej wydaną w NRF. Czy może być lepsza poetycka legitymacja polskości Wrocławia? A Marian Jachimowicz? Ten obywatel Wałbrzycha każdym utworem daje dowody precyzji i rygoru wyobraźni.

Poezja Ziem Zachodnich jest poezją młodą. Tam jej twórcy dojrzewali do wzruszenia i do słowa. Jest to poezja bujna i rozmaita, pełna wszystkich możliwości. Są w niej jak w całej poe-

zji współczesnej wszystkie tendencje. Jest i rozchełstanie postnadrealistyczne, jest i sentymentalizm, ale jest także i rygor. I ten rygor właśnie, racjonalizm wyobraźniowy nawiązujący do najświetniejszych wzorów polskiej sztuki nowoczesnej stanowi jej największą wartość. Tacy poeci, jak Helena Raszka (Szczecin), Janusz Koniusz (Zielona Góra), Urszula Kozioł, Leon Szwed i Tadeusz Zasadny (Wrocław), torują drogę poezji Ziem Zachodnich. Można od tej poezji oczekiwać zjawisk wybitnych, kto wie, może nowej fali nowatorstwa. Regionalizm więc poezji Ziem Zachodnich jest dobrej próby.

Nowatorstwo poetyckie miało, jak pamiętamy, zawsze charakter regionalny. Warszawa miała giełdę, laboratoria artystyczne były gdzie indziej. Eksperyment w dwudziestoleciu to Kraków, potem Wilno, Lublin. Tam się narodziło nowe, tam wybuchła nowość dzisiejszej poezji. Dlaczegóżby dzisiaj nowe nie miało promieniować z Wrocławia?

Kłodzka Wiosna ukazała złożoność spraw literatury na Ziemiach Zachodnich. Cienie są także, niestety. Ta literatura ma poczucie upośledzenia. Nikną publikacje, wzrastają trudności druku. Silne, atrakcyjne środowiska skupiające ciekawe indywidualności i talenty warte są opieki i pomocy, także wkładu. Głos życia stamtąd to przecież najsilniejszy argument w walce z rewizjonizmem zachodnio-niemieckim.

Zbigniew Bieńkowski

O POEZJI VITEZSLAVA NEZVALA

I

Dziennik, pamiętniki, notatki, wspomnienia literackie to przeważnie — jeśli nie zawsze — wyznania autora upozowanego, wyznania przed lustrem. I nie dokończony tom Vitezslava Nezvala — zbiór felietonowych zapisków o twórczości własnej oraz migawkowych portretów najbliższych i przyjaciół — to także stylizacja, to jeszcze jeden w przebogatym i różnorodnym dorobku wybitnego pisarza utwór *par excellence* literacki, którego najistotniejszą wartością są elementy polemiki z oficjalnymi, obowiązującymi do niedawna, a dziś jeszcze obiegowymi poglądami na zjawiska literackie okresu międzywojennego.

Nikt przed nim nie chciał — czy nie śmiał? — przeciwstawić się krzywdzącym sądom o Henryku Sztyrskim czy Karolu Teigem, nikt nie wziął w obronę poezji eksperymentu, nikt wreszcie tak stanowczo jak on nie potępił wszelkich prób administracyjnego kierowania twórczością artystyczną.

Mahen, Szalda, bracia Czapkowie, Teige, Sztyrski z nieodłączną Toyen, Zrzavy, Wolker i Halas, Jeżek i Honzl, Vanczura i Burian, pisarze, plastycy, muzycy, aktorzy i ludzie teatru, środowiska artystyczne Pragi i Brna w latach dwudziestych i trzydziestych — oto co ożywa na kartach wspomnień literackich Vitezslava Nezvala; autoportret poety ma barwne, żywe tło zdarzeń i ludzi, którzy zadecydowali o przełomie, jaki dokonał się w literaturze, zwłaszcza w poezji czeskiej w okresie międzywojennym, a w czym autor *Pantomimy* — magna pars fuit.

II

Kiedy w 1921 roku z Biskupowic, wioski koło Trzebicza na Morawach, przyjeżdża do Pragi, by tu rozpocząć studia na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Karola, przyszły autor *Cudownego czarodzieja* — stolica w niczym jeszcze nie przypomina Paryża. Wprawdzie Karol Czapek już przed rokiem przełożył i wydał *Strefę* Apollinaire'a, wprawdzie ukazuje się właśnie jego antologia: *Francuska poezja współczesna* — w literaturze nadal pobrzmiewają dziewiętnastowieczny szlachetny patos i dydaktyzm, którym najmłodsi usiłują przeciwstawić się

prostotą i naiwnością jakby z twórczości ludowej rodem, wpisując w nie — pod wpływem wydarzeń dokonujących się w Rosji — mniej lub więcej gromkie hasła rewolucyjne.

Powstają grupy i grupki literackie, wśród nich zaś „Devietsil", zespół lewicujących artystów; należą doń: Wolker, Honzl, Schulz i inni.

Vitezslav Nezval nie łączy się z nimi. Jedyny chyba spośród twórców rocznika 1900 nie przechodzi dziecięcej choroby „poezji proletariackiej". Wówczas jeszcze bliżsi mu są Jakub Deml, autor *Moich przyjaciół*, najcudowniejszych, jakie znam, poematów prozą o kwiatach, Otokar Brzezina (rytm jego wierszy odzywać się będzie w najpiękniejszych utworach Nezvala, jak choćby w tym o matce: *Gdy będziesz stara już)*, Szramek czy Toman, twórcy starszego pokolenia.

Nezval przeczuwa objawienie, jakim stanie się dlań poezja francuska, jakże bliska typowi jego wyobraźni, utrwalająca kruchą przelotność myśli, nieoczekiwanych skojarzeń, uczuć i nastrojów.

Dlatego też w pierwszym tomiku Nezvala zabrzmiał odrębny ton niż w całej ówczesnej produkcji literackiej rówieśników. „*Most* to — jak sam autor wyznaje w jednym z otwierających zbiorek wierszy, w *Czeskiej pieśni* — prosty śpiew naszych miłości dziecięcych." Z zachwytem wywołuje tu poeta swoją wioskę rodzinną, widzianą oczyma dziecka i młodzieńca, zakochanego, oczarowanego jej urokiem, bogactwem barw, gwarem prac gospodarskich i zabaw, skupieniem uroczystości religijnych i obrzędów.

Tak, na pewno nie ma przesady w stwierdzeniu autoreferatu: „Nie było dla mnie tematu, którego bez zbędnego rozwodnienia nie potrafiłbym przeorganizować w utwór poetycki".

Most — tomik świeży tematycznie i wersyfikacyjnie — jest tego oczywistym dowodem: ujawnia absolutny słuch poetycki.

III

Między *Mostem* a następnym zbiorkiem, *Pantomimą*, legło doświadczenie poezji francuskiej. Manifesty Bretona znalazły w Nezvalu żarliwego zwolennika. W literackim programie „Devietsilu" następują bardzo poważne zmiany: orientacja na awangardowe prądy zachodnio-europejskie. Nie pozostanie to — rzecz jasna — bez wpływu na niektórych twórców, którzy, widząc w Karolu Teigem, podobnie zresztą jak w autorze *Mniejszego ogrodu róż* (dopiero teraz wstępuje on do zespołu) rzeczników kosmopolitycznych nowinek artystycznych, zgłaszają rezygnację z dalszego uczestnictwa w pracach „Devietsilu".

Odchodzi między innymi Jerzy Wolker, twierdząc, że — jego zdaniem — K. J. Erben bliższy jest sztuce proletariackiej niż Apollinaire.

Wpływ Czapkowskiej antologii *Współczesnej poezji francuskiej* — podbudowany teoretycznie przez nowe kierownictwo „Devietsilu" — zatacza coraz szersze kręgi. Okazuje się, że młodzież literacka oczekiwała tylko hasła, by odwrócić się od „twórczości o nazbyt dydaktycznym charakterze", że marzyła o wielkiej przygodzie wyobraźni.

„Chcieliśmy płynąć jak Rimbaudowski statek pijany, który nie wie, jaką wyspę cudowną odkryje i na jakiej osiądzie mieliźnie."

W środowiskach arystycznych coraz częściej popularnym, łatwym wierszom Wolkera przeciwstawia się utwory Nezvala. Toczy się walka o „rząd dusz".

Rzecz szła oczywiście — wyjaśnijmy to od razu — nie o istotę ich twórczości — obaj bowiem już wtedy bliscy byli ideologii socjalistycznej — lecz o metodę, o poetykę.

Wolker, który chciał być „słyszany" przez masowego odbiorcę, nie rozumiał Nezvala, co „za najbardziej udane uważał te wiersze, które zawierały więcej, niż mówiły, te, które bardziej przemawiały atmosferą, klimatem, niż słowami".

Autor *Ballady o oczach palacza* nie rozumiał autora *Abecadła*, najbardziej typowego utworu Nezvala z okresu *Pantomimy*, w którym — nie bez wpływu słynnego sonetu Rimbauda: *Samogłoski* — kolejne litery alfabetu wyzwalają skojarzenia, głównie — choć nie jedynie — dla swojego kształtu (B — obraz piersi kochanki, C — księżyc nad wodą, M — promienna gwiazda chiromancji, Y — dziś już tylko zabawka dla dzieci, proca); od tych poetyckich konstatacji wstępnych zaczyna się już zupełnie swobodny łańcuch asocjacji, łączący elementy naj-

rozmaitsze, często stojące wobec siebie w sprzeczności, a więc na zasadzie już tylko tak zwanego „pisma automatycznego".

Ale Nezval z połowy lat dwudziestych to nie tylko autor *Abecadła*, lecz także *Cudownego czarodzieja* i wiersza *Pamięci Włodzimierza Iljicza Lenina*, gdzie niedwuznacznie wyraził swoje credo p o z a a r t y s t y c z n e.

Credo artystyczne to opracowane wspólnie z Teigem manifesty nowego kierunku — poetyzmu.

„Poetyzm pragnie uczynić z życia wspaniałe przedsiębiorstwo rozrywkowe, ekstatyczny karnawał, arlekinadę uczuć i wizji, pijaną etiudę filmową, cudowny kalejdoskop."

Żywiołowy temperament Nezvala, jego szczerość i otwartość, prostota i serdeczność jednają mu przyjaciół, wspaniały zaś talent — zwolenników; staje się rzecznikiem pokolenia.

IV

„Ludzie z baru" — oto jak określi później Nezval siebie i młodych artystów. Hałaśliwi i nie stroniący od kieliszka — rzeczywiście spotykali się w praskich kawiarniach i barach, knajpach i winiarniach, które były niekiedy jedynym możliwym miejscem zebrań. Tam właśnie i podczas długich, całonocnych nieraz wędrówek po mieście, które oni dopiero naprawdę i n t r o n i z o w a l i, kształtował się i powstawał model międzywojennej sztuki czeskiej.

Przemianie uległ nie tylko kształt i język poezji oraz prozy; obejmuje ona także teatr, muzykę, rzeźbę, malarstwo, grafikę użytkową (prasa, publikacje).

Awangarda podbija Pragę — oczywiście nie bez walki, nie bez nieporozumień. Atakują ją zewsząd. Najbardziej bolesna jest jednak krytyka ze strony dawnych towarzyszy.

Kiedy w 1925 roku — w pierwszą rocznicę śmierci Jerzego Wolkera — rozpoczyna się spór o znaczenie jego twórczości dla rozwoju współczesnej poezji czeskiej — w obronie autora *Gościa w dom* stają S. K. Neumann, Z. Nejedly, J. Fuczik. Na przeciwnym krańcu nieoczekiwanie dla samych siebie znaleźli się jego przyjaciele: Nezval, J. Seifert, K. Biebl, którym imputowano „szarganie świętości".

Wydaje się, że najpoważniejszą skazą na ówczesnych polemikach literackich było licytowanie się w wierności dla rewolucji, której zarówno jedni jak i drudzy pragnęli szczerze i niecierpliwie oczekiwali. Ci ostatni jednak byli o tyle rozsądniejsi, że uważali za niezbędne dokonanie w pierwszym rzędzie przełomu w mentalności społeczeństwa — i to nie drogą raczenia go „wierszowanymi artykułami wstępnymi pism radykalnych" (tak to określił poezję S. K. Neumanna — nie bez racji zresztą! — znakomity uczony i teoretyk literatury, Roman Jakobson).

Znaleźli metodę bardziej atrakcyjną i skuteczną. Publicystyka? Broń Panie Boże! Wiersz, piosenka, satyra, skecz, farsa — oto ich oręż, którym umieli posługiwać się znakomicie. Szokowali, kpili, drażnili, obrażali, na pewno, ale z humorem i wdziękiem — tak jak upijali się i kochali.

To oni witali w Pradze Majakowskiego, Jesienina i Erenburga, oni rozpowszechniali ich utwory i hasła Października nie tylko w Czechosłowacji. Zaprzyjaźnieni z wybitnymi przedstawicielami środowisk artystycznych Francji — stali się pośrednikami między Wschodem i Zachodem, między Moskwą a Paryżem.

Podkreślmy to raz jeszcze: Praha już wówczas jest ważnym ośrodkiem kulturalnym w Europie, ośrodkiem, który liczy się niemal w skali światowej; dokąd zjeżdżają się znakomitości; gdzie ukazują się wielojęzyczne czasopisma i magazyny literackie.

V

„Ludzie z baru" stają się głośni w Europie.

Oczywiście — przede wszystkim Vitezslav Nezval.

Co roku ukazuje się po kilka zbiorków jego wierszy: *Mniejszy ogród róż*, *Wiersze na pocztówki*, *Diabolo*, *Napisy na groby*, *Abecadło* (wszystkie w 1926 roku), *Bliźnięta*, *Akrobata*, *Przygoda nocy i wachlarza* (wszystkie — 1927), *Edison* i *Cmentarz żydowski* (oba — 1928), *Gra w kostki*, *Panichida na śmierć Otokara Brzeziny*, *Śniadanie na trawie* i *Noc sylwestrowa* (wszystkie — 1929).

A potem — w 1930 roku — *Wiersze nocy*, pierwszy wybór, niejako rekapitulacja, podsumowanie jednego okresu twórczości.

„Wiejska" tematyka debiutanckiej książeczki odsuwa się na plan dalszy. Uroki rodzinnej wioski zwycięża egzotyka wielkiego miasta, stolicy, która niewiele ma sobie równych w Europie, metropolii, gdzie nowoczesność sąsiaduje o krok z majestatem przeszłości, gdzie na placu przed pałacem magnackim z okresu wojny trzydziestoletniej rozbijają namioty cyrkowcy, a za najbliższym rogiem tętni jarmarcznym gwarem wesołe miasteczko: karuzele, stragany z odpustowymi piernikami, strzelnice, beczka śmiechu i diabelski młyn.

Praha jest bohaterką wielu poematów i wierszy Nezvala, niewyczerpanym źródłem natchnień, tak jak miłość we wszystkich postaciach, przede wszystkim jednak jako eros, zmysłowe, niechorobliwe uczucie nie do imaginacyjnych księżniczek z baśni, lecz do kobiet z krwi i kości — wszystkich tych Marii, Bert i Albin, z których „można by stworzyć tęczę".

Praha i kobieta — to muzy młodego Nezvala, to dominanta tematyczna dziesiątów jego utworów.

VI

Wkrótce potem jednak odkrywa Nezval psychoanalizę Freuda: jego teoria snów i podświadomości natychmiast staje się własnością poety. Tak zwany poetyzm przekształca się w „prawdziwy" nadrealizm.

I znów w każdej z ukazujących się co kilka miesięcy książeczek Nezval — pozostając zawsze sobą — odnajduje nowe wcielenie.

Na początku lat trzydziestych jest już najgłośniejszym twórcą swojego pokolenia.

Niestrudzony w poszukiwaniu nowych form wersyfikacyjnych, wirtuoz słowa, mistrz-wynalazca w zakresie rymu (niekiedy wiąże kilkakrotnie strofę jedną końcówką współbrzmiącą) i nastroju, a jednocześnie — przy wszystkich komplikacjach i ekstrawagancjach formalnych — dostępny — znajduje wierny krąg wielbicieli.

VII

F. X. Szalda na marginesie zbiorku *Żegnaj chusteczka drży* — wysoko cenionego również i przez wielu innych wybitnych krytyków literackich — napisał między innymi: „Nezval to wspaniały okaz zwierzęcia, które w jak najkrótszym czasie potrafi wchłonąć jak najwięcej rzeczywistości".

Trudno o trafniejszą charakterystykę, zwłaszcza że obszar Nezvalowskiej rzeczywistości w latach trzydziestych poszerza się ogromnie. Spełnia się wreszcie dawne marzenie poety — po raz pierwszy wyjeżdża za granicę. Szlak wiedzie przez Austrię do Francji, potem dalej — do Monako i do Italii.

Żegnaj chusteczka drży to jakby raptularz podróżny, gdzie zanotowano na prędce wrażenia i doznania, uwagi i myśli związane są z coraz to nowymi krajobrazami i odkryciami. Oczywiście dominuje tu Paryż iluminowanych bulwarów nadsekwańskich i Luwru, wąskich uliczek Montmartre'u i Pchlego Targu, Paryż Bretona i Eluarda, Aragona i Péreta, z którymi młody poeta serdecznie się zaprzyjaźnia. Wprawdzie po tej pierwszej podróży nastąpiły inne

Pamiętaj

o odnowieniu prenumeraty „Twórczości"

na IV kwartał

(między innymi do Związku Radzieckiego) — to jednak ta pierwsza przede wszystkim w poważny sposób określiła dalszą drogę rozwojową twórczości Nezvala. I co najbardziej może zaskakujące — autor *Pantomimy* nawiąże wkrótce do tradycji... villonowskiej, tworząc głośne cykle „wiecznego studenta Roberta Davida" (pseudonim ten długo pozostawał zagadką!), gdzie zamiast charakterystycznego dla Nezvala wolnego wiersza zjawia się sonet, rondo i tym podobne niezwykle rygorystyczne formy poetyckie.

Gdy u schyłku lat trzydziestych wyrzeka się Nezval nadrealizmu (nie bez wpływu na tę decyzję — jak sugerują pewni badacze literatury okresu międzywojennego — są wydarzenia *sensu stricto* polityczne), jest już twórcą w pełni dojrzałym, rzeczywistym pionierem „poezji wszystkich pięciu zmysłów", mistrzem świadomym swojej wirtuozerii i posłannictwa.

VIII

Nie milknie w latach okupacji, aktywny jest w niepodległej już ojczyźnie. Pisze poematy, utwory dramatyczne, drobne wiersze, ale...

Jeden z przyjaciół Nezvala zapytał go kiedyś, który ze zbiorków swoich lubi najbardziej. Poeta odpowiedział: pierwsze cieniutkie książeczki, dlatego że w nich najwięcej jest poezji, gdy w kolejnych coraz bardziej przejawia się rutyna i rzemiosło.

Rutyna i rzemiosło! Nikt lepiej niż sam twórca nie zdawał sobie sprawy z najpoważniejszego niebezpieczeństwa, grożącego osiągniętej w latach międzywojennych wysokiej randze jego poezji. Rzadko spotykana łatwość pisania sprawiła, że w przebogatej puściźnie Vitezslava Nezvala już dziś odnajdujemy utwory będące artystyczną pomyłką. I nic tu nie pomoże fakt, iż jest to pomyłka wielkiego poety.

Moje wiersze — stada dzikich gęsi,
jedna cel osiągnie,
zginie w locie — druga...

— wyznawał autor *Matki Nadziei.*

Niewątpliwie myślał tu o swoich poematach z lat 1949—1950, których temat dyktowały takie czy inne wypadki polityczne.

Liryk z krwi i kości — nieswojo czuł się w pozie wieszcza. Pisał zresztą coraz mniej.

Dał temu wyraz przede wszystkim w księdze wspomnień: *Z mojego życia.* Nie wpisał wprawdzie jako jej motta słów Stanisława Kostki Neumanna: „Ci, co po dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu latach nie zmieniają swoich poglądów, choćby wszystko się wokół zmieniło, są zapewne ludźmi szczęśliwymi, ja jednak im nie zazdroszczę i za nic w świecie bym się z nimi nie zamienił...", nigdy jednak nie ukrywał, że nikt na tyle nie wyprzedził swojego czasu, by z uporem trwać przy poglądach sprzed półwiecza, choćby dotyczyły tylko sztuki.

Gdy zmarł autor *Róży publicznej* — Nezval pożegnał go pięknym trenem: *Paryż bez Paul Eluarda.*

I barwna, piękna Praha wydaje się bez s w o j e g o poety jakoś uboższa, szara...

Andrzej Piotrowski

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

A n g l i a

THE LONDON MAGAZINE zaczyna nowy etap pod znakiem atrakcyjności. Redaktor Alan Ross w pierwszym numerze tej nowej serii zapowiada rozszerzenie problematyki o zagadnienia z innych dziedzin sztuki. Obok literatury czytelnik znajdzie w niej malarstwo, rzeźbę, muzykę, film i teatr, po raz pierwszy na pełnych prawach autonomiczności.

Numer kwietniowy zawiera wspomnienia o Brancusim M. Ionesco, opo-

wiadania Michael Fishera i Teda Hughesa, szkic krytyczny o Montherlancie pióra Johna Cruickshanka i świetny atak na zacieśnienie współczesnej tematyki teatralnej Johna Whitinga, który zdaje się będzie głównym *spiritus movens* działu teatralnego pisma.

Numer majowy (vol. I, nr 2) przynosi opowiadanie L. P. Hartleya *Pylon* i przejmującą jednoaktówkę Johna Whitinga pt. *No Why (Nie ma odpowiedzi)*. Tematyka tych utworów jest do pewnego stopnia zbieżna, ukazuje psychikę dziecka, jego ukryte tragedie, niezrozumiałe dla świata dorosłych. Mały chłopczyk z jednoaktówki Whitinga popełnił bliżej nie sprecyzowane przekroczenie, które zakłóciło przebieg uroczystości rodzinnej. Wystawiony na ogień krzyżowy pytań, dlaczego to zrobił, milczy, kiedy zostaje sam, nie mogąc znieść ciężaru zarzutów, wiesza się.

Poezję reprezentują trzy generacje: jeden z najbardziej znanych poetów amerykańskich — Teodore Roethke, David Wright, autor trzech tomików wierszy, i Hugo Williams z czołówki najmłodszych, współpracownik miesięcznika X. Wielebny Edmund Burke, ze zgromadzenia Ojców Pasjonistów, opisuje nawrócenie się Oscara Wilde na katolicyzm na łożu śmierci na podstawie świadectwa naocznego świadka, ojca Cuthberta Dunne, który udzielał mu ostatnich sakramentów. Rozmowa z Otto Klempererem, muzycznym dyrektorem Kroll Opera, i z Lotte Leniya, żoną Kurta Weila, twórcy muzyki do *Opery za trzy grosze*, daje obraz muzycznego życia Berlina w latach dwudziestych. Otto Klemperer, nagrodzony w 1933 r. medalem Goethego za zasługi dla kultury niemieckiej, w tydzień potem został zwolniony przez hitlerowców ze swego stanowiska i zmuszony do opuszczenia Niemiec.

Nowością ze wszech miar godną pochwały jest wprowadzenie cyklu pt. *Rozwój stylu*, który zajmuje się pracami współczesnych malarzy. Malarzem tego miesiąca jest Ghika, w numerze kwietniowym był Keith Vaughan. Ghika jest Grekiem z pochodzenia, wystawa jego prac odbyła się w maju w Lefevre Gallery. Niezwykle interesujący szkic Bernarda Bultmanna o Kokoschce jest rozdziałem książki, która ma się niebawem ukazać. Oba artykuły są pięknie ilustrowane. Na uwagę zasługuje artykuł Juliana Symonsa na temat stosunku powieści kryminalnej do detektywistycznej i wypierania dawnego schematu inteligentnego detektywa przez element okrucieństwa. W ogóle numery żywe i w całości czytelne.

A REVIEW OF ENGLISH LITERATURE (vol. II, nr 2) wydaje się przez kontrast dziwnie szary. Część artykułów to rozprawki typu klasycznie akademickiego. Do takich należy artykuł Katharine Garvin — o tradycji węża w literaturze — czy R. E. V. Heustona, ciekawy zresztą, o protokołach sądowych jako źródłach prozy angielskiej. Ronald Bottralli przeprowadza analogię między L. H. Myersem a E. M. Forsterem, do którego Myers często był porównywany. Idąc śladem Stendhala Myers zaczął publikować dopiero po czterdziestym roku życia. W 1922 r. ukazało się *The Orissera*, książka zawierająca zalążki wszystkich jego dalszych utworów. Z wykształcenia i upodobań jest członkiem klasy elitarnej. W ostatnich latach swego życia staje się zwolennikiem komunizmu, nie może jednak znieść tego rozdwojenia i w 1944 popełnia samobójstwo. Interesujący szkic o Joyce'ie zamieszcza S. L. Goldberg. Zestawia w nim różne interpretacje Joyce'a. W szczególności stara się rozszyfrować jego niezaangażowanie (nie tylko w sensie politycznym, ale moralnym). Obiektywizm pisarza, graniczący z obojętnością, sprawia wrażenie, że Joyce nie chce zbrudzić sobie palców pyłem zwyczajnej codzienności. Ta obojętność Joyce'a jest taktycznym chwytem, przy pomocy którego parodiuje i wydobywa brak wartości w świecie portretowanym z super-Flaubertowskim realizmem. S. L. Goldberg jest wykładowcą literatury na uniwersytecie w Melbourne i redaktorem *Critical Review*.

Absolutnie zgadzam się z Peterem Greenem, który w artykule *W stronę Waugh'a* ocenia *Garść prochu* (powieść ukazała się w 1934) jako najbardziej udaną książkę tego pisarza, zawierającą wszystkie elementy jego osobowości będące w takim stanie równowagi, jakiej nigdy już nie udało mu się osiągnąć. Jest to powieść o ludziach, których prawdziwe uczucia skończyły się fiaskiem, nie zostawiając nic prócz nudy, przypadkowej żądzy, lęku i materialnej chciwości. Idąc jeszcze dalej, można ją odczytać dzisiaj jako roz-

ciągniętą ilustrację *Ziemi jałowej*. W każdym razie zbieżność ostatecznego morału tych dwu utworów jest uderzająca. Odrzucenie duchowej czy uczuciowej prawdy, w stosunku do Boga czy w stosunku człowieka do człowieka, może prowadzić tylko do jałowości, szaleństwa, śmierci.

Majowy ENCOUNTER (vol. XVI, nr 5) otwiera reportaż Johna Waina *Wizyty w Indiach*, zawierający więcej obaw niż optymizmu. Prawdziwą ciekawostką numeru jest artykuł Harveya Einbindera, młodego fizyka z Nowego Yorku, którego krytyka encyklopedii wywołała ostatnio dużą sensację. W bieżącym numerze Einbinder porywa się na nietykalną Encyklopedię Brytyjską i przytacza przykłady nienadążania za czasem, pominięć i potknięć nie licujących z wysokim poziomem tego wydawnictwa. Jest to zagadnienie o wiele szersze, gdyż w obecnej dobie walki światopoglądowej obiektywizm naukowy nie zawsze wychodzi obronną ręką. Poza tym, jak każde wielkie przedsiębiorstwo, E. B. kieruje się kryteriami komercjalnymi, między innymi stosując chwyty reklamowe, nie zawsze zgodne z etyką. Nienajgorzej zresztą na tym wychodzi. Dochody E. B. z 12 milionów w 1952 r. wzrosły do 55 milionów w 1959. Trzeba dodać, że Encyklopedia Brytyjska chlubi się tym, że nawet swoim najwybitniejszym autorom (jak Einstein czy Shaw) nie płaci więcej niż 2 centy od słowa. (Obecnie Encyklopedia jest wspólną własnością Williama Bentona i uniwersytetu w Chicago, gdyż ze względu na podatki poprzedni właściciele, Sears and Roebick, ofiarowali E. B. uniwersytetowi w Chicago, ten zaś z kolei, w zamian za 100 tysięcy dolarów w kapitale zakładowym, przelał dwie trzecie udziałów na Bentona). Artykuł Einbindera jest dyskusyjny i należy oczekiwać dalszej wypowiedzi na ten temat.

Colin MacInnes przypomina pisarkę Adę Leverson i stara się wydobyć z legendy, która przesłania jej twórczość. Współczesna Oskarowi Wilde, w chwili jego klęski dochowała mu przyjaźni, chociaż z punktu widzenia interesów literackich był to krok najbardziej fałszywy. Wilde, jak chciwa planeta, pochłaniał swoich satelitów. Otóż zdaniem MacInnesa Ada Leverson była artystką nie gorszej klasy, jeżeli nawet nie większej. Sama jednak bardzo mało dbała o swoją literacką reputację i nigdy nie zależało jej na tym, aby być *femme de lettres*.

Z okazji ukazania się w tanim wydaniu broszurowym *Axel's Castle* Edmunda Wilsona i *The Romantic Agony* Mario Praza, dwu podstawowych książek ze współczesnej literatury, Frank Kermode przypomina, jaką rolę odegrały one w wyznaczeniu traktów współczesnej literatury. Z innej dziedziny książką, która wywołała duże zainteresowanie, jest *Mniejszość (A Minority)*, raport o homoseksualizmie w Anglii. Sprawa ta stała się ostatnio w Wielkiej Brytanii przedmiotem wielu rozpraw i studiów.

at

Austria

WORT IN DER ZEIT (Wiedeń), nr 5, maj 1961 r. Stałą rubrykę pod tytułem *Austriacki autor i jego dzieło*, prowadzoną bez przerwy od kilku lat, wypełnia w najnowszym numerze szkic Oskara Maurusa Fontane o Fritzu Hochwälderze, znanym dramaturgu średniego pokolenia. Hochwälder, liczący pięćdziesiąt lat, debiutował na początku lat trzydziestych i ma obecnie w swoim dorobku ponad dziesięć komedii i dramatów granych z powodzeniem na scenach wiedeńskich i niemieckich. W 1938 roku pisarz wyjechał do Szwajcarii, gdzie spędził okres okupacji Austrii. Do kraju powrócił po wojnie, a w 1956 roku został laureatem najwyższej nagrody literackiej Austrii, „Grillparzer-Preis".

Wśród nowel i fragmentów prozy znajdujemy polonicum, opowiadanie Anny Kowalskiej *Harmonia*, w tłumaczeniu Gerdy Hagenau, autorki wyboru polskich nowel, który wyszedł z druku we Frankfurcie u Fischera pod tytułem *Polen erzählt*.

Szczególne zaciekawienie wzbudza artykuł R. Spiry o wydanej ostatnio w Niemczech antologii wolnościowych wierszy *An den Wind geschrieben (Pisane na wiatr)*. Chodzi tu o książkę, którą powinniśmy się bliżej zająć w Polsce, ponieważ zawiera wybór wierszy niemieckich pisarzy i nie-pisarzy, wrogów i ofiar faszyzmu. Tom wypełniają wiersze pisane w latach 1933—1945 przez autorów o wielkich i znanych nazwiskach, ale i przez ludzi, którzy pod wpływem strasznych przeżyć po raz pierwszy (i niekiedy ostatni) wypowiedzieli się w strofach. U wielu z nich zaznaczono w indeksie „nie wiadomo, kiedy się urodził i kiedy został zamordowany" albo „bliższych danych nie dało się uzyskać". O książce tej pisze kronikarz: „Morze krwi, łez i smutku tworzy tu nierozdzielną całość. Wszystkie aspekty tej okropnej epoki znalazły w tym dziele swój poetycki obraz".

HEFTE FÜR LITERATUR UND KRITIK (Wiedeń), nr 3, pierwsze półrocze 1961 r. Austriacy interesują się żywo literaturą polską i w każdym niemal czasopiśmie literackim spotykamy polonicum. Tutaj zwraca uwagę praca Günthera Wytrzensa *Literatura polska pomiędzy dwiema wojnami światowymi*. Autor rozpoczyna od krótkiej charakterystyki sytuacji Polski i jej piśmiennictwa przed wybuchem pierwszej wojny, potem kreśli główne kierunki literackie dwudziestolecia i sylwetki poszczególnych pisarzy. Wytrzens ma dobrą orientację, informuje rzetelnie i jasno. Jego artykuł uzupełniają wiersze Tuwima, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Staffa, Lechonia i Leśmiana, wreszcie opowiadanie Schulza *Ostatnia ucieczka ojca*. Wiersze podane są w języku polskim i w niemieckim przekładzie prozą. Rzecz Schulza przełożył Karl Dedecius.

Zgodnie z „profilem" pisma sprawy krytyki literackiej zajmują w nim główne miejsce. Tym razem na porządku dziennym stoi konflikt pomiędzy krytyką a akademicką wiedzą o literaturze czy też historią literatury. Obie dziedziny nie pozostają w Niemczech i Austrii w zażyłej komitywie. Krytycy bronią prawa do refleksji, subiektywnej oceny i ekstrawagancji, uczeni okopują się za szańcami obiektywizmu i wystrzegają się wartościowania.

Redakcja wymierza w „akademików" ogień z grubego działa, szukając sojusznika w autorytecie René Welleka, jednego z najgłośniejszych teoretyków przedmiotu w Ameryce. „Nauka o literaturze — pisze Wellek — która oddziela krytykę (a zatem wartościowanie) od badań literackich, jest niemożliwa. Taine, który pierwszy próbował z krytyki usunąć wartości, doszedł sam do wniosku, że popełnił błąd, i w *Philosophie de l'art* odwołał swoją tezę... Z drugiej strony wyrzeczenie się „naukowości" przez krytykę nie oznacza zalecania czystego subiektywizmu, impresjonizmu w ocenie i czysto samowolnych sądów. Studium literatury musi tworzyć dyscyplinę wiedzy, opartą na badaniu struktur, norm i funkcji, które zawierają wartości i są wartościami. Nie można eliminować krytyki z historii literatury..."

Wątek wywodów Welleka podejmują pisarze i krytycy piszący w niemieckim języku. Jeden z nich, Peter Demetz, konkluduje: „Krytyka literacka pozbawiona pełni historycznych realiów pozostaje pusta; historia literatury bez normy krytycznej jest porażona ślepotą".

FORUM (Wiedeń), nr 89, maj 1961 r. Literacki dział pisma stoi pod znakiem Hermanna Brocha, od którego śmierci upływa dziesięć lat. Cykl szkiców rozpoczyna wspomnienie *Mój przyjaciel Hermann Broch*, napisane przez Daniela Brody, właściciela znanego domu wydawniczego Rhein-Verlag w Szwajcarii. Brody poznał wiedeńskiego prozaika w roku 1930, kiedy to Broch zaproponował mu wydanie trylogii *Lunatycy*, najlepszej obok *Śmierci Wergiliusza* powieści tego autora. Przyjaźń między pisarzem i wydawcą trwała ponad dwadzieścia lat, do śmierci Brocha. Doris Stephan, młoda i utalentowana germanistka niemiecka, pisze o problemie śmierci w prozie Brocha, przy czym głównym tematem rozważań jest oczywiście dzieło o Wergiliuszu. O Brochu jako pisarzu austriackim publikuje pracę Joseph Strelka, autor książki *Kafka—Musil—Broch*. Na koniec redakcja publikuje kilka listów Brocha do austriackiego pisarza Friedricha Torberga. Najciekawszy jest list z 1942 roku, oznajmiający decyzję porzucenia beletrystyki. „Pan wie — pisze Broch — że od czasów Hitlera coraz bardziej by-

łem przeciwko literackiej działalności, przeświadczony, że dla naszej generacji, a więc dla mojej, dla Pańskiej, jak i najbliższej, nie pozostaje inne zadanie, jak zwalczanie zarazy."

Część muzyczna zawiera szkic Adorna o muzyce Albana Berga i przegląd wydarzeń muzycznych w Austrii. W dziale sztuk plastycznych znajdujemy artykuł o Cézannie i szkic o niemieckich ekspresjonistach. Recenzje teatralne uzupełniają treść działu kulturalnego.

rk

Czechosłowacja

HOST DO DOMU 1—2—3—4—5/1961. Ten brneński miesięcznik pozostaje w dalszym ciągu wierny swej atrakcyjnej, barwnej i różnorodnej szacie graficznej, konkurując skutecznie z praskim i bardzo centralnym *Plamenem*. W doskonałej symbiozie żyją tu więc ze sobą rysunki i szkice F. Légera, J. L. Foraina, E. Maneta, H. Matisse'a, P. Picassa... oraz Daniela Mroza i Sławomira Mrożka; obok reprodukcji przedstawiających sztukę Afryki Równikowej (1/61) i kanadyjskich Eskimosów (3/61) — oglądamy karykatury Charlesa Addamsa, Alberta Oubout, Adolfa Hoffmeistera i innych, a nawet plakaty polskich grafików, J. Lenicy i H. Tomaszewskiego. Gorzej jednak z zawartością tych pięknych zeszytów. Jeśli w dziale poezji znajdujemy jeszcze nazwiska Saint-John Perse'a, Miguela Angel Asturiasa czy próbki ludowej poezji eskimoskiej, to przekłady prozy światowej wydają się już nie tylko rzadkim ewenementem, ale wręcz sprawą przypadku. Pięć zeszytów — pięć miesięcy to okres wystarczająco długi, by przekonać się, w jakiej mierze czasopismo orientuje swoich czytelników w dorobku literatury światowej. Alfred Bester to jedyny — oprócz polskiego pisarza, o którym za chwilę — przedstawiciel literatury współczesnej świata. Jedyny — obok Sławomira Mrożka i St. J. Leca. Wraz z wierszem Andrzeja Piotrowskiego reprezentują oni polską literaturę współczesną. Rzućmy jednak okiem na rodzimą twórczość Czechosłowacji, która przecież z natury rzeczy zajmuje w piśmie najwięcej miejsca. Zwraca tu uwagę w pierwszym rzędzie nowela Arnoszta Lustiga *Ostatni dzień ognia* (1/61), w której ten bardzo utalentowany młody pisarz, zwany do niedawna „nadzieją czeskiej literatury", po niepowodzeniu, jakie go spotkało, gdy spróbował się zmierzyć z tematem współczesnym *sensu stricto*, powraca do tematyki okupacyjnej, do martyrologii żydowskiej. Akcja tej noweli toczy się w warszawskim getcie. Podobnie jest z innymi utworami prozatorskimi, publikowanymi w miesięczniku. Gdy ci przeważnie bardzo młodzi pisarze obracają się w kręgu spraw obyczajowych czy historycznych (myślę zwłaszcza o okresie drugiej wojny światowej) — udaje im się stworzyć nowele i opowiadania frapujące czytelnika, zdolne go zaciekawić i nawet wzruszyć. Tak jest np. z opowiadaniem Vl. Przibsky'ego, jednego z wybijających się młodych autorów, pt. *Zupełnie nowa sonata* (2/61), w której ten ciekawie zapowiadający się pisarz — opowiada o miłości i czystości uczuć, zdolnych przeobrazić nawet bardzo cynicznego człowieka. Wzrusza również F. Pechaczkowa w noweli *Chłopiec* (2/61), gdzie porusza wprawdzie bardzo już ograny motyw opuszczonego dziecka, ale robi to w sposób subtelny i czuły, budzący uznanie dla jej dobrze zapowiadających się umiejętności pisarskich. Na szczególną uwagę zasługuje, moim zdaniem, twórczość nie dość chyba docenionego jeszcze Alexandra Klimenta. *Pogrzeb lamp* (3/61) to opowiadanie mówiące bardzo subtelnie o przelotnym wzruszeniu miłosnym, o tym, co może się zdarzyć między dwojgiem młodych ludzi. Zasługują na uwagę także: opowiadanie P. Grimma *Najlepszy strzelec pułku* (3/61), odwołujące się znów — zjawisko często spotykane w prozie czechosłowackiej — do doświadczeń wojennych, oraz krótka nowela Olgi Horskiej *Nekrolog* (4/61), w której relacjonuje ona wrażenia uczestników pogrzebu młodej, dwudziestokilkuletniej dziewczyny — jej matki, kochanka,

przyjaciół, ich obojętność i egocentryzm.

Z bogatego działu recenzji i polemik wybierzmy rzeczy szczególnie interesujące polskiego czytelnika. A więc omówienie tomu przekładów z polskiej poezji pióra Jana Pilarza pt. *Niobe* (4/61). Tom ten zawiera wiersze i poematy Tuwima, Broniewskiego i Gałczyńskiego. Recenzent, Zd. Smejkal, wspomina na wstępie swej obszernej recenzji, że czytelnik czeski i słowacki nie może narzekać na nieznajomość współczesnej poezji polskiej. W przekładzie na język czeski bowiem ukazały się: zbiór poezji Tuwima (1949 r.), dwa tomy poetyckie Wł. Broniewskiego (1951, 1955), tomy K. J. Gałczyńskiego (1957), Tadeusza Różewicza (1958) i Leopolda Staffa (1960), nie licząc dwóch antologii poetyckich ze zbioru wierszy okupacyjnych (wydanych w r. 1947) i powojennych (*Nowa polska poezja*, 1952 r.). Z wyjątkiem wierszy Różewicza wszystkie te przekłady są dziełem jednego poety i tłumacza — wypróbowanego przyjaciela polskiej literatury — Jana Pilarza. Recenzent wysoko ocenia zarówno sam wybór i utwory poetyckie zawarte w tomie (nie można się z nim tylko zgodzić, gdy pisze, że kult K. I. Gałczyńskiego zrodził się w Polsce w ciągu jednej nocy, gdy po śmierci poety Polacy dopiero uświadomili sobie całą wartość jego poezji), jak i sam kunszt translatorski J. Pilarza, dzięki któremu poeci polscy tak bardzo stali się bliscy czytelnikom czechosłowackim.

dz

Francja

W bogatym plonie majowych czasopism francuskich na pierwsze miejsce wysuwa się MERCURE DE FRANCE wyjątkowo ciekawym materiałem literackim. Otwiera go piękny, wzruszający wiersz Pierre Jean Jouve'a *Bramy śmierci*. Ale sensacją tego numeru jest odkrycie dwóch młodych szperaczy, Henri Matarasso i Pierre Petitfilsa. Natrafili oni na ślad znanego od przeszło ćwierć wieku, ale nigdy nie podanego w całości do druku *Albumu wierszy zutistów* z 1871 roku. „Zutiści" (od francuskiego „zut", co delikatnie znaczy g....) to była owoczesna „młoda fala" w poezji francuskiej, zaliczali się do nich, między innymi, Verlaine, Rimbaud i Germain Nouveau (a także wszyscy pozostali poeci sportretowani na słynnym obrazie Fantin-Latoura, z którego najczęściej wyjmuje się tylko wizerunek Rimbauda). Album ten wypłynął na paryskim rynku księgarskim przed samą wojną, oferowany był zresztą za jakieś olbrzymie pieniądze, kupiony i skrzętnie ukryty przez prywatnego kolekcjonera, tak dalece skrzętnie, iż obawiano się, czy nie zaginął w zawierusze wojennej. Matarasso i Petitfils dotarli jednak do tego tajemniczego kolekcjonera i pod warunkiem nieujawniania jego nazwiska uzyskali zezwolenie na podanie do druku wszystkich zawartych tam wierszy. Przypuszczać należy, że materiały te ogłoszą w formie książki, w majowym *Mercure de France* zajmują się jedynie wkładem do albumu trzech najznamienitszych „zutistów". Sam w sobie — jak to najczęściej zresztą z takimi znaleziskami bywa — wkład ten nie jest tak bardzo znowu interesujący, bowiem w swojej złotej księdze „zutiści" zapisywali raczej ulotne, żartobliwe czy sprośne wierszyki, a nie arcydzieła. Ale jest wśród tych wierszyków jeden, Rimbauda, który nazywa się *Miotła* i którego odtąd brakować nam będzie w starych wydaniach jego wierszy. W tymże numerze *Mercure de France* opowiadanie Georges Govy *Zwyczajna historia*, interesujące, oraz znakomity szkic, drugi już z rzędu, Raymonda Picarda o *Manon Lescaut* Prévosta. I jak zwykle doskonały felieton Nicole Vedrès.

W majowej NOUVELLE REVUE FRANÇAISE wspaniały panegiryk na cześć malarstwa abstrakcyjnego czy raczej nieforemnego (*informel*), co jest według niego pojęciem szerszym, ogłasza Jean Paulhan. Błyskotliwy ten szkic, a wydaje mi się, że nie tylko błyskotliwy, ale i głęboki, nie jest jeszcze jednym popisem stylistycznym,

pokazem umiejętności pływania w mętnej wodzie niesprecyzowanych terminów, w czym celują co najznamienitsi znawcy i teoretycy nowoczesnej sztuki, ale próbą schwytania byka za rogi, próbą sformułowania sensu i znaczenia poszukiwań, które znaczą drogę malarstwa europejskiego od lat przeszło pięćdziesięciu. Esej Paulhana warto uprzystępnić czytelnikowi polskiemu, powinien on wzbudzić dyskusję, która, być może, wreszcie dotknie rzeczy w sztuce istotnych. Zupełnie natomiast nie rozumiem, dlaczego tenże Paulhan, jako redaktor naczelny pisma, drukuje w tym samym numerze rozwlekłe, dwudziestostronicowe poemaciszcze Georges Perrosa pt. *Ken Avo*, które niczym sobie na druk (szczególnie w tak wymagającym organie) nie zasłużyło. W ogóle poza esejem Paulhana nic w tym numerze nie zwraca specjalnej uwagi, nawet kronika teatralna Claude Roy, gdzie tryska zwykle źródełko inteligentnego dowcipu, tym razem raczej nudna, a kroniki Blanchota nie ma.

ESPRIT znów zdumiewa nas swą pracowitością. Redaktorzy tego pisma wysmażyli bowiem trzeci w tym roku (na pięć numerów to nieźle) trzystastronicowy numer specjalny *Kobieta w pracy*. Jak zwykle, jest to encyklopedia wiedzy w tej dziedzinie, poparta niezwykle bogatą dokumentacją, z której nie można zdać sprawy w paru słowach. Praca zawodowa kobiet jest niewątpliwie jedną z najpoważniejszych „zdobyczy" tego wieku. Ale czy jest ona dla nich wyzwoleniem, czy pogłębieniem niewoli, w jaki sposób wpływa na życie rodzinne, jakie komplikacje i trudności powoduje w łonie tej podstawowej komórki społecznej, czy i jak zagraża jej patriarchalnemu (w gruncie rzeczy) ustrojowi. Są to zagadnienia pasjonujące, bo dotyczące bezpośrednio każdego. *Esprit*, jak żadne inne pismo na świecie, wyczuwa z nieomylnym węchem te nurtujące nas dzisiaj problemy, stawia je w pełnym świetle wszechstronnych omówień, podbudowuje sumienną stastystyką i ankietą socjologiczną. To jest pismo, które rzeczywiście pozwala rozumieć trochę lepiej otaczający nas świat. Trudno chyba o większy komplement.

Dobry numer PREUVES. Otwiera go ciekawy wywiad z Karlem Jaspersem na temat procesu Eichmanna. Jaspers koncentruje się w nim na wątpliwościach formalno-prawnych, jakie budzić może proces Eichmanna, dotyczących kwalifikacji prawnej jego czynów — nie przewidzianych przez żaden kodeks karny na świecie — jak też kompetencji izraelskiego trybunału. Jaspersowi, w przeciwieństwie do wielu jego współplemieników, nie idzie jednak bynajmniej o utopienie procesu w morzu procedury, nie idzie mu o to, by Eichmann, broń Boże, zbyt wiele nie powiedział. Jaspers powiada mniej więcej tak: Nie wiem, jak trybunał wybrnie z trudności formalno-prawnych, ale ja jestem filozofem i jako takiemu wolno mi jeszcze czasami bezkarnie pomarzyć. Otóż wyobrażam sobie, że ustaliwszy we wnikliwym, spokojnym, szczegółowym przewodzie karnym bezsporną winę Eichmanna trybunał izraelski mógłby zająć następujące stanowisko: Eichmann niewątpliwie zasługuje na śmierć, winien jest zbrodni nie tylko przeciw ludzkości, ale wręcz przeciw rodzajowi ludzkiemu (bo mordowanie ludzi na skalę milionów zagraża istnieniu rodzaju), niech wyrok śmierci na niego wyda cała ludzkość, niech ONZ wyłoni specjalny trybunał, niech specjalną jurysdykcją ustanowi precedens w prawie międzynarodowym — wtedy my dopiero zgodzimy się wydać Eichmanna. Tego rodzaju postawienie sprawy przez trybunał izraelski, zdaniem Jaspersa, wytrąciłoby wszelkie argumenty prawne obronie, wprowadziło ONZ w zbawienny ambaras, nadało sprawie jeszcze większy rozgłos i stanowiło potrzebną, być może, przestrogę na przyszłość. To jest sprawa pod rozwagę izraelskiego trybunału, nam Polakom zależy przede wszystkim na jednym: aby Eichmann nie uniknął kary, aby przewód sądowy w udowadnianiu jego bezspornej winy odsłonił także udział w niej jego współpracowników z czasów hitlerowskich i dzisiejszych protektorów. A w chwili obecnej właśnie ta dokładność i precyzja przewodu sądowego najbardziej są zagrożone. W tymże numerze ciekawy zestaw wypowiedzi hiszpańskich młodych pisarzy o nowej poezji, powieści, dramaturgii hiszpańskiej, kilka fragmentów prozy nowo odkrytego pisarza szwajcarskiego, Roberta Walsera (pisał o nim nasz genewski ko-

respondent w ubiegłym numerze), z przedmową Marthe Robert, oraz obszerny artykuł o sprawach polskich K. A. Jeleńskiego *Polska; wczorajszy orzeł, dziś*, podający Francuzom w syntetycznym skrócie historię naszego kraju na przestrzeni wieków ze szczególnym uwzględnieniem lat wojennych i powojennych. Choć nie zawsze się można z wnioskami Jeleńskiego zgodzić, to przyznać trzeba, że rzadko spotkać można w prasie zagranicznej tak znakomicie napisany i świetnie udokumentowany artykuł o sprawach polskich. W tym numerze warto jeszcze zasygnalizować polemikę Pierre Henri Simona i Jean Bloch-Michela w sprawie „nowej powieści" francuskiej.

Nie doszły w tym miesiącu inne pisma. Brak LES TEMPS MODERNES, brak LES LETTRES NOUVELLES. To drugie wydało specjalny numer o Joyce'ie, który nie dotarł jednak na czas do Warszawy. Ale jak na cztery pisma, plon w tym miesiącu i tak nader obfity.

Niemiecka Republika Demokratyczna

NEUE DEUTSCHE LITERATUR (Berlin), nr 5, maj 1961 r. Numer ten wyszedł z druku na kilka dni przed V Zjazdem Pisarzy NRD, toteż nawiązuje do spraw, które znalazły się na porządku dziennym obrad berlińskich. Naczelny redaktor pisma, Wolfgang Joho, pisze na wstępie o głównym zadaniu literatury niemieckiej — potrzebie odtwarzania aktualnej teraźniejszości. Autor zwraca się przeciwko „teorii dystansu", domagającej się od dzieła literackiego dystansu pomiędzy czasem opisu a czasem, w którym się dzieją wydarzenia będące treścią utworu. Joho apeluje przede wszystkim do młodych pokoleń pisarzy, które dojrzały już w nowych warunkach niemieckiej rzeczywistości.

Starej generacji poświęcono dwa artykuły, które są podsumowaniem osiągnięć literackich kilku dziesięcioleci. Marianne Lange publikuje rozprawę o poetyce Johannesa R. Bechera i znaczeniu jego twórczości dla rozwoju liryki niemieckiej. O Willi Bredlu, który ukończył 60-ty rok życia, pisze Walter Schulz, wieloletni przyjaciel prozaika. Artykuł Schulza ma charakter wspomnieniowy.

W obszernym studium *Druga literatura* Günther Cwojdrak zajmuje się prozą Niemiec zachodnich, która rozchodzi się w dużych nakładach, ale wymyka się spojrzeniu oficjalnej krytyki. „Istnieje w Niemczech zachodnich literatura — czytamy — której nie znajdujemy w żadnej historii literatury, niemal przemilczana w dodatkach literackich wielkich dzienników, zbywana lekceważącym wzruszeniem ramion przez profesorów literatury i krytyków dbających o swoje nazwisko."

„Znamieniem drugiej literatury jest to, że nie manifestuje się całkiem jawnie jako literatura faszystowska, jak na przykład dzieła Dwingera, Beumelburga, Kerna, Weckera, Eisena. W drugiej literaturze nie brak ogólnikowych frazesów humanitarnych, tu i ówdzie autor nawet roni łezkę, z lekkim zawstydzeniem przyznaje po trosze historyczną winę, w ostatecznym wypadku ratuje się pobożnym wzniesieniem oczu do nieba. Nie popiera się tu bezpośrednio nazistowskiej moralności, dzieje się to w ukryciu, z odrobiną mimikry i z dużym namaszczeniem... Jest to literatura, w której faszyzm przystosował się do klerykalnego państwa bońskiego i cudu gospodarczego; wystarczy nieco poskrobać, a brunatny kolor ukaże się na powierzchni."

Cwojdrak przytacza jako przykłady powieści Bauera, Knsalika i innych, które mają duże ilości czytelników i wywierają zgubny wpływ na masy niemieckie.

Z prac krytycznych zwraca uwagę szkic Christy Wolf o problemie niemieckim w ostatniej powieści Anny Seghers *Decyzja*. Wśród poezji znajdujemy wiersz Johannesa R. Bechera *Człowiek naszego czasu* i strofy Hansa Cibulki. Inne gatunki literackie reprezentuje baśniowe widowisko (zbliżone do słuchowiska) Rückera *Historia o pa-*

nu Sire i wiośnie oraz fragment powieści młodego pisarza Karl-Heinza Jakobsa.

Numer zamykają recenzje bieżących nowości wydawniczych i kronika kulturalna.

Niemiecka Republika Federalna

AKZENTE (Monachium), nr 2, kwiecień 1961 r. Przeszło połowa numeru poświęcona jest Joyce'owi. Redakcja uczciła pamięć irlandzkiego prozaika, od którego śmierci upłynęło na początku bieżącego roku dwadzieścia lat, w sposób pomysłowy, przeplatając prace teoretyczne krótkimi refleksjami, wspominkami o autorze, materiałem biograficznym i anegdotycznym. „Sympozjon" na temat Joyce'a rozpoczyna się przekładem irlandzkiej ballady, od której zapożycza tytuł *Finnegans Wake*, opisującej historię głośnego opoja, który spadł z drabiny i wyzionął ducha, a potem zmartwychwstał na stypie, przywrócony do życia zapachem whisky.

Z krytycznych szkiców wypada pochwalić studium Heinza Deckera o monologu wewnętrznym u Joyce'a. Paralele między *Ulissesem* a *Odyseją* Homera — temat wałkowany bez końca przez dziesiątki krytyków i interpretatorów — układają się u Deckera w jasny i logiczny obraz, którego nie zaciemniają zawiłości „superinterpretacji", owego grzechu głównego obciążającego sumienia badaczy, szperających w trudno dostępnych zakamarkach prozy Joyce'a. Decker, w przeciwieństwie do wielu krytyków, którzy widzą w *Ulissesie* powieść dekadencji i rozpadu, dostrzega w tym dziele elementy afirmacji życia. „Powieść rozbija — czytamy — wiele przeżytych wyświechtanych ideałów, ale trzeba mieć na uwadze, jeśli ktoś zapytuje o jej posłannictwo, że po wszystkich wędrówkach po labiryncie historii ludzkiej, po przebyciu wyżyn i głębi ludzkiego ducha, kończy się ona aprobatą życia."

Walter Höllerer pisze mądrze, ale nieco nudnawo o epifanii w dziele Joyce'a, Helmut Vierbock podaje garść szczegółów biograficznych z życia Joyce'a, wreszcie Richard Ellmann drukuje kilka ciekawych refleksji i anegdot. Charakterystyczny jest opis spotkania Joyce'a z Proustem: Obaj utyskują na swoje niedomagania, a rozmowa kończy się dwoma westchnieniami. Proust: „Żałuję, że nie znam Joyce'a." Joyce: „Nigdy nie czytałem Prousta." A literatura o zbieżnościach w prozie obu pisarzy jest niewyczerpana.

Drugą część numeru wypełniają wiersze: tłumaczenia Michaux i Jorge Louis Borgesa, poezje Hermanna Hessego, Petera Härtlinga i Wolfganga Maiera oraz nowela Ruth Rhemann.

MERKUR (Stuttgart), nr 158, kwiecień 1961 r. Tematyka prac publicystycznych obejmuje zagadnienia filozofii, literatury i filmu. O Sokratesie i jego ujęciu problemu śmierci pisze Arnold Metzger. Hermann Kasack powraca do spraw niemieckiego ekspresjonizmu (o czym w notach), a Alfred Andersch omawia w długim szkicu sens i estetykę sztuki filmowej. Jego wywody zasługują na chwilę uwagi.

Tezy Andersch są charakterystyczne dla powszechnego dziś zjawiska w teorii i praktyce filmowej: odwrotu od „kina czystego" do literatury. Autor nawiązuje do stanowiska Eisensteina, a w dzisiejszych czasach ma plejadę sprzymierzeńców przede wszystkim we Francji. Andersch jest zdania, że sztuką filmową rządzą prawa literackie, „które nie naruszają specyficznej struktury filmu, lecz są jego podstawą". Oto jego argumenty:

1. Film jest formą sztuki opartą na następstwie czasu, jak literatura i muzyka — w przeciwieństwie do sztuk plastycznych. „Obraz w filmie nie gra roli *imago* w malarstwie, lecz jest w swej funkcji identyczny z metaforą w sztuce poetyckiej." 2. „Prakomórką" filmu jest zawsze tekst, bez względu na to, czy chodzi o pomysł w kilku wierszach, czy o powieść Tołstoja. Wartość filmu zależy najpierw od wewnętrznej logiki tekstu, który jest jego podstawą, i jego specyficzna, to jest optyczna budowa jest funkcją tej logiki. „Film, jak powieść, dramat, wiersz,

jest „dobry", to znaczy wiarygodny o tyle, o ile dobra jest idea zawarta w tekście." 3. Film jest wizualną formą literatury, tak jak teatr. Obu nie należy identyfikować z innymi gatunkami literackimi. Zarówno film, jak i teatr mają swoją odrębną dramaturgię, odmienną od „dramaturgii" literatury pisanej, dlatego film nie powinien być degradowany do roli środka mającego ekranizować literaturę.

Dział recenzji zawiera omówienia bieżących nowości wydawniczych. Najciekawszym z nich jest artykuł Günthera Blöckera o trzech tomach listów Tomasza Manna, które ukazały się w dwóch ostatnich latach.

DIE KULTUR (Monachium), nr 162, kwiecień 1961 r. Zaletą numeru jest różnorodność zagadnień kulturalnych, ich powiązanie z bieżącym dniem niemieckiego życia, bogactwo informacji, żywość reakcji na to, co się w Niemczech zachodnich dzieje. Miesięcznik ten jest bodajże jedynym czasopismem w NRF, które zwalcza bezkompromisowo relikty i nowotwory politycznego zacofania w niemieckim życiu umysłowym, polemizuje, stacza ostre pojedynki, inicjuje ciekawe akcje kulturalne.

Tym razem na porządku dziennym znalazł się teatr niemiecki. Pismo rozesłało do reżyserów, autorów i krytyków ankietę, aby wybadać opinię, czy w związku „z rozpadem tradycyjnej formy społecznej i przejściem do technologicznej epoki mas" nie wynikają dla teatru nowe zadania społeczne. Na ogół większość uczestników ankiety potwierdza to pytanie i zarazem dodaje, że współczesny teatr niemiecki tych zadań nie spełnia. Przytaczamy dwa głosy, Oskara Fritza Schuha, dyrektora teatru w Kolonii, i Siegfrieda Melchingera, krytyka ze Stuttgartu.

Schuh: „Od czasów Arystofanesa teatr żyje swoją społeczno-krytyczną funkcją. Ostatni wielki satyryk zmarłej epoki zwał się Carl Sternheim i niemieckie sceny odkrywają go dziś na nowo. Biedą jest to, że dzisiejsi dramaturgowie trzymają się wciąż szablonów społeczno-krytycznych z lat dwudziestych. Wciąż jeszcze dominują w teatrze przebrzmiałe typy epoki wilhelmińskiej i tylko powoli pojawiają się krytyczne obrazy Trzeciej Rzeszy... Teatr żyje ze sztuk, toteż odzyska swoje społeczno-krytyczne znaczenie, kiedy takie sztuki zostaną napisane".

Melchinger: „Epoka mas nie zna masowego teatru. Podczas gdy w teatrze antycznym widownia obejmowała do 40 000 widzów, a teatr średniowieczny gromadził na jarmarcznych placach dziesiątki tysięcy ludzi, to nowoczesną architekturę teatralną obowiązuje prawo, że widz nie może być oddalony od sceny ponad 25 metrów. Oto odległość, w której człowiek może się jeszcze człowiekowi jako człowiek objawiać.

Wiek technologii obezwładnił na scenie sztukę techniki. W przeciwieństwie do inscenizacji baroku lub Maxa Reinhardta, wielcy reżyserzy teraźniejszości nie robią prawie użytku z gigantycznych możliwości techniki. Przykład: jeszcze w 1928 roku w swojej słynnej inscenizacji *Szwejka* Haszka Piscator posłużył się ruchomą taśmą dla zobrazowania marszu dzielnego wojaka do Rosji. W 1961 roku, w swojej niezwykłej inscenizacji *Szwejka* Brechta, Giorgio Strehler każe swojemu dzielnemu wojakowi dreptać w miejscu, podczas gdy w tyle ukazuje się tablica z napisem „Do Stalingradu".

Recenzje bieżących nowości wydawniczych, przegląd wydarzeń teatralnych, kroniki i polemiki wypełniają resztę numeru.

rk

Związek Radziecki

NOWYJ MIR, który w ubiegłym roku drukował dłuższą nowelę W. Lipatowa *Głuchaja Miata*, przynosi w kwietniowym numerze nowy utwór tego pisarza, zatytułowany *Głęboki nurt*. Autora interesuje przede wszystkim społeczne podłoże działalności ludzkiej, dlatego też w jego opowieści o rybakach znad Obi pojawiają się niekiedy nutki dociekań socjologicznych. Sporo ciekawych obserwacji, bogata galeria postaci, nakreślonych jednak dość po-

wierzchownie. *Głęboki nurt* przypomina nieco nowele Tiendriakowa, ustępuje im wszakże pod względem artystycznym.

W tym samym numerze znajdujemy *Przełęcze na Usińskim Szlaku* J. Kurganowa. Są to notatki z podróży przez tajgę, napisane z dużym smakiem, oszczędnie i prosto. Znakomite opisy przyrody świadczą o darze obserwacji i wielkiej wrażliwości autora.

Miesięcznik drukuje także wspomnienia żony Michała Kolcowa, E. Ratmanowej-Kolcowej, *Podróż do lat przeżytych*. Wspomnienia te poświęcone są Włodzimierzowi Majakowskiemu, a ściślej biorąc — okresowi, w którym poeta pracował nad poematem *Włodzimierz Iljicz Lenin*.

Miłośników poezji Edwarda Bagrickiego zainteresują niewątpliwie wspomnienia S. Bondarina, zawierające wiele ciekawych szczegółów biograficznych, zwłaszcza z ostatnich lat życia autora *Dumy o Opanasie*.

Wśród licznych pozycji poetyckich numeru kwietniowego warto odnotować wiersze Jarosława Smielakowa oraz obszerny wybór współczesnych poetów tureckich.

Dział krytyki literackiej przynosi treściwy wybór wypowiedzi Róży Luksemburg o literaturze i sztuce, wśród których zwraca uwagę krótki esej o Glebie Uspieńskim, napisany z okazji śmierci pisarza. Warto także zasygnalizować żywe i pełne polemicznego zacięcia *Uwagi o krytyce* A. Turkowa. Autor bardzo dowcipnie i zjadliwie rozprawia się ze schematycznymi i uproszczonymi ocenami wartościowych utworów powojennej literatury radzieckiej, którymi dość często szafuje jeszcze krytyka.

W kwietniowym OKTIABRZE przykuwa uwagę *Niebieski zeszyt* Emanuela Kazakiewicza, utwór, nad którym autor pracował od dłuższego czasu i który oczekiwany był z niecierpliwością przez czytelników. Akcja *Niebieskiego zeszytu* rozgrywa się w okresie poprzedzającym bezpośrednio wybuch Rewolucji Październikowej — w Razliwie, w pobliżu ówczesnego Piotrogrodu, gdzie Lenin ukrywał się przed poszukiwaniami policji. Frapująca sceneria ustępuje jednak na plan dalszy wobec pełnej pasji i obfitującej w dramatyczne momenty dysputy filozoficzno-politycznej, która toczy się na stronicach opowiadania. Jest to dyskusja o konieczności i nieodzowności rewolucji, o dalszych jej losach i niebezpieczeństwach, jakie grożą proletariatowi na drodze do realizacji swych zamierzeń, o roli jednostki i mas w historii. Jednym z najbardziej przejmujących fragmentów utworu jest opis ostrego spięcia ideologicznego między Leninem a Zinowjewem, którego autor ukazuje bardzo nieszablonowo, jako człowieka subiektywnie uczciwego i przywiązanego do Lenina, ale tkniętego niewiarą w pomyślny przebieg rewolucji rosyjskiej. *Niebieski zeszyt* sprawia wrażenie większej całości. Może to tylko urywek epickiej opowieści o czasach, do których nieraz jeszcze będzie powracać literatura.

W dziale prozy znajdujemy także opowiadanie Wasyla Ażajewa *Przedmowa do życia*, którego bohaterami są młodzi robotnicy. Rzecz dzieje się w okresie pierwszych pięciolatek.

Poezję reprezentują wiersze Wasyla Żurawlowa, Marka Lisniańskiego, Siergieja Smirnowa i Aszota Garnakeriana.

Kwietniowe ZNAMIA kontynuuje druk powieści F. Taurina *Grzmiące porohy*, której akcja rozgrywa się na budowie elektrowni wodnej na Angarze. Powieść Taurina nie jest, niestety, interesującą lekturą; stanowi ona jeszcze jeden dowód, że największą wadą tzw. „produkcyjniaków" jest po prostu powierzchowne podejście do tak pasjonującego tematu jak twórcza praca ludzka.

Bez porównania ciekawiej przedstawiają się nowele — również o tematyce współczesnej — W. Daniłowa i Juliana Siemionowa. Na szczególną uwagę zasługuje, moim zdaniem, krótka nowelka Siemionowa *Konie i ludzie*, podejmująca nader istotne problemy moralne. Inny wybitny nowelista radziecki, Jurij Kazakow, publikuje zakończenie swego *Dziennika północnego*, o którym wzmiankowaliśmy w poprzednim przeglądzie. Utwór ten stanowi niejako odpowiedź na liczne głosy krytyki, która zarzucała autorowi oderwanie od życia. Żywa, o reportażowym zacięciu proza Kazakowa, traktująca o sprawach dnia powszedniego, wskazuje wyraźnie na szeroki zakres zainteresowań pisarza i jego duże możliwości twórcze.

W dziale poezji znajdujemy wiersze

Patrice'a Lumumby oraz wiersze Margarity Aliger i Edwarda Mieżełajtisa. Utwory tego ostatniego są prawdziwą niespodzianką. Ciekawe formalnie, o wyraźnie zarysowanym credo poetyckim, uderzają celnością wypowiedzi i oszczędnością środków wyrazu. Wiersze Mieżełajtisa — podobnie jak szereg innych utworów literackich, filmowych i scenicznych, które powstały ostatnio na Litwie, Łotwie i w Estonii i które z dużym opóźnieniem docierają do nas — świadczą wyraźnie, że ferment twórczy ogarnął także republiki bałtyckie. Warto się bliżej zapoznać z tymi niewątpliwie ciekawymi zjawiskami.

W dziale *Rozmowy* miesięcznika *Znamia* — obszerna wypowiedź Leonida Leonowa na temat pracy pisarza *(Wydarzenia stulecia a literatura, Problemy pokoju i humanizmu, Garnki i święci, Kunszt — to przede wszystkim praca).*

JUNOST' (Młodość), znakomicie redagowany młodzieżowy miesięcznik społeczno-literacki, posiada dziś wagę nie mniejszą od niejednego pisma literackiego „dla dorosłych". Najciekawszą pozycją numeru kwietniowego jest szeroko rozbudowany dział poetycki, który zamieszcza utwory pięćdziesięciu poetów współczesnych. Znajdujemy tam m. in. nazwiska Andrzeja Wozniesieńskiego, Wiktora Bokowa, Jewgienija Winokurowa, Swietłany Jewsiejewej, Leonida Martynowa, Aleksandra Prokofiewa, Borysa Słuckiego, Włodzimierza Sołouchina, Mikołaja Uszakowa, Aleksieja Surkowa i in.

MOSKWA drukuje dalszy ciąg powieści Frydy Wigdorowej *Szczęście rodzinne* oraz zakończenie powieści Gennadija Siemienichina *Niebo nad Moskwą jest czyste,* której tematem jest obrona lotnicza Moskwy podczas ostatniej wojny. Jak wiadomo, lotnictwo niemieckie, które z powodzeniem bombardowało Anglię, nie mogło w żaden sposób przedrzeć się nad stolicę ZSRR, która znajdowała się w bezpośrednim pobliżu frontu. Siemienichin wprowadza nas w szczegół tej niezwykle dramatycznej batalii.

W dziale poezji — wiersze Wasyla Kulemina, Wasyla Kazina, Afanasija Krasowskiego oraz Julio Mateu, poety hiszpańskiego, przebywającego stale w Związku Radzieckim.

Moskwa zamieszcza także fotografie z wystawy materiałów tekstylnych, które świadczą, że artyści plastycy uzyskali nareszcie dostęp do produkcji przedmiotów powszechnego użytku. Oprawa plastyczna wystawy także zasługuje na duże uznanie.

Leningradzka NEWA przynosi zakończenie powieści W. Wojewodina *Nie ma spokoju (historia pewnej miłości).* To obszerne studium obyczajowo-psychologiczne zawiera z pewnością sporo ciekawego materiału obserwacyjnego, któremu autor nie zawsze zdołał nadać kształt artystyczny. Liczne dłużyzny i partie dydaktyczne obniżają wartość utworu.

Poezję reprezentują wiersze Siergieja Smirnowa, Pawła Matiewa, Damiana Damianowa, Dymitra Smirnowa i Wadima Szefnera.

INOSTRANNAJA LITIERATURA rozpoczęła publikację powieści André Stila *Le Foudroyage.* W tym samym numerze znajdujemy zakończenie powieści Michela Willsona *Spotkanie na dalekim południku.*

Miesięcznik zamieszcza także opowiadanie Wolfganga Borcherta *Bill Brooke* oraz cykl nowel Jirzego Marka *Żyć wśród ludzi.*

Literaturę Dalekiego Wschodu reprezentuje dłuższe opowiadanie pisarki japońskiej Jaeko Nogami *Szkuner „Kajdzin-Maru".*

Wśród materiałów poświęconych rocznicy leninowskiej odnotować należy artykuł I. Anisimowa *Lenin i nowe horyzonty literatury światowej* oraz ciekawy esej B. Jakowlewa o Leninie jako tłumaczu.

W dziale krytyki krytyk japoński Dziun Eto zamieszcza krótki artykuł informacyjny o młodych pisarzach tego kraju.

Jak zwykle znajdujemy w *Inostrannej Litieraturze* sporo poloników. Numer kwietniowy otwiera reprodukcja rzeźby Mariana Wnuka *Lenin.* Ignacy Witz zamieszcza dłuższy, ilustrowany przez siebie artykuł *Cechy świata przyszłości.* W kronice kulturalnej — noty o współpracy pisarzy polskich z filmem, o *Początku* Tadeusza Hołuja oraz fotos z *Niewinnych czarodziei* Wajdy.

zf

ŁÓDZKA WIOSNA POEZJI

Już trzecia Łódzka Wiosna Poezji odbyła się w tym roku. Ta wiosna jest festiwalem najmłodszej poezji, najmłodszej, bo do udziału w niej zaproszeni są poeci nie posiadający jeszcze dorobku książkowego, a wyłonieni z konkursu na utwór poetycki. Gospodarzem Wiosny Łódzkiej jest grupa „Prowincja". Organizacyjną stronę festiwalu ma w swej pieczy łódzka filia wydawnictwa „Pax". Impreza więc skromna, bo środki skromne.

Na tegoroczny konkurs wpłynęło około 110 utworów, nadesłanych ze wszystkich niemal ośrodków kulturalnych kraju. W porównaniu z latami ubiegłymi, plon konkursu jest słabszy. Nie wyłoniła się żadna nieznana, nowa indywidualność. Ale wśród nagrodzonych spotykamy nazwiska młodych poetów, którzy już zdobyli tzw. ostrogi, poprzez publikację w czasopismach. Jury (Stanisław Czernik, Maciej Kononowicz, Jan Koprowski, Zygmunt Lichniak, Aleksander Rymkiewicz i podpisany) przyznało nagrody Czesławowi Kuriacie (Koszalin), Maciejowi Zenonowi Bordowiczowi (Warszawa) i Janowi Onopie (Łódź).

Kilka już było wiosen poetyckich w bieżącym roku. Łódzka Wiosna nie dubluje żadnej innej, ma własny i już — to trzeba podkreślić — trwały charakter.

b

„KRZYWE KOŁO"

W naszym życiu plastycznym skromną, ale uporczywą rolę odgrywa galeria „Krzywego Koła". To nie jest salon oficjalny, wprost przeciwnie, tak dalece jest nieoficjalny, że nie zawsze bywa wymieniany w wykazach wystaw, które prasa codzienna publikuje. I właśnie ta nieoficjalność stanowi m. in. siłę atrakcyjną „Krzywego Koła". Z góry wiadomo, że „Krzywe Koło" nie ma serwitutów do spłacania. Tam nie odbywają się wystawy okolicznościowe, grzecznościowe czy pośmiertne. Tam wystawia żywa, poszukująca sztuka.

Animatorem „Krzywego Koła" jest Marian Bogusz, znany malarz nowator. Wraz z grupą plastyków, teoretyków i krytyków sztuki stworzył bardzo konsekwentny program działalności. Program siłą rzeczy skromny, gdyż galeria ignorowana przez wysokie czynniki może liczyć jedynie na skromniutki zasiłek Stołeczny Rady Narodowej. Działalność wystawową uzupełnia skromna także działalność wydawnicza. Katalogi, ale nie tylko katalogi. Pod firmą galerii ukaże się rocznik, publikacja zbiorowa, zawierająca wypowiedzi teoretyczne o sztuce artystów, poetów i krytyków sztuki.

W bieżącym sezonie „Krzywe Koło" przedstawiło twórczość takich malarzy, jak Henryk Stażewski, Tadeusz Brzozowski, Jerzy Nowosielski, Aleksander Kobzdej, Helena Walicka i Marian Bogusz. Problemową wystawę rzeźby miała Alina Ślesińska. Wystawa ta obrazowała związki rzeźby z architekturą, związki tak trwałe, że omal

odwieczne, sięgające tradycji Bloku, grupy Praesens, działalności Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego. Ceramikę wystawiali Tadeusz Borowski i siostry Wahl.

W miesiącach letnich odbędzie się w „Krzywym Kole" duża wystawa przeglądowa, obrazująca twórczość wszystkich artystów grupujących się wokół galerii. Równolegle z tą wystawą otwarty będzie salon fotografiki. Nie będzie to zbieżność przypadkowa. Zestawienie dwóch technik unaoczni odrębność środków i celów, różnych sposobów widzenia świata, jakie mają oko i wyobraźnia.

zb

KŁOPOTY Z NAGRODAMI

W Konstancji odbył się zjazd wydawców z Austrii, Niemiec zachodnich i Szwajcarii, który obradował na temat „Nagrody literackie i opinia publiczna". W debatach wzięli również udział krytycy i pisarze z tych trzech krajów. Powód konferencji był dosyć osobliwy: nadmierna ilość nagród. W samej Republice Federalnej istnieje, jak wyliczył jeden z mówców, 120 wyróżnień literackich, co w końcu deprecjonuje ich wartość i autorytet.

Ów las nagród wyrósł i z dnia na dzień gęstnieje na skutek lokalnych ambicji. Niemcy zachodnie są pozbawione dominującego ośrodka kulturalnego i każde miasto, ba, miasteczko, pretenduje do roli Aten i mecenasa kultury, toteż ustanawia swoją nagrodę literacką. Nie pozostają w tyle również zrzeszenia społeczne, akademie literatury, których jest kilka w Republice Federalnej, wydawnictwa i instytucje kulturalne. W tych warunkach każdy rok przynosi obfite żniwo: setki laureatów. Jeśli tak dalej pójdzie, Niemcy zamienią się w gaj wawrzynowy i wszyscy pisarze będą nosić zamiast kapeluszy wieńce laurowe.

Uczestnicy zjazdu mówili o Francji, która ma stosunkowo niedużą ilość nagród literackich cieszących się międzynarodową sławą. Ale nie wszystko jest złotem, co się świeci... z daleka. Poza Francją podziwiają te nagrody, ale w samej Francji są one przedmiotem ostrej krytyki i oskarżeń, które wypominają jurorom klikowość i wskazują na machinacje wydawców.

Pisarze, powołując się na trudne warunki życia literatów, którzy — z wyjątkiem garstki renomowanych nazwisk — muszą się borykać z niedostatkiem lub utrzymywać z zawodów kolidujących z działalnością twórczą, zaapelowali o przekształcenie nagród w stypendia. Hasło dnia brzmiało: jak najwięcej rozsądnej i racjonalnej pomocy, nagrody — owszem, ale z dużą ostrożnością.

Zjazd zakończył się konkretnym rezultatem. Robocze gremium opracowało plan reprezentatywnego wyróżnienia pod nazwą „Wielka nagroda literacka języka niemieckiego" w wysokości 50.000 marek. Nagrodę przydzielać będzie jury złożone z dwunastu członków, po czterech z każdego kraju, co roku za wybitne dzieło z zakresu epiki, dramatu, liryki lub eseju. W skład jury mają wejść krytycy i germaniści, przy czym położono nacisk, że wydawcy i księgarze powinni być pozbawieni wpływu na decyzje, które mają należeć tylko do bezstronnych znawców przedmiotu. Obywatelstwo kandydatów do nagrody pozostaje bez znaczenia, jedyną rolę odgrywa tylko ranga i wartość dzieła napisanego w języku niemieckim.

Realizacja tej uchwały będzie musiała, jak podkreślono, przezwyciężyć niejedną praktyczną przeszkodę i wymaga szczegółowego przygotowania technicznego. Uczestnicy zjazdu obiecują sobie jednak, że nagroda ma szanse zdobycia powszechnego autorytetu w Niemczech, Szwajcarii i Austrii oraz poza granicami tych krajów.

rk

NIEZNANY LIST MAKSYMA GORKIEGO

W rękopiśmiennych zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej, w puściźnie po Wilhelmie Feldmanie znalazł się list Maksyma Gorkiego pisany, jak się okazało, z Capri w lutym lub marcu 1907 roku (Rkp. Akc. 27/60). Nie datowany, o wyraźnym charakterze pisma

i, jak większość jego listów adresowanych do cudzoziemców, podpisany pseudonimem, jest odpowiedzią na list Wilhelma Feldmana.

Treść listu posiada wyjątkową wartość, rzuca bowiem światło na stosunek Gorkiego do narodu polskiego i współczesnej literatury polskiej. Stanowi odpowiedź na list, w którym Feldman zwrócił się do Gorkiego, jako do znanego już w tym czasie pisarza rosyjskiego i redaktora wydawnictwa „Znanije", z propozycją przetłumaczenia i wydania w języku rosyjskim jednej z jego książek (najprawdopodobniej *Współczesnej literatury polskiej).* W odpowiedzi Gorki informuje, że aktualnie omawia sprawę wydania przekładu *Zbioru utworów współczesnych literatów polskich* z przebywającym w tym czasie na Capri Stefanem Żeromskim. Obiecuje powrócić do sprawy ewentualnego wydania książki po ukazaniu się *Zbioru.*

Motywując swoje stanowisko Gorki pisze, że wydając *Zbiór* „pragnie z jednej strony dać czytelnikowi rosyjskiemu dobrą literaturę w dobrych tłumaczeniach, a z drugiej przyjść z pomocą pisarzowi polskiemu w trudnej sytuacji materialnej".

Planowany *Zbiór* niestety nie ukazał się. Gorki, zaangażowany w sprawy społeczno-polityczne, przebywając poza granicami Rosji, nie mógł osobiście zająć się realizacją wydawnictwa, przekazał sprawę W. Wieresajewowi. Z braku materiałów archiwalnych nie wiemy ostatecznie, dlaczego *Zbiór* się nie ukazał. Tym niemniej zachowany list jest niewątpliwym dowodem wysiłków Gorkiego w celu zbliżenia dwóch bratnich literatur.

Rosyjski tekst odnalezionego listu z komentarzem ogłosiłam w czasopiśmie *Slavia Orientalis* (1960, nr 4). W przekładzie polskim ukazuje się po raz pierwszy poniżej.

Zofia Wcisło

Do
P. Wilhelma Feldmana
w Krakowie

Szanowny Kolego!
Książki pańskie otrzymałem, — serdecznie dziękuję za zaszczytną pamięć i pańską uprzejmość.

Chyląc czoło przed narodem polskim, niezmordowanym w uporczywej walce o wolność, kocham gorąco literaturę polską i byłbym niezmiernie rad zapoznać naród rosyjski z życiem duchowym jego pobratymców.

W tych dniach porozmawiam z S. W. Żeromskim o wydaniu w języku rosyjskim *Zbioru utworów współczesnych literatów polskich* i jeżeli to wydanie dojdzie do skutku, co jest prawdopodobne, pomyślimy o przełożeniu i wydaniu książki Pana.

Pragnęlibyśmy, ja, L. Andriejew i inni koledzy z wydawnictwa „Znanije", tak zorganizować sprawę, ażeby lepsze utwory współczesnych pisarzy polskich drukowane były równocześnie w języku polskim i rosyjskim. Dałoby to możność poprawy bytu materialnego pisarza polskiego, ciężkiego, jak twierdzi S. Żeromski, i obdarowałoby naród rosyjski dobrą literaturą w dobrych tłumaczeniach.

O tym właśnie planie rozprawiamy ze Stefanem Wincentowiczem. Jeszcze raz Panu dziękuję! Mocno dłoń ściskam.

M. Gorki

ARMAND ROBIN

Przed kilkoma laty pisaliśmy na tym miejscu o przekładach z Mickiewicza dokonanych przez Armanda Robina. Ten poeta francuski, jeden z kilkunastu poliglotów żyjących na świecie, zna także język polski. Dla wydanej przez UNESCO monografii Mickiewicza dokonał kilku przekładów, które miały blask arcydzieła. Po raz pierwszy Francuzi czytali Mickiewicza jak żywego poetę. Było to novum we Francji absolutne. Francuzi tłumaczą na ogół poezję prozą, oddając jedynie warstwę pojęciową tłumaczonych utworów. Armand Robin był tłumaczem wiernym. Nie przestrzegał co prawda prawideł i układów wersyfikacyjnych, ale oddał całą urodę obrazowania, wszystkie niuanse subtelnych znaczeń.

Przypominam te fakty dzisiaj, gdyż ponieśliśmy stratę. Armand Robin nie żyje. Prasa francuska podała wiadomość o jego śmierci, jakże tragicznej

i tajemniczej. Absolutnie samotny, bez bliskich, bez przyjaciół, zmarł, jak się dopiero po miesiącu dowiedziało wydawnictwo Gallimard, gdzie był lektorem, w więziennym szpitalu. Nieznana jest dokładna data śmierci i miejsce pogrzebania. W połowie XX wieku poeta umiera śmiercią Villona! (Aresztowany został prawdopodobnie za swoje powiązania z anarchistami).

Armand Robin był utalentowanym poetą. Jego niemal całkowicie przemilczany tom poematów *Ma vie sans moi* (1942) to jedno z najbardziej oryginalnych zjawisk francuskiej poezji współczesnej. Sporo tłumaczył z wielu języków. Tłumaczył m. in. Jesienina, Borysa Pasternaka i Tuwima. Armanda Robina cenił i darzył przyjaźnią Jules Supervielle.

b

POSZUKIWANIA REALNOŚCI

Przeciwstawienie malarstwa przedstawiającego malarstwu nieprzedstawiającemu powoli zatraca swój sens. Podział: obraz przedstawiający i abstrakcja — to schemat. Dopiero poza nim rozpoczynają się poszukiwania, eksperymenty i toczy się dyskusja o sztuce. Abstrakcja niepostrzeżenie stała się źródłem lub bodźcem do poszukiwania nowych realności, do tworzenia takich realności, które by objawiały prawdę o świecie. Nie chodzi — rzecz prosta — o tę prawdę, którą oko daje, tę prawdę da obiektyw fotograficzny. Malarz współczesny już dawno wyciągnął te konsekwencje z rozwoju techniki, które powieściopisarz wyciąga dopiero teraz. Powieściopisarz współczesny także nie chce już naśladować techniki (filmowej) i rezygnuje z tych dziedzin, które film opanował. Odcina się więc od akcji, nie układa powieści jako ciągu następujących po sobie zdarzeń. Pod tym względem malarstwo wyprzedziło literaturę. Naśladowanie natury, powtarzanie wyglądu przedmiotów, a więc widzenie otaczającego świata gołym okiem w epoce uzbrojonej w doskonały obiektyw, byłoby anachronizmem. Ale malarstwo, nie będąc imitacją, rezygnując z przeciwstawiania, nie rezygnuje ze świata. Dąży do prawdy o nim, prawdy głębszej, istotniejszej. Po okresie euforii bezprzedmiotowością, po okresie czystej abstrakcji nastąpił okres poszukiwania przedmiotu. Malarz współczesny szuka wizji świata. Gdy rozmawiam z malarzem nieprzedstawiającym, z — w potoczonym pojęciu — abstrakcjonistą, słyszę protest: ja także przedstawiam, ja także widzę świat i moimi środkami tę wizję organizuję. W poszukiwaniach fakturalnych już nie o fakturalność samą chodzi, ale o realność, materialność nawet. Te poszukiwania nowej realności widzę w malarstwie Brzozowskiego, Ziemskiego, Kobzdeja, Walickiej, u każdego z nich inne, własnymi środkami osiągane. Otwarta w galerii „Krzywego Koła" wystawa nowego malarstwa Heleny Walickiej ukazała ciekawe przełamywanie się i wzajemne zachodzenie na siebie dwóch realności: widzianej i wyobrażonej. Jej płótna zmuszają oko do podwójnej aktywności: oderwania się od przedmiotu, aby ujrzeć go w nowej, wysublimowanej wyobraźnią postaci. Obrazy Walickiej to wizje poetyckie w tym sensie, że tak jak w poezji *powiedziane* mówi wieloznaczeniem, tak *ukazane* mieni się wielością powiązań. Te wyobrażone przedmioty, przedmioty czysto malarskie, płaskie i barwne, odwołują się do istniejącego gdzieś świata, są aluzją do realności istniejących, aluzją wzbogaconą wyobraźnią, a więc baśnią. Zdzisław Kępiński w przedmowie do katalogu tę baśniowość malarstwa Walickiej porównuje z baśniowością Leśmianowską. Sama malarka w opublikowanej z nią rozmowie określa to w ten sposób: „Formy, plamy barwne, znaki malarskie nie starają się powtarzać, przetwarzać lub transponować pamiętanych form otaczającego nas świata. Są po prostu wymyślone, czy też stworzone do własnego, swoistego życia. Ale przez swoją określoność, konkretność bytowania na płótnie, niekiedy przez światło padające na nie z zewnątrz lub wydobywające się jak gdyby z własnej ich substancji mogłyby doskonale istnieć wokół nas".

Malarstwo nieprzedstawiające w swoich poszukiwaniach zaszło już tak daleko, że przekroczyło granice oznaczającego je pojęcia. Ono przedstawia. Nie imituje tylko. Nie imituje kształtów, znaków i symboli widzianego świata. Pragnie dotrzeć głębiej lub wznieść się

wyżej, dać prawdę lub stworzyć wizję świata. Ale szuka realności. Cały rozwój sztuki współczesnej polega właśnie na poszukiwaniu realności.

zb

ZAGADKA EKSPRESJONIZMU

Ekspresjonizm był w literaturze Niemiec, w przeciwieństwie do innych krajów, gdzie przeszedł niemal bez echa, żywym i burzliwym kierunkiem, który już dzisiaj ma swoją legendę. Wielu pisarzy starszego pokolenia wspomina go jako grzech młodości, był to jednak grzech powszechny, któremu nikt prawie się nie oparł. Niemal wszystko, co z owych czasów zachowało znaczenie w literaturze niemieckiej, przeszło przez czyściec ekspresjonizmu. Tutaj terminowali Heym, Lasker-Schüler, Sternheim, Henryk Mann, Döblin, Becher, Brecht, Benn, Hesse, Werfel, Toller i dziesiątki innych. Coś niecoś zawdzięczają mu Kafka, Musil, Rudolf Borchardt — wymieniamy tylko najznakomitszych. Potem większość uczniów, mówiąc słowami Heinego, wychłostała nauczycieli i rozeszła się na wszystkie strony świata.

Rozdział ekspresjonizmu jest zapisany, ale jego legenda żyje i wciąż niepokoi współczesnych pisarzy. Niemiecka prasa literacka stale powraca do tego tematu, o zainteresowaniu świadczą także antologie prozy i liryki ekspresjonistycznej, które ostatnio coraz częściej pojawiają się na rynku księgarskim. Rowolth wznowił także słynną antologię poezji ekspresjonizmu Kurta Pinthusa, która wyszła z druku w 1920 roku pod tytułem *Zmierzch ludzkości*. W jednym z najnowszych numerów miesięcznika *Merkur* porusza to zagadnienie prozaik Hermann Kasack, liczący obecnie sześćdziesiąt lat, pisarz, który debiutował u schyłku ekspresjonizmu. Historia literatury, krytyka szuka wyjaśnienia zagadki, mnożą się hipotezy, formuły, interpretacje.

W przeciwieństwie do futuryzmu i innych kierunków literackich naszego wieku, ekspresjonizm wystąpił na widownię bez programowej deklaracji, i to w Niemczech, gdzie brak definicji uchodził za występek. Ekspresjonizm nie doczekał się tutaj kodeksu artystycznego, miał natomiast wspólną platformę wypowiedzi — tygodnik *Die Aktion* wydawany przez Franza Pfemferta. W tym piśmie debiutowała większość pisarzy ekspresjonistycznych i ukazały się rozważania teoretyczne, których tezy trudno sprowadzić do wspólnego mianownika.

Gottfried Benn w pracy *Liryka ekspresjonistycznego dziesięciolecia* właściwie unika dokładnego określenia ekspresjonizmu. Alfred Döblin w 1948 roku pisał o tym kierunku: „Ekspresjonizm i związane z nim nurty sztuki przypominają wschodnio-azjatycką filozofię Zen. Jak ta odwraca się od normalnej, to jest zamrożonej logiki, tak i kierunek ekspresjonistyczny pokazuje plecy gładkiemu, płaskiemu »pięknu«. Atakuje je i demoluje. Nie chodzi tu o jedynie formalistyczny odwrót, choć walka toczy się także o formę". Trudno się oprzeć wrażeniu, że i Döblin nie ma zbyt wielkiej chęci do szczegółowego oznaczenia pojęcia ekspresjonizmu.

Większość nowszych antologii kładzie nacisk na motyw emocjonalny, na erupcję elementarnych uczuć i afektów. Antologia Karla Ottena dramatu ekspresjonistycznego, która niedawno się ukazała, nosi patetyczny tytuł *Krzyk i wyznanie*. Ten sam autor wydał w 1957 roku wybór prozy ekspresjonistycznej, który nazwał *Przeczucie i przełom*. Wspomniana antologia Pinthusa dzieli się na rozdziały o emfatycznych tytułach: *Upadek i krzyk, Wezwanie i bunt, Przebudzenie serca* i *Kochaj człowieka*. Czyżby tu chodziło o jakiś kierunek ekstazy?

Niewątpliwie ekspresjonizm był reakcją przeciwko mieszczańskiemu szablonowi (najostrzej występuje to w komediach Sternheima), stąd jego częste westchnienia do „człowieka" i „ludzkości". W retorycznej liryce Werfla dominuje pragnienie: „Moim jedynym życzeniem jest zbliżyć się do ciebie, człowieku". Owo wołanie wzmaga się po roku 1914, spotęgowane odrazą do wojny. Poezje Alberta Ehrensteina (1916) wychodzą pod tytułem *Człowiek krzyczy*, Leonhard Frank wydaje (1917) tom nowel *Człowiek jest dobry*, Hermann Kasack tom wierszy *Człowiek*, Wolfenstein wybór strof (1919) *Człowiek-bojownik*, a Rubiner w tym sa-

mym roku książkę *Towarzysze ludzkości.*

Słusznie więc twierdzi Kasack, że trudno jest zrozumieć istotę ekspresjonizmu niemieckiego, jeśli zechce się ograniczyć ten ruch do zjawiska estetycznego i rozpatrywać go jako wyizolowany problem stylistyczny. „Jako całość — wywodzi Kasack — można go określić tylko z punktu widzenia socjologicznego, z perspektywy jego poglądu na świat." Stylistyczna skala ekspresjonizmu jest różnorodna i obejmuje sprzeczne elementy „od dionizyjskiego szału do chłodnego cynizmu, od patetycznej retoryki do elementarnego wzruszenia, od dynamicznego odruchu serca do statycznie działającej woli, od chaotycznego do kosmicznego uczucia życia".

Co ciekawsze, Kasack nie uważa ekspresjonizmu za rozdział definitywnie zamknięty. „To, co wtedy utrwaliło się literacko pod hasłem ekspresjonizmu — utrzymuje — jeszcze dzisiaj jest w ruchu. Surrealizm, magiczny realizm i inne zjawiska spokrewnione, pod różnymi etykietami, z pozaracjonalną poezją, są środkami wyrazu pochodzenia ekspresjonistycznego. Wilhelm Lehmann w swojej liryce, Elisabeth Langgässer, Nelly Sachs, Günther Eich, Krolow, Piontek, Enzensberger. Nossack, Kreuder, Andersch — byliby nie do pomyślenia bez pionierów ekspresjonizmu."

r

LITERATURA PIĘKNA

K l a s y c y l i t e r a t u r y p o l s k i e j

B i e l s k i M a r c i n — *O Skanderbegu macedońie albańskim książęciu.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Ilustracje pochodzą z „Kroniki wszystkiego świata" M. Bielskiego, wyd. z r. 1564. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 108, 2 nlb.

K o r z e n i o w s k i J ó z e f — *Opowiadania.* Wybór. Opracował Stefan Kawyn. Redakcja Biblioteki Narodowej: Jan Hulewicz i Samuel Sandler. Biblioteka Narodowa. Wrocław — Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wydanie I; str. 424, 2 nlb.

L e l e w e l J o a c h i m — *DZIEŁA. Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedziane.* Opracowała Janina Bieniarzówna. Obwolutę i okładkę projektował Wiesław Kosiński. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1961; str. 409, 7 nlb.

K l a s y c y l i t e r a t u r y o b c e j

B a l z a c H o n o r i u s z — *KOMEDIA LUDZKA.* XVI. *(Studia obyczajowe. Sceny z życia politycznego). Epizod z czasów terroru. Tajemnicza sprawa. Deputowany z Arcis.* Z. *Marcas.* Przełożyli Tadeusz Żeleński-Boy i Julian Rogoziński. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 381, 3 nlb.

P l i n i u s z — *Historia naturalna.* (Wybór). Przekład i komentarz: Irena i Tadeusz Zawadzcy. Wstęp opracowali: Irena i Tadeusz Zawadzcy. Rozdział VI „Pliniusz w Europie": Leszek Hajdukiewicz. Z oryginału łacińskiego pt. „Naturalis historia" przełożyli I. i T. Zawadzcy. Redakcja Biblioteki Narodowej: Jan Hulewicz i Samuel Sandler. Wrocław — Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1961, wydanie I; str. 506.

W o l t e r — *O życiu, miłości i śmierci.* Wybrał i wstępem opatrzył Jerzy Adamski. Opracowanie graficzne Andrzeja Heidricha. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 155, 1 nlb.

P o e z j a

F l u k o w s k i S t e f a n — *Napomknięte cieniem.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 76, 4 nlb.

G i e g i e r T a d e u s z — *Wyjmij mnie z czasu.* Okładkę i winietę na stronie tytułowej projektował Zdzisław Głowacki. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 46, 4 nlb.

K o ś m i ń s k i Z b i g n i e w — *Meteory.* Biblioteka Poetów Lubelskich. Tom IX. Okładka i ilustracje Krzysztofa Kurzątkowskiego. Lublin, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, 1961; str. 30, 2 nlb.

S z c z e p o w s k a M a r i a — *Tarnina.* Biblioteka Poetów Lubelskich. Tom VII. Okładka i ilustracje: Barbara Węgorek. Lublin, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, 1961; str. 26, 2 nlb.

K u b i a k T a d e u s z — *Fantasmagorie.* Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I, str. 26, 2 nlb.

P r o z a

B a b i n i c z W a l d e m a r — *Apostołowie.* Obwolutę projektował Roman Prokulewicz. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 265, 3 nlb.

B a l i c k i S t e f a n — *Dom wróżki.* Powieść. Biblioteka Dwudziestolecia. Obwolutę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 325, 3 nlb.

B e n e s z o w a B o ż e n a — *Don Pablo, Don Pedro i Wiera.* Przełożyła Cecylia Dmochowska. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 116, 4 nlb.

C z a j k a (I z a b e l a S t a c h o w i c z) — *Płynę w świat.* Okładkę i ilustracje projektowała Irena Kuczborska. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 188, 4 nlb.

D z i e w a n o w s k i K a z i m i e r z i M i n k o w s k i A l e k s a n d e r — *5000 kilometrów przyszłości.* Z serii „Świat się

zmienia". Obwolutę projektował Mieczysław Kowalczyk. Zdjęcia Konstantego Jarochowskiego. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 108, 4 nlb.

Fradkin B. — *Jeńcy płonącej otchłani.* Przełożył Bohdan Drozdowski. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 184, 2 nlb.

Hartung Hugo — *W czepku urodzeni. Mimo wszystko pogodna powieść o naszym życiu.* Biblioteka Powszechna. Przełożyła Anna Maria Linke. Okładkę według projektu Aleksandra Stefanowskiego opracował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 235, 5 nlb.

Huszcza Jan — *Telefon więcej nie zadzwoni.* Obwolutę projektował Wiesław Głażewski. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 131, 1 nlb.

Iwaszkiewicz Jarosław — *Kochankowie z Marony.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 153, 4 nlb.

Jackiewicz Aleksander — *Romans w Cannes.* Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 166, 2 nlb.

James Henry — *Daisy Miller.* Tłumaczyła Jadwiga Olędzka. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 377, 3 nlb.

Kijowski Andrzej — *Oskarżony.* Obwolutę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie II; str. 121, 3 nlb.

Kosier Berislav — *Drzewo i orli szpon.* Z serbochorwackiego przełożyła Maria Krukowska. Obwolutę projektował Wojciech Wenzel. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 245, 3 nlb.

Nowakowski Marek — *Benek Kwiaciarz.* Opowiadania. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 196, 3 nlb.

O'Hanlon Sean — *Kamień, co się toczy. Życiorys własny nieco ubarwiony.* Tłumaczyła Maria Skibniewska. Obwolutę projektował Adam Starosielec. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 253, 3 nlb.

Putrament Jerzy — *Arkadia. Opowieści znad jezior i rzek.* Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 245, 3 nlb.

Serantini Francesco — *Oberża pod gadającym kotem.* Okładkę i strony tytułowe projektowała Krystyna Dąbrowska. Przełożyła Halina Popławska. Warszawa, „Iskry", 1961, wydanie I; str. 222, 2 nlb.

Siekierski Albin — *Urodzajne piachy.* Obwolutę projektowała Barbara Niedzielska. Powieść wyróżniona na ogólnopolskim konkursie literackim Wydawnictwa Łódzkiego w 1958 r. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 265, 3 nlb.

Sosińska Anna — *Thomas Alva Edison.* Obwolutę projektował Marian Stachurski. Z serii „Człowiek poznaje świat". Warszawa, „Iskry", 1961; str. 160, 4 nlb.

Rogowski Wiesław — *Noc.* Obwolutę projektował Krzysztof Kurzątkowski. Lublin, Wydawnictwo Lubelskie, 1961; str. 229, 4 nlb.

Ważyk Adam — *Epizod.* Obwolutę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 219, 1 nlb.

Wigdorowa Fryda — *Czerniłowianka.* Tłumaczyła Ema Dmowska. Obwolutę projektował Janusz Kowalski. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 418, 2 nlb.

Woyszniś-Terlikowska Grażyna — *Rabarbarek.* Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 194, 6 nlb.

Van Tilburg Clark — *Dramat na Wolim Jarzmie.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Przełożył Adam Kaska. Warszawa, „Iskry", 1961, wydanie I; str. 226, 2 nlb.

Satyra

Mrożek Sławomir — *Ucieczka na południe.* Biblioteka Stańczyka. Obwolutę projektował Mieczysław Kowalczyk. Rysunki autora. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 196, 2 nlb.

Polanowski Tadeusz — *Wybrałem fry-wolność.* Biblioteka Satyry. Ilustrował Jerzy Srokowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 81, 3 nlb.

Pamiętniki, wspomnienia

Błeszyński Kazimierz — *O mnie i nie o mnie.* Obwolutę projektował Eugeniusz Pisarek. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 259, 1 nlb.

Reportaże

Rutha Bogdan — *Opowieści z Davos.* Okładkę projektował Krystyn Zieliński. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, wydanie I; str. 218, 2 nlb.

MONOGRAFIE

Stawar Andrzej — *O Brzozowskim i inne szkice.* Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 241, 3 nlb.

Wspomnienia o K. I. Gałczyńskim. Przedmowa i redakcja Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. Obwolutę i oprawę projektował Jan S. Miklaszewski. Fo-

tografia autora przed kartą tytułową B. J. Dorys. Warszawa, „Czytelnik", wydanie I; str. 618, 2 nlb.

SZTUKA

Teatr

Okońska Alicja — *Scenografia Wyspiańskiego*. Praca wykonana na zlecenie Instytutu Badań Literackich PAN. Obwolutę projektowała Jadwiga Desage. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1961; str. 321, 3 nlb.

FILOZOFIA

Comte Auguste — *Metoda pozytywna w 16 wykładach*. Skrótu dokonał J. Emile Rigolage. Przełożyła Wanda Wojciechowska. Okładkę projektował Wiesław Kosiński. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1961, wydanie I; str. 345, 5 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Arct Bohdan — *Pomoc musi nadejść*. Ilustrował Mieczysław Majewski. Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 149, 3 nlb.

Atwater R. i F. — *Pan Popper i jego pingwiny*. Przełożyła Stefania Wortman. Ilustrował Zbigniew Lengren. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 98, 2 nlb.

Banaś Sylwester — *Awantury mojej córy*. Ilustrowała Krystyna Stasiak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961; str. 168, 4 nlb.

Broniewska Janina — *Historia gałgankowej Balbisi*. Ilustrował K. M. Sopoćko. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie VIII; str. 59, 5 nlb.

Brzechwa Jan — *Trzy wesołe krasnoludki*. Ilustrował Jerzy Desselberger. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie II; str. 44.

Hertz Benedykt — *Ze wspomnień samowara*. Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie VI; str. 146, 2 nlb., 1 fotografia.

Kłoś Kazimierz — *Kacper z „Panny Wodnej"*, Ilustrował Jerzy Treutler. Fotografie ze zbiorów Wydawnictwa MON. Mapkę wykonał Wojciech Wemel. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 278, 2 nlb.

Lach Ewa — *Zielona banda*. Ilustrowała Helena Matuszewska. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 110, 2 nlb.

Lądem, wodą i powietrzem. Według Marii Sadzewiczowej opracował Marek Sadzewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 55, 1 nlb.

Pauszer-Klonowska Gabriela — *Światło znad Niemna*. Opowieść o Elizie Orzeszkowej. Ilustrowała Leonia Janecka. Zdjęcia wykonał Mieczysław Lebecki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 230, 2 nlb.

Porazińska Janina — *I w sto koni nie dogoni. Gawęda o moim dzieciństwie*. Okładka, ilustracje, układ: M. Bylina. Fotografia autorki: B. J. Dorys. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 187, 1 nlb.

Sikirycki Igor — *O komarze i orkiestrze*. Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 28.

RÓŻNE

Łunaczarski A. W. — *O oświacie ludowej*. Wybór pism. Biblioteka Postępowego Wychowania. XI. Przekład Wiktora Woroszylskiego. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Michał Szulkin. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 214, 2 nlb.

Sulewski Wojciech — *Na partyzanckich ścieżkach*. Okładkę projektował Bronisław Zelek. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 121, 3 nlb.

W poprzednim numerze:

Tadeusz Hołuj: Dotknięcie. Scenariusz — *Juliusz Żuławski:* Czas przeszły niedokonany — *Artur Międzyrzecki:* Owocobranie. Na widowni. Piękne zmęczenia komentowane. Poheci — *Gottlieb Langner:* Pamiętniki dorożkarza warszawskiego *(podał do druku, wstępem i przypisami opatrzył Wacław Zawadzki)* — *Ernest Bryll:* Tydzień. Ballada o bagnecie. Motyw z Chagalla ironiczny — *Paweł Jasienica:* Król i kardynał — *Barbara Sadowska:* Hiena na brata. Nad ogniem — *Jan Strzelecki:* Amerykańskie niepokoje (2).

Książka miesiąca: *Jan Józef Lipski:* Poezja myśli.

Wśród książek: *Jerzy Kwiatkowski:* „Może trywialność prawdzie bliższa" — *Stefan Lichański:* Metamorfozy poety — *Anna Kamieńska:* Muza grecka — *Michał Głowiński:* Opowiadania Wojciecha Wyganowskiego — *Henryk Bereza:* „Bójcie się krowy" — *Włodzimierz Maciąg:* Krytyka na miarę — *Jan Wyka:* Ojczyzna i obczyzna — *Stefania Podhorska-Okołów:* Barwa czasu.

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* Helena i Halina — *Zdzisław Najder:* Przegląd prasy — *Walter Weideli:* List z Genewy — *Stefan Lichański:* Los Karin Steinhoff — Przegląd zagraniczny.

Noty

Korespondencja

Książki nadesłane

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.

Adres administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa, Zamówienie 3746/c z dnia 26.V.61 r.
Nakład 4970 egz. Druk ukończono w lipcu 1961 r. S-67

Cena 10 zł

374608

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Michał Głowiński — Mit Dionizosa · Konrad Górski — Aluzja literacka · Roman Karst — Sztuka, parodia i diabeł · Andrzej Kijowski — Nowe opowiadania · Malcolm Lowry — Przez Kanał Panamski · Jan Parandowski — Idy Marcowe · Janusz Sławiński — O poezji Jana Brzękowskiego · Jan Strzelecki — Amerykańskie niepokoje (c.d.) Zygmunt Wachowicz — Muzyka u Tomasza Manna